



# DOBRANI

ALLY CONDIE

Prószyński i S-ka

# DOBRANI

ALLY CONDIE

Przetłóżył  
Janusz Ochab



Prószczyński i S-ka

*Dla Scotta, który zawsze wierzy*

# ROZDZIAŁ 1

*Teraz, gdy nauczyłam się już latać, w którą stronę powinnam pofrunąć? Moje skrzydła nie są białe ani pierzaste: są zielone, utkane z zielonego jedwabiu, który drży na wietrze i wydyma się, gdy frunę – najpierw po okręgu, potem w linii prostej, a w końcu śladem figur mojego własnego pomysłu. Nie lękam się czerni nocy za moimi plecami ani gwiazd, które świecą przede mną.*

Uśmiecham się do siebie, rozbawiona tymi naiwnymi marzeniami. Ludzie nie potrafią latać, choć przed Społeczeństwem istniały mity o istotach, które potrafiły to robić. Widziałam je kiedyś na obrazie. Białe skrzydła, błękitne niebo, złote koła nad ich głowami, oczy skierowane ku górze, w wyrazie zaskoczenia, jakby nie mogły uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że ich stopy nie dotykają ziemi.

Te opowieści nie są prawdziwe. Wiem o tym. Ale dzisiejszego wieczoru łatwo o tym zapomnieć. Napowietrzna kolejka sunie przez rozgwieżdżone niebo tak gładko, a moje serce bije tak szybko, że czuję się, jakbym lada moment rzeczywiście miała ulecieć w noc.

– Co cię tak cieszy? – pyta Xander, gdy wyglądam z uśmiechem swoją zieloną jedwabną suknię.

– Wszystko – odpowiadam zgodnie z prawdą. Tak długo czekałam na tę chwilę: na mój Bankiet Doboru. Właśnie tu zobaczę po raz pierwszy twarz chłopca, który będzie moim Wybrankiem. Po raz pierwszy usłyszę jego imię.

Nie mogę się doczekać. Podróż trwa w nieskończoność, choć kolejka jedzie naprawdę szybko. Sunie przez noc, a jej jednostajny szum stanowi tło dla przytłumionych głosów moich rodziców i miarowych uderzeń mojego serca.

Być może Xander także słyszy bicie mojego serca, bo pyta:

– Denerwujesz się?

Starszy brat Xandera, który siedzi obok niego, zaczyna opowiadać mojej mamie o swoim Bankiecie Doboru. Niedługo Xander i ja będziemy mogli snuć własne opowieści.

– Nie – odpowiadam. Ale Xander jest moim najlepszym przyjacielem. Zna mnie aż za dobrze.

– Kłamiesz – droczy się ze mną. – Widzę, że się denerwujesz.

– A ty nie?

– Nie. Jestem gotowy – mówi bez cienia wahania, a ja mu wierzę. Xander należy do ludzi, którzy dobrze wiedzą, czego chcą.

– Nie przejmuj się tym, Cassio – dodaje łagodniejszym tonem. – Prawie dziewięćdziesiąt trzy procent ludzi, którzy biorą udział w Bankiecie Doboru, przejawia jakieś oznaki zdenerwowania.

– Nauczyłeś się na pamięć wszystkich danych z oficjalnych materiałów Doboru?

– Prawie – odpowiada Xander, uśmiechając się szeroko. Rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „A czego się spodziewałaś?”.

Ten gest mnie rozbawia, a poza tym ja też zapamiętałam wszystkie dane. To przychodzi samo, kiedy czytasz te materiały tak wiele razy, kiedy ta decyzja jest aż tak ważna.

– Więc należysz do mniejszości – mówię. – Do tych siedmiu procent, które w ogóle nie okazują zdenerwowania.

– Oczywiście – zgadza się ze mną.

– A skąd wiedziałeś, że ja się denerwuję?

– Bo ciągle otwierasz i zamykasz to. – Xander wskazuje na złoty przedmiot w moich dłoniach. – Nie wiedziałem, że masz artefakt.

Skarby z przeszłości to rzadkość. Choć każdy z członków Społeczeństwa może mieć jeden artefakt, trudno je zdobyć, chyba że

ktoś miał przodków, którzy zadali sobie ten trud i przekazywali taki przedmiot z pokolenia na pokolenie.

– Bo nie miałam, dostałam go zaledwie kilka godzin temu – wyjaśniam. – Dziadek dał mi go na urodziny. Należał do jego matki.

– Jak to się nazywa? – pyta Xander.

– Puderniczka – odpowiadam. Podoba mi się ten przedmiot. Jest drobny jak ja. Podoba mi się też jego nazwa, wydaje się delikatna i zgrabna.

– Co oznaczają te inicjały i cyfry?

– Nie wiem. – Przesuwam palcem po literach *ACM* i liczbie *1940*, wygrawerowanych na złotej powierzchni. – Ale spójrz na to – mówię, otwierając puderniczkę i pokazując mu jej wnętrze: małe lusterko z prawdziwego szkła i niewielkie zagłębienie w miejscu, gdzie znajdował się puder do twarzy, jak wyjaśnił mi dziadek. Teraz przechowuję tam trzy tabletki, które każdy z nas nosi ze sobą – zieloną, niebieską i czerwoną.

– Sprytne – kiwa głową Xander. Wyciąga przed siebie ręce, a ja zauważam, że i on ma artefakt – parę lśniących platynowych spinek do mankietów – Tata mi je pożyczył, ale nie da się do nich niczego schować. Są całkowicie bezużyteczne.

– Ale ładnie wyglądają.

Spoglądam nieco wyżej, na twarz Xandera, na jego białą koszulę, jasnoniebieskie oczy i blond włosy, które kontrastują z ciemnym garniturem. Zawsze był przystojny, nawet jako dziecko, ale nigdy nie widziałam go w tak eleganckim stroju. W porównaniu z dziewczynami chłopcy nie mają zbyt wielkiego wyboru ubrań. Wszystkie garnitury wyglądają podobnie. Mogą jednak wybrać kolor koszuli i fularu, a materiał jest znacznie lepszej jakości niż ten, z którego wykonane są powszednie ubrania.

– Ty też ładnie wyglądasz.

Dziewczyna, która się dowie, że to właśnie Xander jest jej Wybrankiem, będzie zachwycona.

– Ładnie? – powtarza Xander, unosząc brwi. – Tylko tyle?

– Xander... – mówi jego mama, z wyrzutem i rozbawieniem jednocześnie.

– Ty wyglądasz pięknie – dodaje Xander, a ja czerwienię się lekko, choć znam go od zawsze. Rzeczywiście czuję się piękna w tej sukni, zielonej, powiewnej i rozłożystej. Delikatny dotyk jedwabiu, tak nowy i niezwykły, sprawia, że wydaję się sobie lekka i pełna gracji.

Mama i tata, którzy siedzą obok mnie, wstrzymują oddech, gdy za oknem pojawia się Ratusz, podświetlony bielą i błękitem, co oznacza, że w jego wnętrzu odbywa się jakaś uroczystość. Nie widzę marmurowych schodów przed budynkiem, ale wiem, że będą wypolerowane i lśniące. Całe życie czekałam na to, by wejść na te czyste marmurowe schody, by przejść przez drzwi Ratusza, który widziałam wiele razy z oddali, ale nigdy jeszcze od wewnątrz.

Mam ochotę otworzyć puderniczkę i przejrzeć się w lusterku, sprawdzić, czy dobrze wyglądam. Nie chcę jednak, aby wszyscy pomyśleli, że jestem próżna, zerkam więc tylko na swoje odbicie w złotej powierzchni pudełeczka.

Zaokrąglona pokrywka puderniczki zniekształca nieco twarz, ale to wciąż ja. Moje zielone oczy. Moje miedziane włosy, które w połacanej powierzchni wydają się bardziej złote niż w rzeczywistości. Mój prosty mały nos. Mój podbródek z niewielkim dołeczkiem, niemal identyczny jak podbródek mojego dziadka. Wszystkie zewnętrzne cechy, które czynią ze mnie siedemnastoletnią Cassię Marię Reyes.

Obracam puderniczkę w dłoniach, patrzę, jak idealnie dopasowane są obie jej części. Moje życie wydaje się równie doskonale poukładane, o czym świadczy choćby fakt, że jestem dziś w tym miejscu. Ponieważ urodziłam się piętnastego, a więc w dniu, w którym co miesiąc urządany jest Bankiet, zawsze miałam

nadzieję, że zostanę Dobrana dokładnie w rocznicę urodzin, wiedziałam jednak, że to prawie niemożliwe. Możesz zostać wezwana na Bankiet w dowolnym miesiącu roku, począwszy od dnia, w którym skończysz siedemnaście lat. Kiedy dwa tygodnie temu otrzymałam wiadomość, że rzeczywiście zostanę Dobrana w swoje urodziny, ujrzałam oczami wyobraźni, jak wszystkie elementy układanki wsuwają się na swoje miejsce, jak spełniają się moje marzenia.

Bo choć mój Dobór nie spóźnił się ani o dobę, w pewnym sensie czekałam na to przez całe życie.

– Cassio – mówi mama, uśmiechając się do mnie.

Podnoszę na nią wzrok, zaskoczona. Moi rodzice wstają z miejsc i szykują się do wyjścia. Xander również wstaje i poprawia rękawy. Słyszę, jak bierze głęboki oddech, i uśmiecham się do siebie. Może jednak jest trochę zdenerwowany.

– No to chodźmy – mówi do mnie. Jego łagodny uśmiech koi moje nerwy. Cieszę się, że wezwano nas tego samego miesiąca. Przeżyliśmy razem niemal całe dzieciństwo, wypadaloby więc, byśmy także wspólnie je zakończyli.

Odpowiadam mu uśmiechem i przekazuję najlepsze pozdrowienie, jakie zna nasze Społeczeństwo:

– Życzę ci optymalnych rezultatów.

– I ja tobie, Cassio – odpowiada Xander.

Kiedy wychodzimy z kolejki i ruszamy w stronę Ratusza, rodzice biorą mnie pod rękę. Jak zawsze czuję ich miłość.

Dziś jest nas tylko troje. Bram, mój brat, nie może uczestniczyć w Bankiecie Doboru, bo nie skończył jeszcze siedemnastu lat, jest za młody. Pierwszy Bankiet, w którym bierzesz udział, to zawsze twój własny. Ja jednak będę mogła pójść na Bankiet Brama, bo jestem od niego starsza. Uśmiecham się do siebie, rozmyślając o tym, jak będzie wyglądała Wybranka Brama. Dowiem się za siedem lat.



Ale dzisiejszy wieczór należy do mnie.

Nietrudno odróżnić tych, którzy będą dziś Dobrani, od pozostałych: po pierwsze jesteśmy młodszy, a po drugie dosłownie unosimy się nad ziemią, ubrani w piękne suknie i dopasowane garnitury, podczas gdy nasi rodzice i starsze rodzeństwo chodzą w strojach powszednich, stanowią jednolite tło, na którym rozkwitamy niczym różnobarwne kwiaty. Funkcjonariusze Miejscy uśmiechają się do nas z dumą, a ja nie posiadam się z radości, gdy wchodzimy do Rotundy.

Oprócz Xandera, który macha mi ręką na pożegnanie i przechodzi do swojego miejsca, dostrzegam w sali jeszcze jedną znajomą osobę, dziewczynę o imieniu Lea. Wybrała jasno czerwoną suknię. To dobra decyzja, bo Lea jest tak piękna, że po prostu powinna jakoś wyróżnić się z tłumu. Wygląda jednak na zdenerwowaną, wciąż obraca w dłoniach swój artefakt, czerwoną bransoletkę wysadzaną kamieniami. Jestem nieco zaskoczona jej obecnością. Sądziłam dotąd, że jest Singielką.

– Spójrz tylko na tę porcelanę – mówi mój ojciec, gdy odnajdujemy nasze miejsca przy stole. – Przypomina mi te naczynia z Wedgwood, które znaleźliśmy w zeszłym roku...

Mama spogląda na mnie i przewraca wymownie oczami. Nawet na Bankiecie Doboru tato nie potrafi się powstrzymać od tego rodzaju uwag. Całymi miesiącami pracuje w starych dzielnicach, które po odnowieniu stają się nowymi Gminami i służą całemu Społeczeństwu. Przegląda pozostałości społeczeństwa, które żyło w przeszłości nie tak bardzo odległej, jakby się wydawało. Obecnie zajmuje się szczególnie interesującym projektem, Renowacją starej biblioteki. Oddziela rzeczy, które Społeczeństwo uznaje za wartościowe, od tych, które nie mają większej wartości.

Chwilę potem omal nie parskam śmiechem, bo tym razem to moja mama nie może się powstrzymać i spogląda z zachwytem na

kwiaty – pracuje w Arboretum, więc rośliny to jej obszar zainteresowań.

– Och, Cassio, spójrz tylko na te bukiety. To lilie. – Podekscytowana mama ściska moją dłoń.

– Proszę usiąść – mówi Funkcjonariuszka stojąca na podwyższeniu. – Wkrótce podamy kolację.

Wszyscy w pośpiechu zajmują swoje miejsca. Choć kwiaty i porcelana budzą nasz zachwyt i choć przyszliśmy tutaj dla naszych Wybranków, nie możemy się też doczekać jedzenia.

– Powiadają, że nie warto podawać tej kolacji Dobieranym, bo i tak wszystko się marnuje – zauważa z uśmiechem zażywny mężczyzna, który siedzi naprzeciwko nas. – Są tak zdenerwowani, że w ogóle nie dotykają jedzenia.

To prawda, dziewczyna w różowej sukience, która usiadła kilka miejsc dalej, tylko wpatruje się w swój talerz i nawet nie sięga po sztućce.

Ja nie mam jednak tego problemu. Choć się nie opycham, próbuję wszystkiego po trochu – pieczonych warzyw, pikantnego mięsa, kruchej zieleniny, kremowego sera i świeżego, jeszcze ciepłego pieczywa. Ten posiłek przypomina taniec, jakby był to nie tylko bankiet, ale i bal. Kelnerzy z wprawą i wdziękiem podsuwają nam kolejne tace; jedzenie wygląda niemal równie pięknie jak my. Podnosimy białe serwetki, srebrne widelce i lśniąco kryształowe puchary w jednym rytmie, jakbyśmy poruszali się w takt muzyki.

Mój tata uśmiecha się, rozradowany, gdy pod koniec posiłku kelner podaje każdemu z nas kawałek czekoladowego ciasta z bitą śmietaną.

– Cudownie – szepcze tak cicho, że słyszymy go tylko ja i mama.

Mama śmieje się pod nosem, droczy się z nim, a tata bierze ją za rękę.

Rozumiem ich entuzjazm, gdy zjadam kawałek ciasta, które ma intensywny, a zarazem delikatny smak, jest ciemne i aromatyczne. To najlepsza rzecz, jaką jadłam od tradycyjnej kolacji w dniu Zimowego Świąta, wiele miesięcy temu. Żałuję, że Bram nie może go spróbować, przez moment zastanawiam się, czy nie zabrać dla niego chociaż kawałka. Nie mam go jednak jak przenieść. Nie zmieściłby się w mojej pudernicze. Nie schowam go też w torebce mamy, nawet gdyby się zgodziła, a wiem, że tego nie zrobi. Moja mama nie łamie zasad.

– Nie mogę odłożyć nic na później. Zjem je teraz albo nigdy.

Wkładam właśnie ostatni kawałek do ust, gdy prowadząca mówi:

– Zaczynamy prezentację Wybranków.

Przelykam szybko, zaskoczona. Na moment ogarnia mnie irracjonalna złość: nie zdążyłam nacieszyć się ostatnim kawałkiem ciasta.

– Lea Abbey.

Lea wstaje, nerwowo obraca w palcach bransoletkę, wyczekuje niecierpliwie, aż na ekranie pojawi się twarz jej Wybranka. Stara się jednak trzymać ręce nisko, by chłopiec z innego Miasta widział tylko piękną jasnowłosą dziewczynę, a nie jej dłonie zaciśnięte nerwowo na artefakcie.

To zadziwiające, jak mocno trzymamy się fragmentów przeszłości, czekając na przyszłość.

Oczywiście Dobór odbywa się zgodnie z ustalonym od lat schematem. Sale Ratuszów w całym kraju wypełnione są ludźmi, spiker ogłasza nazwiska kolejnych par, ułożonych w porządku alfabetycznym według nazwisk dziewcząt. Trochę szkoda mi chłopców, którzy nie mają pojęcia, kiedy zostanie wywołane ich nazwisko, kiedy będą musieli wstać, pokazać się dziewczętom w

innym Ratuszu i przyjąć je jako swoje Wybranki. Ponieważ moje nazwisko brzmi Reyes, zostanie wywołana wśród ostatnich.

Na ekranie ukazuje się twarz chłopca, przystojnego blondyna. Uśmiecha się, widząc na swoim ekranie Leę, ona również odpowiada mu uśmiechem.

– Joseph Peterson – ogłasza prowadząca. – Leo Abbey, zostałaś Dobrana do Josepha Petersona.

Kobieta, która przewodniczy Bankietowi, przynosi Lei małe srebrne pudełko. Joseph Peterson, wciąż widoczny na monitorze, dostaje takie samo. Lea siada i spogląda tęsknie na pudełko, jakby chciała je natychmiast otworzyć. Nie dziwię się jej. W środku jest mikrokarta z informacjami o jej Wybranku. Wszyscy je dostajemy. Później w tych samych pudełkach otrzymamy obrączki potrzebne do zawarcia Kontraktu Małżeńskiego.

Na ekranie pojawia się plansza. Chłopiec i dziewczyna uśmiechają się do siebie, w tle widać roziskrzone światła, stoi tam też Funkcjonariusz w białym płaszczu. Choć Społeczeństwo stara się, by Dobór przebiegał jak najsprawniej, od czasu do czasu zwykły obraz zastępuje ten właśnie widoczek, co oznacza, że gdzieś dzieje się coś ważnego, a my musimy poczekać. Dobór to bardzo skomplikowana procedura – przywodzi mi na myśl kroki tańców, które dawno temu wykonywali ludzie. Ten taniec ułożony jest jednak w całości przez Społeczeństwo.

W końcu obraz uśmiechniętej pary znika.

Prowadzący wywołuje kolejne nazwisko, następna dziewczyna wstaje ze swojego miejsca.

Wkrótce coraz więcej uczestników Bankietu ma już srebrne pudełka. Niektórzy kładą je przed sobą, na białym obrusie, większość jednak trzyma je mocno, jakby bała się wypuścić z rąk przyszłość, dopiero co podarowaną.

Nie widzę żadnej innej dziewczyny w zielonej sukni. Nie przeszkadza mi to. Właściwie cieszę się, że tego jednego wieczoru nie wyglądam jak wszyscy pozostali.

Czekam, ściskając w jednej dłoni puderniczkę, a w drugiej rękę mamy. Jej dłoń jest spocona. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że moi rodzice także się denerwują.

– Cassia Maria Reyes.

Nadeszła moja kolej.

Puszczam dłoń mamy, wstaję i odwracam się do ekranu. Czuję, jak wali mi serce, mam ochotę zaciskać nerwowo ręce, jak robiła to Lea, ale stoję w całkowitym bezruchu, z dumnie uniesioną brodą i wzrokiem wbitym w ekran. Chcę, by dziewczyna, którą mój Wybranek zobaczy na ekranie w jakimś innym Ratuszu, wydawała się piękna, spokojna i pewna siebie, by był to najlepszy wizerunek Cassii Marii Reyes, jaki mogę mu zaprezentować.

Lecz nic się nie dzieje.

Stoję i patrzę na ekran. W miarę jak upływają kolejne sekundy, coraz trudniej zachować mi spokój, coraz trudniej wciąż się uśmiechać. Ludzie dokoła zaczynają szeptać między sobą. Kątem oka widzę, że mama wyciąga do mnie rękę, potem ją jednak cofa.

Dziewczyna w zielonej sukni stoi i czeka, serce wali jej jak młot. To ja.

Ekran wciąż jest ciemny.

To może oznaczać tylko jedno.

## ROZDZIAŁ 2

Szepty narastają, unoszą się wokół mnie niczym ptaki bijące skrzydłami pod kopułą Ratusza.

– Twój Wybranek jest dziś tutaj – mówi prowadząca z uśmiechem. Ludzie dokoła także się uśmiechają, mówią coraz głośniejsze i śmieją się. Nasze Społeczeństwo jest tak wielkie, a Miasta tak liczne, że prawdopodobieństwo znalezienia idealnego Wybranka w tej samej miejscowości jest bardzo małe. Minęło już wiele lat, odkąd zdarzyło się coś podobnego.

Te myśli kłębią się w mojej głowie, zamykam na moment oczy, gdy uświadamiam sobie, co to oznacza, nie w teorii, lecz dla mnie, dla dziewczyny w zielonej sukni. „Mogę znać swojego Wybranka”. Być może to ktoś, kto chodzi ze mną do tej samej Drugiej Szkoły, ktoś, kogo widuję codziennie, ktoś...

– Xander Thomas Carrow

Xander wstaje ze swojego miejsca. Między nami rozciąga się morze zaciekawionych twarzy, białych obrusów, lśniących kryształów i srebrnych pudełeczek.

Nie mogę w to uwierzyć.

To jakiś sen. Ludzie spoglądają na mnie i na przystojnego chłopca w ciemnym garniturze i niebieskim fularze. To wszystko wydaje mi się nierealne aż do momentu, gdy Xander uśmiecha się do mnie. Myślę: „Znam ten uśmiech” i nagle ja również się uśmiecham, a wokół nas zrywa się burza oklasków. Ten dźwięk oraz zapach lilii przekonują mnie w końcu, że to dzieje się naprawdę. W snach dźwięki i zapachy nie są tak wyraziste. Odchodzę nieco od protokołu i macham ukradkiem do Xandera, a on uśmiecha się jeszcze szerzej. Prowadząca mówi:

– Możecie usiąść.

Wydaje się zadowolona, że jesteśmy szczęśliwi. Oczywiście, powinniśmy być. W końcu jesteśmy idealnie dobrani.

Kiedy przynosi mi srebrne pudełko, trzymam je mocno, jak największy skarb, choć wiem dobrze, co kryje się na ukrytej w środku karcie. Xander i ja nie tylko chodzimy do tej samej szkoły, ale i mieszkamy na tej samej ulicy. Odkąd pamiętam, jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Nie potrzebuję mikrokarty, by zobaczyć Xandera jako dziecko, bo mam mnóstwo takich obrazów w głowie. Nie muszę uczyć się na pamięć listy jego ulubionych rzeczy, bo już je znam. Ulubiony kolor: zielony. Ulubiony sport: pływanie. Ulubiona rozrywka: gry.

– Gratulacje, Cassio – szepcze do mnie tata z nieskrywaną ulgą. Mama nic nie mówi, ale aż promienieje z radości i ściska mnie mocno. Tymczasem nieco dalej wstaje kolejna dziewczyna i wpatruje się w ekran.

Mężczyzna siedzący obok mojego taty zauważa:

– Państwa rodzina ma ogromne szczęście. Nie musicie powierzać swojej przyszłości komuś, o kim nic nie wiecie.

Zdumiewa mnie zgryźliwy i smutny ton jego głosu; ta uwaga to niemal otwarta niesubordynacja. Jego córka, zdenerwowana dziewczyna w różowej sukni, też ją słyszy. Wydaje się zmieszana, poprawia się na swoim krześle. Nie znam jej. Chodzi zapewne do jakiejś innej Drugiej Szkoły w naszym mieście.

Zerkam ukradkiem w stronę Xandera, ale dzieli nas zbyt wielu ludzi, nie widzę go. Kolejne dziewczęta wstają ze swoich miejsc. Przed każdą z nich pojawia się nowy obraz. Nikt inny nie zobaczył ciemnego ekranu. Jestem jedyna, której się to zdarzyło.

Gdy zbieramy się już do wyjścia, Funkcjonariuszka prowadząca Bankiet prosi Xandera, mnie i nasze rodziny, byśmy poświęcili jej jeszcze chwilę.

– To niezwykła sytuacja – mówi, potem jednak poprawia się szybko. – Nie niezwykła. Przepraszam. Po prostu rzadka. – Uśmiecha się do nas obojga. – Ponieważ oboje już dobrze się znacie, zwyczajowe procedury będą w waszym wypadku wyglądały nieco inaczej. Większość informacji zawartych na kartach nie będzie dla was niespodzianką. – Kobieta wskazuje ręką na srebrne pudełka. – Jest na nich jednak również kilka nowych wskazówek dotyczących zachowania wobec Wybranka lub Wybranki, powinniście więc zapoznać się z nimi przy najbliższej okazji.

– Przeczytamy je jeszcze dziś wieczorem – obiecuje Xander z powagą. Mam ochotę parsknąć śmiechem albo chociaż przewrócić wymownie oczami, bo mój Wybranek zachowuje się dokładnie tak jak wtedy, gdy nauczyciel wyznacza mu jakieś zadanie. Przeczyta wszystkie nowe wskazówki, nauczy się ich na pamięć, tak jak przeczytał i zapamiętał materiały dotyczące Doboru. Czerwienie się mimowolnie, przypominając sobie fragment tego tekstu:

„Jeśli decydujesz się brać udział w Doborze, zawierasz Kontrakt Małżeński w wieku dwudziestu jeden lat. Badania wykazały, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni są najpłodniejsi w wieku około dwudziestu czterech lat. System Doboru został tak skonstruowany, by dzieci par Wybranków rodziły się właśnie w tym okresie, gdy prawdopodobieństwo wystąpienia jakichkolwiek chorób lub odchyień od normy jest najmniejsze”.

Xander i ja zawrzemy Kontrakt Małżeński. Będziemy mieli dzieci.

Nie muszę przez najbliższe lata poznawać swojego Wybranka, bo już go znam, niemal tak dobrze jak samą siebie.

Stwierdzam z zaskoczeniem, że czuję pewien żal. Moje rówieśniczki przez kilka następnych dni będą wpatrywać się w zdjęcia swoich Wybranków, chwalić się nimi w szkole podczas przerw na posiłek, wyczekiwać z niecierpliwością kolejnych informacji na ich temat, a potem pierwszego spotkania, drugiego spotkania i tak dalej. Xander i ja nie będziemy odkrywać żadnych



tajemnic. Nie będę się zastanawiać, jakim jest człowiekiem, ani śnić o naszym pierwszym spotkaniu.

W tym właśnie momencie Xander spogląda na mnie i pyta:

– O czym myślisz?

– Myślę, że mamy wielkie szczęście – odpowiadam szczerze. Dochodzę do wniosku, że jednak wciąż mamy sporo do odkrycia. Do tej pory znałam Xandera tylko jako przyjaciela. Teraz jest moim Wybrankiem.

– To nie jest kwestia szczęścia, Cassio – poprawia mnie łagodnie Funkcjonariuszka. – W Społeczeństwie nie ma czegoś takiego jak szczęście czy ślepy traf.

Kiwam głową. Oczywiście. Nie powinnam używać takich archaicznych, nieodpowiednich pojęć. Teraz istnieje tylko prawdopodobieństwo. Jak duże jest prawdopodobieństwo, że coś się wydarzy lub nie wydarzy. Funkcjonariuszka odzywa się ponownie:

– To był męczący wieczór, a robi się już późno. Będziecie mogli obejrzyć swoje karty później, innego dnia. Macie mnóstwo czasu.

Ma rację. To właśnie dało nam Społeczeństwo: czas. Żyjemy dłużej i lepiej niż jacykolwiek inni obywatele w historii świata. W dużej mierze dzieje się tak dzięki Systemowi Doboru – to właśnie za jego sprawą w Społeczeństwie pojawiają się kolejne pokolenia zdrowych emocjonalnie i fizycznie ludzi.

A ja jestem częścią tego wszystkiego.

Moi rodzice i państwo Carrow wciąż rozmawiają o tym, jakie to cudowne wydarzenie, a gdy schodzimy razem po stopniach przed Ratuszem, Xander pochyla się do mnie i mówi:

– Można by pomyśleć, że sami to wszystko tak urządzili.

– Ja też ciągle nie mogę w to uwierzyć – odpowiadam. Aż kręci mi się w głowie, kiedy myślę o tym wszystkim. Nie mogę uwierzyć, że to właśnie ja jestem ubrana w tę piękną zieloną suknię, że w jednej

ręce trzymam srebro, a w drugiej złoto, że idę obok swojego najlepszego przyjaciela. Mojego Wybranka.

– A ja mogę – droczy się ze mną Xander. – Prawdę mówiąc, wiedziałem o tym od samego początku. Dlatego się nie denerwowałem.

– Ja też o tym wiedziałam – odpowiadam przewrotnie. – Dlatego się denerwowałam.

Oboje aż się zanosimy śmiechem, nie dostrzegamy nawet kolejki, która wjeżdża właśnie na stację. Potem przez moment oboje czujemy się jednak nieco skrepowani, gdy Xander podaje mi rękę i pomaga wsiąść do wagonu.

– Proszę – mówi z powagą. Przez chwilę nie wiem, co zrobić. Dotyk Xandera dziwnie mnie onieśmiela, poza tym mam obie ręce zajęte.

W końcu Xander chwyta mocno moją dłoń i wciąga mnie do środka.

– Dziękuję – mówię, gdy zamykają się za nami drzwi.

– Zawsze do usług – odpowiada. Nie wypuszcza mojej dłoni. Małe srebrne pudełko, które w niej trzymam, tworzy kolejną barierę między nami, choć inną udało się nam już przełamać. Nie trzymaliśmy się za ręce od czasów dzieciństwa. Robiąc to tego wieczoru, przekraczamy niewidzialną przepaść, która dzieli przyjaźń od czegoś więcej. Czuję przyjemne mrowienie: dotyk Wybranka to luksus, którego nie doświadcza żaden inny uczestnik dzisiejszego Bankietu.

Kolejka zabiera nas coraz dalej od lśniących, śnieżnobiałych świateł Ratusza, wiezie do łagodniejszego żółtego światła latarń i domów naszej Klonowej Gminy. Zerkam na Xandera. Żółty blask za oknami kolejki przypomina kolor jego włosów, jego twarz jest piękna, spokojna i dobra. I dobrze mi znana, choć zarazem dziwnie obca. Kiedy przez całe życie patrzysz na kogoś w pewien sposób, czujesz się naprawdę dziwnie, gdy ta perspektywa się zmienia.

Xander zawsze był kimś, kogo nie mogłam mieć, ja również byłam dla niego kimś niedostępnym.

Teraz wszystko się zmieniło.

Bram, mój dziesięcioletni brat, czeka na nas na werandzie. Kiedy mówimy mu o tym, co stało się na Bankiecie, nie może uwierzyć.

– Zostałaś Wybranką Xandera? Znam już człowieka, który będzie twoim partnerem? To takie dziwne.

– Sam jesteś dziwny – dokuczam mu. Bram uchyla się, gdy udaję, że próbuję go złapać. – Kto wie, może twoja Wybranka też mieszka na tej ulicy. Może to...

Bram zakrywa uszy.

– Nie mów tego. Nie mów tego...

– Serena – kończę, a on się odwraca, jakby mnie nie słyszał. Serena mieszka w domu obok. Oboje z Bramem wciąż sobie dokuczają.

– Cassio... – mówi mama z dezaprobatą i rozgląda się dokoła, by sprawdzić, czy nikt nas nie słyszał. Nie powinniśmy w jakikolwiek sposób dyskredytować innych członków naszej społeczności. Klonowa Gmina słynie z doskonałych stosunków sąsiedzkich, uchodzi w tej kwestii za wzór. „Na pewno nie dzięki Bramowi” – myślę.

– Żartuję sobie tylko, mamo.

Wiem, że nie będzie się na mnie złościć. Nie w noc mojego Bankietu Doboru, gdy uświadomiła sobie, jak szybko dorastam.

– Chodźmy do środka – mówi tata. – Zbliża się już cisza nocna. Możemy porozmawiać o wszystkim jutro.

– Dostaliście ciastka? – pyta Bram, gdy tata otwiera drzwi. Wszyscy patrzą wyczekująco na mnie.

Nie ruszam się. Nie chcę jeszcze wchodzić do środka.

Jeśli to zrobię, ten wieczór dobiegnie końca, a nie chcę, by już się kończył. Nie chcę zdejmować sukni i wracać do swoich powszednich ubrań, nie chcę wracać do zwykłych dni, które nie są złe, ale nie dorównują temu.

– Zaraz wejdę – mówię. – Jeszcze tylko kilka minut.

– Tylko nie siedź długo – prosi łagodnie tata. Nie chce, bym naruszyła ciszę nocną. To reguła stworzona przez Miasto, a nie przez niego, rozumiem to.

– Nie będę – obiecuję.

Siadam na schodach przed domem, ostrożnie, by nie zniszczyć pożyczonej sukni. Zerkam na fałdy pięknego materiału. Nie należy do mnie, ale tego wieczoru mam ją tylko dla siebie, w ten czas ciemności i światła, czas nieoczekiwanego i dobrze znanego. Wpatruję się przez chwilę w wiosenną noc i zwracam twarz ku gwiazdom.

Nie siedzę długo przed domem, bo jutro, w sobotę, mam dużo zajęć. Wczesnie rano muszę się zgłosić na mojej próbnej posadzce w centrum sortowania. Potem będę miała kilka godzin rekreacji, jedną z niewielu okazji, by spotkać się z przyjaciółmi poza Drugą Szkołą.

Będzie tam też Xander.

Kiedy jestem już sama w swoim pokoju, wyciągam z puderniczki trzy tabletki. Potem je liczę – jeden, dwa, trzy: niebieska, zielona, czerwona – i wsuwam do metalowego pojemnika, w którym noszę je na co dzień.

Wiem, jak działają pigułki niebieska i zielona. Nie znam nikogo, kto potrafiłby mi powiedzieć, jakie są skutki zażycia czerwonej. Od lat krążą różne plotki na ten temat.

Kładę się do łóżka i odsuwam od siebie myśli o tabletkach. Po raz pierwszy w życiu wolno mi śnić o Xanderze.

## ROZDZIAŁ 3

Zawsze zastanawiałam się, jak moje sny wyglądają na papierze, w postaci liczb. Ktoś to wie, ale nie ja. Zrywam ze skóry płytki rejestrujące sen, starając się nie ciągnąć zbyt mocno za tę za uchem. Skóra jest tam bardzo delikatna i zawsze mnie boli, gdy odrywam od niej okrągłą płytkę, szczególnie jeśli pod jej pokrytą klejem powierzchnię dostanie się pasemko włosów. Zadowolona, że mam to już za sobą, odkładam sprzęt do pudełka. Dziś w nocy kolej na Brama.

Nie śniłam o Xanderze. Nie wiem dlaczego.

Ale spałam do późna i spóźnię się do pracy, jeśli się nie pospieszę. Kiedy wchodzę do kuchni, niosąc ze sobą suknię z poprzedniego wieczoru, widzę, że mama rozstawiła już na stole śniadanie. Jak zawsze jest to szaro-brązowa owsianka. Jemy dla zdrowia i sprawności, a nie dla smaku. Wyjątkami są święta i uroczystości. Przez cały poprzedni tydzień otrzymywaliśmy zmniejszone porcje kalorii, więc minionego wieczoru mogliśmy się objadać bez ograniczeń.

Bram uśmiecha się do mnie szelmowsko. Wciąż ma na sobie piżamę.

– Zaspałaś, bo śniłaś o Xanderze? – pyta, wpychając do ust łyżkę płatków.

Nie chcę, by wiedział, jak blisko jest prawdy. Choć nie śniłam o Xanderze, chciałam tego.

– Nie – odpowiadam. – A ty nie powinieneś już wychodzić do szkoły?

Bram jest jeszcze na tyle młody, że w soboty nie pracuje, lecz chodzi do szkoły. Jeśli za chwilę nie wyjdzie, spóźni się. Mam nadzieję, że nie zostanie odnotowany.

– Bram – mówi mama. – Wkładaj ubranie, proszę.

Z pewnością będzie znacznie spokojniejsza, gdy Bram przeniesie się w końcu do Drugiej Szkoły, gdzie zajęcia zaczynają się pół godziny później.

Kiedy Bram wychodzi leniwym krokiem z kuchni, mama bierze ode mnie suknię, podnosi ją i ogląda.

– Wyglądałaś wczoraj przepięknie. Szkoda, że musimy ją oddać.

Przez chwilę przyglądamy się jej obie. Obserwuję z zachwytem, jak delikatna tkanina przechwytuje i odbija promienie światła, jakby złoty blask i jedwabne włókna splatały się ze sobą.

Obie wdychamy dokładnie w tym samym momencie, a potem mama parska śmiechem. Całuje mnie w policzek.

– Prześlą ci kawałek materiału, pamiętasz o tym? – pyta, a ja kiwam głową. W każdej sukni wszyty jest dodatkowy pas tkaniny, który można pociąć na kawałki, po jednym dla każdej z używających jej dziewczyn. Ten fragment oraz srebrne pudełko z mikrokartą będą pamiątkami z mojego Doboru.

A jednak czuję odrobinę żalu. Nigdy już nie zobaczę tej sukni, mojej zielonej sukni.

Gdy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że chcę właśnie ją. Gdy dokonałam wyboru, kobieta w centrum dystrybucji ubrań z uśmiechem wstukała na komputerze właściwy numer – siedemdziesiąt trzy.

– Rachunek prawdopodobieństwa wykazał, że zdecydujesz się na tę suknię – powiedziała. – Potwierdzały to twoje osobiste dane oraz profil psychologiczny. W przeszłości wybierałaś rzeczy inne niż większość twoich rówieśników, a poza tym dziewczęta lubią, kiedy suknia podkreśla kolor ich oczu.

Uśmiechnęłam się i obserwowałam, jak kobieta posyła swoją asystentkę po suknię. Gdy tylko ją przymierzyłam, przekonałam się, że to była właściwa decyzja. Ta suknia przeznaczona była dla mnie. Obrębek i fałdy tkaniny w pasie układały się idealnie. Obróciłam się w miejscu przed lustrem, podziwiając swoje odbicie.

– Jak dotąd jesteś jedyną dziewczyną, która wybrała tę suknię w tym miesiącu – powiedziała mi kobieta. – Najpopularniejsza jest jedna z różowych kreacji, oznaczona numerem dwadzieścia dwa.

– To dobrze – skinęłam głową. Nie mam nic przeciwko temu, by odrobinę się wyróżniać.

W drzwiach kuchni ponownie staje Bram. Jego ubranie powszednie jest pomięte, włosy zmierzwił. Niemal czytam w myślach mamy: lepiej go uczesać i pozwolić, by się spóźnił, czy wysłać go w takim stanie?

Bram podejmuje decyzję za nią.

– Do zobaczenia wieczorem – mówi, pędząc do wyjścia.

– Nie zdąży – stwierdza mama i spogląda przez okno na przystanek kolejki, gdzie migające tory informują o nadjeżdżającym właśnie pociągu.

– Może mu się uda – odpowiadam, obserwując, jak Bram łamie właśnie kolejną zasadę, która zabrania biegać w miejscach publicznych. Niemal słyszę tupot jego nóg, gdy pędzi pochylony po chodniku, a tornister podskakuje na jego chudych plecach.

Zwalnia, gdy jest już przy samym przystanku. Przyklepuje dłonią włosy i wchodzi swobodnym krokiem na stopnie kolejki. Mam nadzieję, że nikt oprócz nas nie widział jego szalonego biegu. Chwilę potem kolejka odjeżdża, uwożąc ze sobą mojego młodszego brata.

– Ten chłopak kiedyś mnie wykończy – wzdycha mama. – Powinnam była obudzić go wcześniej. Wszyscy zaspaliśmy. Wczorajszy wieczór był niezwykły.

– Tak – zgadzam się z nią.

– Muszę zdążyć na następną kolejkę. – Mama zakłada torbę na ramię. – Co będziesz robić dziś wieczorem, podczas rekreacji?

– Xander i cała reszta na pewno będą chcieli pograć w centrum gier – odpowiadam. – Widzieliśmy już wszystkie pokazy, a muzyka...  
– Wzruszam ramionami.

Mama ponownie parska śmiechem i kończy za mnie zdanie:

– Jest dla starych ludzi, takich jak ja.

– Ostatnią godzinę wykorzystam na wizytę u dziadka.

Funkcjonariusze rzadko pozwalają na odstępstwa od zwykłych zajęć rekreacyjnych. Jednak wizyta u kogoś, kogo nazajutrz czeka jego Ostatni Bankiet, jest czymś dozwolonym, a nawet mile widzianym.

– Na pewno bardzo się ucieszy – mówi mama łagodnym tonem.

– Czy tata mówił dziadkowi o moim Wybranku?

Mama uśmiecha się ponownie.

– Zamierzał wstąpić do niego w drodze do pracy.

– To dobrze. – Kiwam głową, bo chcę, by dziadek dowiedział się o tym jak najszybciej. Wiem, że myślał o mnie i moim Bankiecie co najmniej równie często, jak ja myślę o nim i jego uroczystości.

W pośpiechu jem śniadanie, w ostatniej chwili wsiałam do kolejki i zajmuję miejsce pod ścianą wagonu. Nie śniłam o Xanderze w nocy, ale mogę pomarzyć o nim teraz. Spoglądam za okno, rozmyślam o tym, jak wyglądał wczoraj w garniturze, i obserwuję Gminy, przez które przejeżdżam w drodze do Miasta. Zieleń dominuje jeszcze nad kamieniami i betonem, gdy zauważam białe płatki unoszące się w powietrzu.

Pozostali pasażerowie też je dostrzegają.

– Śnieg? W czerwcu? – pyta zdumiona kobieta, która siedzi obok mnie.



– To niemożliwe – mruczy mężczyzna z naprzeciwka.

– Ale na to właśnie wygląda – upiera się kobieta.

– To niemożliwe – powtarza mężczyzna. Ludzie obracają się na siedzeniach, wyglądają przez okna, poruszeni. Czy coś niewłaściwego może być prawdą?

Białe drobiny opadają powoli ku ziemi. Jest coś dziwnego w tym śniegu, choć nie wiem dokładnie co. Z trudem skrywam uśmiech, patrząc na zatroskane twarze wokół mnie. Czy ja też powinnam się martwić? Być może. Ale ten widok jest naprawdę ładny, cudownie nieoczekiwany i, jak na razie, niewytłumaczalny.

Kolejka zatrzymuje się na przystanku. Rozsuwają się drzwi, do środka wlatuje kilka białych płatków. Chwytam jeden z nich i trzymam na dłoni, ale wcale się nie topi. Tajemnica przestaje być tajemnicą, gdy dostrzegam małe brązowe nasionko w środku śnieżnego płatka.

– To nasiona topoli – wyjaśniam wszystkim z przekonaniem. – Nie śnieg.

– Oczywiście. – Mężczyzna kiwa głową, zadowolony, że udało nam się znaleźć rozsądne wyjaśnienie. Śnieg w czerwcu byłby czymś nietypowym. Nasiona topoli nie są.

– Ale dlaczego jest ich tak dużo? – pyta inna kobieta, wciąż niespokojna.

Po chwili znamy już odpowiedź. Jeden z nowych pasażerów strzepeje biały puch z włosów i ubrania.

– Ścinamy topole nad rzeką – tłumaczy. – Społeczeństwo chce tam zasadzić jakieś lepsze drzewa.

Wszyscy wierzą mu na słowo, nie wiedzą nic o drzewach. Cieszą się, że nie jest to oznaka kolejnego Ocieplenia. Dobrze, że Społeczeństwo ma wszystko pod kontrolą, jak zawsze. Jednak dzięki mamie, która często opowiada nam o swojej pracy w Arboretum, wiem, że to wyjaśnienie jest sensowne. Topole nie rodzą żadnych

owoców, nie nadają się również na opał, a ich nasiona sprawiają tylko same kłopoty. Lecą daleko, czepiają się wszystkiego, próbują wszędzie rosnać. Mama mówi, że to drzewa chwasty. Mimo to czuje do nich szczególną sympatię, właśnie ze względu na nasiona, które otulone są pięknem, tymi cienkimi, białymi włóknami waty. To małe, pierzaste spadochrony, które spowalniają ich upadek, pomagają im lecieć, unosić się na wietrze i wędrować do miejsc, gdzie mogą urosnąć.

Patrzę na nasionko leżące na mojej dłoni. Mimo wszystko wciąż kryje się w nim jakaś tajemnica, zamknięta w tym małym brązowym ziarenku. Nie wiem, co z nim zrobić, chowam je więc do kieszeni, obok pojemnika na tabletki.

Ten czerwcowy śnieg przywodzi mi na myśl wers z wiersza, który analizowaliśmy w tym roku na zajęciach z Języka i Literatury: „Przystając pod lasem w śnieżny wieczór”. To jeden z moich ulubionych spośród Stu Wierszy, które Społeczeństwo postanowiło zachować wiele lat temu, gdy uznano, że nasza kultura jest zbyt zaśmiecona. Powstały wtedy komisje, które wybierały najlepsze setki z każdej dziedziny: Sto Piosenek, Sto Obrazów, Sto Opowieści, Sto Wierszy. Cała reszta została wyeliminowana. Zlikwidowana. Na zawsze. „Dla naszego wspólnego dobra”, twierdziło Społeczeństwo i wszyscy wierzyli w tę ideę, bo miała sens. „Jak możemy cokolwiek w pełni docenić, kiedy jesteśmy przytłoczeni takim ogromem wszystkiego?”.

Moja prababcia była jednym z historyków kultury, którzy prawie siedemdziesiąt lat temu pomagali w wyborze Stu Wierszy. Dziadek opowiadał mi tysiące razy, jak jego matka decydowała wspólnie z innymi o tym, które utwory należy zachować, a które muszą przepaść już na zawsze. Śpiewała mu ich fragmenty jako kołysankę. „Szeptala, śpiewała je – mówił dziadek – a ja próbowałem je sobie przypomnieć, gdy już odeszła”.

„Gdy już odeszła”. Jutro mój dziadek także odejdzie.

Kiedy za oknami znikają ostatnie śnieżnobiałe nasiona topoli, znów myślę o tym wierszu i o tym, jak bardzo go lubię. Podoba mi się dźwięk słów „kniei” i „nadziei”, ich rytm. Myślę, że byłaby to dobra kołysanka, gdyby tylko wsłuchiwać się w jej rytm, a nie w słowa. Bo słowa wcale nie zachęcają do odpoczynku: „I wiele mil od snu mnie dzieli”<sup>\*</sup>.

– Dzisiaj sortujemy liczby – mówi Norah, moja kierowniczką.

Wzdycham cicho, ale Norah nie reaguje. Skanuje moją kartę i oddaje mi ją. Nie pyta o Bankiet Doboru, choć zna moje uaktualnione dane i wie, że Bankiet odbył się wczoraj wieczorem. Ale to nic nowego. Norah prawie ze mną nie rozmawia, bo jestem jedną z najlepszych sortowaczek. Minęły już niemal trzy miesiące, odkąd popełniłam jakiś błąd. Właśnie wtedy po raz ostatni zamieniłyśmy ze sobą więcej niż kilka zdawkowych słów.

– Chwileczkę – mówi Norah, gdy odwracam się do swojego stanowiska. – Z twojej skankarty wynika, że wkrótce powinnaś przejść oficjalny test sortowania.

Kiwam głową. Myślę o tym już od kilku miesięcy, nie tak dużo jak o Bankiecie Doboru, ale dość często. Choć sortowanie liczb bywa nudne, może doprowadzić mnie do znacznie ciekawszej posady. Być może zostanę nadzorczą Renowacji jak mój tata. Kiedy był w moim wieku, także zajmował się sortowaniem informacji, podobnie jak wcześniej dziadek, a przed nim oczywiście prababka, która jako członkini Komisji Stu uczestniczyła w jednym z największych w historii sortowań.

Ludzie, którzy nadzorują Dobór, również zaczynają od sortowania, ale to mnie nie interesuje. Wolę zajmować się sortowaniem informacji i danych, a nie prawdziwych ludzi.

---

<sup>\*</sup> Robert Frost, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, tłum. S. Barańczak (przyp. tłum.).

– Przygotuj się dobrze – mówi Norah, choć obie wiemy, że jestem już gotowa.

Przez okna w pobliżu naszych stanowisk w centrum sortowniczym wpadają żółte smugi światła. Kiedy przechodzę, rzucam cień na biurka innych pracowników. Nikt nie podnosi na mnie wzroku.

Wsuwam się do swego maleńkiego stanowiska, w którym mieszczą się jedynie stół, krzesło i monitor sortowniczy. Po obu stronach stołu wznoszą się cienkie szare ściany, które oddzielają mnie od pozostałych sortowaczy. Jesteśmy niczym mikroarty w bibliotece naukowej w Drugiej Szkole – każdy z nas wsunięty w swoją szczelinę. Rząd ma komputery, które mogą sortować znacznie szybciej niż my, ale mimo to odgrywamy ważną rolę. Nigdy nie wiadomo, kiedy technika zawiedzie.

Taki właśnie los spotkał poprzednie społeczeństwo. Każdy miał do swej dyspozycji technikę, za dużo techniki, a konsekwencje okazały się katastrofalne. Teraz mamy tyle urządzeń, ile potrzebujemy – porty, czytniki, pisaki – a informacje, które otrzymujemy, dotyczą ściśle określonych dziedzin i specjalizacji. Eksperti od żywienia nie muszą wiedzieć, jak zaprogramować kolejkę napowietrzną, a programiści z kolei nie potrzebują wiedzy dotyczącej przygotowywania jedzenia. Dzięki takiej wąskiej specjalizacji ludzie nie są przytłoczeni nadmiarem wiedzy i informacji. Nie musimy rozumieć wszystkiego. Poza tym, jak przypomina nam ciągle Społeczeństwo, istnieje różnica między wiedzą a techniką. Wiedza nas nie zawiedzie.

Przesuwam swoją skankartę i zaczyna się sortowanie. Choć najbardziej lubię kojarzenie słów, obrazów lub zdań, jestem też całkiem niezła w liczbach. Monitor pokazuje mi, jakiego rodzaju wzorów powinnam szukać, a po chwili na jego powierzchni pojawiają się liczby, niczym mali biali żołnierze na czarnym polu, którzy czekają tylko, bym ich wyeliminowała. Dotykam każdej z nich i

zaczynam sortować, przesuвам do różnych skrzynek. Stukanie moich palców jest ledwie słyszalne, niemal tak ciche jak dźwięk opadających płatków śniegu.

Tworzę na ekranie prawdziwą zamieć. Liczby fruną do swoich punktów niczym zamrożone drobiny gnane wiatrem.

Gdy jestem już w połowie, wzór, którego szukamy, się zmienia. System bada, jak szybko zauważamy te modyfikacje i jak szybko dostosowujemy się do nich. Nigdy nie wiadomo, kiedy nastąpi zmiana. Dwie minuty później znów się przekształca, a ja znowu dostrzegam to już w pierwszej linii liczb wysuwających się na monitor. Nie wiem, jak to się dzieje, ale zawsze przewiduję zmianę wzoru, nim jeszcze do niej dojdzie.

Kiedy sortuję, muszę myśleć tylko o tym, co się dzieje przede mną, inaczej nie zdążę. Zamknięta w swoim szarym boksie nie myślę więc o Xanderze. Nie tęsknię za dotykiem zielonego jedwabiu na skórze ani za smakiem czekolady na języku. Nie myślę o tym, że jutro wieczorem, podczas swego Ostatniego Bankietu dziadek zje ostatni w życiu posiłek. Nie myślę o śniegu w czerwcu ani o innych rzeczach, które wydają się niemożliwe, a jednak istnieją. Nie wyobrażam sobie oślepiającego blasku słońca, srebrnego księżycy ani klonu na naszym podwórku, który zmienia kolory w zależności od pory roku. O tych wszystkich rzeczach i o wielu innych będę myślała później. Ale nie teraz, nie podczas sortowania.

Sortuję, sortuję i sortuję, aż nie ma już dla mnie nowych danych. Mój monitor jest pusty. To ja go opróżniłam.

Kiedy wracam kolejką do Klonowej Gminy, nie ma tam już nasion topoli. Chcę opowiedzieć o nich mamie, ale gdy wchodzę do domu, okazuje się, że rodzice i Bram wyszli już, by wykorzystać swoje godziny rekreacji. Na porcie miga wiadomość dla mnie: „Żałujemy, że się nie spotkaliśmy, Cassio. Miłego wieczoru”.

W kuchni rozbrzmiewa znajomy sygnał: dostarczono mój posiłek. Okryty folią pojemnik wysuwa się ze szczeliny, którą

przesyłane jest jedzenie. Podnoszę go szybko, styszę jeszcze stukot transportera żywniowego, który przesuwa się za domami w Gminie.

Kiedy otwieram pojemnik z kolacją, wydostają się z niego kłęby pary. W centrum żywniowym pracuje chyba nowy dyrektor. Do tej pory jedzenie zawsze było najwyżej ciepławe, teraz jest gorące. Jem w pośpiechu, parząc sobie usta, bo wiem, jak chcę wykorzystać tę rzadką chwilę, gdy jestem w domu niemal całkiem sama. Bo tak naprawdę nigdy nie jestem tu sama, w tle słychać cichy pomruk portu, który wszystko zapisuje, trzyma straż. Ale nie przeszkadza mi to. Potrzebuję portu do tego, co zamierzam zrobić. Chcę obejrzeć zawartość mikrokarty bez rodziców i bez Brama. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Xanderze, nim zobaczę go dziś wieczorem.

Wsuwam kartę do szczeliny i pomruk portu nieco zmienia ton. Zapala się ekran, a moje serce zaczyna bić szybciej, choć przecież znam Xandera tak dobrze. Ciekawe, co zdaniem Społeczeństwa powinnam wiedzieć o człowieku, z którym spędzę resztę życia.

Czy wiem o nim wszystko, jak mi się wydaje, czy też może coś jednak przegapiłam?

– Cassio Reyes, Społeczeństwo ma przyjemność zaprezentować ci twojego Wybranka.

Uśmiecham się, gdy na ekranie pojawia się twarz Xandera. To udana fotografia. Jak zawsze jego uśmiech wydaje się szczery i promienny, błękitne oczy są dobre i miłe. Przyglądam się uważnie temu obrazowi, udając, że nie widziałam go nigdy wcześniej, że po raz pierwszy zobaczyłam Xandera poprzedniego wieczoru, podczas Bankietu. Patrę na płaszczyzny jego twarzy, na układ ust. Naprawdę jest przystojny. Nigdy nie ośmieliłabym się marzyć, że zostanie moim Wybrankiem, ale teraz, gdy już do tego doszło, jestem zainteresowana. Zaintrygowana. Z lękiem myślę o tym, jak może to wpłynąć na naszą przyjaźń, ale przede wszystkim jestem szczęśliwa.

Sięgam ręką do ekranu, by dotknąć napisu *Rady i wskazówki*, nagle jednak twarz Xandera ciemnieje i znika. Z głośnika znów wydobywa się charakterystyczny dźwięk, a głos spikera mówi:

– Cassio Reyes, Społeczeństwo ma przyjemność zaprezentować ci twojego Wybranka.

Serce zamiera mi w piersiach, nie wierzę własnym oczom. Na ekranie ponownie pojawia się twarz.

Nie jest to twarz Xandera.

## ROZDZIAŁ 4

– Co!? – Całkowicie zaskoczona dotykam ekranu, twarz rozmazuje się pod moimi palcami, rozpada na piksele, małe kropeczki, które wyglądają jak drobiny piasku. Pojawiają się jakieś słowa, nie mam jednak szansy, by je przeczytać, bo ekran gaśnie. Znow.

– Co się dzieje? – pytam głośno.

Ekran portu nadal jest pusty. Ja też czuję się dziwnie pusta. To tysiąc razy gorsze niż ciemny monitor poprzedniego wieczoru. Wtedy wiedziałam, co to oznacza. Nie mam pojęcia, co myśleć o tym. Nigdy nie słyszałam o podobnym wypadku.

„Nie rozumiem. Społeczeństwo nie popełnia błędów”.

Ale czy mogło to być coś innego? Nikt nie ma dwóch Wybranków.

– Cassio? – woła Xander zza drzwi.

– Idę – odpowiadam. Wyjmuję mikrokartę z portu i chowam ją szybko do kieszeni. Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi.

– Dowiedziałem się z twojej mikro karty, że lubisz jazdę na rowerze – oświadcza Xander z powagą, gdy wychodzę. Uśmiecham się pomimo tego, co wydarzyło się przed chwilą. Nie lubię jazdy na rowerze, uważam, że to najgorsze ze wszystkich ćwiczeń fizycznych, a Xander dobrze o tym wie. Wciąż się o to spieramy. Moim zdaniem głupota jest jazda na czymś, co się nie porusza, obracanie bez końca kół, które stoją w miejscu. Xander zauważa, że lubię biegać na bieżni, a to prawie to samo.



– Nie, to co innego – mówię, choć nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

– Przez cały dzień wpatrywałaś się w moje zdjęcie na ekranie telefonu? – pyta. Nadal żartuje, ale mnie nagle robi się gorąco. On także obejrzał swoją mikrokartę. Czy zobaczył moją twarz? Nie czuję się dobrze ze świadomością, że muszę coś ukrywać przed innymi, zwłaszcza przed Xanderem.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam przekornie. – Dziś sobota, nie pamiętasz? Musiałam pracować.

– Ja też, ale to mnie wcale nie powstrzymało. Przeczytałem wszystkie informacje o tobie i wszystkie wskazówki.

Nie ma pojęcia o tym, że te słowa są dla mnie jak koło ratunkowe. Nie umieram już z niepokoju. Wprawdzie emocje jeszcze dławią mnie w gardle, ale znowu oddycham. Xander nadal myśli, że jesteśmy Dobrani. Nie przytrafiło mu się nic dziwnego, gdy oglądał swoją mikrokartę. To już coś.

– Przeczytałeś wszystkie wskazówki?

– Oczywiście. A ty nie?

– Jeszcze nie. – Trochę mi głupio się do tego przyznać, ale Xander znów się śmieje.

– Nie są szczególnie interesujące – mówi. – Oprócz jednej. – Mruga do mnie znacząco.

– Naprawdę? – odpowiadam z roztargnieniem.

Widzę innych młodych ludzi, którzy zbierają się na naszej ulicy i idą w stronę centrum gier. Machają do siebie, nawołują się. Noszą takie same ubrania jak my. Ale dziś wygląda to trochę inaczej. Niektórzy obserwują. Inni są obserwowani: Xander i ja.

Inni chłopcy i dziewczęta zerkają na nas, przyglądają się ukradkiem, potem szybko odwracają wzrok.

Nie jestem do tego przyzwyczajona. Xander i ja jesteśmy normalnymi, zdrowymi obywatelami, członkami tej grupy. Nie outsiderami.

Czuję się jednak odseparowana, jakby pomiędzy mną a tymi, którzy na mnie patrzą, wyrosła cienka przezroczysta ściana. Widzimy się nawzajem, ale nie możemy się do siebie zbliżyć.

– Dobrze się czujesz? – pyta Xander.

Zbyt późno uświadamiam sobie, że powinnam była zareagować na jego komentarz i spytać, która wskazówka wydała mu się interesująca. Jeśli nie wezmę się szybko w garść, wyczuje, że stało się coś niedobrego. Zbyt dobrze znamy się nawzajem, by uszło to jego uwagi.

Xander bierze mnie pod rękę, gdy wychodzimy z za rogu i opuszczamy Klonową Gminę. Po chwili przesuwając rękę niżej i ujmując moją dłoń. Nachyla się do mojego ucha i szepcze:

– Jedną z wskazówek mówi, że możemy publicznie okazywać sobie czułość. Jeśli chcemy.

Tak, chcę tego. Choć wciąż jestem zdenerwowana, dotyk jego dłoni sprawia mi przyjemność. Zaskakuje mnie swoboda, z jaką robi to Xander. Gdy idziemy obok siebie, trzymając się za ręce, rozpoznaję, co wyrażają twarze niektórych spośród mijanych dziewcząt. To zazdrość, zwykła zazdrość. Rozluźniam się trochę, bo doskonale to rozumiem. Żadna z nas nie przypuszczała nigdy, że może mieć pięknego, charyzmatycznego, inteligentnego Xandera. Zawsze wiedziałyśmy, że jego Wybranką zostanie dziewczyna z innego Miasta, z innej Prowincji.

Ale stało się inaczej. Jest moim Wybrankiem.

Zbliżamy się do centrum gier, wciąż trzymając się za ręce. Myślę sobie, że jeśli nie wypuszczę jego dłoni, będzie to oznaczać, że naprawdę jesteśmy Dobrani. Że ta druga twarz na ekranie nie ma żadnego znaczenia, że była to tylko jakaś chwilowa awaria mikrokaty.

Tyle że twarz, którą wtedy zobaczyłam, twarz, która zastąpiła zdjęcie Xandera, też jest mi dobrze znana.

## ROZDZIAŁ 5

– Tam zaczyna się właśnie nowe otwarcie – mówi Xander, przystając obok stołu do gry na środku sali. Najwyraźniej większość młodzieży z naszej Gminy ma takie samo zdanie na temat opcji sobotnich godzin rekreacji, bo w centrum gier kłębi się tłum ludzi, wśród nich wielu spośród naszych przyjaciół. – Chcesz się przyłączyć, Cassio?

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Obejrzę tę rundę.

– A ty? – Xander zwraca się do Em, mojej najlepszej przyjaciółki.

– Graj sam. – Kiwa głową. Obie parskamy śmiechem, gdy Xander wyszczerza zęby w uśmiechu i odwraca się, by podać swoją skankartę Funkcjonariuszowi nadzorującemu rozgrywkę. Zawsze uwielbiał grać, zawsze angażował się w to całym sercem. Pamiętam, jak graliśmy ze sobą jeszcze jako małe dzieci, jak oboje dawaliśmy z siebie wszystko i nie pozwalaliśmy drugiej stronie wygrać.

Zastanawiam się, kiedy gry przestały mnie bawić. Trudno powiedzieć.

Xander sadowi się za stołem, mówi coś, co rozśmiesza pozostałych graczy. Uśmiecham się do siebie. Naprawdę przyjemniej oglądać, jak bawi się Xander, niż samemu uczestniczyć w grze. A ta gra, Szach, należy do jego ulubionych. To gra strategiczna, a właśnie takie lubi najbardziej.

– Więc jak to jest? – pyta cicho Em. Dokoła rozbrzmiewają śmiech i głośne rozmowy, może więc być pewna, że nie usłyszy jej nikt poza mną. – Jakie to uczucie, kiedy znasz swojego Wybranka?

Wiedziałam, że mnie o to zapyta. Wiem, że każdy chciałby poznać odpowiedź na to pytanie. I odpowiadam w jedyny możliwy sposób. Mówię jej prawdę.

– To Xander. Jest cudownie.

Em kiwa głową ze zrozumieniem.

– Nawet nam do głowy nie przyszło, że trafimy na kogoś ze znajomych – mówi. – A tu taka niespodzianka.

– Wiem – odpowiadam.

– I do tego Xander. Jest najlepszy z nas wszystkich.

Ktoś woła ją po imieniu, odchodzi więc do innego stolika.

Obserwuję grę. Xander zbiera szare pionki i rozkłada je na szarych i czarnych polach planszy. W całym centrum widać tylko kilka raczej ponurych kolorów: ściany są szare, powszednie ubrania uczniów brązowe, a stroje tych, którzy dostali już stałą pracę, ciemnoniebieskie. Wszelkie żywsze barwy pojawiają się tutaj tylko dzięki nam – to różne odcienie naszych włosów, nasz śmiech.

Xander ustawia ostatni pionek, po czym podnosi wzrok, patrzy na mnie i oświadcza głośno:

– Zamierzam wygrać tę partię dla mojej Wybranki.

Wszyscy odwracają się do mnie, a Xander uśmiecha się szelmowsko.

Przewracam wymownie oczami, wciąż jednak się czerwienię, gdy chwilę później ktoś stuka mnie w ramię. Odwracam się.

Stoi za mną jakaś Funkcjonariuszka.

– Cassia Reyes? – pyta.

– Tak – potwierdzam. Zerkam na Xandera. Jest pochłonięty grą i nie widzi, co się dzieje.

– Mogłabyś na moment wyjść ze mną na zewnątrz? To nie potrwa długo. Nie masz się czego obawiać, to formalność.

Czy Funkcjonariuszka wie, co się stało, gdy próbowałam przejrzeć mikrokartę?

– Oczywiście – mówię, bo kiedy Funkcjonariusz cię o coś prosi, nie można powiedzieć nic innego. Spoglądam na swoich przyjaciół. Wpatrują się w planszę i w uczestników gry. Nikt nie zauważa, że wychodzę z sali. Nawet Xander. Przeciskam się przez tłum i idę śladem białego uniformu Funkcjonariuszki.

– Jeszcze raz zapewniam cię, że nie masz się czym martwić – mówi Funkcjonariuszka z uśmiechem. Jej głos wydaje się miły. Prowadzi mnie na mały trawnik przed centrum. Choć obecność kobiety sprawia, że czuję się trochę zdenerwowana, przyjemnie jest wyjść z zatłoczonego wnętrza na świeże powietrze.

Idziemy po równo skoszonej trawie do metalowej ławki ustawionej dokładnie pod latarnią. W zasięgu wzroku nie ma nikogo prócz nas.

– Nie musisz mi nawet mówić, co się stało – oznajmia Funkcjonariuszka. – Wiem. Twarz z mikro karty nie była tą właściwą, prawda?

Naprawdę jest miła, nie zmusiła mnie do wypowiedzenia tych słów. Kiwam głową.

– Na pewno się martwisz. Mówiłaś już komuś o tym?

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą. Kobieta zachęca mnie gestem, bym usiadła na ławce, więc robię to.

– Doskonale. Pozwól, że cię uspokoję. – Patrzy mi prosto w oczy. – Cassio, absolutnie nic się nie zmieniło. Nadal jesteś Wybranką Xandera Carrowa.

– Dziękuję – mówię. Jestem jej tak wdzięczna, że muszę to powiedzieć jeszcze raz. – Dziękuję.

W końcu napięcie i niepewność maleją, wreszcie mogę się rozluźnić. Wzdycham głośno, a Funkcjonariuszka się śmieje.

– Przy okazji chciałam ci pogratulować Wybranka. Wywołaliście spore poruszenie. Mówi się o tym w całej Prowincji. Może nawet w całym Społeczeństwie. Coś podobnego nie zdarzyło się od lat. – Robi krótką pauzę, po czym kontynuuje: – Pewnie nie przyniosłaś ze sobą swojej mikrokarty?

– Owszem, przyniosłam. – Wyjmuję kartę z kieszeni. – Martwiłam się. Nie chciałam, by ktokolwiek inny zobaczył.

Wyciąga rękę, a ja kładę kartę na jej otwartej dłoni.

– Doskonale. Teraz już ja się tym zajmę. – Chowa kartę w swojej służbowej walizeczce. Przypadkiem dostrzegam jej pojemnik na tabletki i zauważam, że jest większy niż standardowy. Kobieta widzi moje spojrzenie.

– Funkcjonariusze wyższego szczebla noszą dodatkowe porcje – wyjaśnia. – Gdyby zdarzyło się coś wyjątkowego.

– Kiwam głową, a kobieta mówi dalej: – Ale to nieistotne. Mam coś dla ciebie. – Z bocznej kieszeni we wnętrzu walizki wyciąga inną mikrokartę. – Sprawdziłam ją osobiście. Wszystko jest w porządku.

– Dziękuję.

Chowam nową mikrokartę do kieszeni, po czym obie milczymy przez chwilę. Spoglądam na trawę, na metalowe ławki, na betonową fontannę pośrodku trawnika, na tryskające z niej co kilka sekund srebrne wstęgi wody. Potem zerkam na kobietę siedzącą obok mnie, chcę zobaczyć, jak wyglądają dystynkcje na kieszeni jej koszuli. Wiem, że jest Funkcjonariuszką, bo nosi białe ubranie, nie mam jednak pojęcia, który Departament reprezentuje.

– Jestem z Departamentu Doboru, zajmuję się sprawami związanymi z nieprawidłowościami informacyjnymi – wyjaśnia, widząc moje spojrzenie. – Na szczęście nie mam zbyt wiele pracy. Dobór jest dla Społeczeństwa bardzo ważny, więc podlega starannej kontroli.

Te słowa przypominają mi fragment oficjalnych materiałów dotyczących Doboru: „Dobór służy przede wszystkim dwóm celom:

zapewnia zdrowych i sprawnych obywateli naszemu Społeczeństwu oraz pozwala zainteresowanym obywatelom doświadczyć udanego życia rodzinnego. Optymalny Dobór jest dla Społeczeństwa sprawą najwyższej wagi”.

– Nigdy dotąd nie słyszałam o takiej pomyłce.

– Niestety, zdarzają się od czasu do czasu. Niezbyt często. – Milczy przez chwilę, a potem zadaje pytanie, którego wcale nie chcę usłyszeć: – Czy rozpoznałaś tę drugą osobę, którą zobaczyłaś na ekranie?

Jakiś irracjonalny impuls nakłania mnie do kłamstwa. Mam ochotę powiedzieć, że nie mam pojęcia, że nigdy wcześniej nie widziałam tej twarzy. Spoglądam ponownie na fontannę i uświadamiam sobie, że ta chwila wahania mnie zdradziła. Odpowiadam więc:

– Tak.

– Możesz podać mi jej nazwisko?

Oczywiście Funkcjonariuszka już je zna, więc nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć prawdę.

– Tak. Ky Markham. Właśnie to było najdziwniejsze. Prawdopodobieństwo błędu to jedno, ale prawdopodobieństwo błędu, który dotyczy znanej mi osoby...

– Jest niemal zerowe – zgadza się ze mną. – To prawda. Dlatego też zastanawiamy się, czy nie było to czyjeś celowe działanie, swego rodzaju żart. Jeśli znajdziemy tę osobę, surowo ją ukarzymy. To było naprawdę okrutne. Nie tylko dlatego, że niepotrzebnie się zdenerwowałaś, ale i ze względu na Ky’a.

– Czy on o tym wie?

– Nie. Nie ma pojęcia. Wykorzystanie jego twarzy w tym głupim żarcie było okrutne przede wszystkim ze względu na to, kim jest Ky.

– A kim on jest?



Ky Markham wprowadził się do naszej Gminy, gdy mieliśmy dziesięć lat. Jest przystojny i cichy. Bardzo spokojny. Nie sprawia najmniejszych problemów. Ostatnio nie widuję go tak często jak kiedyś; w zeszłym roku przydzielono mu stałą posadę, więc nie chodzi już z nami do Drugiej Szkoły.

Funkcjonariuszka kiwa głową i pochyla się do mnie, choć przecież w pobliżu nikogo nie ma. Gorący blask latarni pada prosto na nasze głowy, odruchowo zmieniam nieco pozycję.

– To tajna informacja, ale powiem ci, że Ky Markham nigdy nie mógłby być twoim Wybrankiem. Nigdy nie będzie niczym Wybrankiem.

– Rozumiem. Postanowił zostać Singlem. – Nie wiem, dlaczego ta informacja jest poufna. Wielu ludzi z naszej szkoły postanowiło zostać Singlami. W materiałach dotyczących Doboru jest nawet informacja na ten temat: „Zastanów się, czy jesteś dobrym kandydatem na Wybranka lub Wybrankę. Pamiętaj, że Single są równie ważną częścią Społeczeństwa. Jak dobrze wiesz, obecny Przywódca Społeczeństwa jest Singlem. Zarówno Dobrani, jak i samotni obywatele Społeczeństwa mogą w pełni cieszyć się życiem. Jednak tylko Dobrani obywatele mogą mieć dzieci”.

Kobieta pochyla się jeszcze bliżej.

– Nie. Nie jest Singlem. Ky Markham jest Aberracją.

Ky Markham jest Aberracją?

Aberracje żyją pośród nas, nie są tak niebezpieczne jak Anomalie, które trzeba oddzielać od Społeczeństwa. Choć status Aberracji otrzymują zazwyczaj ci, którzy dopuścili się jakiegoś Naruszenia, Społeczeństwo nadal ich chroni, a ich tożsamość pozostaje tajemnicą. Tylko Funkcjonariusze z Departamentu Klasyfikacji Społecznej oraz kilku innych pokrewnych działów mają dostęp do takich informacji.

Nie wypowiadam tego pytania, ale kobieta domyśla się, co mnie trapi.

– Niestety. To nie jego wina. Ale jego ojciec dopuścił się Naruszenia. Społeczeństwo nie mogło tego zignorować, mimo że pozwoliło Markhamom adoptować Ky’a. Musiał zachować status Aberracji, ale w konsekwencji nie miał prawa znaleźć się w puli Doboru. – Funkcjonariuszka wzdycha ze smutkiem. – Przygotowujemy mikrokarty dopiero na kilka godzin przed Bankietem. Prawdopodobnie właśnie wtedy doszło do jakiegoś błędu. Sprawdzamy już, kto miał dostęp do twojej karty, kto mógł do niej dodać zdjęcie Ky’a.

– Mam nadzieję, że dowiecie się, kto to zrobił – mówię. – To naprawdę było okrutne.

– Dowiemy się – odpowiada z uśmiechem. – Obiecuję ci to. – Potem spogląda na zegarek. – Muszę już iść. Mam nadzieję, że rozwiałam twoje obawy.

– Tak, dziękuję.

Staram się nie myśleć o chłopcu, który jest Aberracją. Powinnam się cieszyć, że wszystko wróciło do normy. Wciąż jednak wracam myślami do Ky’a – ogromnie mi go szkoda, żałuję, że dowiedziałam się tego wszystkiego. Odczuwam smutek, bo nie mogę nadal żyć w przekonaniu, że Ky postanowił zostać Singlem.

– Nie muszę chyba ci przypominać, że informacje na temat Ky’a Markhama są poufne? – pyta łagodnym tonem, w którym jednak pobrzmiwają stalowe nuty. – Przekazałam ci je tylko po to, byś miała całkowitą pewność, że ten chłopiec nigdy nie mógł być twoim Wybrankiem.

– Oczywiście. Nikomu nic nie powiem.

– Doskonale. Powinnaś zachować to tylko dla siebie. Oczywiście, jeśli chcesz, możemy zorganizować spotkanie. Mogłabym wyjaśnić twoim rodzicom, Xanderowi i jego rodzicom, co zaszło, i...

– Nie! – przerywam jej z mocą. – Nie. Nie chcę, by wiedział o tym ktokolwiek prócz...

– Prócz kogo?

Nie odpowiadam. Funkcjonariuszka kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie ścisza go, ale wiem, że nie odejdzie, póki nie usłyszy odpowiedzi na to krótkie pytanie.

– Prócz kogo?

– Prócz mojego dziadka – przyznaję. – Ma prawie osiemdziesiąt lat.

Zdejmuje dłoń z mojego ramienia.

– Kiedy są jego urodziny?

– Jutro.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, potem kiwa głową.

– Jeśli czujesz, że musisz porozmawiać z kimś o tym, co się stało, on będzie najlepszym kandydatem. Jesteś pewna, że tylko on?

– Tak – odpowiadam. – Nie chcę, by wiedział o tym ktokolwiek inny. Dziadkowi mogę powiedzieć, bo...

– Nie kończę zdania, ale ona doskonale zna ten powód. Przynajmniej jeden z powodów.

– Cieszę się, że tak to widzisz. – Funkcjonariuszka kiwa głową.

– Muszę przyznać, że to ułatwia nam sprawę. Oczywiście, kiedy powiesz o tym dziadkowi, nie zapomnisz zaznaczyć, że zostanie odnotowany, jeśli przekaze tę wiadomość dalej. Z pewnością nie chciałby tego. Mógłby stracić przywilej konserwacji.

– Rozumiem.

Funkcjonariuszka uśmiecha się i wstaje.

– Czy jest coś jeszcze, w czym mogłabym ci pomóc? Cieszę się, że ta rozmowa dobiegła już końca. Teraz, gdy wiem już, że nic nie zmieniło się w moim świecie, chcę wrócić do tej sali pełnej ludzi. Nagle czuję się tutaj bardzo samotna.

– Nie, dziękuję.

Kobieta wskazuje na ścieżkę prowadzącą do centrum.

– Wszystkiego najlepszego, Cassio. Cieszę się, że mogłam ci pomóc.

Dziękuję jej raz jeszcze i odchodzę. Ona zostaje na ławce, odprowadza mnie wzrokiem. Choć wiem, że to nonsens, mam wrażenie, że obserwuje mnie przez całą drogę do drzwi, a potem w korytarzu i w sali, zanim dojdę do stolika, przy którym wciąż gra Xander. Ten podnosi głowę i spogląda mi w oczy. Zauważył moją nieobecność. „Wszystko w porządku?” – dostrzegam pytanie w jego oczach. Kiwam głową. Teraz już tak.

Wszystko wróciło do normy. Znów mogę cieszyć się tym, że Xander jest moim Wybrankiem.

Żałuję jednak, że powiedziała mi o Ky’u. Teraz już nigdy nie będę mogła patrzeć na niego tak jak dotychczas.

W centrum gier robi się naprawdę tłoczno. W sali jest gorąco i wilgotno, ta atmosfera przypomina mi symulację oceanu tropikalnego, którą przeprowadziliśmy kiedyś na zajęciach z Nauk Ścisłych. Uczyliśmy się wtedy o rafie koralowej, która obfitowała w przeróżne gatunki ryb, nim Ocieplenie zabiło je wszystkie. Czuję smak potu i dotyk wilgoci.

Ktoś wpada na mnie, gdy z głównego głośnika wydobywa się nagle głos Funkcjonariusza. Tłum cichnie i słucha z uwagą.

– Ktoś upuścił na podłogę pojemnik z tabletkami. Proszę stać w miejscu i nie odzywać się, dopóki go nie znajdziemy.

Wszyscy natychmiast zastygają w bezruchu. Słyszę delikatny stukot, gdy ktoś, może Xander, odkłada pionek. Poza tym jest zupełnie cicho. Nikt się nie rusza. Zgubiony pojemnik to poważna sprawa. Spoglądam na dziewczynę stojącą obok, ona również patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Znów przypominam sobie tę symulację i moment, w którym instruktorka zatrzymała ją na moment, by nam coś wyjaśnić. Ryby wyświetlane na ścianach sali zamarły, wpatrywały się w nas niewidzącymi oczami, dopóki instruktorka nie uruchomiła projektora ponownie.

Wszyscy czekamy, aż ktoś znowu wciśnie przełącznik, aż usłyszymy dalsze instrukcje. Zaczynam błądzić myślami gdzie indziej, uciekam od tego miejsca, gdzie tkwimy w bezruchu. Czy w tej sali stoją jakieś inne Aberracje, czy pływają w tych wodach? Woda. Wracam wspomnieniami do wody, tym razem prawdziwej, do dnia, gdy Xander i ja mieliśmy po dziesięć lat.

Wówczas mieliśmy więcej godzin rekreacji, a latem spędzaliśmy je niemal zawsze na basenie. Xander lubił pływać w błękitnej chlorowanej wodzie, ja siadałam na betonowym nabrzeżu i wymachiwałam nogami w wodzie, nim do niej wskoczyłam. Właśnie tym się zajmowałam, gdy Xander pojawił się obok mnie, wyraźnie czymś zatroskany.

– Zgubiłem pojemnik z tabletkami – powiedział cicho.

Spojrzałam w bok, by się upewnić, że moje pudełeczko nadal jest na swoim miejscu. Było tam, przypięte metalowym klipssem do paska stroju kąpielowego na lewym ramieniu. Nosiliśmy pojemniki od kilku tygodni, wtedy jeszcze zawierały tylko jedną tabletkę. Pierwszą. Niebieską. Tę, która może nas uratować, tę, która zawiera dość składników odżywczych, by zachować nas w dobrej formie nawet przez kilka dni, jeśli tylko będziemy mieli wodę.

W basenie było mnóstwo wody. Na tym właśnie polegał problem. Jak Xander mógł w niej znaleźć maleńki pojemnik?

– Pewnie jest pod wodą – powiedziałam. – Poprośmy ratownika, żeby ją spuścił.

– Nie – odrzekł Xander stanowczo. – Nie mów im. Odnotuj mnie za to. Nic nie mów. Sam go znajdę.

Noszenie własnych tabletek to ważny krok na drodze do niezależności. Gubiąc je, przyznajemy niejako, że nie jesteśmy jeszcze gotowi przyjąć tej odpowiedzialności. Rodzice noszą nasze tabletki, dopóki nie dorosniemy na tyle, by je od nich przejąć, jedną po drugiej. Najpierw niebieską, gdy mamy dziesięć lat. Potem, gdy skończymy trzynaście, zieloną. Tę, która nas uspokaja, gdy tego potrzebujemy.

W wieku lat szesnastu dostajemy tabletkę czerwoną. Możemy ją połknąć tylko wtedy, gdy każe nam to zrobić wysoki ranga Funkcjonariusz.

Najpierw próbowałam pomóc Xanderowi, ale chlor piekł mnie w oczy. Nurkowałam przez jakiś czas, a gdy bolało mnie już tak, że prawie nic nie widziałam, usiadłam ponownie na betonowym brzegu i próbowałam zaglądać pod lśniąca w słońcu powierzchnię wody.

Kiedy jesteśmy mali, nie nosimy zegarków, to inni mówią nam, która jest godzina i co mamy robić. Ale wiedziałam. Wiedziałam, że Xander jest pod wodą znacznie dłużej, niż powinien. Mierzyłam ten czas uderzeniami serca i chłupotem fal uderzających o krawędź basenu, gdy zanurkował w nim jeden człowiek, a potem następny.

„Czy on się utopił?”. Na moment oślepił mnie biały blask, który odbił się od powierzchni wody. Czułam też, jak paraliżuje mnie strach, który również wydawał mi się biały. Potem jednak wstałam i zaczerpnęłam haust powietrza, by krzyknąć: „Xander jest pod wodą, ratujcie go, ratujcie go!”. Nim jednak krzyk wypłynął z mego gardła, jakiś nieznany mi głos zapytał:

– Czy on się topi?

– Nie wiem – odparłam, odrywając spojrzenie od wody. Obok mnie stał jakiś chłopiec, był opalony i miał ciemne włosy. Nowy chłopiec. Tyle tylko zdążyłam zauważyć, nim zniknął, wsunął się pod wodę jednym płynnym ruchem.

Zaledwie kilka uderzeń serca później nad powierzchnię wynurzyła się głowa Xandera. Uśmiechnął się do mnie triumfalnie i pokazał mi pojemnik, który trzymał w dłoni.

– Mam go.

– Xander – odetchnęłam z ulgą. – Nic ci się nie stało?

– Oczywiście, że nie – powiedział ze spokojem i pewnością siebie. – A dlaczego coś miałoby mi się stać?

– Nie wypływałeś bardzo długo, bałam się już, że utonąłeś – przyznałam. – To samo pomyślał ten chłopiec... – Nagle wpadłam w panikę. Co się stało z tym drugim chłopcem? Nie wypłynął, by zaczerpnąć powietrza.

– Jaki chłopiec? – spytał Xander, skonsternowany.

– Popłynął cię szukać. – I wtedy go zobaczyłam, ciemniejszy kształt pod błękitną powierzchnią wody. – Jest tutaj! Myślisz, że on się topi?

W tym momencie chłopiec wyszedł z wody, parszając i krztusząc się głośno. Jego policzek przecinała czerwona rana, niemal już zagojona, ale wciąż widoczna. Staralam się nie gapić na niego zbyt otwarcie. Nie tylko dlatego, że wszelkiego rodzaju obrażenia są czymś niezwykłym w miejscu, gdzie wszyscy cieszą się zdrowiem i bezpieczeństwem, ale również z tego powodu, że go nie znałam. Był obcy.

Dopiero po chwili chłopiec złapał oddech. Spojrzał na mnie, ale przemówił do Xandera:

– Nie utopiłeś się – powiedział.

– Nie – odparł z uśmiechem Xander. – Ale tobie niewiele brakowało.

– Wiem – przyznał chłopiec. – Chciałem cię uratować. Nie – poprawił się szybko. – Chciałem ci pomóc.

– Nie umiesz pływać? – spytałam go.

– Wydawało mi się, że umiem – odpowiedział, co bardzo rozbawiło mnie i Xandera. Nieznajomy spojrzał mi w oczy i się uśmiechnął. Wydawało mi się, że ten uśmiech go zaskoczył. Wywarł wrażenie również na mnie – był ciepły i serdeczny.

Chłopiec odwrócił się do Xandera.

– Wyglądała na zmartwioną, kiedy nie wracałeś.

- Ale teraz już się nie martwię - odpowiedziałam mu, uradowana, że wszyscy są już cali i bezpieczni.

- Przyjechałeś do kogoś w odwiedziny? - spytałam. Miałam nadzieję, że będą to długie odwiedziny. Polubiłam go, bo chciał pomóc Xanderowi.

- Nie - odparł chłopiec. Choć na jego twarzy wciąż gościł uśmiech, jego głos wydawał się cichy i spokojny jak woda w basenie. Spojrzał mi prosto w oczy. - Mieszkam tutaj.

Teraz, gdy wpatruję się w otaczający mnie tłum, odczuwam tę samą ulgę i radość, bo dostrzegam znajomą twarz, twarz kogoś, o kogo bardzo się martwiłam. Bałam się, że utonął albo że coś wciągnęło go w głębinę, a ja nigdy go już nie zobaczę.

Ky Markham stoi niedaleko i patrzy prosto na mnie.

Bez namysłu robię krok w jego stronę. Czuję, jak coś pęka pod moją stopą. Zgubiony pojemnik na tabletki pękł na pół, a jego zawartość wysypała się na podłogę. Leżała zmiażdżona pod moim butem. Niebieskizielonoczerwony.

Zamieram, ale mój ruch został dostrzeżony. Funkcjonariusze ruszają w moją stronę, ludzie stojący obok wciągają głośno powietrze i wołają:

- Tutaj! Wszystko się wysypało!

Muszę się odwrócić, gdy jeden z Funkcjonariuszy bierze mnie pod rękę i pyta, co się stało. Spoglądam na miejsce, gdzie stał Ky, ale już go tam nie ma. Zniknął, jak tamtego dnia na basenie. Jak jego twarz na ekranie mojego portu.



## ROZDZIAŁ 6

– Na basenie był dzisiaj nowy chłopiec – powiedziałam rodzicom tamtego wieczoru przed laty, po powrocie z basenu. Nie wspominałam oczywiście o tym, że Xander zgubił pojemnik na tabletki. Nie chciałam, by miał kłopoty. To niedomówienie tkwiło w moim gardle niczym jedna z pigułek. Czułam je przy każdym przełknięciu, bałam się, że mnie udusi.

Jednak nie wspominałam o tym ani słowem. Moi rodzice spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Nowy chłopiec? Jesteś pewna? – spytał tata.

– Jestem pewna. – Skinęłam głową. – Nazywa się Ky Markham. Pływał ze mną i Xanderem.

– Zatem zatrzymał się u Markhamów – stwierdził tata. – Adoptowali go – wyjaśniłam. – Mówi do Aidy „mamo”, a do Patricka „tato”. Słyszałam to.

Moi rodzice znów spojrzeli na siebie ze zdumieniem. W Prowincji Oria adopcje to niezwykła rzadkość.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Zostań na miejscu, Cassio – powiedział tata. – Zobaczymy, kto to.

Czekałam w kuchni, ale słyszałam tatę Xandera, pana Carrowa, jego niski, głęboki głos niósł się przez cały hol. Nie wolno nam wchodzić do domów innych ludzi, wyobrażałam sobie jednak, jak stoi na schodach i rozmawia z tatą. Wyglądał jak nieco starsza wersja Xandera. Te same blond włosy. Te same roześmiane niebieskie oczy.

– Rozmawiałem z Patrickiem i Aida Markhamami – mówił. – Pomyślałem, że pewnie chcielibyście o tym wiedzieć. Chłopak jest sierotą. Pochodzi z Zewnętrznych Prowincji.

– Naprawdę? – W głosie mamy pojawiła się nuta niepokoju. Prowincje Zewnętrzne znajdują się na geograficznych obrzeżach Społeczeństwa, gdzie życie jest trudniejsze i mniej uregulowane. Czasami ludzie nazywają je Mniejszymi albo Zacołanymi Prowincjami, bo brakuje tam wiedzy i porządku. Wśród mieszkańców tych rejonów jest więcej Aberracji niż w Społeczeństwie zamieszkującym pozostałe Prowincje. Niektórzy mówią, że są tam nawet Anomalie. Jednak tak naprawdę nikt nie wie do końca, co dzieje się z Anomaliami. Kiedyś trzymano je w specjalnych domach, ale większość tych budynków stoi teraz pusta.

– Jest tutaj za pełnym przyzwoleniem Społeczeństwa – powiedział pan Carrow. – Patrick pokazywał mi dokumenty. Prosił też, żebym powiedział o tym wszystkim, którzy mogą mieć jakieś wątpliwości. Wiedziałem, że będziesz się martwić, Molly, i ty, Abranie.

– Cóż – westchnęła mama. – Wygląda na to, że nie ma się czym martwić.

Wyrzałam zza rogu i zobaczyłam swoich rodziców, zwróconych twarzami do taty Xandera, który stał na schodach, w ciemności.

Potem tata Xandera ściszył głos, a ja musiałam wyteńczyć słuch, by usłyszeć go ponad niskim pomrukiem portu w holu.

– Molly, powinnaś była widzieć Aidę. I Patricka. Znów chce im się żyć. Ten chłopiec to siostrzeniec Aidy.

Mama podniosła rękę do włosów, zawsze wykonywała ten gest, kiedy czuła się nieswojo. Wszyscy pamiętaliśmy dobrze, co spotkało rodzinę Markhamów.

Był to jeden z rzadkich przypadków niedoskonałości rządu. To nieprawdopodobne, że Anomalia Klasy Pierwszej nie została zidentyfikowana, nie mówiąc już o tym, że chodziła swobodnie po

ulicach i zakradła się do budynków rządowych, gdzie pracował Patrick i gdzie odwiedził go tego dnia jego syn. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wszyscy znali prawdę. Syn Markhamów zniknął, został zamordowany, gdy czekał, aż jego ojciec wróci z zebrania, które odbywało się w innej części budynku. Patrick Markham też musiał się długo leczyć: Anomalia czekała w biurze i zaatakowała również jego.

– Jej siostrzeniec – powtórzyła mama ze zrozumieniem. – To oczywiste, że Aida chciałaby go wychowywać.

– A rząd może uważać, że jest to winien Patrickowi, że powinien zrobić dla niego wyjątek – dodał tata.

– Abran – skarciła go mama.

Lecz tata Xandera też tak myślał,

– To logiczne. Wyjątkowe traktowanie jako rekompensata za ten wypadek. Dziecko zamiast tego, którego nigdy nie powinni byli stracić. Tak to widzą Funkcjonariusze.

Później mama przyszła do mojego pokoju, by ułożyć mnie do snu. Otulając mnie kołdrą, spytała cicho:

– Słyszałaś naszą rozmowę?

– Tak – odparłam.

– Siostrzeniec... syn Markhamów zaczyna jutro szkołę.

– Ky – powiedziałam. – Tak ma na imię.

– Tak – skinęła głową. Pochyliła się nade mną. Długie blond włosy zsunęły się z ramion mamy, piegi zdobiły jej skórę niczym gwiazdy. Uśmiechnęła się do mnie.

– Będiesz dla niego miła, prawda? I pomożesz mu się tu zdomowić? Pewnie nie będzie mu łatwo przywyknąć do miejsca, gdzie wszyscy dobrze się już znają.

– Pomogę mu – obiecałam.

Jak się okazało, nie było to wcale potrzebne. Następnego dnia w Drugiej Szkole Ky przedstawił się wszystkim oficjalnie. Powiedział też, kim jest, więc nikt nie musiał go o to pytać. Poruszał się bardzo cicho i szybko. Gdy zadzwonił dzwonek, błyskawicznie zniknął w grupie uczniów. To było niesamowite, w jednej chwili stał tam, oddzielony od tłumu, nowy, a w następnej był jego częścią, jakby zawsze do niego przynależał. Jakby przez całe życie mieszkał tylko tutaj.

Kiedy sięgam teraz myślą wstecz, uświadamiam sobie, że Ky zawsze się tak zachowywał. Zawsze widzieliśmy go wtedy, gdy pływał na powierzchni. Tylko tamtego pierwszego dnia udało się nam zobaczyć go w głębinie.

– Muszę ci coś powiedzieć – zwracam się do dziadka, przysuwając sobie krzesło i siadając. Funkcjonariusze nie zatrzymywali mnie długo w centrum gier po tym, jak nastąpiłam na pojemnik z tabletkami, wciąż mam dość czasu na wizytę. Cieszę się, bo to moja przedostatnia wizyta u dziadka. Ta myśl napędza mnie smutkiem.

– Aha – kiwa głową dziadek. – Coś dobrego?

Siedzi przy oknie, jak zwykle wieczorami. Patrzy na zachodzące słońce i gwiazdy, które zajmują jego miejsce. Czasami zastanawiam się, czy ogląda też wschód słońca. Czy trudno zasnąć komuś, kto wie, że jego koniec jest już bliski? Może nie chce wtedy stracić żadnej z uciekających chwil, nawet tych, które w innych okolicznościach wydawałyby mu się nudne i nieistotne.

Nocą znikają kolory, wszędzie królują szarość i czerń. Od czasu do czasu w ciemności pojawia się jasny punkt wskazujący miejsce, gdzie właśnie zapaliła się latarnia. Tory kolejki, w dzień niemal niewidoczne, teraz są pięknie podświetlone, wyglądają jak lśniąca drogi zawieszona nad ziemią. Właśnie przemyka po nich kolejka, która unosi ludzi zamkniętych w jej białym, rozświetlonym wnętrzu.

– Coś dziwnego – odpowiadam, a dziadek odkłada widelec. Je coś, co nazywa się ciastem owocowym. Nigdy nie próbowałam czegoś podobnego, ale wygląda naprawdę smakowicie. Szkoda, że przepisy zabraniają mu dzielić się ze mną jedzeniem.

– Wszystko jest w porządku. Nadal jestem Wybranką Xandera – mówię. Społeczeństwo nauczyło mnie, że tak właśnie trzeba przekazywać wiadomości: najpierw uspokoić słuchacza, a dopiero potem przejść do rzeczy. – Ale na mojej mikrokarcie był błąd. Kiedy zaczęłam ją oglądać, twarz Xandera zniknęła. Zobaczyłam kogoś innego.

– Zobaczyłaś kogoś innego?

Kiwam głową, starając się nie wpatrywać w jedzenie na talerzu. Płatki cukrowej polewy przypominają mi kryształy na powierzchni śniegu. Czerwone jagody rozmazane na talerzyku z pewnością są dojrzałe i smakowite. Słowa, które właśnie wypowiedziałam, zapisują się w mojej pamięci niczym na twardym dysku komputera. Zobaczyłam kogoś innego.

– Co czułaś, gdy zobaczyłaś na ekranie twarz tego innego chłopca? – pyta dziadek łagodnie, kładąc dłoń na mojej dłoni. – Zmartwiłaś się?

– Trochę – przyznaję. – Byłam zdezorientowana. Bo znam też tego drugiego chłopca.

Dziadek unosi brwi ze zdumienia.

– Naprawdę?

– Tak. To Ky Markham. Syn Patricka i Aidy. Mieszka w Klonowej Gminie, przy tej samej ulicy.

– Jak tłumaczyli tę pomyłkę Funkcjonariusze?

– Że to nie była pomyłka Społeczeństwa – odparłam. – Społeczeństwo nie popełnia błędów.

– Oczywiście, że nie – mówi dziadek spokojnym, beznamiętnym tonem. – Ale popełniają je ludzie.

– Funkcjonariuszka uważa, że to właśnie wynik pomyłki jakiegoś człowieka. Podejrzewa, że ktoś celowo zmienił moją mikrokartę i wstawił tam zdjęcie Ky'a.

– Dlaczego? – zastanawia się dziadek.

– Myśli, że to był jakiś okrutny żart ze względu na status Ky'a.  
– Zniżam głos do szeptu. – On jest Aberracją.

Dziadek wstaje gwałtownie ze swojego krzesła, strąca tacę na podłogę. Dopiero teraz widzę, jak ostatnio wychudł, trzyma się jednak prosto jak drzewo.

– Widziałaś zdjęcia Aberracji, która miała być twoim Wybrankiem?

– Tylko przez moment – odpowiadam, starając się go uspokoić.  
– Ale to była pomyłka. Moim Wybrankiem jest Xander. Tego drugiego chłopca nie było nawet w puli Doboru.

Dziadek nie siada, choć ja nie ruszam się z krzesła. Mam nadzieję, że to go uspokoi.

– Powiedzieli ci, dlaczego został tak sklasyfikowany?

– Jego ojciec coś zrobił – wyjaśniam. – To nie wina Ky'a.

Bo tak jest w rzeczywistości. Oboje o tym wiemy. Funkcjonariusze nigdy nie pozwoliliby na adopcję Ky'a, gdyby stanowił jakieś zagrożenie.

Dziadek spogląda na talerzyk, który spadł na podłogę. Pochyliam się, by go podnieść, lecz dziadek mnie powstrzymuje.

– Nie – mówi ostro, po czym sam się pochyla. Jego stawy trzeszczą przy tym głośno, jakby były wykonane ze starego, wysuszonego drewna. Kładzie ostatnie kawałki jedzenia z powrotem na talerzu, po czym spogląda na mnie. W jego oczach nie ma nawet śladu starości, nadal są pełne życia i energii.

– Nie podoba mi się to – oznajmiam. – Dlaczego ktoś miałby zmieniać twoją mikrokartę?

– Dziadku, usiądź, proszę – odzywam się błagalnym tonem. – To jakiś głupi żart. Znajdą człowieka, który to zrobił, i zajmą się nim. Obiecała mi to Funkcjonariuszka z Departamentu Doboru.

Żałuję, że mu o tym powiedziałam. Dlaczego myślałam, że znajdę w tym jakąś pociechę? Ale teraz właśnie znajduję.

– Biedny chłopiec – mówi dziadek ze smutkiem.

– Został napiętnowany nie ze swojej winy. Dobrze go znasz?

– Przyjaźnimy się, ale nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko – tłumaczę. – Czasami spotykam go w soboty, podczas godzin rekreacji. Rok temu otrzymał stałą posadę, więc widuję go znacznie rzadziej niż kiedyś.

– A jaką to posadę otrzymał?

Waham się, czy powiedzieć dziadkowi, bo to naprawdę kiepska praca. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, gdy Ky dostał tak beznadziejny przydział, bo Patrick i Aida cieszą się powszechnym szacunkiem.

– Pracuje w centrum odpadów żywnościowych.

Dziadek krzywi się z niesmakiem.

– To ciężka i niewdzięczna praca.

– Wiem.

Zauważyłam, że choć podobnie jak wszyscy inni robotnicy Ky używa podczas pracy rękawic, jego dłonie są wciąż czerwone od gorącej wody i maszyn. Ale nigdy nie narzeka.

– Funkcjonariuszka pozwoliła ci opowiadać mi o tym wszystkim? – pyta dziadek.

– Tak. Spytałam, czy mogę powiedzieć choć jednej osobie. Właśnie tobie.

W oczach dziadka pojawia się szelmowski błysk.

– Bo zmarli nie mówią?

– Nie – zaprzeczam z mocą. Uwielbiam dowcipy dziadka, ale nie mogę żartować na ten temat. To już zbyt blisko. Będzie mi go ogromnie brakować. – Chciałam powiedzieć o tym tobie, bo wiedziałam, że zrozumiesz.

– Aha. – Dziadek unosi lekko brwi. – I zrozumiałem?

Tym razem to ja się uśmiecham.

– Miałam nadzieję, że pójdzie ci trochę lepiej. Zareagowałeś tak samo, jak zrobiliby to rodzice, gdybym im o tym powiedziała.

– Oczywiście, że tak. – Kiwa głową. – Chcę cię chronić.

„Nie zawsze” – myślę, również unosząc brwi. To właśnie dziadek zmusił mnie w końcu, bym zeszła z murku na basenie.

Dołączył do nas pewnego letniego dnia i zapytał:

– Co ona robi?

– To co zawsze – odpowiedział mu Xander.

– Nie umie pływać? – pytał dalej dziadek.

Spojrzałam na niego gniewnie, bo przecież mogłam sama z nim rozmawiać. Dobrze o tym wiedział.

– Umie – odparł Xander. – Tylko po prostu nie lubi tego robić.

– Nie lubię skakania – poinformowałam dziadka.

– Rozumiem. A skoki z trampoliny?

– Tego nie lubię wyjątkowo.

– W porządku – powiedział, po czym usiadł obok mnie na brzegu. Pamiętam, że choć wtedy był znacznie młodszy i silniejszy, wydawał mi się wyjątkowo stary w porównaniu z dziadkami moich rówieśników. Moi dziadkowie byli jedną z ostatnich par, która postanowiła się Dobrać już w dojrzałym wieku. Mieli trzydzieści pięć lat, gdy zostali swoimi Wybrankami. Mój ojciec, ich jedyne dziecko, urodził się dopiero cztery lata później. Teraz wolno rodić dzieci najpóźniej w wieku trzydziestu jeden lat.



Słońce przeświecało przez jego siwe włosy, sprawiało, że widziałam każdy kosmyk, choć wcale nie wypatrywałam takich szczegółów. Ten widok mnie zasmucił, choć zachowanie dziadka mnie irytowało.

– To rzeczywiście jest ekscytujące – odezwał się, wymachując nogami w wodzie. – Rozumiem już, dlaczego nie chcesz zajmować się niczym innym.

Wiedziałam, że sobie ze mnie żartuje, więc odwróciłam głowę.

Potem wstał i ruszył w stronę trampoliny.

– Proszę pana – zawołał do niego ratownik. – Proszę pana.

– Mam przepustkę rekreacyjną – odpowiedział dziadek, nawet się nie zatrzymując. – Jestem zdrowy i sprawny.

Potem wspiał się na drabinę prowadzącą do trampoliny. Wydawało mi się, że z każdym krokiem staje się coraz silniejszy.

Nie spojrzął na mnie przed skokiem: sfrunął od razu do wody, a jeszcze zanim się wynurzył na powierzchnię, ja już szłam po gorącym wilgotnym betonie prosto do trampoliny, by jak najszybciej uleczyć urażoną dumę.

I skoczyłam.

– Myślisz o basenie, prawda? – pyta dziadek.

– Tak – odpowiadam z uśmiechem. – Wtedy wcale mnie nie chroniłeś. Wręcz sprowokowałeś mnie, żebym skoczyła prosto w ramiona śmierci. – Krzywię się odruchowo, bo nie chciałam wypowiedzieć tego słowa. Nie wiem, dlaczego się go boję. Dziadek się nie boi. Nie boi się Społeczeństwo. Ja też nie powinnam.

Dziadek nie zwraca na to uwagi.

– Byłaś gotowa do tego skoku – mówi. – Brakowało ci tylko pewności siebie.

Oboje milczymy, wracając myślami do wspomnień. Staram się nie patrzeć na zegar wiszący na ścianie. Muszę już niedługo wyjść,

żeby zdążyć do domu przed ciszą nocną, ale nie chcę, by dziadek pomyślał, że liczę czas. Liczę czas do końca tej wizyty. Liczę czas do końca jego życia. Choć jakby się nad tym zastanowić, to liczę też czas do końca mojego życia. Każda minuta, którą spędzasz z kimś innym, daje mu część twojego życia i odbiera część jego.

Dziadek widzi moje zakłopotanie i pyta, o czym myślę. Mówię mu, bo nie będę już miała więcej okazji, by to zrobić. Wyciąga do mnie rękę i ujmuje moją dłoń.

– Cieszę się, że mogę oddać ci część mojego życia – mówi. To bardzo miłe słowa, a w dodatku dziadek wypowiada je tak serdecznie, że odpowiadam mu tym samym. Choć ma prawie osiemdziesiąt lat, choć jeszcze przed chwilą jego ciało wydawało mi się słabe i kruche, uścisk jego dłoni nadal jest silny. Znowu robi mi się smutno.

– Chciałam ci powiedzieć coś jeszcze – zwracam się ponownie do dziadka. – Wybrałam piesze wycieczki jako letnie zajęcia rekreacyjne.

Wydaje się zadowolony.

– Przywrócili to? – Przed laty dziadek też wybrał ten rodzaj aktywnego wypoczynku, a potem dużo nam o tym opowiadał.

– Tak, od tego lata. Wcześniej nigdy tego nie widziałam.

– Ciekawe, kto jest instruktorem – mówi dziadek w zamyśleniu. Potem wygląda przez okno. – Ciekawe też, dokąd was zabiorą. – Spoglądam w to samo miejsce co on. W pobliżu nie ma zbyt wielu dzikich obszarów, nie brakuje nam jednak zieleni – parków i terenów do odpoczynku.

– Może do któregoś z większych obszarów rekreacyjnych – odpowiadam.

– Może na Wzgórzu – mówi, a w jego oczach znowu pojawia się światło.

Wzgórze to ostatnie miejsce w Mieście porośnięte prawdziwym, dzikim lasem. Widzę je teraz, najeżone zielenią, wyrastające z Arboretum, gdzie pracuje mama. Niegdyś służyło głównie wojsku, które na jego zboczach odbywało ćwiczenia, odkąd jednak niemal cała Armia przeniesiona została do Zewnętrznych Prowincji, nic się tam nie dzieje.

– Tak myślisz? – pytam podekscytowana. – Nigdy tam jeszcze nie byłam. To znaczy, oczywiście byłam wiele razy w Arboretum, ale nigdy nie pozwolono mi wejść na Wzgórze.

– Jestem pewien, że ci się to spodoba – mówi dziadek z ożywieniem. – To fantastyczne, kiedy wspinasz się na najwyższy punkt w zasięgu wzroku, a nikt nie toruje ci drogi, kiedy wszystko jest prawdziwe...

– Naprawdę myślisz, że pozwolą nam tam wejść? – pytam ponownie. Jego entuzjazm jest zaraźliwy.

– Mam nadzieję. – Dziadek wygląda przez okno, patrzy w stronę Arboretum, a ja zastanawiam się, czy ostatnio robi to tak często dlatego, że lubi sięgać do tego, co nosi w sobie.

Dziadek uśmiecha się, jakby czytał w moich myślach.

– Jestem tylko starcem, który siedzi ciągle przy oknie i wspomina, prawda?

Ja również się do niego uśmiecham.

– Nie ma w tym nic złego. – Pod koniec życia jest to wręcz wskazane.

– Właściwie nie do końca się tym zajmuję – mówi.

– Jak to?

– Myślę. – I znów się wydaje, że zagląda do wnętrza mojego umysłu. – To nie to samo co wspomnianie. Wspominanie jest tylko częścią myślenia.

– I o czym myślisz?

– O wielu rzeczach. O wierszach. O ideach. O twojej babci.

Moja babcia umarła w wieku sześćdziesięciu dwóch lat jako jedna z ostatnich ofiar raka. Nigdy jej nie znałam. Puderniczka, którą podarował mi dziadek, należała do niej – dostała ją od teściowej, matki dziadka.

– Jak myślisz, co powiedziałyby o moim Wybranku? – pytam. – I o tym, co wydarzyło się dzisiaj?

Przez chwilę milczy, a ja cierpliwie czekam.

– Myślę – mówi w końcu – że spytałaby cię, czy się zastanawiałaś.

Chcę zapytać go, co ma na myśli, ale słyszę dzwonek, który oznacza, że wkrótce odjedzie ostatnia kolejka do Gminy. Muszę iść.

– Cassio – mówi dziadek, kiedy wstaję z miejsca – masz jeszcze tę puderniczkę, którą ci dałem?

– Oczywiście – odpowiadam, zaskoczona tym pytaniem. To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Jaką kiedykolwiek będę posiadać.

– Przyniesiesz ją jutro na mój Ostatni Bankiet? – pyta.

Łzy napływają mi do oczu. Na pewno chce ją zobaczyć jeszcze raz, przypomnieć sobie moją babcie i swoją mamę.

– Oczywiście, dziadku.

– Dziękuję ci.

Boję się, że łzy spłyną mi po policzkach, gdy się pochylam, by go pocałować. Wstrzymuję je. Nie płaczę. Zastanawiam się, kiedy będę mogła. Na pewno nie jutro wieczorem, na Ostatnim Bankiecie. Wtedy będą tam inni ludzie, którzy przyjdą zobaczyć, jak dziadek radzi sobie z odejściem i jak my sobie z tym radzimy.

Kiedy idę pustym korytarzem, zza zamkniętych drzwi dochodzą mnie głosy innych mieszkańców, którzy mówią do siebie albo rozmawiają ze swoimi gośćmi. Słyszę też dźwięki portów, bo wielu

spośród starszych ludzi ma już problemy ze słuchem i musi zwiększać głośność. W niektórych pokojach panuje cisza. Być może kryją się w nich ludzie podobni do mojego dziadka, być może oni również siedzą przy otwartych oknach i rozmyślają o ludziach, których już tu nie ma.

„Spytałaby, czy się zastanawiałaś”.

Wchodzę do windy i naciskam guzik, przygnębiona i zdezorientowana. Co dziadek chciał przez to powiedzieć?

Wiem, że jego czas już się kończy. Wiedziałam o tym od dawna. Dlaczego jednak, gdy zamykają się drzwi windy, czuję, że mój czas również ucieka?

„Moja babcia chciałaby wiedzieć, czy pomyślałam o tym, że może to jednak wcale nie był błąd. Że może Ky rzeczywiście miał być moim Wybrankiem”.

Tak, przez moment zastanawiałam się nad tym. Kiedy zobaczyłam twarz Ky’ a przez chwilę tak krótką, że nie zdążyłam nawet dojrzeć koloru jego oczu, pomyślałam: „Czy to ty?”.

## ROZDZIAŁ 7

Dziś jest niedziela. Dziś są osiemdziesiąte urodziny dziadka, więc tego wieczoru umrze.

Niegdyś ludzie budzili się z myślą: „Czy to już dzisiaj?”, albo kładli się, nie wiedząc, czy rankiem wynurzą się z ciemności. Teraz wszyscy wiemy, kiedy zgaśnie światło i zacznie się ta najdłuższa, ostatnia noc. Ostatni Bankiet jest luksusem. Triumfem planowania, triumfem Społeczeństwa, ludzkiego życia i jego jakości.

Wszystkie badania potwierdzają, że najlepszy wiek na umieranie to osiemdziesiąt lat. Żyjemy już wystarczająco długo, by w pełni doświadczyć życia, jednak nie dość długo, byśmy czuli się bezużyteczni. To jedna z najgorszych rzeczy, jakich może doświadczyć stary człowiek. W poprzednich społeczeństwach starsi ludzie zapadali na straszne choroby, takie jak depresja, bo nie czuli się już potrzebni. Możliwości Społeczeństwa także są ograniczone. Nie jesteśmy w stanie znieść wszystkich ograniczeń, które niesie ze sobą starość. Dobór zdrowych genów zapewnia nam zdrowie i sprawność tylko do tego wieku, właśnie do osiemdziesiątego roku życia.

Niegdyś świat nie był urządzony tak sprawiedliwie. Nie wszyscy umierali w tym samym wieku, ludzi trapiły różne problemy i wątpliwości. Mogłeś umrzeć wszędzie – na ulicy, w ośrodku medycznym jak moja babcia, nawet w kolejce powietrznej. Mogłeś umrzeć w samotności.

Nikt nie powinien umierać w samotności.

Jest jeszcze bardzo wcześnie, na niebie dominuje jasny błękit i blady róż, gdy dojeżdżamy na miejsce niemal pustą kolejką i idziemy betonową ścieżką w stronę drzwi budynku dziadka. Mam ochotę

zejść z chodnika, zdjęć buty i spacerować bosą po chłodnej, ostrej trawie, nie jest to jednak odpowiednia pora na odstępstwa od planu. Moi rodzice, Bram i ja idziemy w milczeniu, zamyśleni. Dziś nikt z nas nie pracuje ani nie korzysta z godzin rekreacyjnych. Ten dzień przeznaczony jest dla dziadka. Jutro wszystko wróci do normy, jutro będziemy żyć jak zawsze, ale dziadka już nie będzie.

Spodziewaliśmy się tego. To uczciwe rozwiązanie. Przypominam sobie o tym, gdy wsiadamy do windy, która ma nas zawieźć do pokoju dziadka.

– Możesz nacisnąć guzik – mówię do Brama, zdobywając się na żart. Dawniej, gdy przychodziliśmy tu z wizytą, walczyliśmy ze sobą o to, kto będzie naciskał guziki w windzie. Bram uśmiecha się i naciska dziesiątkę. „Ostatni raz” – myślę. Jutro nie będzie już kogo odwiedzać. Nie będziemy tu mieli po co przychodzić.

Większość ludzi nie zna swoich dziadków tak dobrze jak ja. Zwykle utrzymują z nimi stosunki podobne do tych, jakie łączą mnie z rodzicami mamy, mieszkającymi na Ziemiach Uprawnych. Co kilka miesięcy komunikujemy się przez port, a co kilka lat przyjeżdżamy z wizytą. Wielu wnuków obserwuje za pośrednictwem portu nawet Ostatni Bankiet, zachowując w ten sposób dystans do tej uroczystości. Nigdy nie zazdrościłam takim dzieciom, wręcz przeciwnie, było mi ich żal. Nawet dziś czuję to samo.

– Ile mamy czasu do przyścia Komisji? – pyta tatę Bram.

– Jakies pół godziny – odpowiada tata. – Wszyscy mają swoje prezenty?

Kiwamy głowami. Każdy z nas przyniósł coś dla dziadka. Nie mam pojęcia, co wybrali rodzice, ale wiem, że Bram poszedł do Arboretum, żeby znaleźć jakiś kamyczek jak najbliżej Wzgórza.

Zerkam na brata, nasze spojrzenia się spotykają. Bram otwiera dłoń, by ponownie pokazać mi kamyczek. Jest okrągły, brązowy i nadal trochę brudny. Przypomina jajo. Bram, kiedy przyniósł go wczoraj, powiedział mi, że znalazł go pod drzewem, w stercie miękkich zielonych igieł, która wyglądała jak gniazdo.

– Na pewno mu się spodoba – mówię do brata.

– Twój prezent też.

Bram ponownie zamyka kamień w dłoni. Otwierają się drzwi windy i wychodzimy na korytarz.

Moim prezentem jest list, który przygotowałam specjalnie dla dziadka. Wstałam dziś wczesnie rano i zaczęłam układać tekst z cytatów, które kopiowałam i przenosiłam za pomocą programu do tworzenia listów. Znalazłam też wiersz pochodzący z dekady, w której urodził się dziadek, i dodałam go do tekstu. Niewielu ludzi interesuje się poezją po ukończeniu szkoły, ale dla dziadka zawsze było to bardzo ważne. Wiele razy przeczytał wszystkie Sto Wierszy.

Jedne z drzwi na korytarzu otwierają się nagle. Jakaś starsza kobieta wysuwa głowę na zewnątrz.

– Idziecie na Bankiet pana Reyesa? – pyta i, nie czekając nawet na odpowiedź, dodaje: – To prywatna uroczystość, prawda?

– Tak – odpowiada uprzejmie tata. Zatrzymuje się obok kobiety, choć wiem, że bardzo chce się zobaczyć ze swoim ojcem. Raz za razem zerka w głąb korytarza, w stronę zamkniętych drzwi apartamentu dziadka.

– Szkoda – mruczy niechętnie kobieta. – Gdyby była publiczna, chętnie bym z wami poszła, podpatrzyła to i owo. Mój bankiet będzie za niecałe dwa miesiące. Możecie być pewni, że to będzie otwarta, publiczna uroczystość. – Wydaje z siebie krótki, ostry śmiech, po czym pyta: – Wpadniecie potem do mnie i opowiecie mi o wszystkim?

Mama przychodzi tacie z pomocą; oboje zawsze się wspierają w trudnych sytuacjach.

– Być może – mówi z uśmiechem do kobiety, po czym bierze tatę pod rękę i prowadzi go dalej.

Słyszymy pełne rozczarowania westchnienie, a potem trzask zamykanych drzwi. Na tabliczce na drzwiach widnieje nazwisko



Nash. Przypominam sobie, że dziadek wspominał o niej kiedyś. Mówił, że jest wścibska.

– Nie może poczekać na swoją kolej, tylko gadać o tym w dzień dziadka? – gdera pod nosem Bram, otwierając drzwi jego mieszkania.

Już teraz to miejsce wydaje się trochę inne. Cichsze. I bardziej puste. Może dlatego, że dziadek nie siedzi już przy oknie. Dziś leży w łóżku, w salonie, a jego ciało powoli umiera. W sam czas.

– Moglibyście przysunąć mnie do okna? – pyta dziadek, przywitawszy się ze wszystkimi.

– Jasne. – Tata chwyta za brzeg łóżka i przeciąga je w stronę okna. – Pamiętasz, jak robiłeś to samo ze mną? Kiedy miałem wszystkie te szczepienia jako dziecko?

Dziadek się uśmiecha.

– To był inny dom.

– I inny widok – zgadza się z nim tata. – Widziałem wtedy tylko podwórko sąsiada i szyny kolejki.

– Ale za nimi było niebo – mówi cicho dziadek. – Prawie zawsze można z okna zobaczyć niebo. Ciekaw jestem, co kryje się za nim. I jeszcze dalej.

Bram i ja wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Dziadek chyba już powoli traci rozum, czego można się było spodziewać. W osiemdziesiątą rocznicę urodzin starsi ludzie zwykle gwałtownie podupadają na zdrowiu. Nie wszyscy umierają dokładnie w tym samym czasie, ale zawsze dzieje się to przed północą.

– Poprosiłem przyjaciół, by przyszli tuż po wizycie Komisji – mówi dziadek. – Potem, kiedy już wyjdą, chciałbym spędzić kilka chwil z każdym z was z osobna. Poczynając od ciebie, Abranie.

Tata kiwa głową.

– Oczywiście.

\*

Wizyta Komisji nie trwa długo. Do pokoju wchodzi sześć osób, trzech mężczyzn i trzy kobiety, w długich białych fartuchach. Przynoszą ze sobą różne rzeczy. Odświętne ubranie, które włożył dziadek. Sprzęt do konserwacji tkanek. Mikrokartę z historią jego życia, którą może obejrzeć na ekranie portu.

Myślę, że może z wyjątkiem mikroarty dziadkowi bardziej spodobały się nasze prezenty.

Po chwili dziadek pojawia się ponownie, już w bankietowych ubraniach. W zasadzie wyglądają jak ubrania powszednie – proste spodnie, koszula i skarpety – ale wykonane są z materiału wysokiej jakości, a oprócz tego dziadek może wybrać ich kolor.

Czuję, jak coś ściska mnie za gardło, gdy widzę, że jest to jasna zieleń. Jesteśmy do siebie tacy podobni. Zastanawiam się, czy w dniu moich urodzin pomyślał, że nasze Bankiety będą tak blisko siebie, bo przecież dzieli je zaledwie kilka dni.

Wszyscy czekamy grzecznie, my na krzesłach, a dziadek na łóżku, podczas gdy Komisja wykonuje swoje obowiązki.

– Panie Reyes, przekazujemy panu mikrokartę ze zdjęciami i nagraniami z pańskiego życia – mówią. – Skompilował ją jeden z naszych najlepszych historyków, specjalnie dla pana.

– Dziękuję – mówi dziadek, wyciągając rękę.

Pudełko wygląda tak samo jak to, w którym dostałam mikrokartę z danymi mojego Wybranka, tyle że jest złote, a nie srebrne. Na zamkniętej w środku mikrokartce znajdują się zdjęcia dziadka jako małego chłopca, jako nastolatka i jako dorosłego mężczyzny. Nie widział niektórych z nich od lat i na pewno się cieszy, że je dzisiaj zobaczy. Mikroakarta zawiera również krótki opis jego życia, przygotowany i odczytany przez któregoś z historyków. Dziadek obraca złote pudełko w palcach, tak jak ja obracałam swoje podczas Bankietu Doboru. Zamyka swoje życie w dłoniach, tak jak ja.

Potem przemawia jedna z kobiet. Wydaje się łagodniejsza niż pozostali, ale może tylko dlatego, że jest drobniejsza i młodsza.

– Panie Reyes, czy wybrał już pan osobę, która przejmie pańską mikrokartę, kiedy ten dzień już się skończy?

– Tak, zabierze ją mój syn, Abran – odpowiada dziadek.

Kobieta podaje nam urządzenie do pobierania tkanek. W geście dobrej woli wobec starszych obywateli Społeczeństwo pozwala, by zabieg ten odbywał się w kameralnym rodzinnym gronie.

– Mam też przyjemność poinformować pana, że zakwalifikował się pan do konserwacji. Jak pan wie, nie każdy może skorzystać z tego przywileju. To kolejny zaszczyt, który może pan dodać do długiej listy swoich osiągnięć.

Dziadek odbiera urządzenie i dziękuje jej ponownie. Kobieta chce zapytać, kto dostarczy jego próbkę, ale dziadek ją uprzedza.

– Tym również zajmie się mój syn, Abran – mówi.

Kobieta kiwa głową.

– Wystarczy potrzebę tym policzek i włożyć próbkę tutaj – demonstruje. – A potem szczelnie zamknąć. Próbkę należy dostarczyć do Departamentu Konserwacji Biologicznej w ciągu dwudziestu czterech godzin od pobrania. Inaczej nie możemy zagwarantować, że konserwacja będzie skuteczna.

Cieszę się, że dziadek został zakwalifikowany do procesu zamrożenia tkanki. Dzięki temu śmierć nie musi oznaczać dla niego końca. Być może kiedyś Społeczeństwo wymyśli jakiś sposób, by przywrócić nas do życia. Nie obiecuje tego, ale chyba wszyscy wierzymy, że w końcu do tego dojdzie. Czy kiedykolwiek zdarzyło się, by Społeczeństwo nie osiągnęło zamierzonego celu?

– Jedzenie dla pana gości i pański ostatni posiłek powinny zostać podane w ciągu godziny – informuje mężczyzna stojący obok drobnej kobiety. Pochyliła się i wręcza dziadkowi menu. – Czy chciałby pan dokonać jeszcze jakichś zmian?

Dziadek przegląda kartę i kręci głową.

– Nie. Wszystko jest w porządku.

– W takim razie życzę udanego Bankietu – mówi mężczyzna, chowając kartę.

– Dziękuję. – Wypowiadając to słowo, dziadek wykrzywia lekko usta w cierpkim grymasie, jakby wiedział coś, czego nie wiedzą Funkcjonariusze.

Przed wyjściem każdy z członków Komisji ściska dłoń dziadka i mówi „Gratuluję”. Wydaje mi się, że doskonale wiem, co myśli dziadek, kiedy spogląda im prosto w oczy: „Gratulujecie mi życia czy śmierci?”.

– Miejmy to za sobą – mówi dziadek z błyskiem w oku, spoglądając na urządzenie do pobierania próbek. Wszyscy uśmiechamy się mimowolnie. Dziadek pociera policzek, wkłada próbkę do szklanego pojemnika i szczelnie go zamyka. Po wyjściu Komisji atmosfera w pokoju nieco się rozluźnia.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – mówi dziadek, podając pojemnik tacie. – Jak na razie dzień mojej śmierci układa się idealnie.

Tata wykrzywia twarz w grymasie bólu. Wiem, że podobnie jak ja woli, by dziadek nie używał tego słowa, ale żadne z nas nie śmiałyby go dzisiaj upominać. Ten bolesny grymas sprawia, że tata wygląda młodziej niż zwykle, niemal jak dziecko. Być może przypomina sobie śmierć swojej matki – tak niezwykłą, tak trudną w porównaniu z tym Ostatnim Bankietem.

Jutro nie będzie już niczym dzieckiem.

Choć tego nie chcę, myślę o zamordowanym synu Markhamów. Żadnej uroczystości. Żadnego pobierania tkanki, żadnych pożegnań. „To się zdarza bardzo rzadko” – przypominam sobie w myślach. „Prawdopodobieństwo takiego wypadku wynosi milion do jednego”.

– Mamy dla ciebie prezenty – mówi Bram do dziadka. – Możemy dać ci je teraz?

– Bram – upomina go tata. – Może dziadek chce przejrzeć swoją mikrokartę. Wkrótce będzie miał kolejnych gości.

– Rzeczywiście, chcę to zrobić – przyznaje dziadek.

– Chętnie jeszcze raz obejrzę swoje życie. I nie mogę się już doczekać jedzenia.

– Co wybrałeś? – pyta zaciekawiony Bram. Zarówno dziadek, jak i jego goście jedzą to samo, ale zgodnie z prawem każdy może jeść tylko i wyłącznie ze swojego talerza. Nie wolno nam się dzielić z innymi.

– Same desery – odpowiada dziadek, uśmiechając się szeroko. – Placek. Budyń. Ciasteczka. I coś jeszcze. Ale nim się tym zajmiemy, pokaż mi swój prezent, Bram.

Bram natychmiast się rozpromienia.

– Zamknij oczy.

Dziadek posłusznie opuszcza powieki i wyciąga rękę. Bram kładzie kamień na jego dłoni. Kilka grudek ziemi opada na kołdrę okrywającą dziadka. Mama wyciąga rękę, by je strzepać. Cofa ją jednak w ostatniej chwili i się uśmiecha. Dziadek nie miałby nic przeciwko tym drobinom.

– Kamień – mówi dziadek, otwierając oczy i spoglądając w dół. Uśmiecha się do Brama. – Chyba wiem, gdzie to znalazłeś.

Bram również się uśmiecha i pochyla głowę. Dziadek zaciska mocno dłoń na kamieniu.

– Kto następny? – pyta niemal radośnie.

– Ja chciałbym ci dać swój prezent później, podczas pożegnania – mówi cicho tata.

– Wtedy będę miał mało czasu, żeby się nim nacieszyć – droczy się z nim dziadek.

Nagle przypominam sobie o moim liście – nie chcę, by czytał go przy wszystkich – i wtrącam:

– Ja też.

Ktoś puka do drzwi – przyszli przyjaciele dziadka. Wpuszczamy ich do środka, chwilę później przychodzą następni. I kolejni. Potem zjawia się obsługa żywieniowa, która przynosi wszystkie desery dziadka – jego ostatni posiłek – i oddzielne tace dla gości.

Dziadek odkrywa swoją tacę, a pokój wypełnia się aromatycznym owocowym zapachem.

– Pomyślałem, że chętnie zjesz kruche ciasto z owocami – mówi dziadek, spoglądając na mnie. Zatem widział wczoraj, jak patrzyłam na jego talerz. Uśmiecham się do niego, a potem odkrywam tace pozostałych gości. Wszyscy zbieramy się wokół nich. Najpierw podaję jedzenie wszystkim pozostałym, a potem nakładam swój kawałek ciasta, powleczony cukrem, ciepły i owocowy. Podnoszę do ust widelec z pierwszą porcją.

Zastanawiam się, czy śmierć zawsze tak dobrze smakuje.

W końcu wszyscy goście odkładają widelce i wzdychają z ukontentowaniem, po czym rozmawiają z dziadkiem, który opiera się o stertę białych poduszek. Bram je dalej, opycha się kawałkami wszystkich deserów. Dziadek uśmiecha się do niego rozbawiony.

– To jest takie dobre – bełkoce Bram z pełnymi ustami, a dziadek parska głośnym śmiechem. Ten dźwięk jest tak ciepły i tak dobrze mi znany, że również się uśmiecham i opuszczam rękę. Miałam dotknąć ramienia Brama, powiedzieć mu, by przestał się obżerać. Skoro jednak nie przeszkadza to dziadkowi, to dlaczego miałoby przeszkadzać mnie?

Tata nic nie je. Odkłada kawałek ciasta na okrągły talerzyk i trzyma go w dłoniach. Nie widzi, jak sok wycieka na białą porcelanę. Kropla soku spada na podłogę, gdy tata wstaje, by pożegnać gości, którzy po obejrzeniu mikrokarty dziadka zbierają się do wyjścia.

- Dziękujemy, że przyszliście - mówi tata, a mama pochyla się i serwetką ściera sok z podłogi. Kiedy dziadek opuści już to mieszkanie, wprowadzi się tu ktoś inny i na pewno nie będzie chciał widzieć śladów jego Ostatniego Bankietu. Potem jednak uświadamiam sobie, że mama zrobiła to z innego powodu. Chciała oszczędzić mojemu tacie zmartwień, choćby takich drobnych.

Kiedy za ostatnim gościem zamykają się drzwi, mama bierze talerz od taty.

- Czas dla rodziny - mówi, a dziadek kiwa głową.

- Całe szczęście - oświadcza. - Mam coś do powiedzenia każdemu z was.

Do tej pory, oprócz tej jednej chwili, gdy mówił o niebie i o tym, co może być dalej, dziadek zachowuje się całkiem normalnie. Słyszałam, że niektórzy starsi ludzie zaskakują wszystkich na koniec i nie chcą umierać godnie. Krzyczą, denerwują się, wpadają w szał. W ten sposób tylko zasmucają swe rodziny. Nic przecież na to nie poradzą. Tak już jest i koniec.

Kierowani jakimś wspólnym odruchem, mama, Bram i ja wychodzimy do kuchni, by tata mógł porozmawiać z dziadkiem pierwszy. Bram, senny i objedzony, opiera głowę na stole i zasypia, pochrapując lekko. Mama czule gładzi go po głowie, a ja wyobrażam sobie, że mój brat śni o kolejnych deserach, o całych stertach ciastek. Mnie też ciężą trochę powieki, ale nie chcę stracić ani chwili z ostatniego dnia dziadka.

Po tacie przychodzi kolej na Brama, potem na rozmowę z dziadkiem idzie mama. W prezencie ma liść z jego ulubionego drzewa w Arboretum. Zerwała go wczoraj, więc trochę zbrązowiał i zawinął się na brzegach, w środku jednak nadal jest zielony. Kiedy czekaliśmy na swoją kolej, a Bram spał, powiedziała mi, że dziadek pytał, czy jego Ostatni Bankiet może odbyć się w Arboretum, pod otwartym niebem. Oczywiście jego prośbę odrzucono.

W końcu przychodzi czas na mnie. Gdy tylko wchodzę do pokoju, zauważam, że okna są otwarte. Jest ciepło, letni wiatr

przepływa przez mieszkanie gorącą falą. Myślę, że wkrótce nadejdzie wieczór i zrobi się chłodniej.

– Chciałem czuć ruch powietrza – zwraca się do mnie dziadek, gdy siadam na krześle obok łóżka.

Wręczam mu swój prezent. Dziękuje mi i czyta list.

– To piękne słowa – mówi w końcu.

Powinnam być zadowolona, czuję jednak, że to jeszcze nie koniec.

– Ale żadne z nich nie pochodzi od ciebie – dodaje dziadek łagodnym tonem.

Łzy napływają mi do oczu, opuszczam wzrok na swoje dłonie. Myślę o tym, że nie potrafią pisać, podobnie jak dłonie niemal wszystkich innych członków Społeczeństwa, że umieją jedynie wykorzystać słowa innych. Słowa, które rozczarowały mojego dziadka. Żałuję, że nie przyniosłam kamienia jak Bram. Albo niczego. Wolałabym przyjść tutaj z pustymi rękami, niż rozczarować dziadka.

– Masz swoje własne słowa, Cassio – odzywa się dziadek. – Słyszałem niektóre z nich i wiem, że są piękne. Dałaś mi już jeden dar, były nim twoje wizyty. Podoba mi się ten list, bo jest od ciebie. Nie chcę zranić twoich uczuć. Chcę tylko, byś ufała własnym słowom. Rozumiesz?

Podnoszę wzrok, patrzę mu w oczy i kiwam głową, bo wiem, że właśnie tego będzie ode mnie oczekiwał i że mogę mu dać ten dar, nawet jeśli list okazał się niewypałem. Nagle coś mi się przypomina. Wciąż mam w kieszeni nasienie topoli, które złapałam w kolejce. Wyciągam je i podaję dziadkowi.



– Ach... – wzdycha, podnosząc biały puszek i przyglądając mu się uważnie. – Dziękuję, moja kochana. Spójrz. Włeczemy obłoki blasku w ślad\*.

Zastanawiam się, czy tym razem jednak dziadek rzeczywiście nie zaczyna już majaczyć. Zerkam na drzwi, waham się, czy zawołać mamę lub tatę.

– Jestem starym hipokrytą – stwierdza tymczasem dziadek i znów się uśmiecha szelmowsko. – Powiedziałem ci, żebyś używała własnych słów, a teraz poproszę cię o słowa kogoś innego. Podaj mi tę puderniczkę.

Zaskoczona, daję mu złote pudełeczko. Bierze je do ręki, uderza nim mocno o otwartą dłoń i przekreśla coś. Podstawa puderniczki otwiera się nagle, a ja tłumię okrzyk zdumienia, gdy wypada z niej kawałek papieru. Od razu widzę, że jest stary – kremowy, ciężki i gruby, nie cieniutki i biały jak zwoje papieru, które wysuwają się z portów lub pisaków.

Dziadek ostrożnie, powoli rozkłada papier. Staram się nie przyglądać mu zbyt otwarcie, bo nie wiem, czy sobie tego życzy, ale wystarczy mi jedno spojrzenie, by zrozumieć, że słowa też są stare. Nikt nie używa już takiej czcionki, litery są małe, czarne, stłoczone.

Dłonie dziadka drżą lekko, nie wiem, czy z powodu bliskości końca, czy tego, co trzyma w palcach. Chciałabym mu pomóc, widzę jednak, że jest to coś, co musi zrobić sam.

Czyta szybko, a kiedy już kończy, zamyka oczy. Na jego twarzy pojawia się przez moment wyraz jakiejś emocji, której nie potrafię odczytać. Coś głębokiego.

Potem otwiera swe jasne, piękne oczy i patrzy prosto na mnie, składając jednocześnie papier.

– Cassio. To dla ciebie. To coś cenniejszego niż sama puderniczka.

---

\* William Wordsworth *Oda o przeczuciach nieśmiertelności ze wspomnień wczesnego dzieciństwa*, przeł. S. Kryński (przyp. tłum.).

– Ale to takie... – Chcę powiedzieć „niebezpieczne”, ale nie zdążam. Z holu dobiegają już głosy rodziców i Brama.

Dziadek patrzy na mnie z miłością i podaje papier. Wyzwanie, ofiara, podarunek. Po krótkiej chwili wahania sięgam po niego. Moje palce zamykają się na papierze, a dziadek go wypuszcza.

Oddaje mi też puderniczkę; papier mieści się w niej idealnie. Kiedy zamykam złote pudełeczko, dziadek pochyla się ku mnie.

– Cassio – szepcze. – Daję ci coś, co na razie być może wyda ci się pozbawione większego sensu. Ale myślę, że któregoś dnia zrozumiesz. Ty bardziej niż pozostali. I pamiętaj. Warto się zastanawiać.

Trzyma się jeszcze przez długi czas. Godzinę przed północą, w środku głębokiej ciemnej nocy, dziadek spogląda na nas wszystkich i wypowiada najlepsze słowa, jakimi można zakończyć życie.

– Kocham was. Kocham was. Kocham was. Kocham was.

Wszyscy mówimy mu to samo. Każdy z nas wypowiada te słowa szczerze, każdy się uśmiecha. Dziadek opiera się na poduszkach i zamyka oczy.

Wszystko działało w nim idealnie. Przeżył dobre życie. Kończy się tak, jak miało się zakończyć, dokładnie o czasie. Trzymam go za rękę, kiedy umiera.

## ROZDZIAŁ 8

– Nie ma żadnych nowych pokazów – narzeka nasz przyjaciel Sera. – Od dwóch miesięcy puszczają to samo.

Kolejny sobotni wieczór, ta sama rozmowa co przed tygodniem.

– To i tak lepsze niż pozostałe dwie opcje, prawda? – mówi Em. Zerka na mnie, czeka na moją opinię. Kiwam głową. Jak zwykle możemy wybierać z tego samego zestawu: centrum gier, pokaz, muzyka. Minał niecały tydzień od śmierci dziadka, wciąż czuję się nieswojo. Dziadka nie ma, a ja wiem, że w mojej puderniczkę kryją się skradzione słowa. To dziwne uczucie, kiedy wiesz coś, o czym nie wiedzą inni, i gdy masz coś, czego nie powinieneś mieć.

– Więc Cassia też jest za pokazem – stwierdza Em. Nawija na palec kosmyk czarnych włosów i spogląda na Xandera. – A ty?

Jestem pewna, że Xander chce wrócić do centrum gier, ale ja tego nie chcę. Nasza ostatnia wizyta w tym miejscu nie skończyła się dobrze, nastąpiłam wtedy na tabletki i musiałam się spotkać z Funkcjonariuszami.

Xander wie, o czym myślę.

– To nie była twoja wina – mówi. – Nie ty je upuściłaś. Nawet cię nie odnotowali.

– Wiem. Ale mimo wszystko...

Nawet nie wspominamy o muzyce. Większość młodych ludzi nie ma ochoty siedzieć z kilkoma innymi ludźmi w sali i słuchać Stu Piosenek odtwarzanych z jakiegoś innego miejsca. Nie słyszałam chyba nigdy o jakiejś pracy związanej z muzyką. Może to ma sens. Może piosenki wystarczy zaśpiewać tylko raz, nagrać i przekazać dalej.

– Nie, chodźmy na pokaz – mówi Xander. – Wiecie, ten o Społeczeństwie, z ujęciami z powietrza.

– Nie widziałem tego jeszcze – rozbrzmiewa za mną głos Ky’a Markhama.

Ky. Odwracam się i spoglądam na niego. Nasze spojrzenia spotykają się ze sobą po raz pierwszy od tamtego wieczoru, gdy nadepnęłam na tabletki. Nie widziałam go od tego czasu. Powinnam raczej powiedzieć, że nie widziałam go w rzeczywistości, bo przez cały tydzień jego twarz pojawiała się w moim umyśle jak na ekranie portu, zaskakiwała mnie swą wyrazistością, a potem nagle znikwała. Wciąż się zastanawiałam, co to oznacza. Dlaczego nadal o nim myślę, zamiast puścić to w niepamięć.

Być może ze względu na to, co mówił dziadek przed samym końcem. Powiedział wtedy, że warto się zastanawiać. Nie wydaje mi się jednak, żeby miał na myśli Ky’a. Chodziło mu chyba o coś większego. O coś związanego z poezją.

– Zatem sprawa przesądzona. Obejrzymy ten pokaz – mówi Sera.

– Jak to możliwe, że przegapiłeś cały pokaz? – pyta zadziwiona Piper. Ma rację. Zawsze oglądamy wszystkie nowe pokazy. Ten jest dostępny już od kilku miesięcy, więc Ky miał zapewne wiele okazji, by go obejrzeć. – Nie byłeś na seansie razem z nami?

– Nie – odpowiada Ky. – Chyba pracowałem wtedy do późnego wieczora.

Ton jego głosu jest łagodny, ale jak zawsze kryje się w nim coś głębszego, dźwięczniejszego. Ten głos ma nieco inną barwę niż większość tych, które znam, coś, o czym nie pamięta się aż do momentu, gdy rozbrzmi ponownie. Wtedy powraca ta sama myśl: Tak. W jego głosie jest muzyka.

Wszyscy milkniemy, jak zawsze, gdy Ky mówi o swojej pracy. Nie wiemy, jak na to reagować. Wiem, że prawdopodobnie nie był zaskoczony, gdy przyznano mu posadę w centrum odpadów

żywieniowych. Zawsze wiedział, że jest Aberracją. Nosi w sobie różne sekrety znacznie dłużej niż ja.

Ale Społeczeństwo chce, by zachował je dla siebie. Nie wiem, co by się stało, gdyby poznało moje tajemnice.

Ky odwraca wzrok od Piper i spogląda na mnie. Myliłam się co do jego oczu. Myślałam, że są brązowe, teraz widzę jednak, że są ciemnoniebieskie, pasują do koloru jego ubrań. Niebieski to najczęściej spotykany kolor oczu w Prowincji Oria, jednak jego oczy wydają mi się nieco inne. Sama nie wiem dlaczego, może chodzi o głębię? Zastanawiam się, co widzi, kiedy patrzy na mnie. Skoro ja widzę w nim głębię, to czy jemu wydaje się płytka i przezroczyista?

„Szkoda, że nie mam mikrokarty Ky’a – myślę. – Skoro tak naprawdę nie potrzebuję dodatkowych informacji o Xanderze, mogłabym w zamian dostać inną”. Uśmiecham się, rozbawiona tym pomysłem.

Ky nadal patrzy na mnie. Zastanawiam się przez moment, czy spyta, o czym myślę. Ale oczywiście nie robi tego. On nie dowiadyuje się niczego za pomocą pytań. Jest Aberracją z Zewnętrznych Prowincji, a mimo to zdołał się przystosować do tutejszego życia, wtopić w tło. Ky uczy się tylko przez obserwację.

Postanawiam skorzystać z tej samej metody. Nie zadaję żadnych pytań i zachowuję sekrety dla siebie.

Wchodzimy do sali i zajmujemy miejsca, najpierw Piper, potem Sera, Em, Xander, ja i na samym końcu Ky. Wielki ekran jeszcze się nie rozwinął, światła nie przygasły, mamy więc kilka minut na rozmowę.

– Wszystko w porządku? – pyta szeptem Xander, nachylając się do mnie. – Nie chodzi o tabletki, prawda? Chodzi o dziadka?

Tak dobrze mnie zna.

– Tak – odpowiadam, a Xander ujmuje moją dłoń i ściska ją lekko. To zadziwiające, jak szybko wracają do nas gesty z dzieciństwa, te, z których zrezygnowaliśmy jako nastolatki, choć

przecież nadal byliśmy przyjaciółmi. Uścisk jego dłoni nadal kojarzy mi się z przyjaźnią, z czymś, co znam od lat – zarazem jednak jest nieco inny, oznacza więcej. Teraz jest to uścisk Wybranka.

Xander czeka, ciekaw, czy mam mu do powiedzenia coś jeszcze, ja jednak milczę. „Nie mogę powiedzieć Xanderowi o Ky’u, bo Ky jest tuż obok mnie – myślę. – Nie mogę też powiedzieć mu o papierze od dziadka, bo za dużo tu ludzi”. Właśnie tak się usprawiedliwiam przed samą sobą z tego, że nie jestem szczerą z Xanderem.

Te argumenty nie wydają mi się tak przekonujące, jak powinny.

Em mówi coś do Xandera, a ten odwraca się do niej, by odpowiedzieć. Przez chwilę patrzę prosto przed siebie i myślę o tym, jakie to dziwne, że zaczęłam ukrywać coś przed Xanderem niemal dokładnie od momentu, gdy zostaliśmy Dobrani.

– Minęło już kilka tygodni, odkąd mogłem ostatnio spędzić z wami sobotni wieczór – mówi Ky. Zerkam na niego, gdy zaczynają przygasać światła. Półmrok sprawia, że jego rysy łagodnieją, a dzieląca nas odległość jakby się skraca. W jego następnych słowach kryje się gorycz – zaledwie odrobina, ale i tak znacznie więcej niż kiedykolwiek dotąd. – Często muszę dłużej zostać w pracy. Cieszę się, że nie macie mi tego za złe.

– Ależ skąd – odpowiadam. – Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Jednak już wypowiadając te słowa, zastanawiam się, czy to prawda. Nie znam go tak dobrze jak pozostałych.

– Przyjaciółmi – powtarza cicho Ky. Zastanawiam się, czy myśli o przyjaciółach, których zostawił w Zewnętrznych Prowincjach.

W sali robi się całkiem ciemno. Nie muszę rozglądać się na boki, by wiedzieć, że Ky patrzy już w stronę ekranu, a Xander ponownie odwrócił się do mnie. Patrzę do przodu, prosto w czerń.

Lubię tych kilka sekund wyczekiwania przed pokazem, gdy dokoła panują ciemności. Zawsze czuję wtedy to dziwne gniecenie w

żołądka, zastanawiam się, czy gdy na ekranie rozbłyszczą pierwsze kadry pokazu, nie okaże się, że jestem w sali całkiem sama. Albo czy w ogóle pojawi się jakieś światło. Nie jestem tego całkiem pewna, nie w tym właśnie momencie. Nie wiem, dlaczego to lubię.

Ale oczywiście na ekranie zapala się światło, zaczyna się pokaz, a ja nie jestem sama. Xander siedzi po jednej stronie, Ky po drugiej, a na ekranie pojawiają się obrazy przedstawiające początki Społeczeństwa.

Widok jest olśniewający, przemykamy nisko nad błękitnym oceanem, nad zielonym wybrzeżem i ośnieżonymi szczytami gór, nad złotymi polami Ziemi Uprawnych i białą kopułą naszego Ratusza (widownia wznosi radosne okrzyki na ten widok). Potem mijamy kolejne pola zieleni i złota, zmierzamy do następnego Miasta, potem do kolejnego i jeszcze jednego. Zapewne w każdej Prowincji naszego Społeczeństwa ludzie wiwatują, widząc własne Miasto – nawet jeśli oglądali już wcześniej ten pokaz. Patrząc na takie Społeczeństwo, czujesz się dumny, że stanowisz jego część. I właśnie o to, oczywiście, chodzi.

Ky wstrzymuje oddech. Zerkam na niego ukradkiem. Jestem całkowicie zaskoczona tym, co widzę. Oczywiście Ky'a są szeroko otwarte, zapomnieli o tym, by nie okazywać żadnych uczuć. Niemal unosi się z zachwytem, jakby uwierzył, że naprawdę frunie. Nie zauważa, że na niego patrzę.

Jednak po tym olśniewającym początku tempa pokazu słabnie, wraca do normy. Oglądamy świat, jaki istniał przed powstaniem Społeczeństwa, nim wszystko zaczęło działać zgodnie ze statystykami i prognozami. Twarz Ky'a znów staje się spokojna, nieprzenikniona. Zerkam na niego podczas różnych części pokazu, ciekawa, czy znów zobaczę jakąś żywszą reakcję. Nic się jednak nie zmienia.

Kiedy w pokazie pojawiają się informacje o wprowadzeniu systemu Doboru, Xander odwraca się do mnie. Widzę jego uśmiech i

również się do niego uśmiecham. Xander ściska mocniej moją dłoń, a ja zapominam o Ky'u.

Aż do ostatnich chwil pokazu.

Pod koniec wracamy do obrazów z czasów przed powstaniem Społeczeństwa. Widzimy, jak wyglądałby świat, gdyby Społeczeństwo upadło. Nie wiem, skąd wzięli scenografię do tego fragmentu, ale wygląda tak absurdalnie, że niemal budzi śmiech. Jak okiem sięgnąć ciągną się jałowe, czerwone ziemie, na środku ekranu widać jakieś małe, nędzne domy, kilku posępnych, wychudłych aktorów snuje się po niebezpiecznych, niemal całkiem pustych ulicach. Nagle, nie wiadomo skąd, na niebie pojawia się złowrogi czarny samolot. Ludzie uciekają z krzykiem. W tle słychać Hymn Społeczeństwa, podniosły utwór, w którym wysokie tony przeplatają się z głębokim basem.

Cała ta scena jest bardzo przerysowana. Wydaje się groteskowa, szczególnie po tej cichej, skromnej uroczystości na cześć dziadka, w której uczestniczyłam w minioną niedzielę. Nie tak wygląda śmierć. Jeden z aktorów pada na ziemię, krzywi się dramatycznie. Na jego ubraniu pojawiają się krwistoczerwone plamy. Słyszę, jak Xander parska cicho śmiechem, i wiem, że czuje to samo co ja. Nieco zawstydzona, że zapomniałam o Ky'u na tak długo, odwracam się do niego. Jestem pewna, że i on ubawił się tym widokiem.

Ky płacze. Bezgłośnie.

Łza spływa mu po policzku, wyciera ją szybko, jakby nigdy jej tam nie było. Potem druga, która znika równie szybko jak pierwsza. Jego oczy są tak wilgotne, że zastanawiam się, czy cokolwiek jeszcze widzi. Nie odrywa jednak spojrzenia od ekranu.

Nie umiem patrzeć na czyjeś cierpienie, nie jestem do tego przyzwyczajona. Odwracam głowę.

Kiedy pokaz kończy się tą samą co na początku, zapierającą dech w piersiach sceną, Ky bierze głęboki oddech. Wiem, że sprawia mu to fizyczny ból. Nie patrzę na niego, czekam, aż zapali się



światło. Wtedy jest już spokojny i wyciszony, jest tym samym Ky'em, którego znam od lat. Choć może tylko mi się wydaje, że go znam.

Nikt inny nie zauważył. Ky nie wie, że go widziałam.

Nic nie mówię. Nie zadaję pytań. Odwracam się. Właśnie taka jestem. „Nie taka, jaka mogłabyś być zdaniem dziadka”. Ta myśl pojawia się niczym ukradkowe spojrzenie, niczym plama błękitu widziana kątem oka. Ky. Obserwuje mnie? Czeka, aż na niego spojrzę?

Czekam o jedną chwilę za długo, nim się odwracam. Kiedy to robię, Ky już na mnie nie patrzy. Jeśli w ogóle to robił.

## ROZDZIAŁ 9

Dwa dni później stoję z grupą uczniów przed głównym budynkiem Arboretum. Dokoła podnosi się poranna mgła, odsłania niewidoczne do tej pory sylwetki ludzi i drzew.

– Robiłaś to już kiedyś? – pyta dziewczyna stojąca obok mnie. Nie znam jej, więc musi być z innej Gminy, z innej Drugiej Szkoły.

– Niezupełnie – odpowiadam, nieco zdekoncentrowana tym, że jedna z postaci wynurzających się z mgły przypomina Ky'a Markhama. Porusza się cicho i sprężyście. Uważnie. Kiedy mnie dostrzega, podnosi rękę i macha na powitanie. Wygląda na to, że i on się zapisał na te letnie zajęcia. Po krótkiej pauzie, podczas której uśmiecham się do Ky'a i również do niego macham, dodaję: – Nie, chodziłam tylko na spacer. Nigdy na piesze wycieczki.

– Nikt jeszcze tego nie robił – mówi Lon, irytujący chłopiec, którego znam z Drugiej Szkoły. – Od lat nie było tego w ofercie.

– Mój dziadek wiedział, jak się to robi – mówię.

– Wiedział? – dopytuje się Lon. – W czasie przeszłym? Nie żyje?

Nie mam czasu, by mu odpowiedzieć, bo w tym samym momencie staje przed nami Oficer w zielonym wojskowym ubraniu. Jest już dość stary, ma krótko przycięte siwe włosy i oliwkową skórę. Jego cera i postawa przypominają mi dziadka.

– Witajcie – mówi Oficer głosem twardym i ostrym jak stal. Nie wydaje się miły, a ja uświadamiam sobie, że w gruncie rzeczy niewiele go łączy z moim dziadkiem. Muszę przestać szukać wszędzie dziadka. Nie wyjdzie nagle spośród drzew, choćbym nie wiem jak mocno tego pragnęła. – Jestem waszym instruktorem. Zwracajcie się do mnie „proszę pana”.

Lon nie może się powstrzymać.

– Pójdziemy na Wzgórze?

Oficer gromi go spojrzeniem, a Lon kładzie uszy po sobie.

– Nikt nie odzywa się bez mojego pozwolenia – mówi Oficer. – Czy to jasne?

Wszyscy kiwamy głowami.

– Nie będziemy tracić czasu. Zaczynamy.

Wskazuje na jedno z zalesionych wzgórz Arboretum. Nie Wzgórze, nie to największe, ale jedno z mniejszych, dostępnych zwykle jedynie dla pracowników Arboretum. Te wzgórza nie są może bardzo wysokie, ale mama mówi, że można się nieźle namęczyć podczas wspinaczki na zbocza porośnięte gęstym lasem i krzewami.

– Wejdźcie na szczyt – mówi Oficer, odwracając się na pięcie. – Będę tam czekał.

Mówi poważnie? Żadnych porad, wskazówek? Żadnego szkolenia przed startem?

Oficer znika w zielonej gęstwinie.

Najwyraźniej jednak mówi poważnie. Czuję, jak uśmiech unosi mi kąciki ust, kręcę głową, by się go pozbyć. Jako pierwsza wchodzę za Oficerem między drzewa. Są porośnięte gęstą letnią zielenią, a gdy przepycham się między nimi, pachną jak dziadek. Może jednak naprawdę jest gdzieś pośród nich. Myślę: „Jeśli kiedykolwiek odważę się otworzyć ten papier, to właśnie tutaj”.

Słyszę innych ludzi przechodzących między drzewami za mną i wokół mnie. Las, nawet taki jak ten, na wpół ucywilizowany, jest głośnym miejscem, szczególnie gdy przedziera się przez niego cała grupa młodych ludzi. Szeleszczą liście, trzaskają łamane patyki, ktoś w pobliżu przeklina głośno. Pewnie Lon. Przyspieszam kroku.

Muszę przedzierać się przez krzewy, ale poruszam się w dobrym tempie.

Mój umysł sortowaczki żałuje, że nie potrafię nazwać otaczających mnie roślin i kwiatów. Mama pewnie zna większość z nich, ale ja nigdy nie posiadam takiej wiedzy, chyba że zostanie przydzielona do pracy w Arboretum.

Zbocze robi się bardziej strome, a wędrówka trudniejsza, ale nie niemożliwa. To małe wzgórze stanowi część Arboretum, więc nie jest całkiem dzikie. Moje buty są coraz brudniejsze, liście i sosnowe igły przyklejają się do ubłoconych podeszew. Przystaję na moment i szukam jakiegoś miejsca, w którym mogłabym je oskrobać, by iść nieco szybciej. Lecz tutaj, w Arboretum, przewrócone drzewa i ułamane gałęzie są natychmiast usuwane. Mogę jedynie wytrzeć podeszwy, jedną po drugiej, o pień drzewa.

Czuję się nieco lżejsza, gdy ruszam ponownie w drogę i nabieram prędkości. Widzę gładki, owalny kamyk, podobny do tego, który Bram dał dziadkowi. Nie ruszam go, pozwalam, by nadal leżał w trawie. Przyspieszam tempa, odgarniam gałęzie na boki, nie myślę o tym, że drapią mnie po rękach. Nie zwalniam nawet wtedy, gdy sosnowa gałąź odskakuje raptownie do tyłu i uderza mnie w twarz.

Będę pierwsza na szczycie i cieszę się z tego. Drzewa przede mną wydają się jakby jaśniejsze, domyślam się, że nie ma już za nimi lasu, lecz tylko niebo. Jestem prawie na miejscu. „Spójrz na mnie, dziadku” – mówię w duchu, choć wiem, że mnie nie słyszy.

„Spójrz na mnie”.

Zakręcam raptownie i nurkuję między krzaki. Przeciskam się przez zieloną gęstwinę, a potem kucam za zasłoną liści. Mam nadzieję, że nikt mnie tu nie zobaczy. Ciemny brąz powszednich ubrań to doskonały kamuflaż.

Drżą mi ręce, kiedy wyciągam papier. Czy planowałam to od chwili, gdy rankiem włożyłam puderniczkę do kieszeni spodni? Czy wiedziałam, że właśnie tutaj, w lesie, znajdę odpowiednie miejsce i chwilę?

Nie znam innego miejsca, w którym mogłabym to przeczytać. Gdybym zrobiła to w domu, ktoś mógłby mnie przyłapać, podobnie jak w kolejce, szkole i pracy. W lesie wcale nie jest cicho, zewsząd napiera na mnie bujna roślinność, parne powietrze okrywa moją skórę wilgocią. Brzęczą owady i śpiewają ptaki. Trącam ramieniem liść, kropla rosy spada na papier z dźwiękiem przypominającym odgłos dojrzałego owocu opadającego na ziemię.

„Co dał mi dziadek?”

Przez chwilę trzymam ten sekret w dłoni, a potem go otwieram.

Miałam rację: te słowa są naprawdę stare. Lecz choć nie znam czcionki, domyślam się, jaką kryją w sobie treść.

Dziadek dał mi poezję.

Oczywiście. Moja prababcia. Sto Wierszy. Nie muszę sprawdzać w szkolnych portach, by wiedzieć, że nie jest to jeden z nich. Podjęła wielkie ryzyko, ukrywając ten utwór, podobnie jak babcia i dziadek, którzy postanowili go zachować. Jakie wiersze warte są takiego poświęcenia?

Już pierwszy wers sprawia, że zastygam w bezruchu, a do oczu napływają mi łzy. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, czuję jedynie, że ów wers przemawia do mnie jak żadne inne słowa.

*Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy.*

Czytam dalej, chłonę słowa, które rozumiem, i te, których nie rozumiem.

Wiem, dlaczego tak bardzo poruszały dziadka.

*Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy,*

*Starość u kresu dnia niech płonie, krwawi;*

*Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy.*

Kiedy czytam dalej, wiem już, dlaczego poruszają także i mnie.

*Mędrzy, choć wiedzą, że ciemność w nich wkroczy –*

*Bo nie rozszczepią słowami błyskawic –*

*Nie wchodzi cicho do tej dobrej nocy\*.*

Moje słowa nie rozszczepiły żadnej błyskawicy. Powiedział mi to sam dziadek tuż przed śmiercią, gdy dałam mu list, którego tak naprawdę nie napisałam. Nie napisałam ani nie zrobiłam niczego, co choćby w najmniejszym stopniu zmieniło ten świat. Nagle wiem już, co znaczy buntować się i krwawić.

Czytam cały wiersz wielokrotnie, chłonę go, spijam każde słowo. Czytam o meteorze, o wieńcu sławy, o błogosławieństwie i klątwie i choć nie rozumiem wszystkiego – język jest zbyt archaiczny – wystarcza mi to, co jest zrozumiałe. Wiem, dlaczego dziadek uwielbiał ten wiersz, bo i ja go uwielbiam. Cały. Bunt i światło.

Pod wierszem znajduje się krótki podpis: *Dylan Thomas, 1914-1953.*

Po drugiej stronie kartki jest jeszcze jeden wiersz, zatytułowany „Tam, dokąd płynę” i napisany przez kogoś, kto żył w jeszcze bardziej odległej przeszłości niż Dylan Thomas – *Lord Alfred Tennyson, 1809-1892.*

„Tak dawno temu” – myślę. Tak dawno temu żyli i umarli.

I podobnie jak dziadek nigdy już nie wróca.

Chcicie szczytuje słowa drugiego wiersza. Czytam je oba jeszcze kilka razy, przestaję dopiero wtedy, gdy w pobliżu rozlega się trzask łamanej gałęzi. Szybko składam kartkę i chowam ją. Zbyt długo tu zabawiłam. Muszę iść, nadrobić stracony czas.

---

\* Dylan Thomas, *Nie wchodził łagodnie do tej dobrej nocy*, tłum. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Muszę biec.

Nie powstrzymuję się: to nie jest bieżnia, więc mogę przeć z całych sił naprzód, przez gałęzie, w górę zbocza. Słowa wiersza Thomasa są tak dzikie i tak piękne, że bez ustanku powtarzam je w myślach. Wciąż mówię sobie w duchu: *nie wchodź łagodnie, nie wchodź łagodnie*. Dopiero gdy jestem już niemal na samym szczycie, coś sobie uświadamiam: nie bez powodu odrzucili ten wiersz, nie umieścili go w kanonie Stu.

Ten wiersz każe walczyć.

Kolejna gałąź uderza mnie w twarz, gdy docieram do polany, ale nie zwalniam, wybiegam na otwartą przestrzeń. Rozglądam się dokoła, szukam wzrokiem oficera. Nie ma go tutaj, ale na szczycie jest już ktoś inny. Ky Markham.

Stwierdzam ze zdumieniem, że jesteśmy sami na szczycie wzgórza. Nie ma tu Oficera, nie dotarł jeszcze żaden inny uczeń.

Ky jest niezwykle rozluźniony, jeszcze go takim nie widziałam. Opiera się na łokciach, wystawia twarz ku słońcu, ma zamknięte oczy. Wygląda inaczej niż zazwyczaj, jakby zdjął z twarzy maskę. Gdy mnie słyszy, unosi powieki i patrzy w moją stronę. I wtedy niemal mi się udaje, niemal dostrzegam coś rzeczywistego, nim zobaczę znów jedynie to, co on sam gotów jest mi pokazać.

Oficer wychodzi spomiędzy drzew obok mnie. Porusza się bardzo cicho, a ja zastanawiam się, co dostrzegł w lesie. Czy mnie widział? Spogląda na informator, który trzyma w dłoni, a potem ponownie na mnie.

– Cassia Reyes? – pyta. Widocznie wszystkie dane wskazywały na to, że będę druga. Najwidoczniej też poświęciłam czytaniu wierszy mniej czasu, niż mi się wydawało.

– Tak.

– Usiądź tu i poczekaj – mówi Oficer, wskazując na trawiastą polankę na szczycie wzgórza. – Pooglądaj widoki. Według tego minie

jeszcze kilka minut, nim ktokolwiek się tu zjawi. – Wskazuje na informator, a potem ponownie znika między drzewami.

Po chwili wahania podchodzę do Ky'a, staram się uspokoić. Serce wali mi jak szalone, nie może ochłonać po długim biegu. I wciąż nie może zapomnieć trzasku łamanej gałęzi.

– Cześć – mówi Ky, gdy podchodzę bliżej.

– Cześć. – Siadam na trawie obok niego. – Nie wiedziałam, że ty też się zapisałeś na piesze wycieczki.

– Mama uważała, że to dobry wybór.

Mimowolnie zwracam uwagę na to, z jaką swobodą używa słowa „mama” w odniesieniu do swojej ciotki Aidy. Myślę o tym, jak się dostosował do tego nowego życia, jak stał się jednym ze zwykłych mieszkańców Klonowej Gminy. Choć był nowy i inny, nie odstawał długo od pozostałych.

Właściwie nigdy nie widziałam, by kończył coś pierwszy.

– Pokonałeś dziś nas wszystkich – zauważam odruchowo, jakby nie było to oczywiste.

– Tak – mówi, patrząc na mnie. – Zgodnie z prognozami. Dorastałem w Zewnętrznych Prowincjach, więc mam największe doświadczenie w tego rodzaju aktywności. – Mówi oficjalnym tonem, jakby recytował jakieś dane, dostrzegam jednak warstwę potu na jego czole. Trzyma przed sobą wyprostowane, rozłożone nogi, jakby chciał dać im odpocząć, więc on również biegł i musiał robić to bardzo szybko. Czy w Zewnętrznych Prowincjach mają bieżnie? Jeśli nie, to dokąd tam biegł? Czy były tam też rzeczy, przed którymi musiał uciekać?

Kierowana jakimś niezrozumiałym impulsem, pytam Ky'a o coś, o co nie powinnam:

– Co się stało z twoją matką?

Spogląda na mnie ze zdumieniem. Wie, że nie mam na myśli Aidy i że nikt dotąd nie zadawał mu tego pytania. Ja sama nie wiem,



co mnie do tego skłoniło. Może śmierć dziadka i to, co przeczytałam w lesie, obudziły we mnie jakąś nową wrażliwość. A może nie chcę się zastanawiać nad tym, kto mógł mnie widzieć między krzewami.

Powinnam przeprosić. Nie robię tego jednak, nie z podłości, ale z przekonania, że Ky być może chce mi to powiedzieć.

Mylę się jednak.

– Nie powinnaś zadawać mi tego pytania – mówi. Nie patrzy na mnie, widzę więc tylko jego profil, ciemne włosy wilgotne od mgły i wody, która spłynęła z drzew. Pachnie lasem, a ja podnoszę dłonie do twarzy, by je powąchać – by się przekonać, czy i ja przesiąknęłam takim zapachem. Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że moje palce pachną papierem i atramentem.

Ky ma rację. Nie powinnam była zadawać tego pytania. Potem jednak on pyta mnie o coś, o co nie powinien:

– A kogo ty straciłaś?

– Co masz na myśli?

– To widać – odpowiada krótko. Patrzy teraz prosto na mnie. Jego oczy nadal są niebieskie.

Słońce grzeje mnie mocno w kark i czubek głowy. Zamykam oczy i podobnie jak Ky przed chwilą, wystawiam twarz do słońca, by jego ciepło objęło również moje oczy i nos.

Oboje milczymy. Po chwili unoszę powieki, a blask słońca oślepia mnie na moment. Wiem już, że chcę to powiedzieć Ky'owi.

– W zeszłym tygodniu zmarł mój dziadek.

– To było coś nieoczekiwanego?

– Nie – odpowiadam, choć w pewnym sensie było. Nie spodziewałam się, że dziadek powie to, co powiedział. Spodziewałam się jednak jego śmierci. – Nie – powtarzam. – To były jego osiemdziesiąte urodziny.

– Rozumiem – mówi powoli Ky, niemal do samego siebie. – Ludzie umierają tu w dzień osiemdziesiątych urodzin.

– Tak. Tam, skąd pochodzisz, jest inaczej? – Sama zaskakuje siebie tym pytaniem; przed chwilą dał mi do zrozumienia, że nie powinnam pytać o jego przeszłość. Tym razem jednak odpowiada:

– Tam... trudniej doczekać osiemdziesiątki.

Mam nadzieję, że na mojej twarzy nie widać zaskoczenia: czy w różnych miejscach umiera się w różnym wieku?

Na skraju lasu rozlega się czyjeś wołanie, słychać kroki. Oficer ponownie wychodzi spośród drzew i pyta o nazwiska ludzi, którzy docierają do polany.

Zmieniam pozycję, by stanąć prosto, i słyszę, jak puderniczka uderza o pojemnik z tabletkami ukryty w mojej kieszeni. Ky odwraca się do mnie, a ja wstrzymuję oddech. Zastanawiam się, czy wie, że w mojej głowie kryją się słowa, które wciąż powtarzam i staram się zapamiętać. Bo wiem już, że nigdy więcej nie będę mogła przeczytać tej kartki. Muszę się jej pozbyć. Siedząc obok Ky'ą, sycąc się blaskiem słońca, pozwalam, by mój umysł się oczyścił i uświadomił sobie, co oznaczał ten dźwięk, który słyszałam wcześniej w lesie. Ten ostry trzask łamanej gałęzi.

Ktoś mnie widział.

Ky bierze głęboki wdech, pochyla się do mnie.

– Widziałem cię – mówi głosem delikatnym i głębokim jak szmer wody opadającej w oddali. Starannie dobiera słowa, by nikt ich nie podsłuchał ani nie zrozumiał. – W lesie.

Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, dotyka mnie. Jego dłoń układa się na moim ramieniu, gorąca i delikatna, potem natychmiast się odsuwa.

– Musisz być ostrożna. Coś takiego...

– Wiem. – Mam ochotę odpowiedzieć mu tym samym gestem, również położyć dłoń na jego ramieniu, lecz nie robię tego. – Zamierzam to zniszczyć.

Jego twarz pozostaje niewzruszona, słyszę jednak niepokój w jego głosie.

– Dasz sobie radę?

– Myślę, że tak.

– Mógłbym ci pomóc. – Mówiąc to, zerka na Oficera w całkiem naturalny, swobodny sposób. Dopiero teraz zauważam coś, czego nie dostrzegałam wcześniej, bo potrafi to świetnie ukrywać: Ky zawsze zachowuje się tak, jakby ktoś go obserwował. I sam obserwuje.

– Jak mnie pokonałeś? – pytam nagle. – Skoro widziałeś mnie w lesie...

Ky wydaje się zaskoczony tym pytaniem.

– Biegłem.

– Ja też biegłam.

– Widocznie jestem szybszy – mówi, a na jego twarzy pojawia się na moment cień szelmowskiego uśmiechu. Potem jednak znów poważnie, przygląda mi się uważnie.

– Chcesz, żebym ci pomógł?

– Nie, nie, dam sobie radę. – Potem, żeby nie wziął mnie za idiotkę, która podejmuje niepotrzebne ryzyko, mówię więcej, niż mogę: – Dał mi to mój dziadek. Nie powinnam była trzymać tego tak długo. Ale... te słowa są takie piękne.

– Zapamiętasz je bez tego?

– Na razie. – W końcu mam umysł sortowaczki. – Ale wiem, że nie będę pamiętać ich bez końca.

– A chcesz?

Chyba jednak uważa mnie za idiotkę.

– Są takie piękne – powtarzam słabo.

Oficer wywołuje kolejne nazwiska, spomiędzy drzew wychodzi coraz więcej ludzi. Ktoś woła Ky'a, ktoś woła mnie. Żegnamy się ze sobą i rozchodzimy w różne miejsca na szczycie wzgórza.

Wszyscy wpatrują się w dal, w różne odległe miejsca. Ky i jego przyjaciele stoją zwróceny ku Ratuszowi i rozmawiają o czymś; Oficer patrzy na Wzgórze. Grupa, w której stoję ja, spogląda na jadalnię Arboretum, gawędzi o lunchu, o powrocie do Drugiej Szkoły, o tym, czy kolejka powietrzna będzie na czas. Ktoś śmieje się głośno, bo kolejki nigdy się nie spóźniają.

Odchylam głowę do tyłu i patrzę na słońce przez zamknięte powieki. Jest silniejsze ode mnie, barwi czerń powiek na czerwono.

Mam wrażenie, że pytania kłębiące się w mojej głowie brzęczą głośno, niczym owady w głębi lasu. „Co ci się stało w Zewnętrznych Prowincjach? Jakiego Naruszenia dopuścił się twój ojciec, że przyznano ci status Aberracji? Myślisz, że jestem szalona, bo chcę zachować te wiersze? Co takiego jest w twoim głosie, że chciałabym go częściej słuchać?

Czy to ty masz być moim Wybrankiem?”

Dopiero później uzmysławiam sobie, że jedynym pytaniem, które nie przyszło mi do głowy, było w istocie to najważniejsze: „Czy dochowasz mojej tajemnicy?”.

## ROZDZIAŁ 10

Moja okolica nie wygląda dziś tak jak zawsze; wydarzyło się coś niedobrego. Ludzie czekający na stacji mają posępne miny, nie rozmawiają ze sobą. Wsiadając, nie pozdrawiają tych, którzy wysiadają. Małe białe auto powietrzne, pojazd Funkcjonariuszy, stoi obok domu z niebieskim okiennicami przy naszej ulicy. Obok mojego domu.

Schodzę pospiesznie ze stopni, rozglądam się dokoła, wypatrując jakichś innych zmian. Chodniki nic mi nie mówią, są białe i czyste jak zawsze. Domy w pobliżu mojego, szczelnie zamknięte, są już nieco bardziej wymowne – jeśli to burza, to najlepiej przeczekać ją za zamkniętymi drzwiami.

Podwozie auta powietrznego jest rozstawione na trawie. Widzę jakieś postacie poruszające się za białymi zasłonami w oknach. Wchodzę szybko na schody i waham się przez moment. Mam zapukać?

Mówię sobie w duchu, że powinnam zachować spokój, nie panikować. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wyobrażam sobie niebieskie oczy Ky'a i od razu się uspokajam, uświadamiam sobie, że właściwe odczytanie tej sytuacji pomoże mi bezpiecznie przez nią przebrnąć. „To może być coś całkiem nieistotnego. Może sprawdzają system dystrybucji żywności, dom po domu. Kiedyś już to robili, w sąsiedniej Gminie. Słyszałam o tym.

Być może wcale nie chodzi o mnie”.

Czy mówią moim rodzicom o twarzy Ky'a na mikrokarcie? Czy wiedzą, co dał mi dziadek? Nie miałam jeszcze okazji zniszczyć wierszy. Wciąż mam w kieszeni tę kartkę. Czy ktoś poza Ky'em widział, jak czytałam je w lesie? Czy to but Oficera złamał gałązkę?

„Być może chodzi właśnie o mnie”.

Nie wiem, co się dzieje, kiedy ludzie łamią zasady, bo w Gminie nikt tego nie robi. Od czasu do czasu ktoś zostaje odnotowany, na przykład Bram, gdy się spóźni. Ale to drobiazgi, drobne błędy, które mogą przytrafić się każdemu. Mają niewiele wspólnego z dużymi błędami albo z błędami popełnianymi celowo. Z Naruszeniami.

Nie będę pukać. To mój dom. Biorę głęboki oddech, przekręcam gałkę i otwieram drzwi.

Ktoś czeka na mnie w środku.

– Wróciłaś – mówi Bram z ulgą w głosie.

Moja dłoń zaciska się na kartce, którą ukrywam w kieszeni, zerkam w stronę kuchni. Może uda mi się dotrzeć do rury spalarki i wrzucić kartkę w ogień. Tyle że rura odnotuje obecność obcej substancji: gruba kartka różni się od papierowych odpadków – serwetek, wydruków, kopert – które wolno nam wyrzucać w domu. Mimo wszystko może to być bezpieczniejsze niż trzymanie kartki przy sobie. Nie będą w stanie odtworzyć słów, gdy papier już spłonie.

Z holu do kuchni przechodzi Funkcjonariusz Biomedyczny w długim białym fartuchu. Wypuszczam kartkę, wydaję pustą dłoń z kieszeni.

– Co się stało? – pytam Brama. – Gdzie są mama i tata?

– Tutaj – odpowiada Bram drżącym głosem. – W swoim pokoju. Funkcjonariusze przeszukują tatę.

– Dlaczego? – Mój tata nie ma wierszy. Nic o nich nie wie. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ky został Aberracją z powodu Naruszenia, którego dopuścił się jego ojciec. Czy mój błąd odmieni los całej mojej rodziny?

Być może jednak puderniczka to najbezpieczniejszy schowek dla wierszy. W końcu dziadek trzymał je tam przez wiele lat.

– Zaraz wracam – mówię do Brama, po czym idę do swojego pokoju i wyciągam puderniczkę z szafki. Otwieram podstawkę i wkładam kartkę do środka.

– Czy ktoś przyszedł? – pyta Brama jeden z Funkcjonariuszy.

– Moja siostra – odpowiada przełknięty Bram.

– Dokąd poszła?

Zatrząskuję podstawkę. Nie zamyka się dobrze. Kawałek papieru wystaje na zewnątrz.

– Jest w swoim pokoju, przebiera się. Wróciła brudna z pieszej wycieczki. – Tym razem Bram wydaje się już spokojniejszy. Osłania mnie, choć nie wie nawet dlaczego. I całkiem nieźle sobie z tym radzi.

Słyszę kroki w holu, ponownie otwieram puderniczkę, wsuwam papier na miejsce.

Podstawa zamyka się z głuchym trząskiem. Wreszcie. Jedną ręką rozsuwam zamek ubrania, drugą odkładam puderniczkę na półkę. Gdy ktoś otwiera drzwi, odwracam głowę, zaskoczona i oburzona.

– Przebieram się! – krzyczę.

Funkcjonariusz kiwa głową, widząc smugi brudu na moich ubraniach.

– Przejdź do holu, jak tylko skończysz – mówi. – Szybko.

Moje dłonie drżą lekko, kiedy zdejmuję ubranie pachnące lasem i odkładam je do pojemnika na brudną bieliznę. Wkładam inny zestaw ubrań powszednich i pozbawiona wszystkiego, co może wyglądać lub pachnieć jak poezja, wychodzę ze swojego pokoju.

– Tata nie oddał próbki tkanki dziadka – szepcze Bram, gdy wracam do holu. – Zgubił ją. Dlatego tutaj są. – Przez moment

ciekawość bierze w nim górę nad strachem. – Dlaczego musiałaś się tak szybko przebrać? Nie byłaś aż tak brudna.

– Byłam brudna – odpowiadam z naciskiem. – Tss. Słuchaj.

Słyszę jakieś przytłumione pomruki dobiegające z pokoju rodziców, potem podniesiony głos mamy. Nie mogę uwierzyć w to, co powiedział mi Bram. Mój tata zgubił próbkę dziadka?

Smutek przytłacza wypełniający mnie strach. To bardzo, bardzo źle, że tata popełnił tak okropny błąd. Nie tylko dlatego, że może to oznaczać kłopoty dla nas wszystkich. Gorsze jest to, że dla dziadka oznacza to nieodwracalny koniec. Bez próbki nie przywróca go do życia.

Nagle zaczyna mi zależeć na tym, by Funkcjonariusze znaleźli jednak coś w naszym domu.

– Poczekaj tu – przykazuję Bramowi, a potem idę do kuchni. Funkcjonariusz Biomedyczny stoi przy pojemniku z odpadkami, przesuwając jakimś urządzeniem w górę i w dół, potem na boki. Cofa się o krok i powtarza tę samą procedurę w innym miejscu. Dostrzegam napis umieszczony na boku urządzenia. Detektor biologiczny.

Uspokajam się nieco. Oczywiście. Muszą mieć coś, co wykryje kod paskowy wryty na pojemniku z próbką dziadka. Nie muszą przewracać do góry nogami całego domu. Może jednak wcale nie znajdą kartki z wierszami. A może znajdą za to próbkę.

„Jak tata mógł zgubić coś tak ważnego? Jak mógł zgubić własnego ojca?”.

Nie zważając na moje polecenie, Bram idzie za mną do kuchni. Dotyka mojej ręki i oboje odwracamy się ponownie w stronę holu.

– Mama ciągle się z nimi kłóci – mówi, wskazując na pokój rodziców. Biorę Bramę za rękę i ściskam ją mocno. Funkcjonariusze nie muszą przeszukiwać taty: mają odpowiednie przyrządy, dzięki którym mogą znaleźć próbkę. Domyślam się jednak, że chcą też, by



dobrze zapamiętał ten dzień i uświadomił sobie, że powinien bardziej uważać na coś tak cennego.

– Czy mamę też przeszukują? – pytam Brama. Czy wszyscy będziemy musieli poddać się tej upokarzającej procedurze?

– Chyba nie – odpowiada Bram. – Po prostu chciała tam być z tatą.

Otwierają się drzwi sypialni rodziców, Bram i ja odskakujemy do tyłu, robiąc miejsce Funkcjonariuszom. Z powodu białych fartuchów laboratoryjnych wydają się wysocy i czyści. Jeden z nich widzi, że jesteśmy wystraszeni, uśmiecha się, chcąc nas w ten sposób uspokoić. Bez powodzenia. Nie może przywrócić utraconej próbki dziadka ani godności taty. Co się stało, to się nie odstanie.

Tata idzie za Funkcjonariuszami, blady i nieszczęśliwy. Mama z kolei jest zaczerwieniona i rozgniewana. Przechodzi za Funkcjonariuszami i tatą do salonu. Bram i ja stoimy w drzwiach, obserwujemy rozwój wydarzeń.

Nie znaleźli próbki. Opuszczam głowę, załamana. Tata stoi na środku pokoju, podczas gdy Zespół Biomedyczny robi mu wyrzuty.

– Jak mógł pan to zrobić?

Tata kręci głową.

– Nie wiem. To niewybaczone. – Wypowiada te słowa bezbarwnym jednostajnym głosem, jakby powtarzał je już wiele razy, jakby nie przypuszczał, że Funkcjonariusze zechcą mu uwierzyć. Stoi wyprostowany, z podniesioną głową, jak zawsze, ale jego twarz wydaje się stara i zmęczona.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, że teraz nie da się go już w żaden sposób przywrócić do życia – mówią.

Tata kiwa głową ze smutkiem. Choć jestem na niego wściekła, że zgubił próbkę, widzę, że czuje się naprawdę okropnie. Oczywiście, że tak się czuje. Tu chodzi o dziadka. Mam ochotę wziąć go za rękę, dokoła jest jednak zbyt wielu Funkcjonariuszy.

Uświadamiam sobie, że zachowuję się jak hipokrytka. Przecież ja też zrobiłam dzisiaj coś wbrew regułom, i to celowo.

– Może pan ponieść w związku z tym pewne sankcje w pracy – mówi jedna z Funkcjonariuszek głosem tak pełnym złości, że zastanawiam się, czy ona sama nie zostanie w związku z tym odnotowana. Nikomu nie wolno mówić w ten sposób. Nawet jeśli dojdzie do błędu, nie wolno traktować takich spraw osobiście. – Jak może pan się zajmować odnawianiem i usuwaniem artefaktów, skoro nie potrafi pan upilnować jednej próbki? I to takiej ważnej próbki.

Inny Funkcjonariusz dodaje cicho:

– Stracił pan próbkę należącą do pańskiego własnego ojca. I nie zgłosił pan tego nikomu.

Tata przesuwając dłonią po twarzy.

– Bałem się – mówi. Zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie muszą mu tego mówić. Ciała zmarłych kremowane są w ciągu kilku godzin po śmierci. Nie można już pobrać drugiej próbki. To koniec. Dziadek odszedł na zawsze.

Mama zaciska mocno usta, jej oczy miotają pioruny, ale wcale nie złości się na tatę. Jest wściekła na Funkcjonariuszy, którzy niepotrzebnie robią tacie wyrzuty.

Choć nie ma już nic do powiedzenia, Funkcjonariusze wciąż nie wychodzą. Mija kilka chwil zimnej ciszy, wszyscy milczą i rozmyślają o tym, że nic już nie może uratować dziadka.

W kuchni rozlega się sygnał – przysłano naszą kolację. Mama wychodzi z salonu. Słyszę, jak przenosi tacki z jedzeniem na stół. Kiedy wraca do pokoju, jej buty stukają głośno i stanowczo o podłogę.

– Jest już pora posiłku – mówi, patrząc na Funkcjonariuszy. – Obawiam się, że nie przysłali dodatkowych porcji.

Funkcjonariusze robią gniewne miny. Czyżby próbowała się ich pozbyć? Trudno stwierdzić to jednoznacznie. Twarz mamy wydaje się przyjazna, ton jej głosu jest smutny, choć stanowczy. Wygląda prześlicznie, blond włosy spływają jej po szyi, na policzkach lśnią rumieńce. Nie powinno to mieć żadnego znaczenia. A jednak ma.

Poza tym nawet Funkcjonariusze nie wążą się przerywać posiłków.

– Złożymy odpowiedni raport – mówi najwyższy. – Jestem pewien, że sprawa ta zostanie odnotowana tam, gdzie należy, a kolejny błąd zostanie potraktowany jako Naruszenie.

Tata kiwa głową, a mama spogląda wymownie w stronę kuchni, dając im do zrozumienia, że jedzenie stygnie i traci ważne wartości odżywcze. Funkcjonariusze żegnają nas skinieniem głowy i wychodzą jeden po drugim. Przechodzą przez hol, obok portu, przez jedyne drzwi w domu.

Kiedy wreszcie znikają nam z oczu, cała rodzina oddycha z ulgą. Tata odwraca się do nas.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam.

Spogląda na mamę i czeka, aż coś powie.

– Nie przejmuj się tym – oznajmia dzielnie mama. Wie, że ten błąd zostanie już na stałe wpisany do bazy danych taty. Wie, że nie da się już przywrócić życia dziadkowi. Ale kocha mojego tatę. Czasami myślę sobie, że kocha go aż za bardzo. Myślę tak właśnie teraz. Bo skoro ona nie jest na niego zła, to jak ja mogę być?

Kiedy siadamy do kolacji, mama obejmuje go i opiera na moment głowę na jego ramieniu, a dopiero potem podaje mu pojemnik. Tata wyciąga rękę i dotyka jej włosów i policzka.

Obserwując ich, myślę, że kiedyś coś podobnego może przydarzyć się mnie i Xanderowi. Będziemy ze sobą tak zżyci, że nasze losy złączą się w jedno. Będziemy jak drzewo, które mama przesadziła kiedyś w Arboretum. Pokazywała mi je, gdy przyszłam ją odwiedzić. To było jeszcze małe drzewko, ale jego korzenie wniknęły

głęboko w ziemię, zamknęły ją w uścisku, gdy mama przenosiła je na nowe miejsce.

Czy Ky zrobił coś podobnego, kiedy się tutaj przeniósł? Czy przywiózł coś ze sobą? To byłoby bardzo trudne, na pewno dokładnie go przeszukiwali, a on musiał szybko przystosować się do nowej rzeczywistości. Mimo wszystko jestem przekonana, że coś ze sobą zabrał. Jakiś sekret, coś niematerialnego. Coś, co dodaje mu sił. Fragment domu.

Zaciskam dłonie i uderzam mocno stopami w powierzchnię bieżni.

Żałuję, że nie mogę pobiegać na zewnątrz, z dala od smutku i wstydu wypełniających mój dom. Pot ścieka strumieniami po mojej twarzy i włosach, wsiąka w ubranie. Ocieram twarz i patrzę na ekran bieżni.

Wyświetlacz pokazuje niewielkie wzniesienie – symulację wzgórza. Doskonale. Właśnie dotarłam do najtrudniejszej, najszybszej części treningu. Podo mną przesuwają się pasy materiału nazywane bieżnią, podobnie jak tor, po którym biegali kiedyś ludzie. Bieżnia nie tylko pozwala ludziom ćwiczyć, ale i zbiera o nich informacje. Jeśli biegniesz zbyt daleko, możesz być masochistą, anorektyczką lub mieć jeszcze inne zaburzenia, a wtedy musisz spotkać się z Funkcjonariuszem Psychologii, który cię zbada. Jeśli Funkcjonariusz uzna, że wysilasz się tak bardzo, bo to lubisz, dostajesz specjalne zezwolenie atletyczne. Ja mam takie zezwolenie.

Bolą mnie trochę nogi. Patrzę przed siebie i staram się wyobrazić sobie twarz dziadka, zatrzymać w głowie ten obraz. Jeśli rzeczywiście nie ma już żadnych szans, by do nas powrócił, to muszę zachować go w pamięci, to nie mogę pozwolić, by odszedł w niebyt.

Zbocze staje się coraz bardziej strome, utrzymuję jednak tempo. Żałuję, że nie mogę przywołać uczucia, którego doznałam wcześniej, w ciągu dnia, gdy wspinaliśmy się na prawdziwe wzgórze, na zewnątrz, że nie mogę odtworzyć gałęzi, krzewów, błota i słońca

na szczycie, gdzie czekał na mnie chłopiec, który wie więcej, niż chce powiedzieć.

Bieżnia wydaje sygnał dźwiękowy. Pięć minut do końca ćwiczeń, do momentu, w którym przebiegnę zaplanowany dystans i zwolnię, by utrzymać właściwe tętno i zachować optymalny stosunek masy ciała do wzrostu. Muszę być zdrowa. Między innymi właśnie dzięki temu tworzymy tak wspaniałe społeczeństwo, dzięki temu żyjemy tak długo.

Udane pożycie małżeńskie i zdrowie ciała to elementy, które według badań wpływają na długość i jakość życia. Możemy cieszyć się tym wszystkim. Żyjemy długo i dobrze. Umieramy w wieku osiemdziesięciu lat, w otoczeniu rodziny, nim dopadnie nas demencja starcza. Rak, choroby serca i większość innych groźnych chorób zostały niemal w całości wyeliminowane. Żadne inne społeczeństwo w historii świata nie było jeszcze tak blisko ideału.

Moi rodzice rozmawiają na górze. Brat odrabia zadanie, a ja biegnę donikąd. Każdy z nas robi to, co powinien robić. Wszystko będzie dobrze. Moje stopy uderzają miarowo o bieżnię, krok po kroku pozbywam się nękających mnie trosk. Krok po kroku, po kroku, po kroku.

Jestem zmęczona, nie wiem, czy dam radę pobiec dalej, gdy bieżnia wydaje kolejny sygnał, zwalnia, a potem się zatrzymuje. Idealne wyczucie czasu, trening doskonały zaprogramowany przez Społeczeństwo. Pochylam głowę, dyszę ciężko. Na szczycie tego wzgórza nie ma nic do oglądania.

Bram siedzi na skraju mojego łóżka, czeka na mnie. Trzyma coś w dłoniach. Jestem pewna, że to moja puderniczka, robię krok do przodu, zaniepokojona. Czy znalazł wiersze? Potem jednak uświadamiam sobie, że to zegarek dziadka. Artefakt Brama.

– Kilka minut temu wysłałem przez port wiadomość do Funkcjonariuszy – mówi Bram. Podnosi na mnie oczy, smutne i zmęczone.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam zszokowana. Dlaczego chciał się widzieć albo rozmawiać z Funkcjonariuszami po tym, co się dzisiaj wydarzyło?

Bram podnosi zegarek.

– Pomyślałem, że może uda im się pobrać tkanki z tego. Dziadek dotykał tego tak wiele razy.

Nadzieja wzbiera w moich żyłach jak adrenalina. Wyciągam z szafki ręcznik i wycieram nim twarz.

– Co powiedzieli? Przysłali ci jakąś odpowiedź?

– Powiedzieli, że to za mało. Że nie wystarczy. – Pociera lśniąca powierzchnię zegarka rękawem, usuwa ślady swoich palców. Potem spogląda na tarczę zegarka, jakby mógł z niej coś wyczytać.

Ale nie umie jeszcze określać czasu. Poza tym zegarek dziadka nie działa już od dziesięcioleci. To tylko piękny artefakt. Ciężki, wykonany ze srebra i szkła. W niczym nie przypomina plastikowych pasków, które nosimy teraz na rękach.

– Wyglądam jak dziadek? – pyta Bram z nadzieją. Wsuwa zegarek na rękę. Bransoleta zwiesza się luźno z jego chudego nadgarstka. Szczupły, drobny, brązowooki i wyprostowany w tym momencie rzeczywiście przypomina nieco dziadka.

– Tak – odpowiadam. Zastanawiam się, czy i we mnie można dostrzec jakieś podobieństwo do dziadka. Podobała mi się dzisiejsza wycieczka. Lubię czytać Sto Wierszy. To, co było częścią jego, jest również częścią mnie. Myślę o drugich dziadkach, tych, którzy mieszkają na Ziemiach Uprawnych, o Ky’u Markhamie i Prowincjach Zewnętrznych, o wszystkich rzeczach, których nie znam, i miejscach, których nigdy nie zobaczę.

Bram uśmiecha się, zadowolony z mojej odpowiedzi, i spogląda z dumą na zegarek.

– Bram, wiesz, że nie możesz zabrać tego do szkoły. Mógłbyś narobić sobie kłopotów.

– Wiem.

– Widziałeś, co się stało z tatą, kiedy Funkcjonariusze dobrali mu się do skóry. Na pewno nie chcesz, żeby czepili się i ciebie za złamanie zasad dotyczących artefaktów.

– Nie złamię ich – odpowiada. – Nie jestem taki głupi. Nie chcę tego stracić. – Sięga po moje srebrne pudełko z Bankietu. – Mogę schować to tutaj? Wydaje mi się, że to dobre miejsce. Wiesz, wyjątkowe. – Zakłopotany wzrusza ramionami.

– Jasne – odpowiadam, nieco zdenerwowana. Obserwuję, jak otwiera pudełko i starannie układa zegarek obok mikroarty. Nawet nie zerka na puderniczkę leżącą na półce, za co jestem wdzięczna losowi.

Później, tej samej nocy, gdy Bram poszedł już spać, otwieram puderniczkę i wyjmuję z niej kartkę. Nie patrzę na nią, lecz wsuwam do kieszeni ubrania powszedniego na następny dzień. Jutro znajdę spalarkę śmieci położoną z dala od domu i tam wrzucę papier. Nie chcę, by ktoś mnie przyłapał, jak robię to tutaj. Teraz to zbyt niebezpieczne.

Kładę się na łóżku i patrzę na sufit, znów próbuję sobie wyobrazić twarz dziadka. Nie mogę. Zirytowana przewracam się na bok, a coś twardego wbija mi się w bok. Mój pojemnik na tabletki. Musiałam go upuścić, kiedy przebierałam się wcześniej. Rzadko bywam taka nieuważna, to nie w moim stylu.

Siadam. Blask latarni przenika przez okno, jest dość jasny, bym widziała tabletki, które wysypują na łóżko. Przez moment, nim moje oczy przywykną do ciemności, wszystkie pigułki wydają mi się takie same. Potem jednak rozróżniam poszczególne kolory. Tajemnicza czerwona tabletki. Niebieska, która pomoże nam przetrwać w trudnej sytuacji, bo nawet Społeczeństwo nie może w pełni kontrolować natury.

I zielona.

Większość znanych mi ludzi od czasu do czasu zażywa zieloną tabletkę. Przed ważnym testem. W przeddzień Bankietu Doboru. Zawsze, gdy chcesz się uspokoić. Jeśli korzystasz z niej nie częściej niż raz w tygodniu, Funkcjonariusze nie zwracają na to uwagi.

Ale ja nigdy nie zażywałam zielonej pigułki.

Przez dziadka.

Z dumą pokazałam mu tabletkę, gdy zaczęłam ją nosić.

– Spójrz – powiedziałam, otwierając srebrzysty pojemnik. – Teraz mam już niebieską i zieloną. Jeszcze tylko czerwona i będę dorosła.

– Ach... – Dziadek pokiwał głową z należytym uznaniem. – Dorastas, nie ma co do tego wątpliwości. – Zamilkł na moment. Spacerowaliśmy po zielonych obszarach w pobliżu jego apartamentu. – Zażywałaś już tę zieloną?

– Jeszcze nie – odparłam. – Ale na zajęciach z Kultury w przyszłym tygodniu będę miała prezentację na temat jednego ze Stu Obrazów. Może wtedy wezmę sobie jedną. Nie lubię publicznie przemawiać.

– Którego obrazu? – spytał.

– Numeru dziewiętnaście – wyjaśniłam. Dziadek zamyślił się na moment, próbował sobie przypomnieć, który to obraz. Nie znał Stu Obrazów tak dobrze jak Stu Wierszy. Po chwili jednak przywołał z pamięci właściwy.

– Thomasa Morana, tak? – upewnił się, a ja skinęłam głową. – Podobają mi się kolory na tym obrazie.

– Mnie zachwyca niebo – odpowiedziałam. – Jest takie dramatyczne. Wszystkie te chmury w górze, no i sam kanion. – Krajobraz przedstawiony na obrazie wydawał się niebezpieczny – ciemne chmury pędzące po niebie, poszarpane skały – i to też mi się podobało.

– Tak. – Dziadek ponownie skinął głową. – To piękny obraz.



– Podobny do tego – powiedziałam, choć otaczająca nas zieleń była piękna w zupełnie inny sposób. Wszędzie kwitły kwiaty, lśniły kolorami, których nie wolno nam było nosić: różem, żółcią, czerwienią. Przyciągały wzrok, wypełniały powietrze aromatem.

– Zielony świat i zielona tabletką – powiedział dziadek, a potem spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Zielone oczy i zielona dziewczyna.

– To brzmi jak poezja – odrzekłam, a dziadek się roześmiał.

– Dziękuję. – Znow umilkł na moment. – Na twoim miejscu nie zażywałbym tej zielonej tabletki, Cassio. Nie przed prezentacją. I być może nigdy. Jesteś dość silna, żeby poradzić sobie bez tego.

Teraz leżę na łóżku i ściskam w dłoni zieloną pigułkę. Nie zażyję jej nawet dziś. „Dziadek uważa, że jestem dość silna, żeby poradzić sobie bez tego”. Zamykam oczy i myślę o jego poezji.

*Zielona tabletką. Zielony świat. Zielone oczy. Zielona dziewczyna.*

Kiedy już zasypiam, śni mi się, że dziadek dał mi bukiet róż. „Weź to zamiast tabletki” – mówi. Tak też robię. Zrywam płatki z róż. Odkrywam ze zdumieniem, że na każdym z nich zapisane jest słowo, słowo z jednego z wierszy. Nie są ułożone we właściwym porządku, zastanawia mnie to, ale wkładam płatki do ust i przegryzam je. Mają gorzki smak, przypuszczam, że tak właśnie smakuje zielona tabletką. Wiem, że dziadek ma rację: muszę zatrzymać te słowa w sobie, jeśli chcę je zachować na zawsze.

Kiedy budzę się rano, zielona tabletką wciąż jest w mojej dłoni, a słowa wciąż są w moich ustach.

## ROZDZIAŁ 11

Odgłosy śniadania niosą się z kuchni przez hol, docierają do mojego pokoju. Dzwonek oznajmiający przybycie żywności. Trzask – to Bram coś przewrócił. Zgrzyt krzesła o podłogę, głosy rodziców rozmawiających z moim bratem. Wkrótce zapach jedzenia przepływa pod moimi drzwiami, a może przenika przez cienkie ściany naszego domu, przesiąka wszystko. Dobrze znam tę woń, woń witamin i czegoś metalicznego, może pojemnika.

– Cassio? – mówi mama zza drzwi. – Spóźniasz się na śniadanie.

„Wiem. Chcę się spóźnić. Nie chcę widzieć dziś mojego taty. Nie chcę rozmawiać o tym, co stało się wczoraj, ale nie chcę też o tym milczeć. Nie chcę siedzieć przy stole i udawać, że dziadek nie odszedł na zawsze”.

– Już idę – mówię i wstaję z łóżka. Z dołu dociera głos wiadomości przekazanej przez port, wydaje mi się, że słyszę słowa „piesza wycieczka”.

Kiedy wchodzę do kuchni, taty już tam nie ma, wyszedł do pracy. Bram wkłada ubrania na deszcz i szczyrzy zęby w uśmiechu. Jak mógł tak szybko zapomnieć o poprzednim wieczorze?

– Dzisiaj ma padać – informuje mnie. – Odwołali twoją pieszą wycieczkę. Mówili o tym przez port.

Mama podaje Bramowi czapkę, a on wciska ją na głowę.

– Do zobaczenia! – mówi i wychodzi z domu, choć raz przed przyjazdem kolejki, bo lubi deszcz.

– Wygląda na to, że masz trochę wolnego – stwierdza moja mama. – Co z tym zrobisz?

Wiem od razu. Większość moich koleżanek i kolegów spędzi ten czas na dziedzińcu przed szkołą albo będzie odrabiać zadania w szkolnej bibliotece. Ja zrobię coś innego, odwiedzę inną bibliotekę.

– Chyba wybiorę się z wizytą do taty.

Oczy mamy łagodnieja, uśmiecha się.

– Na pewno się z tego ucieszy, bo nie spotkaliście się rano. Ale nie będzie mógł na długo oderwać się od pracy.

– Wiem. Chcę się z nim tylko przywitać. – „I zniszczyć coś niebezpiecznego, coś, czego nie powinnam mieć. Coś, co rzeczywiście mogłoby się znaleźć w starej bibliotece, więc nie wzbudzi niczych podejrzeń, jeśli naprawdę kontrolują skład wszystkiego, co trafia do spalarek”.

Podnoszę jeden z suchych tostów zapakowanych w foliowy pojemnik i próbuję sobie wyobrazić, jak oba wiersze wyglądały na papierze. Chcę zatrzymać w pamięci wszystkie słowa. Co do jednego. Czy uda mi się zerknąć na kartkę, nim ją zniszczę? Czy mogę jakoś zachować te słowa?

Gdybyśmy umieli normalnie pisać, a nie tylko wystukiwać słowa na naszych pisakach. Wtedy mogłabym je kiedyś utrwalić. Mogłabym je mieć przy sobie, kiedy już się zestarzeję.

Wyglądam przez okno, obserwuję Brama, który czeka na kolejkę. Jeszcze nie pada, ale on podskakuje na metalowych stopniach peronu. Uśmiecham się do siebie i mam nadzieję, że nikt nie każe mu przestać, bo dobrze wiem, co robi. Gdy nie ma prawdziwych grzmotów, tworzy swoje własne.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, Ky jest jedyną osobą, która idzie w stronę stacji. Kolejka do Drugiej Szkoły już odjechała, a następna jedzie do Miasta. Ky musi się zgłosić do pracy, kiedy jego zajęcia rekreacyjne zostaną odwołane, nie może liczyć na nadprogramowy wolny czas. Kiedy obserwuję, jak idzie przed siebie, z wyprostowanymi ramionami i wysoko uniesioną głową, uzmysławiam sobie

nagle, jak musi się czuć samotny. Tyle czasu poświęcił na to, by wtopić się w tłum, a teraz znów został od niego oddzielony.

Ky słyszy, że idę za nim, i się odwraca.

– Cassio – mówi zaskoczony. – Spóźniłaś się na kolejkę?

– Nie. – Zatrzymuję się w odległości kilku kroków, by dać mu wolną przestrzeń, jeśli jej potrzebuje. – Jadę tą. Chcę odwiedzić mojego tatę. No wiesz, skoro odwołali wycieczkę...

Ky mieszka w naszej Gminie, więc oczywiście wie, że wczoraj byli u nas Funkcjonariusze. Jednak nie wspomni o tym ani słowem – nikt z sąsiadów tego nie robi. To nie ich sprawa, chyba że Społeczeństwo uzna inaczej.

Robię krok w stronę kolejki, w stronę Ky'a. Jestem pewna, że ruszy w górę schodów, na peron, ale on idzie w moją stronę. W oddali, za jego plecami widać najeżone drzewami zbocze Wzgórza, a ja zastanawiam się, czy kiedykolwiek tam wejdziemy. Burza, wciąż odległa o kilka kilometrów, przetacza się ciężko po niebie, wydaje groźne pomruki. Ky spogląda w górę.

– Deszcz – mówi cicho, niemal do siebie, po czym ponownie spogląda na mnie. – Jedziesz do jego biura w Mieście?

– Nie, dalej. Tata pracuje teraz na skraju Gminy Nadrzecznej.

– Zdasz wrócić stamtąd przed szkołą?

– Chyba tak. Robiłam to już, kiedy tata pracował poza biurem.

Na tle chmur oczy Ky'a wydają się jaśniejsze, odbija się w nich szarość nieba. Nagle przychodzi mi do głowy niepokojąca myśl: może jego oczy nie mają żadnego koloru. Może odbijają tylko to, w co się ubiera, czym każą mu być Funkcjonariusze. Kiedy nosił brązowe ubranie, były brązowe. Teraz, gdy ubiera się na niebiesko, są niebieskie.

– O czym myślisz? – pyta.

Mówię mu prawdę.

– O kolorze twoich oczu.

Ta odpowiedź nieco go zaskakuje, potem się jednak uśmiecha. Uwielbiam jego uśmiech, widzę w nim ślad tamtego chłopca, którym był na basenie. Czy jego oczy były wtedy niebieskie? Nie pamiętam. Żałuję, że nie przyjrzałam mu się wtedy uważniej.

– A ty o czym myślisz? – pytam. Spodziewam się, że jak zawsze zamkną się zasłony w jego oczach, że udzieli mi jakiejś standardowej odpowiedzi w rodzaju: „Myślałem o tym, co muszę zrobić dziś w pracy” albo „O zajęciach na sobotnie godziny rekreacji”.

Ale wcale tego nie robi.

– O domu – odpowiada krótko, wciąż patrząc na mnie.

Przez dłuższą chwilę patrzymy na siebie bez zakłopotania. Czuję, że on wie. Nie jestem pewna, co wie – czy zna mnie już na wylot, czy tylko jakąś cząstkę mnie.

Ky milczy. Spogląda na mnie tymi zmiennymi oczami, które niegdyś wydawały mi się brązowe, a teraz niebieskie. Ja również mu się przypatruję. Myślę, że w ciągu ostatnich dni patrzyliśmy na siebie dłużej niż w ciągu całej dotychczasowej znajomości.

Ciszę przerywa głos spikerki na stacji:

– Nadjeżdża pociąg.

Oboje w milczeniu wchodzimy na stopnie peronu, ścigając się z widocznymi w oddali chmurami. Na razie wygrywamy, docieramy na peron w chwili, gdy zatrzymuje się kolejka. Razem wchodzimy do środka, dołączamy do grup innych ludzi w niebieskich ubraniach i kilku Funkcjonariuszy.

Nie ma dwóch wolnych miejsc obok siebie. Pierwsza znajduje fotel, Ky siada naprzeciwko mnie. Pochyla się do przodu, opiera łokcie na kolanach. Ktoś, jakiś inny pracownik, wita się z nim z daleka, Ky odpowiada na przywitanie. Kolejka jest zatłoczona, ludzie ciągle przechodzą między nami, ale co jakiś czas go widzę. Uświadamiam sobie, że być może po części właśnie dlatego postano-

wiłam odwiedzić dziś tatę: nie tylko po to, by zniszczyć kartkę, ale by pojechać tą kolejką z Ky'em.

Dojeżdżamy do jego stacji. Wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Z wysokości peronu ruiny starej biblioteki wyglądają tak, jakby oblaży ją ogromne czarne pająki. Olbrzymie czarne spalarki rozkładają dokoła swe długie, podobne do nóg rury, sięgają nimi do odległych cegieł i do piwnic. Pozostałe części budynku zostały już zburzone.

Schodzę ze stopni stacji i idę w stronę biblioteki. To nie jest moje miejsce, nie należę do niego. Ale też nikt nie zakazuje mi tu chodzić. Podchodzę bliżej, zaglądam do wielkiego dołu. Robotnicy w niebieskich ubraniach powszednich trzymają rury spalarek i wciągają do nich sterty papierów.

Tata opowiedział nam o swojej pracy. Kiedy byli już pewni, że przeszukali wszystko dokładnie, znaleźli jeszcze stalowe skrzynie z książkami, ułożone głęboko w piwnicach, jakby ktoś celowo próbował je ukryć i zachować dla przyszłości. Tata i inni specjaliści przejrzeni skrzynie, stwierdzili, że nie ma w nich nic szczególnego, i postanowili spalić całą ich zawartość.

Jedna z postaci ubrana jest na biało. Funkcjonariusz. Mój tata. Wszyscy pracownicy noszą hełmy ochronne, więc nie widzę jego twarzy, wydaje mi się jednak, że odzyskał już pewność siebie. Chodzi zdecydowanym krokiem, bez wahania wydaje polecenia i wskazuje miejsca, gdzie należy przesunąć rury spalarek.

Czasami zapominam, że mój tata jest Funkcjonariuszem. Rzadko widzę go na służbie, w uniformie, który wkłada w pracy. Widok taty w białym ubraniu uspokoja mnie – nie zdegradowali go po ostatnim wieczorze, przynajmniej na razie – a zarazem denerwuje. To dziwne, kiedy zna się dwa całkiem różne wizerunki jednej osoby.

Przychodzi mi do głowy inna myśl. Nim skończył siedemdziesiąt lat i musiał zrezygnować z pracy, dziadek również był Funkcjonariuszem. „Ale tata i dziadek to coś innego” – mówię sobie. Żaden z nich nie jest ani nie był Funkcjonariuszem wysokiego szczebla w miejscach takich jak Departament Doboru czy Departament Bezpieczeństwa. To właśnie one zajmują się większością rzeczy kojarzonych z Funkcjonariuszami, takich jak tworzenie i wprowadzanie przepisów. My specjalizujemy się w myśleniu, a nie wymuszaniu, analizujemy, a nie działamy.

Zazwyczaj. Moja prababcia, która również była Funkcjonariuszką, ukradła jednak ten wiersz.

Mój tata spogląda na niebo. Nadciąga burza. Powinni się spieszyć, ale muszą też działać metodycznie.

– Nie możemy tak po prostu podpalić wszystkiego – powiedział kiedyś tata. – Te rury działają tak samo jak nasze domowe spalarki. Zapisują ilość i skład niszczonych materiałów.

Zostało jeszcze kilka stert książek. Robotnicy, kierując się poleceniami taty, przechodzą od jednej do drugiej. Pojedyncze kartki palą się szybciej niż całe książki, więc robotnicy rozcinają książki, patroszą je wzdłuż grzbietów, przygotowując w ten sposób do zniszczenia.

Tata ponownie spogląda na niebo i pokazuje robotnikom, że muszą się pospieszyć. Powinnam już wracać do szkoły, ale wciąż patrzę.

Nie jestem sama. Kiedy spoglądam w górę, na drugą stronę przepaści wypełnionej spalarkami i książkami, dostrzegam inną postać w bieli. Funkcjonariusza. On także przygląda się tej scenie. Pilnuje mojego ojca.

Robotnicy przeciągają rurę spalarki do kolejnej sterty książek. Ich grzbiety są połamane i pocięte, ze środka wysypują się kości, białe i delikatne. Robotnicy wpychają je do rury, chodzą po nich. Kości – kartki – szeleszczą pod ich butami jak liście. Ten odgłos przypomina mi jesień, gdy Miasto przywozi do naszej gminy

przenośne spalarki, a my wpychamy do rur opadłe liście klonów. Mama zawsze ubolewa nad tym marnotrawstwem, bo przegniłe liście to doskonały nawóz. Tata z kolei narzeka na marnotrawstwo, którym jest palenie papieru – można by go przerobić na nowy. Jednak postawieni wyżej Funkcjonariusze twierdzą, że niektórych rzeczy nie warto oszczędzać. Czasami szybciej i taniej jest zniszczyć.

Jedna kartka ucieka. Porwana podmuchem wiatru podnosi się i dociera niemal do moich stóp, na skraj kanionu, który niegdyś był biblioteką. Wisi przez moment w powietrzu, niemal tak blisko, że rozróżniam poszczególne słowa, potem jednak wiatr zamiera, a kartka opada na ziemię.

Spoglądam w górę. Nie patrzy na mnie żaden z Funkcjonariuszy – ani mój ojciec, ani ten drugi. Tata jest skupiony na książce, którą właśnie niszczy, drugi Funkcjonariusz skupiony jest na tacie.

Sięgam do kieszeni i wyjmuję kartkę, którą dał mi dziadek. Wypuszczam ją z dłoni.

Przez chwilę i ona tańczy w powietrzu, dopiero potem opada. Nowy podmuch wiatru podnosi ją na moment, niemal ocala zapisane na niej wiersze, ale robotnik ją dostrzega i podnosi rurę. Wciąga w nią kawałek papieru, wciąga słowa z powietrza.

„Wybacz, dziadku”.

Stoję i patrzę, aż wszystkie kości zostają wchłonięte przez rury spalarek, aż wszystkie słowa zamieniają się w popiół i nicość.

Za długo stałam przy zniszczonej bibliotece, więc omal nie spóźnię się na zajęcia. Xander czeka na mnie przy głównym wejściu do Drugiej Szkoły.

Otwiera jedno skrzydło drzwi i przytrzymuje je ramieniem.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho, gdy przechodzę przez próg.



– Cześć, Xander – woła ktoś do niego. Kiwa głową w tę stronę, lecz tam nie patrzy.

Przez chwilę myślę, że powinnam powiedzieć Xanderowi o wszystkim. Nie tylko o tym, co wczoraj wieczorem robili w naszym domu Funkcjonariusze – bo właśnie to na pewno go martwi – ale o wszystkim. Powinnam powiedzieć mu o twarzy Ky’ a na ekranie. Powinnam powiedzieć mu o spotkaniu w lesie, o tym, że Ky widział wiersz. Powinnam powiedzieć Xanderowi o samym wierszu i o tym, co czułam, kiedy się go pozbywałam. Jednak kręcę tylko w milczeniu głową. Nie chcę rozmawiać o tym teraz.

Xander zmienia temat, jego oczy zapalają się na nowo.

– Byłbym zapomniał. Mam ci coś do powiedzenia. Wkrótce pojawiają się nowe sobotnie zajęcia.

– Naprawdę? – pytam. Jestem mu wdzięczna za to, że zrozumiał, że nie dopytywał. – Jakiś nowy pokaz?

– Nie, coś lepszego. Będziemy mogli przesadzić rośliny na grządkach przed Pierwszą Szkołą i zjeść kolację na dworze. Jak na... jak to się nazywa? O, już wiem, pikniku. A na koniec będą lody dla wszystkich.

Xander mówi o tym z takim entuzjazmem, że mimowolnie się uśmiecham.

– Xander, w gruncie rzeczy to zwykły projekt roboczy, tylko trochę ubarwiony. Chcą, żebyśmy popracowali trochę za darmo, i próbują nas przekupić lodami.

Xander uśmiecha się od ucha do ucha.

– Wiem, ale mimo wszystko to miła odmiana. Odpocznę trochę od gier i następnym razem spojrzę na nie nowym okiem. Ty też chcesz to robić, prawda? Wiem, że będzie wielu chętnych, więc na wszelki wypadek już cię zapisałem.

Czuję lekkie ukłucie złości wywołane faktem, że zrobił to, nie spytawszy mnie wcześniej o zdanie. Zapominam o tym jednak, gdy

tylko dostrzegam pewne zakłopotanie w jego uśmiechu. Wie, że przekroczył pewną granicę – nie zrobiłby czegoś podobnego, zanim zostaliśmy Dobrani – a fakt, że się tym martwi, wszystko usprawiedliwia. Poza tym, mimo że to jedynie urozmaicony projekt roboczy, sama natychmiast bym się do niego przyłączyła. Xander o tym wie. Zna mnie i troszczy się o mnie.

– Świetnie – mówię. – Dziękuję.

W końcu puszcza drzwi i oboje wchodzimy do holu. Jakaś częśćka mojego umysłu zastanawia się, co Ky będzie robił tego wieczoru. Nikt nie informuje robotników o nowych opcjach sobotnich godzin rekreacji. Nim wróci do domu i dowie się o tym, wszystkie miejsca będą już zapewne zarezerwowane, bo to zajęcie kusi nie tylko nowością, ale i lodami. Moglibyśmy zapisać też Ky'a. Mogłabym podejść do jednego z portów tutaj, w szkole, i...

Czas minął. Z głośników w holu dobiega głos dzwonka.

Xander i ja wślizgujemy się szybko do klasy, siadamy przy swoich ławkach i wyjmujemy czytniki oraz pisaki. Zwykle na zajęciach z Nauk Stosowanych siedzi obok nas Piper, dziś jej jednak nie widzę.

– Gdzie jest Piper?

– Miałem ci powiedzieć. Dostała dziś ostateczny przydział do pracy.

– Naprawdę? Co to za posada?

Ale dzwonek odzywa się ponownie, a ja muszę odwrócić się do przodu i poczekać na odpowiedź do końca zajęć. Piper dostała posadę! Niektórzy, jak Ky, otrzymują przydział wcześniej, jednak większość z nas zostaje zatrudniona w ciągu roku po siedemnastych urodzinach. Jedno po drugim przenosimy się do pracy, aż w Drugiej Szkole nie zostaje już nikt z naszego rocznika.

Mam nadzieję, że Xander i Em jeszcze przez długi czas nie dostaną przydziału. Bez nich szkoła nie byłaby już taka sama, szczególnie bez Xandera. Zerkam na niego. Wpatruje się w

instruktorkę, jakby nigdy w życiu nie chciał robić niczego innego. Stuka palcami w pisak i rusza nerwowo stopą, zawsze spragniony wiedzy. Trudno dotrzymać mu kroku – jest bardzo inteligentny i szybko się uczy. A jeśli wkrótce przeniesie się do pracy i zostawi mnie samą?

Wszystko dzieje się tak szybko. Życie przed siedemnastymi urodzinami wydawało się niczym powolny spacer po ścieżce, na której widziałam każdy kamień i listek, czułam się przyjemnie znudzona, a zarazem podekscytowana tym, co czeka mnie w przyszłości. Teraz mam wrażenie, że biegnę, zmęczona i zdyszana, i że nim się obejrzę, dotrę do daty Kontraktu. Czy świat już nigdy nie zwolni?

Odwracam wzrok od Xandera. „Nawet jeśli Xander otrzyma przydział wcześniej niż ja, i tak nadal będziemy Dobrani” – przypominam sobie. Nie zostawi mnie samej. Nie wie, że tamtego dnia widziałam na ekranie twarz Ky’a.

Czy Xander by mnie zrozumiał, gdybym mu powiedziała o wszystkim? Myślę, że tak. Nie sądzę, by to mogło zagrozić naszemu Doborowi albo naszej przyjaźni. Nie chciałabym ryzykować, że je stracę.

Spoglądam ponownie na instruktorkę. Okno za jej plecami jest ciemne, niebo zasnuwa się ołowianymi chmurami. Zastanawiam się, jak wyglądałyby ze szczytu Wzgórza. Czy można wspiąć się tak wysoko, by stanąć ponad chmurami, patrzeć na deszcz z góry, z oblanego słonecznym blaskiem wierzchołka?

Mimowolnie wyobrażam sobie Ky’a na wzgórzu, jego twarz zwróconą ku słońcu. Zamykam na moment oczy i ja również tam się przenoszę.

Burza rozpętuje się w środku zajęć. Widzę w wyobraźni, jak deszcz opada na obszar zieleni, na którym spotkałam się z Funkcjonariuszką, jak zalewa fontannę, bębni o ławkę, na której siedziałyśmy. Słyszę, jak poszczególne krople uderzają głośno o metal, jak znikają z cichym westchnieniem w trawie i ziemi. Na

zewnątrz robi się niemal całkiem ciemno, jakby zapadł już wieczór. Deszcz spada na dachy, spływa rynnami. Jedyne okno w naszej klasie pokrywa się grubą warstwą wody, która całkowicie przesłania świat na zewnątrz.

Nagle przypomina mi się wers z drugiego wiersza, tego, który napisał Tennyson: *Choć potop może zanieść mnie daleko.*

Gdybym zachowała wiersze podarowane przez dziadka, płynęłabym z potopem, którego nie mogłabym zatrzymać. Zrobiłam to, co musiałam zrobić, zrobiłam to, co należało. Wydaje się jednak, że deszcz szalejący na zewnątrz opada również na mnie, wymywa ulgę i zostawia tylko żal: wiersze przepadły, już nigdy ich nie odzyskam.

## ROZDZIAŁ 12

Wieczorem w pracy czeka nas interesujące sortowanie. Nawet Norah wydaje się poruszona, kiedy o tym opowiada.

– Szukamy różnych cech fizycznych do puli Doboru – tłumaczy mi przy swoim biurku. – Kolor oczu. Kolor włosów. Wzrost i waga.

– Czy Departament Doboru będzie korzystał z naszego sortowania? – pytam.

Norah parska śmiechem.

– Oczywiście, że nie. To tylko ćwiczenie. Chodzi o sprawdzenie, czy potrafisz dostrzec w informacjach o Dobrych wzory, które Funkcjonariusze znaleźli już wcześniej.

Oczywiście.

– Jest coś jeszcze – dodaje Norah. Zniża głos do szeptu, by nie rozpraszać innych. – Funkcjonariusze powiedzieli mi, że zamierzają osobiście nadzorować twój następny test.

To dobry znak. To oznacza, że chcą się osobiście przekonać, czy potrafię pracować w stresie. Oznacza to również, że być może uważają mnie za jedną z bardziej interesujących kandydatek do pracy związanej z sortowaniem.

– Wiesz kiedy?

Widzę, że wie, ale nie może mi powiedzieć.

– Wkrótce – odpowiada wymijająco i obdarza mnie uśmiechem, co nie zdarza jej się często. Potem odwraca się do swojego monitora, a ja odchodzę w stronę mojego stanowiska.

„To dobrze” – myślę. Jeśli zrobię dobre wrażenie na Funkcjonariuszach, otrzymam być może optymalną posadę.

Wszystko znów świetnie się układa. Nie będę myśleć o dziadku, o zgubionej próbce, spalonych wierszach, moim tacie i Funkcjonariuszach w moim domu. Ani o tym, że Ky nigdy nie weźmie udziału w Doborze i nie będzie pracował nigdzie poza centrum odpadów żywieniowych. Nie chcę myśleć o żadnej z tych rzeczy. Czas oczyścić umysł i zabrać się do sortowania.

Sortowanie koloru oczu okazuje się zajęciem dość intrygującym, choć początkowo zaskakuje mnie bardzo ograniczone pole wyboru, zadziwiająco mała liczba opcji. Niebieskie, brązowe, zielone, szare, orzechowe – to wszystkie możliwe barwy, mimo że nasza populacja składa się z ludzi o różnej tożsamości etnicznej. Dawno temu istniały też mutacje genetyczne, takie jak albinosi, zostały jednak wyeliminowane. Liczba kolorów włosów jest jeszcze bardziej ograniczona: czarne, brązowe, blond i rude.

Tak niewiele opcji, a mimo to nieskończona liczba odmian i wariacji. Na przykład mnóstwo chłopców w tej bazie danych ma niebieskie oczy i ciemne włosy jak Ky, jestem jednak przekonana, że żaden z nich nie jest do niego podobny. A nawet gdyby znalazł się ktoś taki, gdyby miał brata bliźniaka, nikt z pewnością nie potrafiłby tak jak on łączyć w sobie energii i opanowania, uczciwości i tajemniczości. Jego twarz wciąż pojawia się w moim umyśle, wiem jednak, że teraz nie jest to już błąd Społeczeństwa. To mój błąd. To ja myślę wciąż o Ky’u, choć powinnam myśleć o Xanderze.

Mała drukarka obok mojego stanowiska wydaje krótki sygnał, a ja aż podskakuję na krześle.

Popełniłam błąd i nie zauważyłam go w dozwolonym czasie. Na stolik obok mnie wypada mały pasek papieru z napisem BŁĄD NA LINII 3568. Bardzo rzadko się mylę, więc na pewno wzbudzi to zainteresowanie. Wracam do linii, do której wkradł się błąd, i szybko go poprawiam. Jeśli coś podobnego przydarzy mi się w przyszłym tygodniu, gdy będą mnie obserwować Funkcjonariusze...

Nie przydarzy się. Nie pozwolę na to. Nim jednak poświęcę się wyłącznie sortowaniu, pozwalam sobie jeszcze na jedną krótką chwilę przyjemności. Myślę o oczach Ky'a i o jego dłoni na moim ramieniu.

– Ktoś mi powiedział, że dziś przy bibliotece była dziewczyna w twoim wieku – mówi tata. Wyszedł po mnie na stację kolejki, czasami spotyka się tu ze mną lub z Bramem, by porozmawiać z nami na osobności przed powrotem do domu. – To byłaś ty?

Kiwam głową.

– Odwołali pieszą wycieczkę z powodu deszczu, więc pomyślałam, że odwiedzę cię przed szkołą, bo nie widzieliśmy się dziś rano. Ale ty byłeś zajęty, a ja miałam mało czasu. Żałuję, że nie mogłam zostać.

– Możesz wpaść jeszcze raz, jeśli tylko masz ochotę – mówi tata.  
– Przez cały następny tydzień pracuję w biurze. To znacznie bliżej.

– Wiem. Może to zrobię. – Odnoszę się do niego z pewnym dystansem. Mam nadzieję, że tego nie widzi, nie domyśla się, że wciąż jestem na niego trochę zła za zgubienie próbki dziadka. Wiem, że to irracjonalne i że tata czuje się z tym okropnie, ale mimo wszystko nie mogę się z tym pogodzić. Tęsknię za dziadkiem. Ta próbka dawała mi nadzieję, że kiedyś powróci. Tata przystaje i patrzy na mnie.

– Cassio. Czy chciałaś mnie dzisiaj o coś zapytać? Albo coś mi powiedzieć? Dlatego właśnie przyszłaś do biblioteki?

Jego miła twarz, tak podobna do twarzy dziadka, wydaje się zmartwiona. Muszę mu powiedzieć.

– Dziadek dał mi kartkę – mówię, a tata natychmiast robi się błądy jak ściana. – Leżała ukryta w mojej puderniczce. Były na niej stare słowa...

– Tss... – ucisza mnie. – Poczekaj.

Zbliża się do nas znajoma para. Uśmiechamy się, witamy się z nimi i przepuszczamy ich między sobą. Kiedy są już wystarczająco daleko, tata ponownie przystaje. Jesteśmy przed naszym domem, widzę jednak, że tata nie chce kontynuować tej rozmowy w środku. Rozumiem to. Chcę go o coś zapytać i usłyszeć odpowiedź, nim wejdziemy do holu, gdzie czeka już na nas port. Boję się, że później nie będziemy już mieli okazji o tym porozmawiać.

– Co z nią zrobiłaś? – pyta tata.

– Zniszczyłam. Dziś, przy bibliotece. Uznałam, że to najbezpieczniejsze miejsce.

Wydaje mi się, że dostrzegam cień rozczarowania na twarzy mego taty, potem jednak on kiwa głową.

– Dobrze. To najlepsze rozwiązanie. Szczególnie teraz.

Wiem, że odnosi się do wizyty Funkcjonariuszy w naszym domu. Nie mogę się powstrzymać i pytam go wprost:

– Jak mogłeś zgubić tę próbkę?

Tata zakrywa twarz dłońmi w geście tak nagłym i tak przepełnionym bólem, że cofam się o krok.

– Nie zgubiłem jej. – Bierze głęboki oddech, a ja nie chcę, by kończył, nie znajduję jednak właściwych słów, by go powstrzymać. – Zniszczyłem ją. Tamtego dnia. Dziadek wymógł na mnie tę obietnicę. Chciał umrzeć na własnych warunkach.

Kulę się odruchowo na dźwięk słowa „umrzeć”, ale mój tata jeszcze nie skończył.

– Nie chciał, by mogli przywrócić go do życia. Chciał sam zdecydować o tym, co się z nim stanie.

– Ale ty mogłeś zdecydować za niego – szepczę rozgniewana. – Nie musiałeś tego robić. Teraz nie ma już żadnych szans, by do nas wrócił. Przepadł na zawsze.



Przepadł. Jak wiersz Thomasa. Postąpiłam słusznie, niszcząc go. Czy dziadek zakładał, że tak właśnie się zachowam? Moja rodzina się nie buntuje. On także się nie buntował, jedynym aktem niesubordynacji było ukrywanie tego wiersza. Nie ma też powodu, by się buntować. Wystarczy tylko spojrzeć na to, co daje nam Społeczeństwo. Dobre życie. Szansę na nieśmiertelność. Tylko my sami możemy to wszystko zaprzepaścić. Jak zrobił to mój ojciec, bo poprosił go o to dziadek.

Odwracam się od taty i wbiegam do środka, tłumiąc płacz, lecz jakaś część mnie doskonale go rozumie, wie, dlaczego postanowił spełnić prośbę. Czyż ja nie robię tego samego za każdym razem, gdy przypominam sobie słowa wiersza albo próbuję być silna bez zielonej tabletki?

Czasami trudno rozstrzygnąć, czym objawia się ta siła. Czy okazałam słabość, gdy wypuściłam z dłoni tę kartkę, gdy patrzyłam, jak płynie w ciszy ku śmierci, biała i pełna nadziei jak nasienie topoli? Czy słabością jest to, co czuję, gdy myślę o Ky'u Markhamie? Wspomnienie jego dotyku, miejsca, gdzie spoczęła jego dłoń?

Muszę natychmiast zapomnieć o tym, co czuję do Ky'a. Moim Wybrankiem jest Xander. To nieważne, że Ky był w miejscach, których nigdy nie widziałam, że płakał podczas pokazu, gdy wydawało mu się, że nikt tego nie widzi. Nieważne, że wie o pięknych słowach, które czytałam w lesie. Przestrzeganie zasad, zachowanie bezpieczeństwa – tylko to się liczy. To właśnie świadczy o mojej sile.

Postaram się zapomnieć, że Ky powiedział „dom”, kiedy spojrzał mi w oczy.

## ROZDZIAŁ 13

– Cassia Reyes – mówię, wyciągając przed siebie swoją skankartę. Robotnik porównuje numer z tym, który zapisany jest na pojemniku z kolacją, i podaje mi posiłek.

Po chwili Xander również odbiera swoje jedzenie i staje obok mnie.

– Widziałaś gdzieś Em? Albo Piper i Ky’a? – pyta.

Dziedziniec przed Pierwszą Szkołą upstrzony jest kocami. To prawdziwy piknik – jemy posiłek na zewnątrz, na trawie. Robotnicy kręcą się między nami, próbują przekazać właściwe posiłki właściwym osobom. Robi się niewielkie zamieszanie, a ja rozumiem już, dlaczego tak rzadko organizowane są podobne zajęcia. O wiele łatwiej dostarczyć jedzenie do domów, szkół i miejsc pracy.

– Piper i Ky nie zdążyli się pewnie zapisać – mówię. – Ze względu na pracę.

Ktoś macha do nas z koca rozłożonego na środku dziedzińca.

– To Em – mówię Xanderowi, wskazując to miejsce. Razem przeciskamy się między kocami, pozdrawiając po drodze przyjaciół i znajomych ze szkoły. Wszyscy są w świetnych humorach, urzeczeni nowością i niezwykłością tego zajęcia. Patrząc w dół i staram się nie nastąpić na czyjś koc lub pojemnik z jedzeniem, kiedy więc Xander zatrzymuje się nagle, wpadam prosto na niego. Odwraca się i uśmiecha do mnie przez ramię.

– O mało nie wypuściłem jedzenia – mówi, a ja trącam go żartobliwie. Opada ciężko na koc obok Em i zagląda do jej pojemnika z jedzeniem.

– Co nam dziś przysłali?

– Potrawkę z mięsa i warzyw – krzywi się Em.

– Pamiętaj o lodach – pocieszam ją.

Kończę już jeść, kiedy ktoś woła Xandera z drugiej strony dziedzińca.

– Zaraz wracam – mówi Xander, po czym wstaje i rusza w tamtą stronę. Widzę, jak przeciska się między ludźmi, którzy odwracają się do niego i pozdrawiają go z uśmiechem.

Em pochyła się do mnie i mówi cicho:

– Chyba dzieje się ze mną coś niedobrego. Zażyłam dziś rano zieloną tabletkę. Już. Chciałam zachować ją na koniec tygodnia. No wiesz...

Chcę zapytać Em, co ma na myśli, w porę jednak sobie przypominam. Czuję się jak najgorsza przyjaciółka na świecie. Jak mogłam zapomnieć o jej Bankiecie Doboru? Chciała zachować tabletkę na ten wieczór, bo okropnie się tym denerwuje.

– Och, Em... – mówię, obejmując ją ramieniem i ściskając serdecznie. Ostatnio trochę się od siebie oddaliśmy, choć niecelowo. Zawsze dzieje się tak, gdy ludzie w coraz większym stopniu zajmują się swoją pracą i przyszłą posadą. Ale brakuje mi jej. Szczególnie w takie letnie wieczory, kiedy przypominam sobie lata, gdy byłyśmy młodsze i miałyśmy więcej czasu dla siebie. Kiedy spędzałyśmy z Em niemal wszystkie godziny rekreacji.

– To będzie cudowny wieczór – mówię z przekonaniem. – Możesz być tego pewna. Wszystko jest piękne, wygląda dokładnie tak, jak nam obiecują.

– Naprawdę? – dopytuje się Em.

– Oczywiście. Którą suknię wybrałaś? – Wzory sukni zmieniają się co trzy lata, więc Em wybierała z tej samej puli co ja.

– Jedną z żółtych. Numer czternaście. Pamiętasz ją?

Tak wiele wydarzyło się od chwili, gdy stałam w Biurze Doboru i wybierałam swoją suknię.

– Chyba nie – przyznaję.

Em z ożywieniem zaczyna opisywać wybraną przez siebie kreację.

– Jest jasnożółta, ma bufiaste rękawy...

Teraz już sobie przypominam.

– Och, Em, jest cudowna. Będiesz w niej naprawdę pięknie wyglądać.

Mówię całkiem szczerze. Żółty idealnie pasuje do Em, jej kremowej skóry, czarnych włosów i ciemnych oczu. Moja przyjaciółka będzie wzbudzać zachwyt jak blask wiosennego słońca.

– Bardzo się denerwuję.

– Wiem. Trudno się nie denerwować w takiej sytuacji.

– Wszystko się zmieniło, odkąd zostaliście Dobrani z Xanderem – mówi dalej Em. – No wiesz, zastanawiałam się...

– Ale fakt, że Xander i ja zostaliśmy Dobrani, niczego nie zmienia, prawdopodobieństwo wcale nie jest większe...

– Wiem. Wszyscy o tym wiemy. Ale teraz wszyscy się nad tym zastanawiamy... – Em opuszcza wzrok na swój pojemnik z jedzeniem, na niemal nietkniętą kolację.

Z głośników dobiega głos dzwonka, wszyscy zaczynamy zbierać swoje rzeczy. Czas wracać do pracy. Em wzdycha ciężko i wstaje z koca. Jej twarz wciąż naznaczona jest troską, a ja przypominam sobie, jak czułam się przed swoim Bankietem.

– Em – mówię pod wpływem impulsu. – Mam puderniczkę, którą mogę ci pożyczyć na Bankiet, jeśli tylko chcesz. Jest złota. Doskonale pasowałaby do twojej sukni. Przyniosę ją jutro rano.

Em otwiera szerzej oczy.

- Masz artefakt? I chcesz mi go pożyczyć?
- Oczywiście. Jesteś jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

Sadzonki noworóż o czerwonych płatkach spoczywają jeszcze w czarnych plastikowych donicach, czekają, aż włożymy je do ziemi przed Pierwszą Szkołą. Pierwsza Szkoła zawsze wygląda radośnie. Przypominam sobie jej wnętrze, jasnożółte ściany, podłogi wyłożone zielonymi płytkami, drzwi sal pomalowane na niebiesko. Łatwo tam poczuć się bezpiecznie. Zawsze tak się czułam, kiedy byłam młodsza. „Teraz też czuję się bezpiecznie – powtarzam sobie w myślach. – Nie ma już żadnego wiersza. Problemy taty się skończyły. Jestem bezpieczna tutaj i w każdym innym miejscu”.

Może z wyjątkiem małego wzgórza, gdzie pomimo wcześniejszych postanowień wciąż zerkam na Ky’a, wciąż się zastanawiam. Chciałabym znów z nim porozmawiać, nie ośmielę się jednak zaryzykować i powiedzieć czegokolwiek poza zwykłymi słowami.

Rozglądam się dyskretnie dokoła, ale nadal go nie widzę.

- Co to za kwiaty? – pyta Xander, kiedy kopujemy dołki pod sadzonki. Ziemia jest gęsta i czarna. Rozpada się na grudy, gdy ją podnosimy.

- Noworóże – odpowiadam. – Pewnie rosną w ogrodzie przed waszym domem, tak jak u nas.

Nie mówię mu, że nie są to ulubione kwiaty mojej mamy. Uważa ona, że kwiaty, które hodujemy w Mieście, we wszystkich ogrodach i miejscach publicznych, są produktem zbyt wielu krzyżówek, zbyt daleko im do oryginału. Staroróże wymagały starannej opieki, każdy kwiat był triumfem. Ta odmiana jest wytrzymała i prosta w hodowli.

- Na Ziemiach Uprawnych nie ma noworóż – mówi mama. – Są tam inne kwiaty. Dzikie.

Kiedy byłam małą, mama opowiadała mi historie o różnych kwiatach, które rosły dziko na Ziemiach Uprawnych. Opowieści te nie miały żadnej fabuły i właściwie były jedynie opisami, wydawały mi się jednak tak piękne, że kołysały mnie do snu.

– Marchew zwyczajna – mówiła mama cichym, spokojnym głosem. – Kiedy korzeń jest młody, można go jeść. Kwiaty są białe i delikatne. Śliczne. Jak gwiazdy.

– Skąd taka nazwa? – pytałam sennym głosem.

– Nie pamiętam. To nieważne. Ważne jest to, że widzisz tę marchew przed sobą, mnóstwo maleńkich kwiatów. Jest ich tyle, że nie możesz ich zliczyć, ale mimo to próbujesz...

Xander wręcza mi noworóżę, a ja wyciągam ją z plastikowej donicy i wkładam w ziemię. Silne białe korzenie nie mają się gdzie podziąć, rosną więc w kółko, w środku donicy. Rozprostowuję je i dopiero potem wkładam roślinę do ziemi. Kiedy na nią patrzę, przypominam sobie błoto, które oblepia moje buty, gdy wspinam się na wzgórze. To skojarzenie przywodzi mi na myśl Ky'a. Znów.

Zastanawiam się, gdzie teraz jest. Sadząc kwiaty z Xanderem, wyobrażam sobie Ky'a przy pracy, w czasie gdy my gramy albo słuchamy muzyki w pustawej sali. Wyobrażam sobie, jak przechadza się wśród ludzi w budynku rekreacyjnym i dołącza do gier, które najprawdopodobniej przegra. Widzę, jak siedzi w sali filmowej i ogląda pokaz ze łzami w oczach. Nie. Odsuwam od siebie te obrazy. Nie zrobię tego więcej. Wybór został dokonany.

Tak naprawdę nigdy nie miałam wyboru.

Xander wie, że nie słucham go tak uważnie, jak powinnam. Rozgląda się, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy, po czym pyta cicho:

– Martwisz się jeszcze o swojego tatę?

O mojego tatę.

- Nie wiem - odpowiadam. To prawda. Nie wiem, co teraz do niego czuję. Gniew niemal wbrew mej woli ustępuje miejsca zrozumieniu i współczuciu. Gdyby dziadek spojrział na mnie tymi płomiennymi oczami i poprosił, bym wyświadczyła mu ostatnią przysługę, czy potrafiłabym mu odmówić?

Wieczór skrada się powoli, zasnuwa niebo mrokiem. Nie jest jeszcze całkiem ciemno, gdy ponownie rozlega się dzwonek. Wstajemy, by przyjrzeć się naszemu dziełu. Delikatny podmuch wiatru porusza kwiatami, sprawia, że falują w półmroku.

- Szkoda, że nie możemy robić tego co sobota - mówię. Czuję, że stworzyliśmy coś pięknego. Moje dłonie poplamione są czerwienią rozgniecionych płatków, pachną ziemią i noworóżami. Lubię ten zapach, choć moja mama twierdzi, że stare róże miały subtelniejszy, delikatniejszy aromat. Co złego jest w tym, że coś jest wytrzymałe? Co złego jest w tym, że coś lub ktoś utrzymuje się przy życiu, trwa?

Stojąc przy grządce i patrząc na kwiaty, uświadamiam sobie jednak, że moja rodzina zawsze jedynie sortowała. Nigdy nie tworzyła. Tata sortuje stare artefakty, podobnie jak dziadek. Prababcia sortowała wiersze. Dziadkowie z Ziemi Uprawnych sadzą rośliny i uprawiają je, hodują jednak tylko to, co nakazują im Funkcjonariusze. Podobnie jak moja mama w Arboretum.

Podobnie jak my dzisiaj wieczoru.

Zatem w sumie niczego nie stworzyłam. Zrobiłam, co mi kazano, trzymałam się zasad i wydarzyło się coś pięknego. Dokładnie tak, jak obiecali Funkcjonariusze.

- Są lody - mówi Xander. Robotnicy pchają wózki z zamrażarkami po chodnikach ciągnących się wzdłuż grzęd kwiatów. Xander chwytam mnie za jedną rękę, a Em za drugą, wciągają mnie do najbliższej kolejki.

Rozdanie lodów zajmuje robotnikom znacznie mniej czasu niż roznieśnienie kolacji, bo wszystkie porcje są takie same. Zwykle posiłki mają specjalnie dobrany skład, wzbogacony o witaminy i

odżywki, a każdy z nich musi trafić do właściwej osoby. Lody to bezwartościowe jedzenie.

Ktoś woła Em, ta odłącza się od nas i siada przy innej grupie. Xander i ja znajdujemy sobie miejsce nieco na uboczu. Opieramy się plecami o betonową ścianę szkoły i prostujemy nogi. Nogi Xandera są długie, a jego buty zniszczone. Niedługo pewnie dostanie nowe.

Wbija łyżeczkę w białą półkulę lodów i wzdycha.

– Mógłbym sadzić całe hektary kwiatów w zamian za coś takiego.

Zgadzam się z nim. Lody są zimne, słodkie i cudowne, ześlizgują się po języku, spływają w dół gardła i do żołądka. Mogłabym przysiąc, że czuję je tam jeszcze długo, choć dawno się rozpuściły. Moje dłonie pachną ziemią, usta smakują jak cukier. Jestem teraz tak rozbudzona, że zastanawiam się, czy w ogóle uda mi się dziś zasnąć.

Xander podaje mi ostatnią łyżkę lodów.

– Nie, to twoje – mówię, ale Xander nalega. Uśmiecha się i jest tak zadowolony, że postąpiłabym naprawdę podle, gdybym odrzuciła jego propozycję.

Biorę od niego łyżkę i wkładam ją do ust. Czegoś takiego nie można robić przy zwykłym posiłku – dzielić się jedzeniem – jednak w tym wypadku jest to dopuszczalne. Funkcjonariusze, którzy przechadzają się po dziedzińcu, nie zwracają na nas najmniejszej uwagi.

– Dziękuję – mówię. Nie wiem dlaczego, ale ten akt dobroci ze strony Xandera sprawia, że chce mi się płakać. Dla zachowania równowagi postanawiam zażartować. – Jedliśmy z jednej łyżeczki. To niemal jak pocałunek.

Xander przewraca oczami.

– Jeśli naprawdę tak myślisz, to znaczy, że nigdy dotąd się nie całowałaś.



– Oczywiście, że się całowałam. – W końcu jesteśmy nastolatkami. Dopóki nie zostaniemy Dobrani, pozwalamy sobie na różne niewinne flirciki i pocałunki. Wszystko to jednak jest tylko zabawą, bo wiemy, że wcześniej czy później poznamy swoich Wybranków. Albo też zostaniemy Singlami, a wówczas zawsze będzie to jedynie zabawa.

– Czy w radach i wskazówkach było coś o całowaniu? Jakies reguły, które powinnam zapamiętać? – pytam żartobliwie Xandera.

Widzę szelmowski błysk w jego oku, gdy pochyła się bliżej.

– W całowaniu nie ma żadnych reguł, Cassio. Jesteśmy Dobrani.

Wiele razy patrzyłam na twarz Xandera, ale nigdy tak jak teraz, w półmroku, podekscytowana i zdenerwowana zarazem. Rozglądam się dokoła, ale nikt na nas nie patrzy, a nawet gdyby ktoś nam się przyglądał, zobaczyłby tylko dwie niewyraźne postacie siedzące obok siebie.

Pochylam się ku Xanderowi.

Gdybym potrzebowała jakiegoś dodatkowego potwierdzenia, że Społeczeństwo wie, co robi, że to jest właśnie mój idealny Wybranek, smak pocałunku Xandera z pewnością by mnie przekonał. Jest cudowny, słodszy, niż oczekiwałam.

Po raz kolejny rozbrzmiewa głos dzwonka. Odsuwamy się do tyłu i spoglądamy na siebie.

– Mamy jeszcze godzinę zajęć rekreacyjnych – mówi Xander, patrząc na zegarek. Zachowuje się całkiem naturalnie, jakby nic się nie wydarzyło.

– Szkoda, że nie możemy tu zostać – wzdycham. Mówię całkiem szczerze. Powietrze jest cudownie ciepłe. To prawdziwe, naturalne powietrze, nie schłodzone ani nie podgrzane specjalnie dla mnie.

Pocałunek Xandera, pierwszy prawdziwy pocałunek w moim życiu, sprawia, że zaciskam wargi, próbuję ponownie przywołać jego smak.

– Nie pozwolą nam – odpowiada. Ma rację. Robotnicy zbierają już kubki, mówią, żebyśmy spędzili resztę wolnego czasu gdzie indziej, bo tu robi się już ciemno.

Em odchodzi od grupy znajomych i wraca do nas.

– Idą obejrzeć końcówkę pokazu – wyjaśnia. – Ale mam już tego dość. A wy co chcecie robić?

Ledwie kończy zadawać to pytanie, otwiera szerzej oczy – przypomina sobie, że Xander i ja jesteśmy Dobrani. Zapomniała o tym na moment, a teraz martwi się, że będzie nam przeszkadzać.

Jednak Xander uśmiecha się do niej ciepło i przyjaźnie.

– Za mało czasu na grę – stwierdza. – Niedaleko jest sala koncertowa, może się tam wybierzemy?

Em oddycha z ulgą, spogląda na mnie, jakby chciała się upewnić, czy nie mam nic przeciwko temu. Uśmiecham się do niej. Oczywiście, że nie mam. Nadal jest naszą przyjaciółką.

Kiedy idziemy na stację kolejki, myślę o tym, że kiedyś nasza grupa była znacznie liczniejsza. Potem Ky dostał przydział do pracy, po nim Piper. Nie wiem, gdzie podziewa się dziś wieczorem Sera. Em jest tutaj, ale za jakiś czas i ona odejdzie, a wtedy zostaniemy tylko ja i Xander.

Minęło już sporo czasu, kilka miesięcy, odkąd po raz ostatni byłam w sali koncertowej. Kiedy wchodzę do środka, stwierdzam ze zdumieniem, że pełna jest ludzi w niebieskich ubraniach – robotników, starych i młodych, którzy skończyli niedawno pracę. Przypuszczam, że to nic nadzwyczajnego, co innego mogą zrobić, kiedy zostaje im tak niewiele wolnego czasu. Zatrzymują się tutaj w drodze powrotnej z Miasta. Widzę, że niektórzy z nich śpią z głowami

odchylonymi do tyłu. Nikomu to nie przeszkadza. Niektórzy rozmawiają.

Jest tutaj Ky.

Niemal natychmiast odnajduję go w morzu błękitu. Ky również nas dostrzega. Macha do nas, ale nie wstaje.

Siadamy na najbliższych wolnych fotelach, Em, Xander i ja. Em pyta Xandera o jego wrażenia z Bankietu, chce usłyszeć od niego coś, co ją uspokoi. Xander zaczyna opowiadać jej anegdotkę o tym, jak tamtego wieczoru miał trudności z założeniem spinek i zawiązaniem krawata. Staram się nie zwracać uwagi na Ky'a, ale mimo to widzę, jak wstaje i idzie w naszą stronę. Uśmiecham się, gdy siada obok mnie.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo lubisz muzykę – mówię.

– Często tu przychodzę – odpowiada. – Podobnie jak większość robotników, co pewnie sama już zauważyłaś.

– Nie nudzi cię to? – Wysoki, czysty głos kobiety, która śpiewa pieśń, niesie się nad naszymi głowami.

– Słyszeliśmy Sto Piosenek już tyle razy.

– Czasami są inne – mówi Ky.

– Naprawdę?

– Są inne, kiedy ty jesteś inna.

Nie do końca wiem, o co mu chodzi, nie mam jednak czasu, by go zapytać, bo nagle Xander ciągnie mnie za ramię.

– Em – szepcze, a ja patrzę na Em, która drży na całym ciele i oddycha gwałtownie. Xander wstaje i zamienia się z nią miejscami, prowadzi ją, zasłania własnym ciałem, by znajdowała się w środku naszej grupy, a nie na skraju.

Pochyliłam się, instynktownie próbuję ją ukryć. Ky przysuwa się do mnie, również ją osłania. Już po raz drugi się dotykamy i choć

martwię się o Em, nie potrafię tego zignorować. Mam ochotę wtulić się w niego, mimo że wciąż czuję na ustach pocałunek Xandera.

Otoczyliśmy Em ciasnym kręgiem, ukryliśmy ją. Nie wiemy, co się z nią dzieje, ale im mniej ludzi to zobaczy, tym lepiej. Dla dobra Em. I dla naszego dobra. Spoglądam w górę. Funkcjonariusz, który nadzoruje salę koncertową, jeszcze nas nie zauważył. Jest tu wielu ludzi, głównie robotników, którzy wymagają większej uwagi niż uczniowie. Mam jeszcze trochę czasu.

– Zażyj swoją zieloną pigułkę – mówi Xander łagodnym tonem.  
– To atak nerwowy. Widziałem w centrum medycznym ludzi, którzy zachowywali się podobnie. Wystarczy, że wezmą zieloną tabletkę, ale są tak wystraszeni, że o tym zapominają.

Choć wydaje się spokojny i opanowany, przygryza wargę. Martwi się o Em, ale nie może zbyt wiele mówić o swojej pracy tym, którzy przygotowują się do objęcia innej posady.

– Nie może – tłumaczę szeptem. – Zażyła ją już dzisiaj. Nie miała jeszcze czasu, żeby zgłosić się po nową.

Nie mówię nic więcej, ale wszyscy wiedzą, co to oznacza: Em będzie miała kłopoty, jeśli wykorzysta dwie pigułki w ciągu jednego dnia.

Xander i Ky wymieniają spojrzenia. Nigdy nie widziałam, by Xander zachowywał się tak niezdecydowanie – naprawdę nie może z tym nic zrobić? Wiem, że tak. Kiedyś na naszej ulicy przewróciło się dziecko, wszędzie była jego krew. Xander wiedział, co robić – nawet się nie skrzywił – do czasu, gdy przyjechali prawdziwi lekarze, którzy zabrali chłopca do centrum medycznego.

Ky także się nie rusza. „Jak możesz! – myślę ze złością. – Pomóż jej!”.

Lecz choć ciało Ky’a tkwi w bezruchu, jego oczy wpatrują się w Xandera, a usta wypowiadają szeptem:

– Twoja.

Przez ułamek sekundy Xander nie rozumie, potem i on, i ja domyślamy się, co Ky ma na myśli.

Jest jednak między nami pewna różnica. Gdy tylko Xander orientuje się w czym rzecz, nie waha się ani chwili.

– Oczywiście – szepcze i sięga po swój pojemnik z tabletkami. Teraz, gdy wie już, co robić, działa szybko i sprawnie jak zawsze.

Wkłada swoją zieloną tabletkę do ust Em. Moja przyjaciółka chyba nawet nie wie, co się z nią dzieje, jest straszliwie zdenerwowana, zalekniona, trzęsie się na całym ciele. Odruchowo przełyka tabletkę, jednak pewnie nawet nie czuje jej smaku.

Niemal natychmiast jej ciało się rozluźnia.

– Dziękuję – mówi do nas, zamykając oczy. – Przepraszam. Za bardzo się przejmuję Bankietem. Przepraszam.

– Wszystko w porządku – mówię, spoglądając na Xandera i Ky'a.

Rozstrzygnęli to między sobą. Przez moment zastanawiam się, dlaczego Ky nie dał Em swojej tabletki, szybko sobie jednak przypominam. Jest Aberracją. Aberracjom nie wolno nosić własnych tabletek.

Czy teraz Xander już wie? Czy Ky zdradził się w ten sposób?

Nie wydaje mi się jednak, by Xander odgadł prawdę. Nie ma nic dziwnego w tym, że Ky poprosił go o tabletkę – w końcu Xander zna Em dłużej, jest jej przyjacielem. Xander opada na oparcie fotela, przygląda się Em, mierząc jej jednocześnie tętno. Po chwili podnosi wzrok na Ky'a i mnie, kiwa głową.

– Już dobrze – mówi. – Nic jej nie będzie.

Obejmuję Em ramieniem, zamykam oczy, wsłuchując się w muzykę. Pieśń, którą śpiewała kobieta, już się skończyła, teraz rozbrzmiewa Hymn Społeczeństwa, głębokie basowe tony i chór w ostatniej partii. Głosy śpiewających zlewają się w triumfalną melodię, łączą w jedno. Jak my. Otoczyliśmy Em ciasnym kręgiem,

by chronić ją przed wzrokiem Funkcjonariuszy. Nikt z nas nie powie o zielonej tabletkie.

Cieszę się, że wszystko skończyło się dobrze, że obiecałam pożyczyć Em puderniczkę na jej Bankiet. Jaki bowiem sens ma posiadanie czegoś pięknego, jeśli nie można się tym dzielić?

Byłoby to zupełnie jak posiadanie wiersza, pięknego dzikiego wiersza, którego nie zna nikt inny, a potem spalenie go.

Po chwili otwieram oczy i spoglądam na Ky'a. Nie reaguje, ale wie, że na niego patrzę. Muzyka gra cicho, powoli. Jego pierś unosi się i opada rytmicznie. Jego rzęsy są nieprawdopodobnie długie i czarne, równie czarne jak jego włosy.

Ky ma rację. Ta piosenka już nigdy nie będzie mi się wydawała taka sama.

## ROZDZIAŁ 14

Nazajutrz w pracy wszyscy natychmiast zauważają wejście Funkcjonariuszy. Niczym upadające kostki domina głowy odwracają się jedna po drugiej w stronę drzwi centrum sortowania. Funkcjonariusze w białych uniformach przyszli tu z mojego powodu. Wszyscy o tym wiedzą, ja też to wiem, więc nie czekam. Odsuwam krzesło do tyłu i wstaję, patrzę prosto na nich.

Nadszedł czas na mój test. Gestem pokazują mi, bym poszła za nimi.

Idę więc, z sercem bijącym jak młot, ale i wysoko uniesioną głową, do małego szarego pokoju z jednym krzesłem i kilkoma małymi stolikami.

Siadam na krześle, a w drzwiach staje Norah. Wydaje się odrobinę zdenerwowana, lecz uśmiecha się do mnie krzepiąco, a potem zwraca się do Funkcjonariuszy.

– Potrzebują państwo czegoś?

– Nie, dziękujemy – odpowiada siwowłosa Funkcjonariusz, który wydaje się znacznie starszy od pozostałych. – Przynieśliśmy ze sobą wszystko, co nam potrzebne.

Potem wszyscy troje w milczeniu porządkują swoje rzeczy. Funkcjonariusz, który rozmawiał z Norą, przewodzi chyba całej trójce. Dwie towarzyszące mu kobiety poruszają się szybko i sprawnie. Przyczepiają mi jedną płytkę rejestrującą za uchem, a drugą pod kołnierzem. Milczę nawet wtedy, gdy używany przez nie żel pali mnie w skórę.

Dwie kobiety odsuwają się do tyłu, a starszy Funkcjonariusz stawia przede mną na stole niewielki ekran.

– Jesteś gotowa?

– Tak – odpowiadam. Mam nadzieję, że mój głos brzmi spokojnie i czysto. Prostuję ramiona i podnoszę nieco głowę. Może uwierzą, że wcale się nie denerwuję, jeśli tak się właśnie będę zachowywać. Płytki rejestrujące, które przyczepiono do mojej skóry, mogą mnie jednak zdradzić, wyczuć nienaturalnie przyspieszone tempo.

– W taki razie zaczynajmy.

Pierwsze sortowanie jest proste, to tylko rozgrzewka. Traktują mnie uczciwie. Chcą, bym nabrała pewności siebie, nim przejdą do trudniejszych zadań.

Kiedy sortuję liczby na ekranie, wprowadzając porządek w chaos i wyszukując odpowiednie wzory, moje serce powoli się uspokaja. Staram się odsunąć od siebie wszystko, co może mnie rozpraszać – wspomnienie pocałunku Xandera, postępek mojego taty, myśli krążące wokół Ky'a, troskę o Em, niepewność co do tego, kim właściwie jestem, kim powinnam być i kogo powinnam kochać. Wypuszczam je niczym pęk kolorowych balonów, które niosłam w ręce jako dziecko podczas Pierwszego Dnia w Pierwszej Szkole. Odpywają ode mnie powoli, kołysane wiatrem, lecz ja nie patrzę w ich stronę, nie próbuję ich złapać. Tylko wtedy, gdy uwolnię się od wszystkiego, mogę być najlepsza, tylko wtedy mogę zrobić to, czego ode mnie oczekują.

– Świetnie – mówi najstarszy Funkcjonariusz, zapisując wyniki.

– Naprawdę świetnie. Dziękuję ci, Cassio.

Funkcjonariuszki odklejają płytki rejestrujące. Spoglądają mi w oczy i uśmiechają się, bo teraz nikt już nie może oskarżyć ich o stronniczość. Test się skończył. Wygląda na to, że go zdałam.

– To była czysta przyjemność – oznajmia siwowłosy Funkcjonariusz, podając mi rękę. Wstaję i ściskam jego dłoń, a potem dłonie pozostałych dwóch Funkcjonariuszek. Zastanawiam się, czy czują strumień energii, który przepływa teraz przeze mnie.



Odczuwam zarazem napięcie i ulgę. – Niezwykły pokaz umiejętności sortowniczych.

– Dziękuję panu.

Gdy idą już do drzwi, Funkcjonariusz raz jeszcze odwraca się do mnie i mówi:

– Będziemy mieli cię na oku, młoda damo.

Zamyka za sobą metalowe drzwi, które zatrząskują się z głębokim, donośnym hukiem. Wsłuchana w ciszę, która zalega w sali po tym ponurym dźwięku, uświadamiam sobie, dlaczego Ky nie lubi rzucać się w oczy. Czuję się naprawdę dziwnie, wiedząc, że Funkcjonariusze uważnie mnie teraz obserwują – zupełnie jakbym stała między tymi drzwiami a futryną, jakby ich wzmożona uwaga była czymś rzeczywistym, ciężkim i namacalnym.

Tego wieczoru, kiedy odbywa się Bankiet Em, kładę się wcześniej do łóżka i szybko zasypiam. Tej nocy znów muszę przykleić płytki rejestrujące. Mam nadzieję, że informacje, które przechwyca z moich snów, dowiodą jedynie mojej normalności. Potwierdzą, że jestem typową siedemnastolatką.

Ale we śnie znów sortuję w obecności Funkcjonariuszy. Na ekranie pojawia się zdjęcie Em, a ja mam przydzielić ją do puli Doboru. Nieruchomieję. Moje dłonie zastygają. Mózg przestaje działać.

– Jakiś problem? – pyta siwowłosa Funkcjonariusz.

– Nie wiem, gdzie ją przydzielić – mówię.

Funkcjonariusz spogląda na twarz Em na ekranie i uśmiecha się.

– Ach, to proste. Ma twoją puderniczkę, prawda?

– Tak.

– Zabierze w niej na Bankiet swoje tabletki, jak ty. Każ jej po prostu zażyć czerwoną, a wszystko będzie w porządku.

Nagle jestem na Bankiecie, przeciskam się między dziewczętami w sukniach, chłopcami w garniturach i rodzicami w powszednich ubraniach. Obracam ich, przesuwam, staram się za wszelką cenę zobaczyć ich twarze, bo wszyscy są tutaj ubrani na żółto, wszyscy zlewają się w jedną żółtą plamę, a ja nie mogę sortować, nie mogę nic z nimi robić.

Obracam w miejscu następną dziewczynę.

To nie Em.

Kiedy próbuję dogonić kolejną nastolatkę, przypadkowo wytrącam z rąk kelnera tacę pełną ciasta. Spada na podłogę, a ciasto rozdziela się na części, niczym ziemia odpadająca od korzeni.

Nie Em.

Tłum rzednieje, przed pustym ekranem stoi samotna dziewczyna w żółtej sukience.

Em.

Zaraz się rozplącze.

– Wszystko będzie dobrze! – wołam, przepychając się do niej przez tłum. – Weź tabletkę, a wszystko będzie dobrze!

Oczy Em jaśnieją. Wyciąga z kieszeni moją puderniczkę, sięga po zieloną pigułkę i wkłada ją szybko do ust.

– Nie! – wołam, ale jest już za późno. – Weź... Wkłada do ust niebieską tabletkę.

– ..czerwoną! – kończę, przepychając się przez ostatnią grupę i stając przed nią.

– Nie mam czerwonej – mówi, odwracając się plecami do ekranu. Pokazuje mi otwartą pustą puderniczkę. Jej oczy są smutne. – Nie mam czerwonej pigułki.

– Możesz wziąć moją – ofiaruję się, chcąc jej pomóc. Nie będę siedziała z boku i przyglądała się beczynnie. Wyciągam swój pojemnik, otwieram go i wkładam jej w dłoń czerwoną tabletkę.

– Och, dziękuję ci, Cassio – mówi. Podnosi pigułkę do ust. Widzę, jak ją przełyka.

Nagle w sali zapada cisza. Wszyscy patrzą teraz na nas, na Em. Jak zadziała czerwona tabletkę? Nikt tego nie wie oprócz mnie. Uśmiecham się. Wiem, że pigułka ją uratuje.

Na ekranie pojawia się jej Wybranek. Widzi, jak Em pada martwa. Jej ciało uderza głucho o podłogę, powieki trzepoczą lekko, nim się zamkną, suknia faluje, dłonie otwierają się i zamykają jak skrzydła.

Budzę się złana potem i zmarznięta zarazem, potrzebuję całej minuty, by się uspokoić. Choć Funkcjonariusze śmieją się z pogłosek, że czerwona tabletkę zabija, ludzie wciąż powtarzają takie plotki. To tłumaczy, dlaczego śniłam o śmierci Em.

Ale sen nie musi mieć nic wspólnego z rzeczywistością.

Płytki wciąż trzymają się mojej wilgotnej skóry. Żałuję, że musiałam je założyć właśnie dzisiaj. Przynajmniej nie jest to powracający koszmar, więc nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że to jakaś obsesja. Poza tym wydaje mi się, że nikt nie jest w stanie stwierdzić, co dokładnie śniłam. Wiadomo tylko, że miałam sen. Od czasu do czasu chyba każdą nastolatkę nawiedzają jakieś koszmary, więc nie będzie to nic niezwykłego. Nikt nie wyróżni w szczególny sposób tej informacji, kiedy dołączy ją do mojego pliku.

Ale siwowłosy Funkcjonariusz powiedział, że będą mieli mnie na oku.

Wpatruję się w ciemność, przejęta bólem, który utrudnia oddychanie. Ale nie myślenie.

Od czasu Ostatniego Bankietu dziadka na przemian żałuję, że dał mi tę kartkę, i cieszę się, że to zrobił. Bo teraz znam

przynajmniej słowa, którymi mogę opisać to, co się we mnie dzieje: światło się mroczy.

Czy gdybym nie potrafiła tego nazwać, wiedziałabym w ogóle, co to jest? Czy w ogóle bym to czuła?

Biorę do ręki mikrokartę, którą dała mi Funkcjonariuszka, i przechodzę cicho do portu. Chcę zobaczyć twarz Xandera, chcę nabrać pewności, że wszystko jest w porządku.

Zatrzymuję się raptownie. Moja mama stoi przed portem i rozmawia z kimś. Kto kontaktuje się z nią o tak późnej porze?

Tata widzi mnie z salonu, gdzie siedzi na sofie i czeka, aż mama skończy rozmowę. Gestem pokazuje mi, bym weszła i usiadła obok niego. Kiedy to robię, zerka na mikrokartę w mojej dłoni, uśmiecha się i droczy ze mną.

– Nie wystarczy ci, że widzisz Xandera w szkole? Chcesz sobie jeszcze na niego popatrzeć, zanim pójdziesz spać?

Obejmuje mnie ramieniem i ściska serdecznie.

– Rozumiem to. Zachowywałem się tak samo, gdy twoja mama została moją Wybranką. To było jeszcze w czasach, gdy od razu pozwalali nam drukować zdjęcia z portu, a nie czekać z tym do pierwszego spotkania.

– Co twoi rodzice sądzili o tym, że mama pochodzi z Ziemi Uprawnych?

Tata milczy przez moment.

– Prawdę mówiąc, oboje trochę się tym martwili. Nigdy nie sądzili, że zostanę Dobrany z kimś, kto mieszka poza Miastem. Ale szybko doszli do wniosku, że wcale im to nie przeszkadza. – Uśmiecha się ciepło jak zawsze, gdy mówi o miłości. – Wystarczyło to pierwsze spotkanie, by zmienili zdanie. Szkoda, że nie możesz zobaczyć, jak wyglądała wtedy twoja matka.

– Dlaczego spotkaliście się w Mieście, a nie na Ziemiach Uprawnych? – pytam. Zwykle pierwsze spotkanie odbywa się w

domu dziewczyny. Zawsze obecny jest przy tym Funkcjonariusz z Departamentu Doboru, który pilnuje, by wszystko szło gładko.

– Mama koniecznie chciała tu przyjechać, choć wiązało się to z długą podróżą kolejką. Chciała jak najszybciej zobaczyć Miasto. Moi rodzice, ja i Funkcjonariusz wyszliśmy na stację, żeby ją przywitać.

Milknie na moment, a ja wiem, że odtwarza w myślach to spotkanie, przypomina sobie, jak mama wyszła z kolejki.

– I? – ponagliam go, zniecierpliwiona. Wiem, że to trochę niegrzeczne, ale muszę mu przypomnieć, że nie jest w przeszłości. Jest ze mną, w teraźniejszości, a ja chcę wiedzieć jak najwięcej o Dobraniu, które mnie stworzyło.

– Kiedy wyszła z wagonu, twoja babcia powiedziała do mnie: „Ona nadal ma słońce na twarzy”. – Tata uśmiecha się do wspomnień. – I rzeczywiście tak było. Nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś wyglądał równie radośnie i ciepło. Moi rodzice nie wspomnieli już ani słowem o swoich obawach. Myślę, że tamtego dnia wszyscy się w niej zakochaliśmy.

– A ja zakochałam się w was – mówi mama, która już od jakiegoś czasu stoi w drzwiach i przysłuchuje się naszej rozmowie. Wydaje się smutna, a ja zastanawiam się, czy myśli o dziadku, czy o babci, czy też o nich obojgu. Mama i tata są teraz jedynymi ludźmi, którzy pamiętają ten dzień, może z wyjątkiem Funkcjonariusza, który ich wtedy obserwował.

– Kto dzwonił tak późno? – pytam.

– Ktoś z pracy – odpowiada mama. Znużona, siada obok taty i opiera głowę na jego ramieniu, a on obejmuje ją w talii. – Muszę jutro wyjechać.

– Dlaczego?

Mama ziewa, otwiera szerzej swoje niebieskie oczy. Jej twarz wciąż naznaczona jest słońcem, pozostałością po długich godzinach pracy na dworze. Wygląda nieco starzej niż zwykle, po raz pierwszy dostrzegam pasmo siwizny wplecione w jej gęste blond włosy.

– Jest już późno, Cassio. Powinnaś spać. Ja też powinnam spać. Jutro rano opowiem wam o wszystkim.

Nie protestuję. Zaciskam dłoń na mikrokarcie i mówię:

– Dobrze.

Mama się uśmiecha, a potem całuje mnie na dobranoc. Wstaje i wychodzę do swojego pokoju.

Zamykam za sobą drzwi i słucham tego, co się dzieje za ścianą. Ten nagły wyjazd mamy mnie niepokoi. Dlaczego właśnie teraz? Dokąd jedzie? Jak długo jej nie będzie? Rzadko wyjeżdża.

– I co? – pyta tata w sąsiednim pokoju. Stara się mówić cicho i spokojnie. – Wszystko w porządku? Nie pamiętam, kiedy ktoś ostatnio dzwonił do nas o tej porze.

– Sama nie wiem. Coś się dzieje, ale nie wiem co. Ściągają ludzi z kilku Arboretów. Mamy obejrzeć jakąś uprawę w Prowincji Grandia. – Mówi z melodyjnym zaśpiewem, który zawsze pojawia się w jej głosie, gdy jest już bardzo późno, a ona jest zmęczona. Pamiętam go jeszcze z czasów, gdy opowiadała mi przed snem o kwiatach. Trochę mnie to uspokaja. Skoro mama uważa, że nie dzieje się nic złego, to pewnie nie ma się czym martwić. To jedna z najbystrzejszych osób, jakie znam.

– Jak długo cię nie będzie? – pyta tata.

– Najwyżej tydzień. Myślisz, że Cassia i Bram sobie poradzą? To dość długi wyjazd.

– Zrozumieją to. – Krótka pauza. – Cassia wciąż nie doszła do siebie. Wiesz, po tej historii z próbką.

– Wiem. Trochę się tym martwię. – Mama wydaje z siebie ciche westchnienie, które jednak przenika przez ścianę. – To był zwykły błąd, przypadek. Mam nadzieję, że wkrótce to zrozumie.

„Błąd? To nie był błąd – myślę. Potem uświadamiam sobie: – Ona nie wie. Tata jej nie powiedział. Ma przed nią tajemnice”.

Wtedy nawiedza mnie okropna myśl.

„Więc ich Dobranie nie jest jednak idealne”.

Natychmiast żałuję tej myśli. Skoro ich związek nie jest idealny, to jakie są szanse, że mój taki będzie?

Następnego ranka kolejna burza szarpie liśćmi klonów i polewa deszczem noworóże. Jem śniadanie, znów owsiankę, kiedy z portu dobiega głos: „Cassio Reyes, twoje zajęcia rekreacyjne, piesza wycieczka, zostają odwołane ze względu na niesprzyjającą pogodę. Zgłoś się do Drugiej Szkoły na dodatkowe zajęcia”.

Nie ma pieszej wycieczki. Zatem nie ma też spotkania z Ky'em.

Kiedy idę na stację kolejki, powietrze jest ciepłe i wilgotne, wciąż siąpi deszcz. Moje miedziane włosy zaczynają się kręcić, jak zwykle w taką pogodę. Patrzę na niebo, nie widzę jednak słońca, tylko zbitą jednolitą warstwę chmur.

W mojej kolejce nie ma nikogo ze znajomych, ani Em, ani Xandera, ani Ky'a. Pewnie pojechali już wcześniej albo dopiero przygotowują się do wyjścia, ja czuję jednak, że coś przegapiłam, że czegoś mi brakuje.

Albo brakuje mi kogoś.

W szkole wchodzę na piętro, do biblioteki naukowej, gdzie mogę korzystać z kilku portów. Chcę dowiedzieć się czegoś o Dylanie Thomasie i lordzie Alfredzie Tennysonie, sprawdzić, czy jakieś ich wiersze znalazły się jednak w Stu wybranych. Nie sądzę, by tak było, ale chcę mieć pewność.

Podnoszę ręce do ekranu i nieruchomieję, waham się. Najprościej i najszybciej byłoby wpisać ich nazwiska, ale wtedy zostawiłabym wyraźny ślad – ktoś mógłby się zorientować, że ich szukałam, zacząć wypytywać i drażnić. Znacznie bezpieczniej będzie przejrzeć listę poetów w bazie danych Stu Wierszy. Jeśli będę sprawdzać kolejne nazwiska, nikomu nie wyda się to podejrzane.

Potrzebuję sporo czasu, by przejrzeć każde z nazwisk, w końcu jednak docieram do T. Znajduję jeden wiersz autorstwa Tennysona i chcę go przeczytać, ale nie mam czasu. Nie ma żadnego Thomasa. Jest jakiś Thoreau. Dotykam tego nazwiska: zachowano jeden jego utwór, zatytułowany „Księżyc”. Zastanawiam się, czy napisał coś więcej. Jeśli nawet, to i tak nic już z tego nie zostało.

Dlaczego dziadek dał mi te wiersze? Czy chciał, żebym odnalazła w nich jakieś ukryte znaczenie? Czy nie chce, żebym dorastała łagodnie? Co to w ogóle ma oznaczać? Czy mam walczyć z władzą? Równie dobrze mogłabym zapytać, czy chce, bym popełniła samobójstwo. Bo właściwie tym skończyłby się mój bunt. Nie umarłabym dosłownie, ale gdybym próbowała złamać zasady, odebraliby mi wszystko, co dla mnie cenne. Wybranka. Rodzinę. Dobrą posadę. Zostałabym z niczym. Nie sądzę, by tego właśnie chciał dla mnie dziadek.

Nie mogę tego zrozumieć. Wciąż o tym myślę, zastanawiam się, obracam te słowa w głowie. Żałuję, że nie mogę zobaczyć ich ponownie na papierze i spróbować rozwiązać tej zagadki. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym widziała te słowa w rzeczywistości, nie tylko w swoim umyśle.

Uświadomiłam sobie jedno. Choć zrobiłam to, co należało – spaliłam je i próbowałam o nich zapomnieć – to niczego nie zmieniło. Te słowa mnie nie opuszczą.

Oddycham z ulgą, gdy widzę Em w jadalni. Dosłownie promienieje z radości, a na mój widok podnosi rękę i macha do mnie. Zatem Bankiet się udał. Nie uległa panice. Przeszła przez to. Nie umarła.

Przeciskam się do niej, siadam na sąsiednim krześle.

– No i jak? – pytam, choć już znam odpowiedź. – Jak było na Bankiecie?



Jej radość opromienia wszystko w sali. Ludzie siedzący przy naszym stole uśmiechają się mimowolnie.

– Było idealnie.

– Więc to jednak nie Lon? – się się na kiepski żart. Lon został Dobrany kilka miesięcy temu.

Em parska śmiechem.

– Nie. Nazywa się Dalen. Jest z Prowincji Acadia.

Acadia to jedna z gęściej zalesionych prowincji na wschodzie, daleko od łagodnych wzgórz, rzek i dolin naszej Prowincji Oria, W Acadii mają morze i skały, których próżno u nas szukać.

– I... – Pochyliam się do przodu, podobnie jak wszyscy znajomi siedzący przy stole. Wszyscy spragnieni są wiadomości o chłopcu, którego poślubi Em.

– Kiedy wstał, pomyślałam: nie, on nie może być mój. Jest wysoki, uśmiechał się do mnie z ekranu. W ogóle nie był zdenerwowany.

– Jest więc przystojny?

– Oczywiście – uśmiecha się Em. – Mam wrażenie, że on też nie był rozczarowany, na całe szczęście.

– Jak mógłby być rozczarowany? – Nawet w burych powszednich ubraniach Em wygląda dziś doprawdy czarująco, przypuszczam więc, że poprzedniego wieczoru po prostu nie można było od niej oderwać oczu. – Zatem jest przystojny. Ale jak właściwie wygląda? – Wstyd mi, kiedy słyszę nutkę zazdrości w swoim głosie, wyraźną i jednoznaczną. Nikt nie cisnął się do mnie, by spytać, jak wygląda Xander. Nie było w tym żadnej tajemnicy, bo wszyscy już go znali.

Em jest na tyle miła, że nie zwraca na to uwagi.

– Właściwie jest trochę podobny do Xandera... – zaczyna, a potem milknie niespodziewanie.

Spoglądam w to samo miejsce co ona i widzę Xandera. Stoi kilka kroków dalej, z tacą w dłoniach. Na jego twarzy widać grymas bólu. Czy słyszał zazdrość w moim głosie, gdy pytałam Em o jej Wybranka?

Co się ze mną dzieje?

Staram się jakoś zatrzeć to złe wrażenie.

– Rozmawiamy o Wybranku Em. Przypomina ciębie.

Xander szybko odzyskuje panowanie nad sobą.

– Więc jest nieprawdopodobnie przystojny. – Siada obok mnie, ale nie patrzy w moją stronę. Czuję się zawstydzona i skrępowana. Na pewno mnie słyszał.

– Oczywiście – śmieje się Em. – Nie wiem, czym się tak martwiłam! – Czerwieni się lekko, przypomniał sobie zapewne o incydencie w sali koncertowej. Spogląda na Xandera. – Wszystko doskonale się ułożyło, dokładnie tak, jak mówiliście.

– Szkoda, że nie możesz od razu wydrukować jego zdjęcia – odpowiadam. – Chciałabym zobaczyć, jak wygląda.

Em opisuje swojego Wybranka i mówi o tym, czego dowiedziała się z jego mikrokarty, ja jestem jednak zbyt zdekoncentrowana, by słuchać jej uważnie. Martwię się, że zraniłam Xandera, chcę, by na mnie spojrzął lub wziął mnie za rękę, ale on nic takiego nie robi.

Kiedy wychodzimy z jadalni, Em chwyta mnie za ramię.

– Dziękuję ci bardzo, że pożyczyłaś mi tę puderniczkę. Dzięki niej nie denerwowałam się tak bardzo, wiesz?

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Ky dał ci ją dziś rano, prawda?

– Nie. – Serce zamiera mi w piersiach. Gdzie jest moja puderniczka? Dlaczego Em jej nie ma?

– Nie dał? – Em blednie.

– Nie – powtarzam. – Dlaczego on ją ma?

– Spotkałam go wczoraj w kolejce po Bankiecie Doboru. Wraciał z pracy do domu. Chciałam, żebyś jak najszybciej dostała puderniczkę z powrotem. – Em bierze głęboki oddech. – Wiedziałam, że będziesz się z nim widziała wcześniej, na pieszej wycieczce, a nie mogłam zawieźć ci jej od razu, bo nie zdążyłabym przed ciszą nocną.

– Wycieczka została odwołana z powodu deszczu.

– Naprawdę? – Piesze wycieczki to jedyne letnie zajęcia rekreacyjne, które uzależnione są od pogody. Nawet pływanie odbywa się w krytym basenie, w budynku. Em jest załamana. – Powinnam była o tym pomyśleć. Ale dlaczego Ky nie przekazał ci tego w jakiś inny sposób? Wiedział, jakie to dla ciebie ważne. Mówiłam mu o tym.

Dobre pytanie. Ale nie chcę, żeby ta sprawa odebrała Em radość z udanego Bankietu. Nie chcę, żeby się martwiła.

– Na pewno dał ją Aidzie i poprosił, żeby przekazała mamie albo tacie – mówię, siląc się na swobodny ton.

– Albo po prostu da mi ją jutro, na wycieczce.

– Nie martw się – mówi Xander, patrząc prosto na mnie. Sięga tymi słowami ponad drobne podziały i przepaście, które wciąż otwierają się między nami. – Ky’owi można ufać.

## ROZDZIAŁ 15

Kiedy następnego ranka idę na stację kolejki, wszystko wydaje się rześkie i lekkie. Chłód nocy dokonał tego, czego nie zdołał dokonać deszcz: powietrze jest świeże i przyjemne. Nowe. Słońce wyglądające zza resztek chmur zachęca ptaki do śpiewu, a te skwapliwie ulegają temu impulsowi. Ja też reaguję na światło, pozwalam, by rozjaśniło mój umysł. Któż nie chciałby zatrzymać czegoś tak pięknego?

Nie ja jedna odbieram to w ten sposób. Gdy spotykamy się na wycieczce, Ky wypatruje mnie z daleka i podchodzi do mnie w chwili, gdy zaczyna przemawiać Oficer. Wciska mi w dłoń puderniczkę. Czuję dotyk jego palców, wydaje mi się, że trzyma je przy moich o jedną krótką chwilę dłużej niż to konieczne.

Chowam puderniczkę do kieszeni.

„Dlaczego tutaj? – zastanawiam się. – Dlaczego nie dał mi tego w domu?”

Cieszę się, że pożyczyłam ją Em, ale cieszę się też, że do mnie wróciła. Puderniczka to jedyny przedmiot, który łączy mnie ze zmarłymi dziadkami. Obiecuję sobie w duchu, że już nigdy nie oddam jej nikomu.

Zastanawiam się, czy Ky poczeka na mnie, kiedy wszyscy wejdziemy w las, ale nie robi tego. Gdy tylko Oficer daje sygnał gwizdkiem, Ky rusza naprzód, nawet się za siebie nie oglądając. Mój doskonały humor nieco przygasa.

„Masz z powrotem puderniczkę – przypominam sobie w myślach. – Odzyskałaś coś”.

Ky znika między drzewami.

„I coś straciłaś”.

Trzy minuty później, w lesie, uświadamiam sobie, że Ky wcale nie oddał mi mojej puderniczki. To co innego – widzę to od razu, gdy tylko wyciągam ów przedmiot z kieszeni, by jeszcze raz go obejrzeć. Jest podobny, zamknięty w złotej kopercie z zatrzaskiem, ale to z pewnością nie mój artefakt.

W środku znajdują się cztery litery – N, E, S, W – i wskazówka. Wskazówka kręci się raz za razem, ale w końcu zawsze wskazuje na mnie.

Nie sądziłam, że Aberracje mają dostęp do artefaktów, wygląda jednak na to, że Ky ma. Czy dał mi to celowo, czy przez przypadek? Czy powinnam mu to oddać, czy poczekać, aż coś mi powie?

Dochodzę do wniosku, że w tym lesie kryje się za dużo tajemnic. Znów odnajduję w sobie radość i uśmiecham się do siebie, gotowa stanąć twarzą w twarz ze słońcem.

– Proszę pana! Proszę pana! Lon upadł. Chyba jest ranny.

Oficer przeklina pod nosem i spogląda na mnie i na Ky’a, bo tylko my dotarliśmy na szczyt przed tym chłopcem.

– Wy dwoje zostańcie tutaj i zapisujcie, w jakiej kolejności przychodzili następni, dobrze?

Oficer daje mi informator i nie czekając na naszą odpowiedź, znika z chłopcem w lesie.

Myślę, że powinnam powiedzieć Ky’owi o zamienionych artefaktach, lecz w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chcę zatrzymać tę wirującą wskazówkę w złotej kopercie. Choćby jeszcze przez dzień lub dwa.

– Co robisz? – pytam Ky’a. Jego dłoń się porusza, nakreśla w trawie kształty i linie, które coś mi przypominają.

Podnosi na mnie swe niebieskie oczy.

– Piszę.

Oczywiście. Dlatego te znaki wydają mi się znajome. Pisze, używając staromodnych zaokrąglonych liter, podobnych do napisu na mojej pudernicze. Widziałam już podobne słowa i znaki, ale sama nie umiem ich tworzyć. Nikt tego nie umie. Potrafimy jedynie pisać na klawiaturze. Moglibyśmy próbować odwzorowywać te kształty, ale czym? Nie mamy starych narzędzi.

Obserwując Ky'a, uświadamiam sobie jednak, że sami możemy sobie stworzyć takie narzędzia.

– Jak się tego nauczyłeś? – pytam. Nie ośmielam się usiąść obok niego – lada moment ktoś może wejść na szczyt, a ja będę musiała wtedy wpisać jego dane do informatora – więc tylko przystaję kilka kroków dalej. Krzywi się mimowolnie, a ja uświadamiam sobie, że stanęłam dokładnie na środku jego słów. Cofam się jeszcze o krok.

Ky uśmiecha się, ale nie odpowiada. Pisze dalej.

To właśnie nas różni od siebie. Ja żyję, by sortować, on wie, jak tworzyć. Może zapisywać słowa, gdy tylko zechce. Może odcisnąć je w trawie, napisać na piasku, wyryć w korze drzewa.

– Nikt nie wie, że umiem to robić – mówi Ky. – Teraz ja znam twój sekret, a ty mój.

– Myślę, że tych sekretów jest więcej – odpowiadam, odnosząc się do wirującej strzałki w mojej kieszeni.

Ky uśmiecha się ponownie.

Krople deszczu z minionej nocy zgromadziły się w ciężkich, opadających płatkach leśnych kwiatów. Zanurzam palec w wodzie i próbuję coś napisać na śliskiej zielonej powierzchni jednego z szerokich liści. Idzie mi to opornie, niezdarnie. Moje dłonie przyzwyczajone są do stukania w ekran, a nie do wykonywania półkolistych, kontrolowanych ruchów. Nie trzymałam pędzla w

dłoniach od lat, od czasu nauki w Pierwszej Szkole. Nie widzę dobrze liter, które napisałam, wiem jednak, że nie mają odpowiednich kształtów.

Ky zanurza palec w innej kropli i pisze na liściu lśniące C. Kreśli półkole płynnie, z wdziękiem.

– Nauczysz mnie? – pytam.

– Nie wolno mi tego robić.

– Nie wolno nam robić żadnej z tych rzeczy – przypominam mu. Spomiędzy drzew i krzewów w dole dochodzą jakieś dźwięki. Ktoś nadchodzi. Chcę, by obiecał, że nauczy mnie pisać, nim ktoś do nas dołączy. – Nie wolno nam czytać nieznanych wierszy, pisać ani... – przerywam i pytam ponownie: – Nauczysz mnie?

Ky nie odpowiada.

Nie jesteśmy już sami.

Na szczyt weszło kilka osób, a sądząc po jękach dochodzących z lasu, Oficer i grupa Lona też są już blisko. Muszę wpisać te nazwiska do informatora, odsuwam się więc od Ky'a. Zerkam na niego raz jeszcze, on jednak siedzi nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrzony w odległe wzgórze.

Okazuje się, że Lon przeżyje. Gdy tylko Oficer kładzie kres melodramatowi, jakim staje się jego wypadek, okazuje się, że ma tylko lekko zwichniętą kostkę. Mimo to Oficer ostrzega nas, byśmy w drodze powrotnej szli ostrożnie i powoli.

Chcę się przyłączyć do Ky'a, ten jednak wybiera towarzystwo Oficera i pomaga mu sprowadzić Lona w dół zbocza. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle Oficer wyciągał tu Lona, potem jednak słyszę, jak mruczy do Ky'a coś w rodzaju „muszę mieć komplet, bo się przyczepią...”. Zaskakuje mnie to, choć wiem, że Oficerowie również muszą składać raporty swoim przełożonym.

Idę z dziewczyną o imieniu Livy, która z dnia na dzień radzi sobie na wycieczkach coraz lepiej i jest entuzjastycznie nastawiona do całego świata. Wciąż coś mówi, nie zamykają się jej usta, a ja wyobrażam sobie, jak palec Ky'a kreśli C, pierwszą literę mojego imienia.

Wracamy później, niż powinniśmy; musimy się spieszyć, żeby zdążyć na kolejkę, którą ja pojedę do swojej Gminy, a Ky do Miasta, do pracy. Nie zamierzam już ponownie nawiązywać z nim rozmowy. Nagle czuję, że ktoś przechodzi tuż obok mnie. Jednocześnie słyszę słowo wypowiedziane tak cicho i łagodnie, że zastanawiam się, czy nie padło już wcześniej, na wzgórzu, a wiatr tylko je tutaj zaniósł.

To słowo brzmi „Tak”.



## ROZDZIAŁ 16

Coraz lepiej radzę sobie z C. Gdy tylko zaczynamy wycieczkę, pędzę co sił na szczyt wzgórza. Melduję się u Oficera, a potem idę do Ky'a. Bez słowa podnoszę jakiś patyk i kreślę C w błocie obok jego stóp.

– Co dalej? – pytam, a on uśmiecha się lekko.

– Wcale mnie nie potrzebujesz. Mogłabyś nauczyć się tego sama – mówi. – No wiesz, odwzorowywać litery z pisaka albo czytelnika.

– To nie to samo – odpowiadam. – Tamte litery nie łączą się ze sobą jak twoje. Widziałam już kiedyś ten rodzaj pisma, ale nie wiem, jak się nazywa.

– Kursywa – wyjaśnia cicho Ky. – Trochę trudniej go czytać, ale jest piękny. To jeden ze starych sposobów pisania.

– Właśnie tego chcę się nauczyć. – Nie chcę kopiować kanciastych, nijakich liter, których używamy teraz. Podoba mi się owalny, ozdobny styl Ky'a.

Ky zerka na Oficera, który wpatruje się groźnie w drzewa, jakby przestrzegał w ten sposób wszystkich, by nie wazyli sobie dziś zrobić krzywdy. Wiemy, że wkrótce dołączą do nas kolejni uczestnicy wycieczki.

– Co teraz? – pytam ponownie.

– A – odpowiada Ky i pokazuje mi, jak napisać małe *a*, zakończone niewielkim ogonkiem, który łączy je z następną literą. – Bo to druga litera w twoim imieniu. – Wyciąga rękę i ujmuje patyk nad moją dłońią.

*W górę, dokoła, w dół.*

Jego dłoń naciska nieco mocniej na moją, gdy wykonujemy ruchy w dół, odpuszcza, gdy przesuwamy się w górę. Przygryzam wargę, skupiona, a może tylko boję się oddychać, dopóki nie napiszemy całego *a*, co dzieje się zdecydowanie za szybko.

Litera wygląda idealnie. Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Chcę spojrzeć w górę, na niego, patrzę jednak w dół, na nasze dłonie, ułożone jedna obok drugiej. W tym świetle jego ręce nie wydają się takie czerwone jak zwykle. Są raczej brązowe, silne. Zdecydowane.

Ktoś biegnie pośród drzew. Oboje natychmiast puszczaamy patyk.

Livy wpada w pełnym pędzie na polanę. Nigdy jeszcze nie była trzecia, więc nie posiada się z radości. Podczas gdy ona rozmawia z Oficerem, Ky i ja stajemy prosto i zdeptujemy to, co napisaliśmy.

– Dlaczego najpierw uczę się pisać liter swojego imienia?

– Bo nawet jeśli nauczysz się tylko tego, będzie to coś cennego – mówi. Pochyla głowę i spogląda na mnie, jakby upewniał się, że rozumiem, co do mnie mówi i o co zamierza zapytać: – Czy chciałaś nauczyć się najpierw czegoś innego?

Kiwam głową, a w jego oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Słowa z tamtej kartki – szepcze, zerkając na Livy i Oficera.

– Tak.

– Pamiętasz je jeszcze?

Ponownie kiwam głową.

– Mów mi codziennie po kawałku, a ja zapamiętam je dla ciebie. Będzie nas już dwoje.

Choć mamy niewiele czasu, nim Livy, Oficer lub ktoś inny podejdzie do nas i zacznie rozmowę, milczę jeszcze przez chwilę. Jeśli przekażę Ky'owi te słowa, znajdę się w jeszcze trudniejszej

sytuacji niż poprzednio. Narażę Ky'a na niebezpieczeństwo. I będę musiała mu zaufać.

Czy mogę to zrobić? Patrę na krajobraz widoczny ze szczytu wzgórza. Niebo nie ma dla mnie żadnej odpowiedzi. Z pewnością nie ma jej też kopuła Ratusza. Przypominam sobie, jak myślałam o aniołach podczas podróży na Bankiet Doboru. Nie widzę ich, nie przylatują do mnie na swych delikatnych białych skrzydłach i nie szepczą mi do ucha. Czy mogę zaufać chłopcu, który pisze na ziemi?

Coś głęboko w moim wnętrzu – czy to moje serce?, a może dusza, ta mityczna część człowieka, którą opiekowały się anioły? – mówi mi, że mogę.

Pochylam się do Ky'a. Nie patrzymy na siebie – oboje patrzymy prosto do przodu, by nikt nie nabrał podejrzeń, gdyby zerknął w naszą stronę. Wtedy właśnie szepczę mu te słowa, przepełniona radością, bo wreszcie dzielę się nimi z kimś, naprawdę wypowiadam je głośno w obecności innej osoby. *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy, Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy.*

Ky zamyka powieki.

Kiedy otwiera je ponownie, wsuwa mi w dłoń coś szorstkiego i cienkiego.

– Obejrzyj sobie to – mówi. – A potem zniszcz.

Nie mogę się doczekać końca zajęć w Drugiej Szkole i centrum sortowania, by w końcu spojrzeć na to, co dał mi Ky. Robię to, dopiero gdy jestem w kuchni i jem kolację sama, bo pracowałam do późna. Słyszę, jak tata i Bram grają w coś na porcie w holu, czuję się więc wystarczająco bezpieczna, by sięgnąć do kieszeni i wyciągnąć prezent od Ky'a.

Serwetka. W pierwszej chwili czuję rozczarowanie. Dlaczego właśnie to? Przecież to zwykła serwetka, dostajemy takie w jadalniach w Drugiej Szkole, Arboretum czy innych miejscach.

Brazowa, brudna i zużyta. Mam ochotę od razu wrzucić ją do spalarki.

Ale kiedy ją otwieram, okazuje się, że w środku są jakieś słowa. Zachwycające. Kursywa. Wyglądały pięknie na zielonym wzgórzu, pośród szumu drzew, i równie wspaniale są tutaj, w mojej szaroniebieskiej kuchni. Ciemne, kragłe słowa wijące się na brązowym papierze. W miejscach, gdzie serwetka zawilgotniała, są nieco rozmyte.

Jednak to nie tylko słowa. Obok nich są też rysunki. Powierzchnia serwetki pełna jest linii i znaczeń. Nie jest to obraz, wiersz czy tekst piosenki, choć mój umysł sortowaczki dostrzega wzory każdej z tych rzeczy. Nie potrafię jednak nazwać ich w całości. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego.

Uświadamiam sobie, że nie wiem nawet, czego używa się do tworzenia takich znaków i linii. Dotąd ćwiczyłam jedynie pisanie w powietrzu lub w błocie. Kiedyś istniały specjalne narzędzia do pisania, ale nie mam pojęcia, jak wyglądały. Nawet pędzle na szkolnych zajęciach ze Sztuki przymocowane były do ekranów, a obrazy zmywano natychmiast po zakończeniu zajęć. Ky musi znać jakiś sekret starszy od dziadka, jego matki i ludzi żyjących przed nimi. Ky wie, jak tworzyć.

„Dwa życia” – napisał na serwetce.

– Dwa życia – powtarzam szeptem. Słowa rozpływają się w pustym pomieszczeniu, zbyt ciche, by dotarły do portu. Sama ledwie je słyszę, moje uszy wypełnia bowiem rytmiczny szum pulsującej krwi. Serce bije mi szybciej niż w lesie czy na bieżni.

Powinnam pójść do swojego pokoju, ukryć się w czterech ścianach, na łóżku, obok szafy, w której wiszą ubrania, martwe i nieruchome. Nie mogę jednak oderwać wzroku od serwetki. Początkowo nie mogę zrozumieć, co przedstawia obrazek, później jednak uświadamiam sobie, że to on. Ky. Narysowany dwukrotnie po obu stronach złożonej serwetki. Zdradzają to linia jego szczęki,

kształt jego oczu, szczupła, a zarazem atletyczna sylwetka. Na obu rysunkach trzyma złożone dłonie, wznosi je ku niebu.

Na tym kończą się podobieństwa między nimi. Na pierwszym rysunku Ky patrzy na jakiś punkt na niebie, wydaje się młodszy, jego twarz jest radosna i ufna. Wygląda tak, jakby wierzył, że jego puste dłonie zostaną czymś napełnione. Na drugim rysunku jest starszy, ma ściągniętą twarz, patrzy w dół, na ziemię.

Pod spodem znajduje się napis: „Który jest prawdziwy, ja nie pytam, oni nie mówią”.

Dwa życia. Chyba to rozumiem: jego życie, zanim tu przyjechał, i jego życie potem. Co jednak oznacza ten napis na dole, fragment wiersza lub piosenki?

– Cassio? – wola tata od drzwi, za moimi plecami. Kładę serwetkę obok pojemnika i idę do spalarki i kosza recyklingowego.

– Tak?

„Nawet jeśli zobaczył, to przecież tylko serwetka” – mówię sobie, spoglądając na brązowy kwadrat leżący na mojej tacy. „Spalamy je po każdym posiłku, a do tego są zrobione z odpowiedniego papieru, nie z takiego, jaki dał mi dziadek. Czujnik spalarki nie zauważy żadnej różnicy. Ky dba o twoje bezpieczeństwo”. Podnoszę wzrok na tatę.

– Na porcie jest wiadomość do ciebie – mówi tata. Nie patrzy na to, co niosę. Skupia się na mojej twarzy, na tym, co myślę. Może tam właśnie kryje się największe niebezpieczeństwo. Uśmiecham się i przybieram beztroski wyraz twarzy.

– Od Em? – pytam. Wrzucam pusty pojemnik do kosza recyklingowego. Zostaje tylko serwetka.

– Nie – odpowiada tata. – Od Funkcjonariusza z Departamentu Doboru.

– Aha... – Niedbałym gestem wsuwam serwetkę do rury spalarki. – Zaraz tam przyjdę – mówię do taty. Przez moment czuję

powiew gorącego powietrza, gdy płonie historia Ky'a. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę dość silna, by zatrzymać coś dla siebie. Wiersze dziadka. Historię Ky'a. Czy też zawsze będę kimś, kto tylko niszczy.

„Ky kazał ci to zniszczyć – mówię sobie w duchu. – Nie ma już człowieka, który napisał ten wiersz, ale Ky wciąż żyje. Musimy o tym pamiętać. Zapewnić mu bezpieczeństwo”.

Wchodzę za tatą do holu. Bram mierzy mnie wściekłym spojrzeniem, bo moja wiadomość przerwała mu grę. Starając się nie okazywać zdenerwowania, trącam go żartobliwie w ramię, gdy zbliżam się do portu.

Twarz widoczna na ekranie nie należy do Funkcjonariuszki, którą poznałam. Tym razem jest to wesóły, przysadzisty mężczyzna, który zupełnie nie pasuje do moich wyobrażeń o chudych mózgowcach pochylonych nad ekranami w Departamencie Doboru.

– Witaj, Cassio – mówi. Wydaje się, że kołnierz białego uniformu nieco zbyt ciasno opina szyję, w jego oczach kryje się uśmiech.

– Dzień dobry. – Mam ochotę spojrzeć w dół, na swoje ręce, sprawdzić, czy nie są poplamione od rysunków i słów, patrzę jednak prosto na Funkcjonariusza.

– Minał już ponad miesiąc od twojego Bankietu Doboru.

– Tak.

– Inni Wybrankowie umawiają się już na swoje pierwsze spotkania za pośrednictwem portów. Przez cały dzień zajmowałem się organizacją tych spotkań. Oczywiście w przypadku twoim i Xandera spotkanie za pośrednictwem portu byłoby absurdem – śmieje się Funkcjonariusz. – Nie uważasz?

– Zgadza się.

– Wraz z innymi Funkcjonariuszami z Komisji Doboru uznaliśmy, że najsensowniej będzie, jeśli zamiast tego wybierzecie

się gdzieś razem. Oczywiście będzie to nadzorował Funkcjonariusz, podobnie jak spotkania za pośrednictwem portów.

– Oczywiście.

Kątem oka dostrzegam tatę, który stoi w drzwiach holu i obserwuje mnie. Czuwa nade mną. Cieszę się, że tutaj jest. Perspektywa spotkania z Xanderem nie jest oczywiście niczym nowym ani przerażającym, ale czuję się nieco dziwnie, gdy pomyślę, że będzie nam towarzyszył Funkcjonariusz.

„Mam nadzieję, że to nie będzie ta kobieta, z którą rozmawiałam wtedy przed centrum gier” – nagle przypominam sobie tamtą sytuację.

– Doskonale. Jutrzejszego wieczoru zjesz kolację poza domem. Xander i Funkcjonariusz przyjdą po ciebie o normalnej porze.

– Będę gotowa.

Funkcjonariusz się żegna, a z portu dobiega sygnał oznaczający, że czeka inne połączenie.

– Jesteśmy dziś bardzo popularni – mówię do taty, zadowolona, że dzięki temu nie będę musiała rozmawiać z nim o spotkaniu z Xanderem. Tata podchodzi bliżej i staje obok mnie. Na ekranie pojawia się twarz mamy.

– Cassio, czy mogłabym porozmawiać przez chwilę sam na sam z tatą? – pyta, przywitawszy się z nami. – Mam dziś mało czasu, a muszę powiedzieć mu o kilku ważnych sprawach. – Wygląda na zmęczoną, wciąż ma na sobie uniform.

– Oczywiście – odpowiadam.

Ktoś puka do drzwi, idę więc otworzyć. To Xander.

– Zostało nam jeszcze trochę czasu do ciszy nocnej – mówi. – Usiądziesz ze mną na chwilę na schodach?

– Jasne.

Zamykam drzwi i wychodzę na zewnątrz. Lampa na werandzie świeci jasno, widzi nas więc cały świat – a przynajmniej świat Klonowej Gminy – gdy siedzimy obok siebie na betonowych schodach. Towarzystwo Xandera jest miłe, choć w inny sposób niż towarzystwo Ky'a.

Jednak zarówno przy Ky'u, jak i przy Xanderze czuję się tak, jakbym stała w świetle. To różne rodzaje światła, ale oba chronią mnie przed mrokiem.

– Wygląda na to, że nas dwoje czeka jutro romantyczne spotkanie – mówi Xander.

– Troje – poprawiam go, a gdy spogląda na mnie ze zdumieniem, dodaje: – Nie zapominaj o Funkcjonariuszu.

– Słusznie. – Xander ciężko wzdycha. – Jak mogłem zapomnieć.

– Szkoda, że nie możemy spotkać się sami.

– Szkoda.

Przez chwilę oboje milczymy. Wiatr sunie nad naszą ulicą, podnosi klonowe liście. W świetle wieczoru wydają się srebrnoszare, noc pozbawiła je barw, wchłonęła je. Przypominam sobie ten wieczór, kiedy siedziałam z dziadkiem i myślałam o tym samym, o starej chorobie daltonizmu, wyeliminowanej kilkadziesiąt lat temu, i o tym, jak mogli postrzegać świat tamci ludzie.

– Zdarza ci się marzyć? – pyta Xander.

– Ciągle.

– Marzyłaś kiedyś o swoim Wybranku? To znaczy jeszcze przed Bankietem?

– Czasami – odpowiadam. Przystaję obserwować liście klonu i spoglądam na Xandera.

Powinłam była spojrzeć na niego, nim odpowiedziałam. Teraz już za późno. Widzę w jego oczach, że liczył na inną odpowiedź, że tym jednym nieopatrzonym słowem zamknęłam jakieś drzwi, zamiast



je otworzyć. Być może Xander marzył o mnie i chciał wiedzieć, czy ja marzyłam o nim. Może miał chwile niepewności jak ja i chce teraz, bym zapewniła go, że wszystko jest w porządku.

Na tym właśnie polega problem z nietypowym Doborem. Zbyt dobrze znamy się nawzajem. Wyczuwamy niepewność w dotyku, widzimy ją w swoich oczach. Nie musimy domyślać się niczego na odległość jak inni Wybrankowie. Oni nie widują się codziennie jak my.

A jednak naprawdę jesteście Dobrani i pomimo różnych wątpliwości łączy nas głębokie zrozumienie. Xander sięga po moją dłoń, splatamy palce. To coś znanego. Coś dobrego. Bez trudu wyobrażam sobie inne wieczory spędzone w jego towarzystwie w tym życiu, które nam dano. Taki obraz wydaje mi się pogodny i szczęśliwy.

Chcę, by Xander znów mnie pocałował. Jest późny wieczór, w powietrzu unosi się zapach noworóż jak podczas naszego pierwszego pocałunku. Chcę, żeby znów mnie pocałował, bym upewniła się, że to, co do niego czuję, jest prawdziwe, realniejsze niż dotyk dłoni Ky'a na szczycie wzgórza.

Nieco dalej, w dole ulicy, świecą światła ostatniej kolejki z Miasta. Wjeżdża na stację, a chwilę później widzimy sylwetki robotników, którzy idą spieszonym krokiem po chodnikach, by zdążyć przed ciszą nocną.

Xander wstaje.

– Lepiej już pójdę. Do zobaczenia jutro w szkole.

– Do zobaczenia – odpowiadam.

Ściska moją dłoń i dołącza do ludzi idących chodnikiem.

Nie wracam do środka. Obserwuję przemykające obok postaci i macham do nich ręką. Wiem, na kogo czekam. Kiedy już mi się wydaje, że go nie zobaczę, Ky zatrzymuje się przed moim domem. W tej samej chwili schodzę ze stopni, by z nim porozmawiać.

– Od kilku dni zamierzałem to zrobić – mówi Ky. Początkowo myślę, że sięga po moją dłoń, a serce na moment zamiera mi w piersiach, potem jednak widzę, że coś mi podaje. Szarą papierową kopertę, jakich używają ludzie pracujący w biurach. Pewnie dostał ją od swojego taty. Od razu domyślam się, że w środku może być moja puderniczka, biore więc od niego papierowe zawiniątko. Nasze dłonie nie dotykają się przy tym, choć bardzo bym tego chciała.

Co się ze mną dzieje?

– Mam twój... – Milknę, bo nie wiem, jak nazwać złotą kopertę z wirującą strzałką.

– Wiem – uśmiecha się do mnie Ky. Księżyc zawieszony nad horyzontem wygląda jak plaster żółtego melona, który jemy podczas Jesiennego Świąta. Światło księżyca rozświetla nieco twarz Ky'a, ale jego uśmiech jest pełen blasku.

– Jest w środku – mówię, wskazując na drzwi domu. – Jeśli chcesz, to poczekaj tu chwileczkę, zaraz po niego pobiegnę.

– Nie trzeba – odpowiada Ky. – To może poczekać. Oddasz mi przy następnej okazji. – Mówi cicho, niemal nieśmiało. – Chcę, żebyś miała czas dobrze się temu przyjrzeć.

Zastanawiam się, jaki kolor mają teraz jego oczy. Czy odbija się w nich ciemność nocy, czy światło księżyca?

Przysuwam się bliżej, by to zobaczyć, lecz w tej samej chwili wzdłuż ulicy rozlega się dźwięk oznaczający rychły początek ciszy nocnej. Oboje aż podskakujemy w miejscu, wystraszeni.

– Do zobaczenia jutro – mówi Ky i się odwraca.

– Do zobaczenia.

Do ciszy nocnej zostało jeszcze pięć minut, zostaje więc na zewnątrz. Odprowadzam Ky'a wzrokiem, a kiedy znika w głębi ulicy, podnoszę wzrok na księżyc i zamykam oczy. W moim umyśle pojawiają się słowa, które przeczytałam wcześniej:

*Dwa życia.*

Od dnia, w którym odkryłam błąd na mikrokarcie mojego Wybranka, ja również nie wiem, jak właściwie wygląda moje prawdziwe życie. Pomimo zapewnień Funkcjonariuszki, która tego samego dnia wymieniła karty, jakaś część mnie wciąż nie może się uspokoić. Zupełnie jakbym wówczas zobaczyła po raz pierwszy, że życie może bieć różnymi drogami, mieć różne wersje.

Wracam do wnętrza domu, wysuwam puderniczkę z koperty i wyjmuję artefakt Ky'a z kieszeni dodatkowego kompletu ubrań powszednich. Kiedy kładę je obok siebie, od razu zauważam istotną różnicę. Powierzchnia artefaktu Ky'a pozbawiona jest ozdób i bardzo porysowana. Puderniczka lśni mocniej, wygrawerowane na niej litery przyciągają wzrok.

Sięgam po mój artefakt, otwieram podstawę i zaglądam do środka. Wiem, że Ky widział, jak czytałam wiersz w lesie. Czy widział również, jak otwieram puderniczkę?

A jeśli zostawił mi jakąś wiadomość?

Nic.

Odkładam puderniczkę na półkę.

Postanawiam zatrzymać kopertę, włożyć do niej artefakt Ky'a i ukryć całość w kieszeni dodatkowego zestawu ubrań. Najpierw jednak otwieram złote pudełeczko i patrzę na wirującą strzałkę. Strzałka w końcu nieruchomieje, ale ja wciąż nie mogę znaleźć sobie miejsca, wciąż nie wiem, dokąd iść.

## ROZDZIAŁ 17

Wspinaczka jest niemal zbyt łatwa.

Odsuwam na bok gałęzie, przeskakuję nad kamieniami i przeciskam się przez krzewy. Moje stopy wydeptały już ścieżkę na tym zboczu, wiem, którędy iść i jak dotrzeć szybko do celu. Pragnę jakiegoś większego wyzwania, trudniejszej drogi. Pragnę Wzgórza, jego dzikich lasów i zwałonych pni. Myślę, że gdyby mnie tam teraz wpuścili, wbiegłabym prosto na szczyt. Zobaczyłabym stamtąd nowe widoki, może towarzyszyłby mi również Ky i może dowiedziałabym się o nim czegoś więcej.

Nie mogę się doczekać, kiedy znów go zobaczę i spytam o rysunek z serwetki. Może będzie miał dla mnie coś jeszcze?

Wypadam spośród drzew i uśmiecham się do Oficera.

– Ktoś zajął dziś twoje miejsce – mówi, notując mój czas w informatorze.

Co ma na myśli? Odwracam się w stronę Ky'a. Siedzi obok niego jakaś dziewczyna z długimi złotymi włosami. Livy.

Ky śmieje się z czegoś, co powiedziała. Nie wykonuje żadnego gestu, nie okazuje w żaden sposób, że chce, bym usiadła obok niego. Nawet na mnie nie patrzy. Livy rzeczywiście zajęła moje miejsce. Robię krok w ich stronę, by je odzyskać.

Livy podaje Ky'owi patyk. On przyjmuje go bez wahania, chwytając tuż nad ręką Livy i pomagając jej wykonywać płynne koliste ruchy.

Czyżby uczył ją pisać?

Krok do przodu zamienia się w wiele kroków do tyłu, gdy zawracam i odchodzę od tego wszystkiego. Od blasku słońca na jej

włosach, od ich dłoni ułożonych obok siebie, piszących litery w ziemi. Od oczu Ky'a zwróconych w inną stronę. Od miejsca wypełnionego słońcem, wiatrem i szeptanymi słowami, które powinny należeć do mnie.

Czy mogę rozmawiać z Ky'em, kiedy ona siedzi tuż obok? Czy mogę uczyć się pisać? Czy mogę usłyszeć od niego następne słowa?

Odpowiedź jest prosta: nie mogę.

W drodze powrotnej, gdy stoimy już u podnóża wzgórza, Oficer zatrzymuje nas i wygłasza krótki komunikat:

– Jutrzejsza wycieczka będzie wyglądała trochę inaczej – mówi.  
– Czekać wszyscy na stacji kolejki przy Arboretum, poprowadzę was stamtąd do nowego miejsca. Skończyliśmy już z tym wzgórzem.

– Wreszcie – mówi za mną Ky tak cicho, że tylko ja go słyszę. – Czuję się już jak Syzyf.

Nie wiem, kim jest Syzyf. Mam ochotę odwrócić się i zapytać Ky'a, ale tego nie robię. Uczył Livi pisać. Czy jej też opowiada historię swojego życia? Czy wmówiłam sobie tylko, że jestem dla niego kimś wyjątkowym? Być może wiele dziewczyn zna historię Ky'a i uczyło się z nim pisać swoje imię?

Wiem, że to nieprawda, że jestem niesprawiedliwa, ale nie mogę zapomnieć widoku ich dłoni, głów pochylonych ku sobie.

Oficer dmucha w gwizdek, co oznacza, że możemy się rozejść. Odchodzę na bok, trzymam się z dala od pozostałych. Chwilę później słyszę za sobą głos Ky'a.

– Chciałaś mi może coś powiedzieć? – pyta cicho. Wiem, o czym mówi. Pragnie usłyszeć dalszy ciąg wiersza.

Kręcę przecząco głową, odwracam się. On nie miał dla mnie żadnych słów, dlaczego ja mam mu dawać swoje?

Żałuję, że mama wyjechała. Termin tego wyjazdu jest zaskakujący i niedogodny – lato to w Arboretum czas wyętej pracy, wiele roślin wymaga uważnej opieki – a poza tym potrzebuję jej pomocy. Jak mam bez niej przygotować się do mojego pierwszego oficjalnego wyjścia z Xanderem?

Wkładam komplet świeżych ubrań powszednich. Żałuję, że nie mogę ponownie ubrać się w zieloną suknię. Zrobiłabym to, by przypomnieć sobie i Xanderowi o wszystkim, co wydarzyło się miesiąc temu.

Kiedy wchodzę do holu, Bram i tata już tam na mnie czekają.

– Wyglądasz pięknie – mówi tata.

– Wyglądasz w porządku – mówi Bram.

– Dzięki – odpowiadam, przewracając oczami. Bram zawsze to powtarza, gdy gdzieś wychodzę, powiedział to nawet wtedy, gdy wybierałam się na Bankiet Doboru. Pocieszam się myślą, że wtedy przynajmniej mówił to szczerze.

– Wieczorem zadzwoni mama – informuje mnie tata.

– Chce wiedzieć, jak udało się wam spotkanie.

– To wspaniale. – Perspektywa rozmowy z mamą podnosi mnie nieco na duchu.

Z kuchni dobiega dźwięk oznaczający dostarczenie posiłku.

– Czas na kolację. – Tata obejmuje mnie ramieniem.

– Wolisz, żebyśmy poczekali tu z tobą, czy chcesz zostać sama?

Bram jest już w połowie drogi do kuchni. Uśmiecham się do taty.

– Idźcie zjeść. Poradzę sobie.

Tata całuje mnie w policzek.

– Wrócę, gdy tylko usłyszę dzwonek do drzwi. Jemu także nie podoba się to, że będzie nam towarzyszył Funkcjonariusz.

Wyobrażam sobie, jak podchodzi do drzwi i oświadcza uprzejmie: „Przykro mi, ale Cassia nie może wyjść dziś wieczorem”. Wyobrażam sobie, jak uśmiecha się do Xandera, by ten wiedział, że tu wcale nie chodzi o niego. Wyobrażam sobie również, jak tata zatrzaskuje drzwi i zamyka mnie w bezpiecznym wnętrzu domu, pośród tych ścian, które przez tyle lat dawały mi schronienie. „Ale teraz ten dom nie jest już bezpiecznym miejscem – przypominam sobie w myślach. – To właśnie tutaj zobaczyłaś twarz Ky’a na mikrokarcie. Tu właśnie przeszukali twojego ojca”.

Czy istnieje jakieś naprawdę bezpieczne miejsce w tej Gminie? W tym Mieście, tej Prowincji, na tym świecie?

Mam ochotę powtórzyć głośno słowa historii Ky’a, opieram się jednak tej pokusie. I tak on zajmuje za dużo miejsca w moich myślach, a nie chcę, by towarzyszył mi również tego wieczoru.

Dzwonek do drzwi. Xander. I Funkcjonariusz.

Wydaje mi się, że nie jestem na to gotowa, choć sama nie wiem dlaczego. A właściwie wiem, ale nie mogę przyglądać się temu zbyt uważnie, bo zmieniłoby wszystko. Wszystko.

Za drzwiami czeka na mnie Xander. Uderza mnie myśl, że to właśnie symbolizuje najlepiej, co jest z nami nie tak. Nikt tak naprawdę nie może wejść do środka, a kiedy nadchodzi czas, by w końcu kogoś wpuścić, nie wiemy, jak to zrobić.

Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi.

– Dokąd jedziemy? – pytam w kolejce. Wszyscy troje siedzimy obok siebie – ja, Xander i znudzony Funkcjonariusz, młody mężczyzna w najdoskonalej wyprasowanym uniformie, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Wasze posiłki zostały przesłane do prywatnej stołówki – odpowiada Funkcjonariusz. – Zjemy tam kolację, a potem odwiezę was do domów.

Rzadko nawiązuje z nami kontakt wzrokowy, woli raczej patrzeć poza nas, przez okna. Nie wiem, czy chce w ten sposób

sprawić, byśmy czuli się rozluźnieni, czy skrępowani. Na razie udaje mu się to drugie.

Prywatna stołówka? Spoglądam na Xandera. Podnosi brwi i pyta bezgłośnie „Po co?”, wskazując ukradkiem na Funkcjonariusza. Thumię śmiech. Xander ma rację. Po co jeść w prywatnej stołówce, skoro to spotkanie wcale nie ma prywatnego charakteru?

Zaczynam współczuć wszystkim Wybrankom, którzy prowadzą swoje pierwsze prywatne rozmowy pod nadzorem Funkcjonariuszy. Ja i Xander mieliśmy przynajmniej okazję wiele razy rozmawiać na osobności, tylko we dwoje.

Prywatna stołówka to mały budynek położony w pobliżu stacji kolejki, miejsce, do którego chodzą czasem Single, albo dokąd mogą się wybrać na wieczorny posiłek nasi rodzice, jeśli mają ochotę gdzieś wyjść.

– Wygląda ładnie – mówię bez przekonania, próbując jakoś nawiązać rozmowę. Budynek z czerwonej cegły otoczony jest małym obszarem zieleni. Pośrodku zieleni znajduje się kwietnik wypełniony wszechobecnymi noworóżami i jakimiś innymi, dzikimi kwiatami.

Nagle powraca do mnie wspomnienie tak wyraźne i czyste, że aż niewiarygodne. Nie mogę uwierzyć, że do tej pory w ogóle się nad nim nie zastanawiałam. Przypominam sobie pewien wieczór, gdy byłam znacznie młodsza, a moi rodzice wrócili z jakiegoś spotkania. Dziadek został u nas w domu, by opiekować się mną i Bramem. Słyszałam, jak rozmawiał z rodzicami, nim tata poszedł do pokoju Brama, a mama przyszła do mnie. Kiedy pochylała się nade mną i poprawiała kołdrę, z jej włosów wypadł delikatny różowo-żółty kwiat. Podniosła go szybko i wsunęła za ucho, a ja byłam zbyt śpiąca, by się tym zainteresować. Nim jeszcze zapadłam w sen, zastanawiałam się przez moment, skąd wzięła to cudo, skoro zrywanie kwiatów jest zabronione, potem jednak zasnęłam i zapomniałam o całej sprawie.

Teraz już znam odpowiedź: mój tata czasem łamie zasady dla tych, których kocha. Dla mojej mamy. Dla dziadka. Zachowuje się



jak Xander tego wieczoru, gdy sprzeniewierzył się przepisom, by pomóc Em.

Xander bierze mnie za rękę, przywołuje do terażniejszości. Kiedy to robi, zerkam mimowolnie na Funkcjonariusza, ten jednak milczy.

Wnętrze stołówki wygląda ładniej niż zwykła jadalnia.

– Spójrz – mówi Xander. Migoczące lampki ustawione pośrodku każdego ze stolików imitują świece, stary, romantyczny system oświetlenia.

Ludzie zerkają na nas, gdy przechodzimy między stolikami. Bez wątpienia jesteśmy tu dziś najmłodszymi klientami. Większość pozostałych gości jest w wieku naszych rodziców, tu i ówdzie widać też kilka par nieco starszych od nas, które prawdopodobnie zawarły niedawno Kontrakt. Być może są wśród nich również Single, którzy umówili się tu na luźne spotkanie, ale to zapewne wyjątki. Gminy w tej okolicy zamieszkane są głównie przez rodziny, dominują więc rodzice, zakontraktowane pary i młodzież w wieku poniżej dwudziestu jeden lat.

Xander dostrzega zaciekawione spojrzenia, sam również spogląda hardo na otaczający nas tłum. Wciąż trzymając moją rękę, pochyla się do mnie i szepcze:

– Dobrze, że w szkole wszyscy już przestali się tak na nas gapić. Nie cierpię tego.

– Ja też.

Na szczęście Funkcjonariusz nie jest taki ciekawski. Prowadzi nas na tył sali, gdzie czeka już stolik z naszymi nazwiskami. Zajmujemy miejsca, a tuż potem kelner przynosi nasze jedzenie.

Blask sztucznej świecy odbija się w czarnej powierzchni okrągłego stolika. Nie ma tu obrusów, a jedzenie nie różni się niczym od tego, które zjedlibyśmy w domu. Dlatego właśnie musimy z wyprzedzeniem zamawiać posiłki, które zamierzamy zjeść poza domem – obsługa żywieniowa musi dostarczyć jedzenie w

odpowiednie miejsce. Ta kolacja nie może się oczywiście równać z Bankietem Doboru w Ratuszu, ale i tak jest to jedno z najprzyjemniejszych miejsc, w jakich kiedykolwiek jadłam.

– Jedzenie jest smaczne i gorące – stwierdza Xander, gdy z jego pojemnika wydobywają się smużki pary. Zdejmuje pokrywkę i zagląda do środka. – Spójrz na moją porcję. Chcą, żebym przytył, więc dają mi coraz więcej.

Spoglądam na makaron z sosem w pojemniku Xandera. Rzeczywiście, danie jest ogromne.

– Zjesz to wszystko?

– Żartujesz? Oczywiście, że zjem – odpowiada Xander z udawanym oburzeniem.

Ściągam pokrywkę ze swojego pojemnika. W porównaniu z daniem Xandera moja porcja wydaje się maleńka. Może to sobie tylko wymyśliłam, ale mam wrażenie, że dostaję ostatnio mniej jedzenia niż zwykle. Nie wiem dlaczego. Dzięki bieganiu na bieżni i pieszym wycieczkom jestem szczupła i sprawna. Właściwie powinnam dostawać większe posiłki, a nie mniejsze.

Dochodzę do wniosku, że jednak to tylko mój wymysł.

Funkcjonariusz, który wydaje się jeszcze bardziej znudzony niż przedtem, nawija makaron na widelec i spogląda na innych gości. Jego jedzenie wygląda dokładnie tak samo jak nasze. Plotki mówiące o tym, że Funkcjonariusze niektórych departamentów jedzą lepiej niż zwykli ludzie, są więc nieprawdziwe. Przynajmniej jeśli chodzi o jedzenie w publicznych miejscach.

– Podobają ci się piesze wycieczki? – pyta Xander, wkładając do ust porcję makaronu.

– Bardzo – opowiadam szczerze. „Prócz dzisiejszej”.

– Nawet bardziej niż pływanie? – droczy się ze mną Xander. – Choć nigdy się specjalnie nie wysilałaś w pływalni. Głównie siedziałaś na murku.

– Czasami pływałam – prostuję z uśmiechem. – I rzeczywiście podoba mi się to o wiele bardziej niż siedzenie w pływalni.

– To niemożliwe. – Xander kręci z niedowierzaniem głową. – Pływanie jest najlepsze. Słyszałem, że na tych wycieczkach wchodzicie ciągle na to samo wzgórze.

– A w pływalni pływasz w kółko wokół tego samego basenu.

– To co innego. Woda wciąż się porusza. To nigdy nie jest takie samo.

Uwaga Xandera przypomina mi to, co Ky powiedział w sali koncertowej o muzyce.

– To prawda. Ale wzgórze także ciągle się zmienia. Wiatr porusza gałęziami, rośliny zmieniają się, rosna... – Milknę raptownie. Nasz elegancki Funkcjonariusz przechyla głowę i słucha naszej rozmowy. Właśnie po to tu przyszedł, prawda?

Mieszam widelcem jedzenie, a ten ruch przywodzi mi na myśl pisanie z Ky'em. Jedna z klusek ma kształt litery C. Nie rób tego. Muszę przestać myśleć o Ky'u.

Kilka nitek makaronu uparcie nie chce się nawinać na widelec. Kręcę nim przez chwilę, w końcu się jednak poddaję i wpycham makaron do ust, zostawiając końce na zewnątrz. Będę musiała je obgryźć lub wciągnąć.

To żenujące. Nagle do oczu napływają mi łzy, sama nie wiem dlaczego. Odkładam widelec, a Xander sięga po niego i układa starannie. Jednocześnie patrzy mi prosto w twarz, a w jego oczach pojawia się nieme pytanie: „Co się dzieje?”.

Kręcę delikatnie głową i się uśmiecham. Nic.

Zerkam na naszego Funkcjonariusza. Ten chwilowo nie zajmuje się nami, słucha czegoś w swojej słuchawce. Oczywiście. Wciąż jest na służbie.

– Xander... dlaczego nie pocałowałaś mnie wczoraj wieczorem?  
– pytam nagle, bo Funkcjonariusz nie słucha nas w tej chwili.

Powinnam czuć się skrępowana, ale wcale tak nie jest. Chcę wiedzieć.

– Za dużo ludzi patrzyło – odpowiada nieco zaskoczony Xander.  
– Wiem, że Funkcjonariuszom to nie przeszkadza, bo jesteśmy Dobrani, ale sama wiesz... – Wskazuje głową na Funkcjonariusza siedzącego obok nas. – To nie to samo, kiedy ktoś na ciebie patrzy.

– Skąd wiedziałeś, że tam są Funkcjonariusze?

– Nie zauważyłaś, że ostatnio jest ich więcej na naszej ulicy?

– Nie. Obserwują nasz dom? Xander unosi brwi, zdumiony.

– Dlaczego mieliby obserwować wasz dom?

„Bo czytałam rzeczy, których nie powinnam czytać, i uczę się rzeczy, których nie powinnam umieć, i być może zakochuję się w kimś innym” – myślę, głośno jednak mówię tylko:

– Mój tata...

Xander się czerwieni.

– Oczywiście. Powinienem był się domyślić... Ale nie chodzi o to, przynajmniej tak mi się wydaje. To Funkcjonariusze najniższego szczebla, policjanci. Ostatnio znacznie częściej patrolują naszą Gminę, a właściwie wszystkie Gminy.

Wczorajszego wieczoru na naszej ulicy było pełno Funkcjonariuszy, a ja niczego nie zauważyłam. Ky jednak musiał o tym wiedzieć. Może dlatego nie wszedł na schody. Może dlatego mnie nie dotykał. Boi się, że go przyłapią.

A może prawda jest znacznie prostsza, niż mi się wydaje. Może po prostu nie chce mnie dotykać. Może jestem dla niego tylko przyjaciółką. Przyjaciółką, która chce poznać jego historię, nikiem więcej.

I początkowo tym właśnie byłam. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o chłopcu, który żyje wśród nas, ale tak naprawdę nie daje się nikomu poznać. Czegoś więcej o tym, co się działo z nim

wcześniej. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym, którego przedstawiono mi omyłkowo jako mojego Wybranka. Teraz jednak mam wrażenie, że dowiadując się czegoś więcej o nim, poznaję zarazem prawdę o sobie. Nie przypuszczałam, że pokocham jego słowa. Nie przypuszczałam, że znajdę w nich samą siebie.

Czy jeśli zakochałam się w historii jakiegoś człowieka, to zakochałam się jednocześnie w nim samym?

## ROZDZIAŁ 18

Przy naszej ulicy znów parkuje samochód powietrzny, tym razem przed domem Em.

– Co się dzieje? – pytam Xandera, który otwiera szerzej oczy, wystraszony. Funkcjonariusz przygląda nam się z zainteresowaniem, ale bez śladu zdumienia. Mam ochotę złapać go za koszulę i pomiać ją w dłoniach. Z trudem też powstrzymuję pełne gniewu słowa, które cisną mi się na usta: „Dlaczego nas obserwujecie? Co o tym wiesz?”.

Otwierają się drzwi domu Em, ze środka wychodzi trzech Funkcjonariuszy. Nasz Funkcjonariusz odwraca się do nas i mówi niemal w pośpiechu:

– Mam nadzieję, że oboje dobrze się bawiliście tego wieczoru. Jutro rano sporządzę raport dla Komisji Doboru.

– Dziękuję – odpowiadam machinalnie, gdy się odwraca i rusza w stronę stacji kolejki. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, bo wcale nie jestem mu wdzięczna.

Funkcjonariusze przechodzą przez dziedziniec przed domem Em i kierują się do następnego budynku. Trzymają jakiś pojemnik ze znakiem Społeczeństwa, nie uśmiechają się. Gdybym miała opisać ich miny, powiedziałabym, że są smutne. Nie podoba mi się to.

– Pójdziemy sprawdzić, czy u Em wszystko w porządku? – pytam. W tej samej chwili otwierają się drzwi, zza których wygląda Em. Gdy tylko dostrzega mnie i Xandera, idzie nam na spotkanie.

– Cassio, to wszystko moja wina. To moja wina! – Głos Em drży, łzy płyną jej po policzkach.

– Jaka wina, Em? Co się stało?

Spoglądam na sąsiedni dom, sprawdzam, czy nie obserwują nas Funkcjonariusze, ci jednak weszli już do środka. Sąsiedzi otworzyli drzwi, nim Funkcjonariusze zdążyli zapukać, jakby ich oczekiwali.

– Co się tu dzieje? – pyta Xander surowym tonem. Spoglądam na niego błagalnie, jakbym chciała prosić o więcej cierpliwości.

Em błędnie jeszcze bardziej, chwyta mnie za rękę.

– Funkcjonariusze zbierają wszystkie artefakty – mówi przyciszonym głosem.

– Co!?

Usta Em drżą.

– Powiedzieli, że widziano mnie na Bankiecie Doboru z artefaktem i że przyszli go zabrać. Powiedziałam im, że nie należy do mnie, że pożyczyłam go od ciebie i już oddałam.

Przełyka ciężko, a ja przypominam sobie wieczór zielonej tabletki. Obejmuję Em ramieniem i spoglądam na Xandera. Em mówi dalej, z trudem panuje nad drżeniem głosu:

– Nie powinnam była im mówić. Ale tak bardzo się bałam! Teraz ci to odbiorą. Chodzą od domu do domu.

Od domu do domu. Wkrótce będą w moim. Chcę pocieszyć przyjaciółkę, ale muszę też próbować ratować mój artefakt, choć zapewne i tak mi się to nie uda. Muszę iść do domu. Ściskam Em serdecznie.

– Em, to nie twoja wina. Nawet gdybyś im nie powiedziała, i tak dowiedzieliby się, że to mój artefakt. Jest zarejestrowany, miałam go ze sobą na swoim Bankiecie.

Potem przypominam sobie o czymś i nagle ogarnia mnie strach. Artefakt Ky'a. Wciąż leży w mojej szafie. Funkcjonariusze wiedzą o

mojej puderniczkę, ale niewiedzą o artefakcie Ky'a. Oboje możemy mieć przez to kłopoty.

„Jak mogę go ukryć?”.

– Muszę iść do domu – mówię głośno. Ile mam czasu, nim dotrą tam Funkcjonariusze? Pięć minut? Dziesięć?

Em zaczyna płakać, ale nie mam czasu, żeby znów ją pocieszać. Ruszam w stronę domu, idę na tyle szybko, by nie budzić podejrzeń. Kilka sekund później dołącza do mnie Xander, bierze mnie za rękę, jakbyśmy po prostu wracali ze wspólnego wyjścia.

– Cassio – mówi. Nie patrzę na niego. Wciąż myślę o wszystkim, co mogę stracić za kilka minut. Ky jest już Aberracją. Czy jeśli się dowiedzą, że ma artefakt, zostanie Anomalią?

Mogłabym go uratować, powiedzieć, że ten przedmiot należy do mnie i że znalazłam go podczas wycieczki w lesie. Czy uwierzyliby mi?

– Cassio – mówi ponownie Xander. – Mogę ukryć to dla ciebie. Powiedz, że to zgubiłaś. Wymyśl jakąś przekonującą historię.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Możesz. Poczekam na ciebie na zewnątrz, a ty wyniesiesz puderniczkę. Jest na tyle mała, że możesz ukryć ją w dłoni, prawda?  
– Kiwam głową. – Kiedy wyjdiesz z nią na zewnątrz, zachowuj się tak, jakbyś szalała na moim punkcie, jakbyś nie chciała się ze mną rozstawać. Obejmij mnie i wrzuc mi puderniczkę za koszulę na karku. Potem już się nią zajmę.

„Nie znałam Xandera od tej strony” – myślę, po czym natychmiast uświadamiam sobie, że jednak znałam. Zawsze zachowuje się tak, gdy gra. Jest spokojny, opanowany, planuje, obmyśla strategię. W grach podjęte przez niego ryzyko niemal zawsze się opłaca.

– Xander, to nie jest gra.

– Wiem – odpowiada z posępną miną. – Będę ostrożny.



– Jesteś pewien? – Nie powinnam mu na to pozwolić. To świadectwo mojej słabości. Mimo wszystko: może ukryć dla mnie puderniczkę. Gotów jest ją uratować. Gotów jest dla mnie ryzykować.

– Jestem pewien.

Zamykam za sobą drzwi i biegnę co sił w nogach do swojego pokoju. Nie widzi mnie nikt z rodziny, za co jestem wdzięczna losowi. Drżącymi rękami otwieram szafę i przesuwam komplety ubrań ułożone na półce, aż znajduję ten, w którym ukryłam artefakt Ky'a. Otwieram kopertę i przechylam ją, by wysunął się z niej artefakt ze strzałką. Wsuwam kopertę do kieszeni, sięgam po puderniczkę i przez chwilę przyglądam się dwóm przedmiotom, które trzymam w dłoniach.

Złota i piękna. Przez chwilę, wbrew samej sobie, mam ochotę dać Xanderowi moją puderniczkę zamiast ruchomej strzałki, w końcu jednak odkładam ją na łóżko i zamykam dłoń na artefakcie Ky'a. Postąpiłabym jak egoistka, ratując puderniczkę. Uratowałabym jedynie rzecz. Ukrywając artefakt Ky'a, oszczędzam nam obojgu kłopotów i niepotrzebnych pytań, być może ratuję też Ky'a przed degradacją do statusu Anomalii. Poza tym jak mogłabym pozwolić, by odebrali mu ostatnią cząstkę jego starego życia?

Będzie to również bezpieczniejsze dla Xandera. Funkcjonariusze nie wiedzą o istnieniu artefaktu Ky'a, więc nie będą go szukać. Od razu znajdą i zabiorą moją puderniczkę, zatem nie będą jej szukać ani się zastanawiać, komu mogłam ją oddać.

Biegnę ponownie przez hol i otwieram drzwi.

– Xander! – wołam swobodnym tonem. – Nie pocałujesz mnie na dobranoc?

Xander odwraca się do mnie, pogodny i rozluźniony. Chyba nikt inny nie dostrzegłby przebiegłego błysku w jego oczach, ja jednak znam go niemal równie dobrze jak samą siebie.

Schodzę ze stopni, a on wyciąga do mnie ręce. Przytulamy się, on obejmuje mnie mocno, ja splećam mu dłonie na karku. Wsuwam rękę pod kołnierz jego koszuli i otwieram dłoń. Artefakt zsuwa mu się po plecach, a ja kładę palce na jego ciepłej skórze. Przez chwilę patrzymy sobie prosto w oczy, a potem nachylam się do jego ucha.

– Nie otwieraj tego – szepczę. – Nie trzymaj tego w domu. Najlepiej ukryj to gdzieś lub zakop. To nie to, o czym myślisz.

Xander kiwa głową.

– Dziękuję – mówię, a potem całuję go prosto w usta, szczerze, żarliwie. Choć wiem, że zakochuję się w Ky’u, nie potrafię nie kochać Xandera za to, kim jest, i za wszystko, co robi.

– Cassia! – woła Bram ze schodów.

Bram. On także coś dzisiaj straci. Myślę o zegarku dziadka i czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Naprawdę muszą odebrać nam wszystko?

Xander wysuwa się z moich objęć. Musi jeszcze ukryć artefakt, nim Funkcjonariusze dotrą do jego domu.

– Do zobaczenia – mówi z uśmiechem.

– Do zobaczenia – odpowiadam.

– Cassia! – woła ponownie Bram, w jego głosie słychać strach. Zerkam w głąb ulicy, ale nie widzę jeszcze Funkcjonariuszy. Pewnie sprawdzają któryś z domów po drodze.

– Cześć, Bram – odpowiadam, siląc się na swobodny ton. Lepiej, by nie wiedział, co zrobiłam z Xanderem.

– Gdzie jest...

– Zabierają artefakty – przerywa mi Bram drżącym głosem. – Zadzwonili po tatę, żeby im pomógł.

Oczywiście. Powinnam była się tego domyślić. Potrzebują kogoś takiego jak on, by określić, czy dany artefakt jest prawdziwy, czy fałszywy. Znów ogarnia mnie strach. Czy tata miał zabrać nasze

artefakty? Czy udawał, że moja puderniczka zginęła? Czy kłamał dla mnie i Brama? Ile głupich pomyłek gotów jest popełnić dla tych, których kocha?

– O nie – mówię, udając, że nic o tym nie wiedziałam.

– Zabrał ze sobą nasze artefakty?

– Nie – odpowiada Bram. – Nie pozwalają nikomu zbierać artefaktów własnej rodziny.

– Wiedział o tym wcześniej?

– Nie. Kiedy powiedzieli mu przez port, był zszokowany. Ale musiał się od razu zgłosić. Powiedział mi, żebym słuchał Funkcjonariuszy i niczym się nie martwił.

Mam ochotę objąć Brama i pocieszyć go, bo wiem, że wkrótce straci coś ważnego. Tak też robię. Zamykam brata w uścisku, a on po raz pierwszy od lat przytula się do mnie, zupełnie jak wtedy, gdy był małym chłopcem, a ja byłam jego dużą siostrą, którą podziwiał bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Chciałabym ocalić jego zegarek, ale Funkcjonariusze też o nim wiedzą. „Nic na to nie poradzę” – wmawiam sobie w myślach i staram się w to uwierzyć.

Stoimy przytuleni do siebie przez kilka sekund, potem odsuwam się do tyłu i patrzę Bramowi prosto w oczy.

– Idź po niego – mówię. – Przyjrzyj mu się dobrze przez te ostatnie kilka minut i zapamiętaj go. Zapamiętaj.

Bram nawet nie próbuje ukryć łez, które napływają mu do oczu.

– Bram – wzdycham i przytulam go ponownie. – Bram. Tak czy inaczej z zegarkiem mogło stać się coś złego. Mogłeś go zgubić. Mogłeś go zepsuć. Teraz przynajmniej możesz go jeszcze raz obejrzeć. Nie stracisz go do końca, dopóki będziesz o nim pamiętał.

– Nie mogę go gdzieś ukryć? – pyta Bram. Łza spływa mu po policzku, ociera ją gniewnym gestem. – Pomożesz mi?

– Nie, Bram – odpowiadam łagodnie. – Chciałabym, ale to zbyt niebezpieczne.

Ryzyko, które gotowa jestem podjąć, ma swoje granice. Nie będę narażać Brama na niebezpieczeństwo.

Kiedy Funkcjonariusze przychodzą do naszego domu, Bram i ja siedzimy na sofie, ramię przy ramieniu. On trzyma zegarek, ja kurczowo zaciskam dłoń na puderniczce. Oboje podnosimy wzrok, potem jednak Bram zerka na wypolerowane srebro, a ja na grawerowane złoto.

Z gładkiej złotej powierzchni patrzy na mnie zniekształcone odbicie mojej twarzy, zupełnie jak podczas Bankietu Doboru. Wtedy pytałam siebie: „Czy jestem ładna?”.

Teraz pytam: „Czy jestem silna?”.

Kiedy spoglądam na swoje oczy i zaciśnięte mocno usta, wydaje mi się, że odpowiedź brzmi: „Tak”.

Niski, łysiejący Funkcjonariusz odzywa się pierwszy:

– Rząd uznał, że artefakty mogą być przyczyną powstawania nierówności między członkami Społeczeństwa – mówi. – Prosimy, by wszyscy oddali swoje artefakty, które zostaną następnie skatalogowane i wystawione w Muzeum w każdym Mieście,

– Z naszych danych wynika, że w tym domu są dwa legalne artefakty – dodaje inny, wysoki Funkcjonariusz. Czy mi się tylko wydaje, czy też wymawia słowo „legalne” ze szczególnym naciskiem?  
– Jeden srebrny zegarek, jedna złota puderniczka.

Nie mówię nic, Bram również milczy.

– Czy to te przedmioty? – pyta łysiejący Funkcjonariusz, spoglądając na przedmioty, które trzymamy w rękach. Wygląda na zmęczonego. To musi być okropna praca. Wyobrażam sobie, jak mój tata zabiera artefakty różnym ludziom – starym, jak dziadek, i dzieciom, jak Bram – i robi mi się niedobrze.

Kiwam głową.

– Mamy oddać je natychmiast?

– Możecie zatrzymać je jeszcze na kilka minut. Musimy jeszcze przeszukać dom, choćby pobieżnie.

Oboje siedzimy w milczeniu, gdy Funkcjonariusze kręcą się po pokojach. Nie trwa to długo.

– Nie ma tu nic wartościowego – mówi jeden do drugiego w holu.

Moje serce płonie, zaciskam mocno usta, by nie wybuchnąć żywym ogniem, by nie spalić ich na popiół. „Tak wam się wydaje – myślę. – Uważacie, że nic tu nie ma, bo nie próbujemy się sprzeciwiać. Ale w naszych głowach są słowa, których nie zna nikt inny. A mój dziadek umarł na swoich warunkach, nie waszych. Mamy wiele wartościowych rzeczy, ale nigdy ich nie znajdziecie, bo nie wiecie, jak szukać”.

Wracają do pokoju, a ja wstaję. Bram również podnosi się z sofy. Funkcjonariusze przesuwają detektor wzdłuż naszych ciał, by się upewnić, że nie ukryliśmy niczego przy sobie. Oczywiście niczego nie znajdują.

Funkcjonariuszka wychodzi o krok do przodu i wyciąga rękę. Widzę błądy pasek na jej palcu, pozostałość po pierścionku. Ona też coś dzisiaj straciła. Podaję jej puder ni czkę i rozmyślam o tym, że mój artefakt przebył długą drogę, z czasów przed Społeczeństwem, od jednego członka rodziny do drugiego, aż do mnie. A teraz muszę go oddać.

Funkcjonariuszka bierze ode mnie puderniczkę i zegarek od Brama.

– Będziecie mogli obejrzeć je w Muzeum, gdy tylko przyjdzie wam ochota.

– To nie to samo – mówi Bram i prostuje ramiona. Och tak, teraz widzę dziadka. Serce rośnie mi na myśl, że jednak nie całkiem

odszedł. – Możecie go zabrać – dodaje – ale zawsze będzie należał do mnie.

Bram idzie do swojego pokoju. Jego ciężki krok i stuknięcie drzwi mówią mi, że chce zostać sam.

Mam ochotę w coś uderzyć, ale wciskam tylko ręce w kieszenie. Moja dłoń natrafia na papierową kopertę: zmiętą skorupę, która jeszcze niedawno skrywała coś cennego i pięknego. To tylko koperta, nie artefakt, nie wykrył jej nawet detektor Funkcjonariuszy. Wyciągam ją i rozrywam gniewnie na pół. Chcę ją zniszczyć, podrzeć na drobne kawałki. Widok poszarpanej krawędzi papieru sprawia mi przyjemność. Niszczenie daje mi satysfakcję. Gotowa jestem zadać następną ranę. Spoglądam na kopertę, zastanawiając się, gdzie rozrwać ją tym razem.

Serce zamiera mi w piersiach, gdy widzę, czego omal nie zniszczyłam.

Kolejna część historii Ky'a. Zatem Funkcjonariusze przeoczyli coś jeszcze.

„Tone, piję” – mówią słowa wypisane na górze. Litery tworzące te słowa są silne i piękne jak Ky. Myślę o jego dłoni stawiającej te znaki, o skórze ocierającej się o serwetkę. Przygryzam wargę i ponownie spoglądam w dół, na rysunek.

Znów widzę dwóch Ky'ów, jednego młodszego, z przeszłości, i jednego z terażniejszości. Obaj znów trzymają złożone dłonie. Pierwszy stoi na tle jałowego krajobrazu z górskimi szczytami w oddali. Drugi jest tutaj, w Gminie, obok klonu. Na obu obrazkach pada deszcz, ale na pierwszym Ky ma otwarte usta, odchyła głowę do tyłu, pije prosto z nieba. Na drugim trzyma głowę opuszczoną, jego oczy pełne są strachu, deszcz opływa go niczym rwący strumień. Ten deszcz jest zbyt obfity, może go utopić.

„Kiedy pada deszcz, pamiętam” – głoszą słowa napisane na dole.

Podnoszę wzrok znak koperty i patrzę za okno, gdzie na czystym niebie czerwienieje zachodzące słońce. Nie ma ani jednej chmury, obiecuję sobie jednak, że kiedy zacznie padać, ja też będę pamiętać. Ten papier, te rysunki i słowa. Tę cząstkę jego.

## ROZDZIAŁ 19

Następnego ranka w kolejce do Miasta panuje niemal kompletna cisza. Nikt nie chce rozmawiać o tym, co się wydarzyło w Gminie poprzedniego wieczoru. Ci, którzy oddali swoje artefakty, wciąż próbują pogodzić się ze stratą, ci, którzy nie mieli nic wartościowego, milczą przez szacunek. Być może niektórzy są w gruncie rzeczy zadowoleni z takiego obrotu spraw, bo w końcu wszystko zostało wyrównane.

Gdy kolejka dojeżdża do stacji położonej obok pływalni, Xander kieruje się do wyjścia, pochyli nade mną, całuje mnie w policzek i mówi cicho:

– Pod noworóżami przed domem Ky’a.

Wysiada z kolejki i odchodzi z innym uczniami, a ja jadę dalej, w stronę Arboretum. W mojej głowie kłębią się pytania: „Jak Xanderowi udało się ukradkiem schować artefakt na klombie Markhamów? Czy wie, że artefakt należy do Ky’a, czy też wybrał to miejsce przypadkiem?

Czy wie, co czuję do Ky’a?”.

Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale wiem jedno: Xander nie mógł wybrać lepszego miejsca na kryjówkę. Wszyscy musimy utrzymywać nasze podwórka w porządku i czystości. Jeśli Ky będzie przekopywał swój klomb, nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Muszę mu tylko powiedzieć, gdzie powinien szukać.

Ky, podobnie jak inni pasażerowie, patrzy za okno kolejki. Czy widział pocałunek Xandera? Czy miało to dla niego jakieś znaczenie? Nie patrzy mi w oczy.



– Od tej pory będziecie wędrować w parach – mówi Oficer, zatrzymując nas u podnóży Wzgórza. – Zostaliście dobrani według waszych umiejętności i sprawności fizycznej oszacowanych na podstawie informacji, które zebrałem podczas poprzednich wycieczek. I tak Ky będzie w parze z Cassią, Livy z Tayem...

Livy nie potrafi ukryć rozczarowania, ja staram się nie okazywać żadnych emocji.

Oficer kończy odczytywać listę par.

– Tym razem celem waszej wędrowki nie jest dotarcie do konkretnego celu – mówi. – W ogóle nie wejdziecie na szczyt. Społeczeństwo poprosiło nas, byście w czasie przeznaczonym na wędrowkę oznaczyli przeszkody na Wzgórzu. – Wskazuje na stertę toreb leżących obok niego. Każda z nich wypełniona jest paskami czerwonego materiału. – Każda para zabierze ze sobą jedną torbę. Zawiażujcie znaczniki na gałęziach w pobliżu zwałonych drzew, przed szczególnie gęstymi krzewami i tak dalej. Później przejdzie tą trasą ekipa, która oczyści las i wytyczy drogę na szczyt.

Chcą wybrukować Wzgórze. Dobrze, że dziadek nie musi tego oglądać.

– A jeśli zabraknie nam znaczników? – marudzi Lon. – Od lat nikt nie porządkował Wzgórza. Wszędzie będzie pełno przeszkód! Równie dobrze możemy oznaczyć każde drzewo po drodze.

– Jeśli zabraknie wam znaczników, układajcie kopce z kamieni – odpowiada Oficer. Odwraca się do Ky'a. – Umiesz układać kopce?

– Tak – odpowiada Ky po krótkiej chwili wahania.

– Pokaż im.

Ky zbiera kilka kamieni i układa je w niewielką stertę, zaczynając od największych. Jego dłonie poruszają się szybko i pewnie, tak samo jak wtedy, gdy uczy mnie pisać. Kopiec nie wydaje się zbyt stabilny, ale się nie rozpada.

– Widzicie? – mówi Oficer. – To proste. Kiedy zagwiżdżę, to będzie znak, że powinniście wracać. Wy gwiżdżecie tylko wtedy, gdy się zgubicie. – Rozdaje nam zwykle metalowe gwizdki. – Nie powinniście mieć większych kłopotów. Po prostu idźcie w dół zbocza, tą samą drogą, którą tu przyszliście.

Niegdyś bawiła mnie z trudem skrywana odraza, z jaką odnosił się do nas Oficer. Dziś ją rozumiem. Ja również czuję obrzydzenie, kiedy pomyślę o tym, jak wspinamy się na nasze małe wzgórza, gdy tylko Funkcjonariusze dadzą nam znak. I o tym, jak oddajemy na rozkaz nasze najcenniejsze skarby. Jak nigdy, przenigdy nie próbujemy walczyć.

Gdy tylko znajdujemy się poza zasięgiem wzroku pozostałych, Ky odwraca się do mnie, a ja do niego. Przez moment myślę, że chce mnie dotknąć. Bardziej wyczuwam, niż widzę, jak jego ręka podnosi się nieco, a potem opada. Czuję rozczarowanie większe niż to, którego doznałam dziś rano, gdy otworzyłam szafę i nie zobaczyłam puderniczki na półce.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Wczoraj wieczorem, kiedy szukali artefaktów... Dowiedziałem się o wszystkim dopiero wieczorem, po powrocie z pracy.

– Wszystko dobrze.

– Mój artefakt...

Czy tylko na tym mu zależy?

– Jest w twoim klombie – mówię gniewnym szeptem. – Zakopany pod noworóżami. Wystarczy, że go stamtąd wykopiesz.

– Nie obchodzi mnie artefakt – odpowiada i choć nadal mnie nie dotyka, robi mi się cieplej, gdy dostrzegam ogień płonący w jego oczach. – Nie mogłem spać przez całą noc, bo martwiłem się, że miałaś przeze mnie kłopoty. Ty mnie obchodzisz.

Wypowiada te słowa cicho, niemal szeptem, ale w moim sercu rozbrzmiewają z pełną mocą, głośniej niż wszystkie Sto Piosenek wyśpiewanych naraz. Widzę tę troskę w jego oczach. Chcę podnieść

rękę, dotknąć skóry pod jego oczami, jedyne miejsce, gdzie pokazują się czasem wypełniające go emocje, pocieszyć go. Potem przesunęłabym palcami w dół, po policzkach, do warg, do miejsca, gdzie jego głowa spotyka się z szyją i niżej, gdzie szyja łączy się z ramionami. „Lubię miejsca, gdzie części łączą się ze sobą – myślę. – Oczy z policzkami, nadgarstki z dłońmi”. Wstrząśnięta własnymi marzeniami, cofam się o krok.

– Jak ci się udało...

– Ktoś mi pomógł.

– Xander – mówi z przekonaniem. Skąd wie?

– Xander – potwierdzam.

Przez chwilę milczymy oboje. Stoję oddalona o kilka kroków, przyglądam się mu. Potem Ky się odwraca i wchodzi między drzewa. Posuwamy się naprzód powoli i mozolnie, poszycie jest tu tak gęste i splątane, że przypomina to raczej wspinaczkę niż pieszą wędrówkę. Zwalone drzewa leżą na ziemi niczym olbrzymie kości.

– Wczoraj... – zaczynam. Muszę zadać to pytanie, choć teraz wydaje się już nieistotne. – Czy uczyłeś Livy pisać?

Ky przystaje ponownie i spogląda na mnie. Pod sklepieniem z gałęzi jego oczy wydają się niemal zielone.

– Oczywiście, że nie – odpowiada. – Chciała wiedzieć, co robiliśmy. Widziała, jak pisaliśmy. Nie byliśmy dość ostrożni.

Czuję się trochę głupio, ale jednocześnie oddycham z ulgą. – Och...

– Powiedziałem jej, że pokazywałem ci, jak się rysuje drzewa.

Podnosi z ziemi jakiś patyk i kreśli nim kształty przypominające do złudzenia liście. Potem kładzie patyk, który staje się pniem drzewa. Patrzę na jego dłonie, bo właściwie nie wiem, co innego powinnam robić.

– Nikt nie rysuje po ukończeniu Pierwszej Szkoły.

– Wiem – odpowiada. – Ale nie jest to jednoznacznie zabronione.

Sięgam do torby ze znacznikami i zawiązuję kawałek czerwonego materiału na zwalonym drzewie obok Ky'a. Wpatruję się teraz we własne dłonie, w palce ściskające materiał.

– Przepraszam. Za to jak zachowywałam się wczoraj, – Kiedy się prostuję i podnoszę wzrok, Ky idzie już dalej.

– Nie przepraszaj – odpowiada, odrywając zielone pnącza od krzewu i torując nam drogę. Potem rzuca mi pnącza, a ja chwytam je odruchowo. – Miło zobaczyć czasem, że jesteś zazdrosna. – Swoim uśmiechem rozpala słońce pośród drzew.

Staram się nie uśmiechać w odpowiedzi.

– Kto powiedział, że byłam zazdrosna?

– Nikt. Ale ja to widziałem. Od dawna uważnie obserwuję ludzi.

– Dlaczego właściwie pozwoliłeś mi to trzymać tyle czasu? – pytam. – To pudełeczko ze strzałką. Było piękne. Ale nie wiedziałam właściwie...

– Nikt prócz moich rodziców nie wie, że to mam – odpowiada. – Kiedy Em poprosiła, żebym oddał ci puderniczkę, zauważyłem, że te przedmioty są do siebie bardzo podobne. Chciałem, żebyś to zobaczyła.

W jego głosie pojawiają się nagle smutek i samotność. Niemal słyszę inne zdanie, które chciałby mi powiedzieć, choć wciąż powstrzymuje go przed tym instynkt. „Chciałem, żebyś zobaczyła mnie”. Bo czy nie temu służy to wszystko, złota koperta ze strzałką, fragmenty historii przekazywane ukradkiem? Ky chce, żeby ktoś go zobaczył.

Chce, żebym ja go zobaczyła.

Moje ręce pragną go dotknąć. Nie mogę jednak zdradzić Xandera po tym wszystkim, co zrobił. Po tamtym wieczorze, kiedy nas uratował – Ky'a i mnie.

Mogę jednak dać Ky'owi coś, co jest wyłącznie moje, co nie należy do Xandera. Wiersz.

Chcę przekazać mu tylko kilka wersów, ale kiedy już zaczynam, trudno mi się powstrzymać i recytuję całość. Te słowa wiążą się ze sobą. Niektóre rzeczy stworzone są po to, by istnieć obok siebie, w całości.

– To nie są spokojne słowa – mówi Ky.

– Wiem.

– Więc dlaczego mnie uspokajają? – zastanawia się.

– Nie rozumiem.

W milczeniu posuwamy się naprzód, zafrapowani wierszem.

W końcu wiem już, co chcę powiedzieć.

– Chyba dlatego, że kiedy go słyszymy, zdajemy sobie sprawę, że nie my jedyni czujemy coś podobnego, nie tylko my tak myślimy.

– Powiedz mi go jeszcze raz – prosi Ky cicho. Głos więźnie mu w gardle, jest chrapliwy.

Przez całą wędrówkę w górę zbocza, aż do momentu, gdy z dołu dobiega nas gwizdek Oficera, powtarzamy sobie nawzajem słowa wiersza jak pieśń. Pieśń, którą znamy tylko my dwoje.

Nim jeszcze wychodzimy z lasu, Ky uczy mnie do końca, jak pisać moje imię w miękkiej ziemi obok jednego ze zwalonych drzew. Kucamy z czerwonymi paskami w dłoniach – gdyby ktoś nadszedł, możemy udawać, że właśnie chcieliśmy je zawiązać. Nauka pisania s zajmuje mi sporo czasu, ale podoba mi się ta litera, wygląda jak ktoś, kto idzie pod wiatr, pochylony do przodu. Znacznie łatwiej opanować równą linię i kropkę z, wiem też już, jak napisać *a*.

Piszę wszystkie litery mojego imienia i łączę je ze sobą. Ręka Ky'a trzyma patyk tuż ponad moją. Nie dotykamy się, czuję jednak

ciepło jego dłoni, obecność jego ciała, gdy kreślę poszczególne litery w ziemi. *Cassia*.

– Moje imię – mówię, odchylając się do tyłu i spoglądając na litery. Są trochę nierówne, nie tak kształtne jak pismo Ky’a. Przypadkowy przechodzień mógłby nawet nie rozpoznać w tych znakach liter. Ważne jednak, że ja wiem, co oznaczają.

– Co teraz?

– Teraz wrócimy do początku. Znasz już a. Jutro nauczymy się b. Kiedy już poznasz wszystkie, będziesz mogła pisać własne wiersze.

– Kto by je czytał? – pytam ze śmiechem.

– Ja – odpowiada. Podaje mi następną złożoną serwetkę. Tam, między śladami palców i resztkami jedzenia, kryje się jeszcze jedna cząstka prawdy o nim.

Wkładam serwetkę do kieszeni i myślę o Ky’u piszącym swoją historię rękami czerwonymi od pracy w centrum odpadów. O tym, jak wiele ryzykuje za każdym razem, gdy ją przemyca w załamaniach ubrań. Przez wszystkie te lata był bardzo ostrożny, a teraz gotów jest postawić wszystko na jedną kartę. Bo znalazł kogoś, kto chce wiedzieć. Kogoś, komu chce powiedzieć.

– Dziękuję – mówię. – Za to, że uczysz mnie pisać.

– To ja dziękuję tobie – odpowiada. Jego oczy płoną jasno. To ja je rozpałam. – Za to, że ocaliłaś mój artefakt, i za wiersz.

Mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia, ale dopiero uczymy się mówić. Razem wychodzimy spomiędzy drzew. Nie dotykamy się. Jeszcze.

## ROZDZIAŁ 20

Po szkole i sortowaniu wracam razem z Em ze stacji kolejki. Kiedy już pozostali pasażerowie zostają z tyłu albo nas wyprzedzają, przyjaciółka kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Tak mi przykro – mówi cicho.

– Em, nie myśl już o tym. Nie jestem na ciebie zła. – Patrę jej prosto w oczy, by wiedziała, że mówię szczerze, lecz jej oczy są smutne. Wiele razy zdarzało się, że patrząc na nią, czułam się tali, jakbym widziała inną wersję samej siebie, teraz jednak nie mam takiego wrażenia. Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło. Mimo to Em nadal jest moją najlepszą przyjaciółką. Choć ostatnio oddaliśmy się od siebie, nie zmienia to faktu, że przez długi czas dorastałyśmy razem. Nasze korzenie zawsze będą splecione. Cieszę się z tego.

– Nie musisz ciągle mnie przeproszać – mówię. – Cieszę się, że pożyczyłam ci tę puderniczkę. Przynajmniej obie mogłyśmy się nią nacieszyć, zanim ją zabrali.

– Nadal tego nie rozumiem – odpowiada cicho Em. – Mają tyle wystaw i eksponatów w Muzeum. To nie ma sensu.

Nigdy nie słyszałam z ust Em czegoś tak bliskiego niesubordynacji. Uśmiecham się do niej szeroko. Może jednak wcale nie dzieli nas tak wiele.

– Co robimy dziś wieczorem? – pytam, zmieniając temat.

Em z ulgą przyjmuje tę odmianę.

– Rozmawiałam wczoraj z Xanderem. Chce się wybrać do centrum gier. Co o tym myślisz?

Tak naprawdę chciałabym wrócić na szczyt tego pierwszego, małego wzgórza. Trudno pogodzić mi się z myślą, że zamiast siedzieć

i rozmawiać pod czystym nocnym niebem, będę musiała przebywać w dusznym, zatłoczonym wnętrzu centrum. Ale mogę to zrobić. Mogę zrobić wszystko, co konieczne, by zachować normalny porządek świata. Mam słowa, które dał mi Ky. A jeśli dopisze mi szczęście, później zobaczę się być może z samym Ky'em. Mam nadzieję, że pójdzie z nami,

Em wrywa mnie z tych rozmyślań, mówiąc:

– Spójrz, twoja mama czeka na ciebie.

Ma rację. Na schodach przed domem siedzi moja mama, patrzy w naszą stronę. Gdy dostrzega, że ją zauważyłam, wstaje, macha ręką i idzie do nas. Ja także do niej macham, po czym obie z Em przyspieszamy nieco kroku.

– Wróciła – mówię głośno. Dopiero wtedy, gdy słyszę we własnym głosie nutę zdziwienia, uświadamiam sobie, czego obawiałam się przez kilka ostatnich dni – że mama wyjechała na zawsze, że już nigdy do nas nie wróci.

– A nie było jej? – pyta Em. Uzmysławiam sobie, że nieobecność mamy to zapewne jedna z tych rzeczy, o których nie powinniśmy mówić poza naszą rodziną. Funkcjonariusze nie powiedzieli nam tego otwarcie, ale zdążyliśmy się nauczyć, że pewne sprawy należy zachować dla siebie.

– Wróciła wcześniej z pracy – wyjaśniam. Właściwie to prawda.

Em żegna się ze mną i idzie do swojego domu. Myślę, że jej klon długo nie pożyje; nawet w środku lata zabiedzone drzewo ma może dziesięć zielonych liści. Potem patrzę na swój dom, gdzie drzewo wspaniale się rozwija, kwiaty są piękne, a mama wychodzi mi na spotkanie.

Przypominam sobie czasy, gdy byłam bardzo mała, chodziłam jeszcze do Pierwszej Szkoły. Mama kończyła pracę przed moim powrotem do domu. Czasami wychodziła wtedy z Bramem na stację kolejki. Nigdy nie docierali zbyt daleko, bo mój brat ciągle przystawał i przyglądał się różnym rzeczom po drodze. „Tego rodzaju



ciekawość może oznaczać, że Bram jest urodzonym sortowaczem” – mawiał mój tata. Później jednak, gdy Bram trochę podrośł, okazało się, że wraz z mlecznymi zębami stracił tę umiejętność skupiania się na szczegółach.

Podchodzę do mamy, a ta ściska mnie serdecznie.

– Och, Cassio – mówi. Jej twarz wydaje się blada i zmęczona. – Tak mi przykro. Żałuję, że nie mogłam być z wami, kiedy wybierałaś się na pierwsze spotkanie z Xanderem.

– Ale może i lepiej, że nie byłaś z nami wczorajszego wieczoru – mówię, wtulając twarz w jej ramię. Jest wyższa ode mnie, chyba nigdy nie osiągnę jej wzrostu. Jestem drobna i niska jak wszyscy z rodziny taty. Jak dziadek. Wciągam w nozdrza znajomy maminy zapach kwiatów i czystych ubrań, wdycham go głęboko. Ogromnie się cieszę, że wróciła.

– Wiem.

Mama nigdy nie sprzeciwia się otwarciu rządowi. Właściwie tylko raz stanęła twardo przy swoim – gdy Funkcjonariusze przeszukiwali tatę. Wiem, że nie będzie narzekać i buntować się przeciwko niesprawiedliwości, jaką było odebranie artefaktów, i rzeczywiście tego nie robi. Przychodzi mi do głowy myśl, że buntowałyby się wówczas przeciwko własnemu mężowi. W końcu on także jest Funkcjonariuszem.

Choć to nie on wyciągał rękę i prosił, byśmy oddali mu nasze ukochane skarby, robił to w innych domach.

Kiedy wrócił poprzedniego wieczoru z pracy, uściskał mocno Brama i mnie, a potem poszedł prosto do swojego pokoju. Może nie mógł znieść bólu malującego się na naszych twarzach i świadomości, że on sam sprawiał innym podobne cierpienie.

– Przykro mi, Cassio – mówi mama, gdy idziemy razem w stronę domu. – Wiem, ile znaczyła dla ciebie puderniczka.

– Żal mi Brama.

– Wiem. Mnie też.

Kiedy wchodzimy do domu, rozlega się sygnał oznaczający, że dostarczono jedzenie. Jednak po wejściu do kuchni widzę tylko dwie porcje.

– A co z tatą i Bramem?

– Tata poprosił o wcześniejszą dostawę, żeby przed godzinami rekreacji móc jeszcze wybrać się z Bramem na spacer.

– Naprawdę? – dziwię się. Rzadko składamy tego typu prośby.

– Tak. Tata uznał, że Bram potrzebuje czegoś wyjątkowego po tym, co zaszło wczoraj.

Cieszę się – szczególnie ze względu na Brama – że Funkcjonariusze żywieniowi spełnili prośbę taty.

– Dlaczego ty też z nimi nie poszłaś?

– Chciałam zobaczyć się z tobą. – Uśmiecha się do mnie, a potem rozgląda po kuchni. – Dawno już nie jadłyśmy razem. Poza tym chcę, byś opowiedziała mi o spotkaniu z Xanderem.

Siadamy naprzeciwko siebie przy stole, a ja zauważam po raz kolejny, jak bardzo mama jest zmęczona.

– Opowiedz mi o swojej podróży – uprzedzam jej prośbę. – Co tam widziałaś?

– Sama nie jestem pewna – mówi cicho, niemal do samej siebie. Potem prostuje się na krześle. – Pojechaliliśmy do innego Arboretum, żeby obejrzyć pewne rośliny. Potem musieliśmy pojechać na Ziemię Uprawne. Dlatego tyle to trwało.

– Ale teraz wszystko już wróci do normy, prawda?

– Prawie. Muszę jeszcze napisać oficjalny raport i przedstawić go Funkcjonariuszom odpowiedzialnym za tamto Arboretum.

– Czego dotyczy ten raport?

– Obawiam się, że to poufne informacje – odpowiada mama z żalem.

Przez chwilę siedzimy obie w milczeniu, ale to dobre milczenie, takie, które nas łączy. Mama jest myślami gdzieś daleko, może z powrotem w Arboretum. Może układa już w głowie raport. Nie przeszkadza mi to. Rozluźniam się i pozwalam, by również moje myśli popłynęły tam, dokąd chcą. Do Ky'a.

– Myślisz o Xanderze? – pyta mama z uśmiechem. – Ja też często marzyłam o twoim ojcu.

Ja także się do niej uśmiecham. Nie ma sensu tłumaczyć, że myślę o niewłaściwym chłopcu. Nie, „niewłaściwy” to nie jest odpowiednie słowo. Ky został uznany za Aberrację, on sam jednak nie jest w niczym gorszy od pozostałych. To nasz rząd, jego system klasyfikacji, wszystkie jego systemy są niewłaściwe. Łącznie z Systemem Doboru.

Jeśli jednak ten system jest niewłaściwy, fałszywy i nierealny, to co z miłością łączącą moich rodziców? Jeśli ich miłość narodziła się dzięki Społeczeństwu, to czy nie może być tym samym prawdziwa, dobra i właściwa? Nie potrafię uwolnić się od tego pytania. Chcę, by odpowiedź brzmiała „tak”. Chcę, by ich miłość okazała się prawdziwa. By była piękna i realna niezależnie od wszystkich innych okoliczności.

– Powinnam przygotować się do wyjścia. Idziemy do centrum gier – mówię mamie, która ziewa. – A ty powinnaś się przespać. Porozmawiamy jutro.

– Cóż, może rzeczywiście trochę odpocznę – mówi. Obie wstajemy od stołu. Zanoszę jej pojemnik po jedzeniu do kosza recyklingowego, a ona wstawia moją butelkę z wodą do sterylizatora.  
– Przyjdź do mnie pożegnać się przed wyjściem, dobrze?

– Oczywiście.

Rozchodzimy się do swoich pokoi. Mam jeszcze kilka minut tylko dla siebie. Czy zdążę przeczytać historię Ky'a? Uznaję, że tak. Wyciągam pomiętą serwetkę z kieszeni.

Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Ky'u, nim spotkam się z nim dziś wieczorem. Wydaje mi się, że oboje jesteśmy naprawdę sobą wtedy, gdy wędrujemy pośród drzew na wzgórzach. Kiedy jednak przebywamy w większym towarzystwie, w sobotni wieczór, wszystko się komplikuje. Idziemy przez gęsty ciemny las, gdzie nie ma żadnych znaczników ani kopców prócz tych, które zbudujemy sobie sami.

Siadam na łóżku i zerkam mimowolnie na miejsce, gdzie trzymałam do niedawna puderniczkę. Ogarnięta bolesnym poczuciem straty, wracam szybko do historii Ky'a. Gdy jednak zaczynam ją czytać, a po policzkach spływają mi łzy, uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, czym jest prawdziwa strata.

Pośrodku serwetki Ky narysował wioskę, małe domy, małych ludzi. Wszyscy leżą nieruchomo na ziemi. Nikt nie stoi prosto z wyjątkiem dwóch Ky'ów. Ręce młodego Ky'a nie są puste, trzymają coś. Jedna podtrzymuje słowo „Matka”, przewieszane przez dłoń niczym bezwładne ciało. Wierzchołek litery *t* sterczy w górę niczym ręka wyciągnięta ku niebu w rozpaczliwym geście.

Na drugiej ręce spoczywa słowo „Ojciec”, również nieruchome i bezwładne. Ramiona młodego Ky'a uginają się pod ciężarem tych dwóch słów, a jego twarz wciąż zwrócona jest ku niebu, choć spadający z niego deszcz zamienił się w coś ciemnego, twardego i śmiertelnie śmiertelnie. Przypuszczam, że to amunicja. Widziałam ją na pokazie.

Starszy Ky odwraca głowę od wioski, od drugiego chłopca. Jego dłonie nie są już otwarte, lecz zaciśnięte w pięści. Za nim stoją ludzie w uniformach Funkcjonariuszy. Jego usta wykrzywają się w nienaturalnym uśmiechu. Nosi powszednie ubrania, równe linie oznaczają, że zostały starannie wyprasowane.

*kiedy padał deszcz  
z głębin przepastnego nieba  
rozsiewał zapach szalwii, mój ulubiony zapach  
wyszedłem na górę, by patrzeć, jak nadchodzi  
by zobaczyć dary, które zawsze niósł  
lecz ten deszcz zamienił błękit w czerni  
i nie zostawił  
nic.*

Tego wieczoru w centrum jest wyjątkowo mało Funkcjonariuszy, choć dokoła kłębi się tłum graczy i kibiców. Widzę trzech Funkcjonariuszy, którzy obserwują największy stół do gier. Wydają się wyjątkowo poważni i zdenerwowani. To dziwne. Zwykle w centrum pracuje co najmniej dwunastu Funkcjonariuszy niższego szczebla, którzy kontrolują przebieg gier i utrzymują porządek. Gdzie podziała się reszta?

Gdzieś daleko stąd dzieje się coś niedobrego.

Ale tutaj przynajmniej pod jednym względem sprawy układają się dobrze. Ky jest z nami. Spoglądam na niego, gdy przeciskamy się przez tłum, prowadzeni przez Xandera. Mam nadzieję, że dzięki temu spojrzeniu zrozumie, że czytałam jego opowieść, że bardzo mnie poruszyła. Idzie tuż za mną, mam ochotę sięgnąć do tyłu i wziąć go za rękę, ale dokoła jest za dużo ludzi. Jedyne, co mogę dla niego zrobić, to zapewnić mu bezpieczeństwo, zachować w pamięci to, co chcę mu powiedzieć, aż do momentu, gdy będę mogła to zrobić. I zapamiętać słowa, które napisał, rysunki, które stworzył, choć wolałabym, żeby nigdy nie przeżył tej historii.

„Jego rodzice zginęli. Widział to. Śmierć nadeszła z nieba i przypomina sobie to zawsze, gdy pada deszcz”.

Xander przystaje, a wraz z nim my wszyscy. Ku memu zaskoczeniu wskazuje na stół, gdzie gra się jeden na jednego. Xander zwykle nie przepada za takimi grami. Woli grać w grupie,

wygrywać w sytuacji, gdy stawka jest większa, a w grze uczestniczy więcej osób. To dla niego bardziej wymagająca próba – więcej niewiadomych, więcej zmiennych. A przy tym mniej osobista.

– Chcesz zagrać? – pyta.

Odwracam się, by zobaczyć, do kogo skierował to pytanie. Do Ky'a.

– Zgoda – odpowiada Ky bez wahania i cienia emocji. Patrzy na Xandera, czeka na następny ruch z jego strony.

– Jaka grę wolisz, strategiczną, zręcznościową czy losową? – Czyżbym słyszała w głosie Xandera wyzywający ton? Jego twarz pozostaje niewzruszona, podobnie jak twarz Ky'a.

– Wszystko jedno – odpowiada Ky.

– W takim razie spróbujemy gry losowej – decyduje Xander, ponownie mnie zaskakując. Zwykle nie cierpi tego rodzaju gier. Woli te, w których wygrana zależy od umiejętności.

Em, Piper i ja zostajemy z boku, by obserwować grę, podczas gdy Xander i Ky zajmują miejsca i wsuwają swoje skankarty do informatora przy stole. Xander rozkłada karty do gry, czerwone z czarnym wzorem pośrodku, i wyrównuje całą talię, uderzając brzegami o metal.

– Chcesz zacząć? – pyta Xander, a Ky kiwa głową i sięga po pierwszą kartę.

– W co oni grają? – pyta ktoś obok mnie. To Livy. Przyszła tu ze względu na Ky'a, jestem tego pewna. Przygląda się zaborczym wzrokiem jego dłoniom sięgającym po karty.

„Te dłonie nie należą do ciebie, nie patrz tak na nie” – myślę, po czym uświadamiam sobie, że nie należą również do mnie. Powinnam patrzeć na Xandera. Powinnam jemu życzyć zwycięstwa.

– Dylemat więźnia – tłumaczy Em. – Grają w dylemat więźnia.

– A co to takiego? – dopytuje się dalej Livy.

Nie zna tej gry? Spoglądam na nią ze zdumieniem. To jedna z najprostszych, najpopularniejszych gier. Em próbuje wyjaśnić jej zasady przytłumionym głosem, by nie przeszkadzać graczom.

– Obaj wykładają kartę w tym samym momencie. Jeśli obie karty są parzyste, każdy dostaje po dwa punkty. Jeśli obie są nieparzyste, dostają po jednym punkcie.

– A jeśli jedna jest parzysta, a druga nieparzysta? – przerywa jej Livy.

– W takiej sytuacji gracz, który wyłożył kartę nieparzystą, dostaje trzy punkty. Ten, który wyłożył kartę parzystą, nie dostaje nic.

Livy wpatruje się w twarz Ky'a. Myślę z zazdrością, że nawet jeśli widzi w nim to samo co ja – choć wątpię, by tale było – to nic o nim nie wie. Czy nadal byłaby nim zainteresowana, gdyby wiedziała, że ma status Aberracji?

Nagle przychodzi mi do głowy niepokojąca myśl: „Czy ja tak bardzo bym się nim interesowała, gdybym nie wiedziała, że jest Aberracją?”. Nigdy nie zwracałam na niego większej uwagi, dopóki nie poznałam jego statusu.

„I dopóki nie zobaczyłaś jego twarzy na mikrokarcie – przypominam sobie w duchu. – To musiało wzbudzić twoje zainteresowanie. Poza tym miałaś nie interesować się nikim aż do czasu Doboru”.

Robi mi się niedobrze na myśl, że zainteresowanie Livy Ky'em może być nieco czystsze, prawdziwsze. On po prostu fascynuje ją jako człowiek. Bez żadnych ukrytych powodów. Bez żadnych uwikłań. Bez żadnych dodatkowych aspektów.

Potem jednak uświadamiam sobie, że wcale nie musi tak być, że nic o tym nie wiem. Być może i ona coś ukrywa, podobnie jak ja. Być może wszyscy coś ukrywamy.

Skupiam się ponownie na grze, obserwuję uważnie twarze Ky'a i Xandera. Żaden z nich nawet nie mrugnie okiem, nie okazuje nawet cienia wahania przed kolejnym ruchem.

Okazuje się, że ostatecznie nie ma to znaczenia. Ky i Xander kończą grę z taką samą liczbą punktów. Obaj wygrali i jednocześnie przegrali.

– Pospacerujmy chwilę – mówi Xander, podchodząc do mnie po grze. Chciałabym spojrzeć na Ky'a, nim splotę dłonie z Xanderem, ale tego nie robię. Ja też muszę uczestniczyć w tej grze. Ky z pewnością mnie zrozumie.

„Ale czy zrozumiałby Xander? Gdyby wiedział o Ky'u i o mnie, o słowach, które wypowiadamy na Wzgórzu?”

Odsuwam od siebie tę myśl i odchodzę wraz z Xanderem od stolika. Livi natychmiast zajmuje jego miejsce i zaczyna rozmawiać z Ky'em.

Wychodzimy z Xanderem do holu, jesteśmy tu sami. Zastanawiam się, czy chce mnie pocałować i jak zareaguję, jeśli rzeczywiście to zrobi, ale on pochyla się tylko do mnie i szepcze:

– Ky nie podejmuje rywalizacji.

– Co?

– Celowo przegrywa.

– Zremisowaliście. Nie przegrał. – Nie wiem, do czego zmierza Xander.

– Dziś nie. Bo to nie była gra strategiczna. W takich zazwyczaj przegrywa. Obserwowałem go przez jakiś czas. Robi to bardzo sprytnie, trudno to wychwycić, ale jednak.

Wpatruję się w Xandera ze zdumieniem, nie wiem, jak zareagować.

– Łatwo przegrać w grze strategicznej, szczególnie jeśli grasz w większej grupie. Albo grę taką jak Szach, gdzie możesz po prostu



postawić figurę w nieodpowiednim miejscu, jakbyś nie widziała innego rozwiązania. Ale dziś, w grze losowej, jeden na jednego, nie przegrał. Nie jest głupcem. Wiedział, że go obserwuję. – Xander uśmiecha się pod nosem, a potem skonsternowany marszczy brwi. – Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Dlaczego co?

– Dlaczego przegrywa tyle gier? Wie, że obserwują nas Funkcjonariusze. Wie, że szukają ludzi, którzy potrafią dobrze grać. Wie, że od tego może również zależeć, jaką pracę nam przydzielą. To nie ma sensu. Dlaczego nie chce, by wiedzieli, jaki jest bystry? Bo naprawdę jest bystry.

– Nie powiesz o tym nikomu, prawda? – Nagle zaczynam się martwić o Ky'a.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Xander w zamyśleniu. – Musi mieć swoje powody. Szanuję to.

Xander ma rację. Ky ma swoje powody, i to ważne. Przeczytałam o nich na tej ostatniej serwetce, poznaczonej plamami sosu pomidorowego, który wygląda jak zakrzepła krew. Stara krew.

– Zagrajmy jeszcze raz – mówi Ky, kiedy wracamy. Patrzy prosto na Xandera. Wydaje mi się, że na moment opuszcza wzrok, że patrzy na moją dłoń w dłoni Xandera, ale nie jestem pewna. Na jego twarzy nie widać żadnych emocji.

– Zgoda – kiwa głową Xander. – Strategiczna, zręcznościowa czy losowa?

– Strategiczna – proponuje Ky. Coś mi mówi, że tym razem nie przegra gry. Może teraz naprawdę spróbuje ją wygrać.

Em przewraca oczami i wskazuje na chłopców, jakby chciała powiedzieć: „Jakież to prymitywne, prawda?”. Obie jednak idziemy za nimi do stołu. Livy również nam towarzyszy.

Siadam między Ky'em i Xanderem, dokładnie pośrodku. Zupełnie jakbym była kawałkiem metalu, a oni dwoma magnesami,

które przyciągają mnie z dwóch stron jednocześnie. Obaj podjęli dla mnie ryzyko – Xander ukrył artefakt, a Ky uczy mnie pisać.

Xander jest moim Wybrankiem, moim najstarszym przyjacielem i jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Jego pocałunek był naprawdę słodki. Przyciągają mnie do niego i wiążą z nim tysiące różnych wspomnień.

Ky nie jest moim Wybrankiem, ale mógłby nim być. To on nauczył mnie, jak zapisać własne imię, jak przechowywać wiersze, jak budować kopce z kamieni. Nigdy się z nim nie całowałam i nie wiem, czy kiedykolwiek będę, ale przypuszczam, że jego pocałunek może być jeszcze słodszy.

Świadomość jego obecności jest niemal uciążliwa, krępująca. Udręką stają się każda pauza i każdy ruch, gdy przesuwa figurę po czarno-białej planszy. Mam ochotę pochwycić jego dłoń i przyciągnąć ją do siebie, położyć ją na sercu, gdzie ból jest najsilniejszy. Nie wiem, czy to by mnie uleczyło, czy też całkiem unieszczęśliwiło, ale tak czy inaczej to nieustające pragnienie zostałoby zaspokojone.

Xander gra odważnie i inteligentnie, Ky kieruje się i wyrachowaniem, i intuicją; obaj są bardzo mocni. To godni siebie przeciwnicy.

Ruch Ky'a. W ciszy, która poprzedza jego posunięcie, Xander obserwuje go uważnie. Ręka Ky'a zawisa nad planszą. Przez moment, gdy trzyma figurę w powietrzu, widzę, gdzie mógłby ją postawić, by wygrać. Wiem, że on także to widzi, że poprowadził całą grę właśnie tak, by ten ostatni ruch był możliwy. Patrzy na Xandera, a Xander na niego. Pojedynek, który toczą, zaczął się znacznie wcześniej niż gra, a jego sens jest ukryty o wiele głębiej niż jej reguły.

Ky przesuwa rękę i stawia figurę w innym miejscu, stwarzając sytuację, dzięki której Xander może ostatecznie wygrać. Potem opada swobodnie na oparcie krzesła i spogląda w górę, na sufit. Wydaje mi się, że dostrzegam na jego ustach cień uśmiechu, ale nie

jestem pewna, znika równie szybko jak płatek śniegu na torach kolejowych.

Ruch Ky'a nie jest tak dobry jak ten, który mógłby wykonać, ale nie jest też głupi. To ruch przeciętnego gracza. Po chwili Ky opuszcza wzrok i przez moment patrzy mi prosto w oczy, przeciąga to spojrzenie jak figurę na planszy. W tej chwili ciszy mówi mi coś, czego nie może wypowiedzieć głośno.

Ky umie grać w tę grę, zna ją doskonale. Zna dobrze wszystkie ich gry, łącznie z tą, którą właśnie przegrał. Doskonale wie, jak grać, i dlatego właśnie za każdym razem przegrywa.

## ROZDZIAŁ 21

Następnego dnia trudno mi się skoncentrować na sortowaniu. Niedziele przeznaczone są na pracę, nie ma dziś żadnych zajęć rekreacyjnych, więc prawdopodobnie nie zobaczę Ky'a aż do poniedziałku. Do tego czasu nie będę mogła porozmawiać z nim o jego historii, nie będę mogła powiedzieć: „Przykro mi z powodu twoich rodziców”. Użyłam już kiedyś tych słów, gdy zamieszkał u Markhamów i wszyscy wyrażaliśmy mu swoje współczucie.

Dziś jednak, gdy wiem, co naprawdę się wydarzyło, wypowiedziałabym je inaczej. Wtedy wiedziałam, że umarli, ale nie wiedziałam jak. Nie wiedziałam, że patrzył, jak śmierć spada z nieba, że przyglądał się temu bezradnie. Spalenie serwetki z tą częścią jego opowieści było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie przyszło mi w życiu zrobić. Podobnie jak książki w starej bibliotece, jak wiersz dziadka, opowieść Ky'a zamienia się po kawałku w popiół i nicość.

Tyle że on o niej pamięta. Teraz pamiętam i ja.

Nagle moje sortowanie zostaje przerwane, a na ekranie pojawia się wiadomość od Norah. „Proszę się zgłosić do stanowiska nadzorcy”. Podnoszę głowę, patrzę w stronę biurka Norah, a potem zdumiona wstaję.

Funkcjonariusze wrócili do mnie.

Obserwują mnie, gdy przechodzę między innymi pracownikami. Wydaje mi się, że dostrzegam w ich oczach aprobatę, i oddycham z ulgą.

– Gratulacje – mówi siwowłosy Funkcjonariusz, gdy stoję w końcu przed nimi. – Uzyskałaś doskonały wynik podczas swojego testu.

– Dziękuję – mówię jak zawsze w obecności Funkcjonariuszy. Jednak tym razem jestem im naprawdę wdzięczna.

– Następny etap to rzeczywiste sortowanie – kontynuuje Funkcjonariusz. – Wkrótce przyjdziemy tu ponownie i zabierzemy cię na miejsce kolejnego testu.

Kiwam głową. Słyszałam już o tym. Każą ci sortować jakieś rzeczywiste materiały – dane, wiadomości, ludzi – by przekonać się, czy potrafisz wykorzystać swoje umiejętności w realnym świecie. Jeśli sobie z tym poradzisz, przechodzisz na następny etap, którym zazwyczaj jest już twoja ostateczna posada.

Wszystko dzieje się tak szybko. Mam wrażenie, że wydarzenia toczą się ostatnio w niezwykłym pośpiechu: zbiórka artefaktów w prywatnych domach, nagły wyjazd mamy, zwiększająca się liczba uczniów opuszczających szkołę.

Funkcjonariusze czekają na moją odpowiedź.

– Dziękuję – powtarzam.

Po południu mama otrzymuje w pracy wiadomość: „Wracaj do domu i spakuj się”. Znow musi wyjechać, tym razem być może nawet na dłużej niż ostatnio. Widzę, że mojemu tacie i Bramowi wcale się to nie podoba. Prawdę mówiąc, mnie także.

Siadam na łóżku i patrzę, jak się pakuje. Składa dwa dodatkowe komplety ubrań powszednich, piżamę, bieliznę i skarpety. Otwiera pojemnik z tabletkami i zagląda do środka.

Brakuje jednej, zielonej. Spogląda na mnie, a ja odwracam wzrok.

Uzmysławiam sobie, że te wyjazdy są dla niej trudniejsze, niż mi się wydaje, i że brak zielonej tabletki nie jest dowodem jej słabości, lecz siły. To, z czym się zмага, jest na tyle trudne, że zmuszają do zażycia zielonej tabletki, z pewnością więc niełatwo też przychodzi jej zachować to tylko dla siebie, nie dzielić się tym z

nami. Ale jest silna i dotrzymuje tajemnicy, bo w ten sposób nas chroni.

– Cassia? Molly? – Do pokoju wchodzi tata, a ja podnoszę się do wyjścia. Podchodzę szybko do mamy i ściskam ją. Kiedy odsuwam się o krok, nasze spojrzenia spotykają się ze sobą, a ja uśmiecham się do niej. Nie powinnam była przedtem odwracać wzroku. Chcę, by wiedziała, że tak uważam. Nie wstydzę się jej. Wiem, jak trudno jest zachować sekret. Być może jestem z natury sortowaczem, jak mój tata i dziadek, ale jestem też córką swojej matki.

W poniedziałek rano wchodzę z Ky'em do lasu. Odnajdujemy miejsce, gdzie zatrzymaliśmy się ostatnio. Znow zaczynamy oznaczać przeszkody czerwonymi znacznikami. Żałuję, że do innych spraw nie można powrócić tak łatwo jak do tej. Waham się przez jakiś czas, wolałabym nie zakłócać spokoju tego lasu grozą Zewnętrznych Prowincji, ale Ky już tak długo cierpiał w samotności, że nie chcę, by czekał choć minutę dłużej niż to konieczne.

– Ky. Tak mi przykro. Tak mi przykro, że odeszli.

Nie mówi nic, pochyla się tylko, by obwiązać czerwonym materiałem wyjątkowo ciernisty krzew. Jego dłonie drżą lekko. Wiem, co dla człowieka takiego jak Ky oznacza choćby chwilowa utrata samokontroli, i chcę go jakoś pocieszyć. Kładę mu dłoń na plecach, lekko, delikatnie, by wiedział tylko, że przy nim jestem. Kiedy dotykam jego skóry, odwraca się raptownie. Odsuwam się, widząc ogromny ból w jego oczach. Błaga mnie, bym nie mówiła nic więcej, wystarczy, że wiem. Może to i tak za wiele.

– Kto to jest Syzyf? – pytam, by skierować jego myśli ku czemuś innemu. – Wymieniłeś to imię, gdy Oficer powiedział, że zaczniemy wchodzić na Wzgórze.

– Ktoś, o kim opowiada się historie od bardzo dawna. – Ky wstaje i ponownie rusza w drogę. Widzę, że dziś potrzebuje dużo ruchu. – To była jedna z ulubionych opowieści mojego ojca. Wydaje

mi się, że chciał być jak Syzyf, który był chytry i przebiegły, ciągle sprawiał kłopoty Społeczeństwu i Funkcjonariuszom.

Ky nigdy dotąd nie opowiadał o swoim ojcu. Mówi beznamiętnym tonem, trudno wyczytać z niego, co czuje do człowieka, który umarł przed laty, którego na swoim obrazku trzymał na rękach.

– Jedna z opowieści mówi o tym, że Syzyf poprosił kiedyś Funkcjonariusza, by pokazał mu, jak się obsługuje broń, a potem użył jej przeciwko temu Funkcjonariuszowi.

Wyglądam chyba na zszokowaną, ale Ky najwyraźniej przewidział moją reakcję, bo tłumaczy mi łagodnie:

– To stara opowieść, z czasów, gdy Funkcjonariusze nosili jeszcze broń. Teraz już jej nie używają.

Na tym kończy zdanie, oboje jednak wiemy, że mógłby dodać „Bo nie muszą”. Groźba Reklasyfikacji wystarczy, by utrzymać niemal wszystkich w ryzach.

Ky odwraca się, prze naprzód. Przyglądam się jego ruchom, mięśniom, które napinają się i rozluźniają zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie. Idę tuż za nim, by móc prześliznąć się między gałęziami, które przytrzymuje. Przez moment wydaje mi się, że pachnie lasem. Zastanawiam się, jaki jest zapach szaławii, o której pisał na serwetce. Mam nadzieję, że teraz najbardziej lubi zapach lasu. Z pewnością jest to mój ulubiony zapach.

– Społeczeństwo uznało, że Syzyf musi zostać ukarany, i to w jakiś szczególny sposób, bo ośmielił się myśleć, że może być równie sprytny jak jeden z nich, choć nie był Funkcjonariuszem ani nawet obywatelem. Był niczym. Aberracją z Zewnętrznych Prowincji.

– Co mu zrobili?

– Dali mu pracę. Musiał wtoczyć olbrzymi głaz na szczyt góry.

– To chyba nie jest takie straszne – stwierdzam z ulgą. Skoro ta opowieść kończy się dobrze dla Syzyfa. to może skończy się podobnie dla Ky'a.

– Nie było to wcale takie proste, jak się wydaje. Gdy niemal sięgał już szczytu, głaz staczał się na dół, a on musiał zaczynać od nowa. Powtarzało się to za każdym razem. Nigdy nie wtoczył głazu na szczyt. Pchał go bez końca.

– Rozumiem. – Kiwam głową, uświadamiając sobie, dlaczego nasze wycieczki na małe wzgórza przypominały Ky'owi Syzyfa. Dzień po dniu robiliśmy to samo, wspinaliśmy się na wierzchołek i wracaliśmy. – Ale nam udawało się wejść na szczyt.

– Nigdy nam nie pozwolono zostać tam dłużej – zauważa Ky.

– Czy ten Syzyf był z twojej Prowincji? – Przystaję na moment, bo wydaje mi się, że słyszałam gwizdek Oficera, ale to tylko głos ptaka ukrytego w gałęziach pobliskiego drzewa.

– Nie wiem. Nie wiem, czy to prawda. Czy on w ogóle istniał.

– Więc po co w ogóle opowiadać jego historię? – Nie rozumiem, przez chwilę czuję się zdradzona. Dlaczego Ky opowiedział mi o tym człowieku i wzbudził we mnie współczucie, skoro nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek istniał?

Ky przystaje na moment i spogląda na mnie. Jego oczy są głębokie jak ocean w innych opowieściach i niebo w jego własnej.

– Nawet jeśli nie istniał, wielu z nas żyło w taki sam sposób jak on. Zatem ta historia tak czy inaczej jest prawdziwa.

Myślę o tym, co powiedział Ky, kiedy przedzieramy się dalej przez las, oznaczamy kolejne przeszkody, pomagamy sobie w trudniejszych miejscach. Unosi się tu zapach, który wyczuwałam już wcześniej: zapach rozkładu, ale nie zgnilizny. To woń roślin, które wracają do ziemi, drewna, które zamienia się w proch.

Jednak Wzgórze może coś ukrywać. Przypominam sobie słowa i rysunki Ky'a, uświadamiam sobie, że żadne miejsce nie jest



całkowicie dobre. Żadne miejsce nie jest też całkowicie złe. Do tej pory widziałam tylko skrajności. Najpierw uważałam, że nasze Społeczeństwo jest idealne: potem, gdy zabrali nam artefakty, uważałam, że jest złe, nikczemne. Teraz po prostu nie wiem.

Ky zaciera te granice, a zarazem pomaga mi widzieć wszystko wyraźniej. Mam nadzieję, że i ja go w tym wspieram.

– Dlaczego przegrywasz gry? – pytam, kiedy zatrzymujemy się na małej polanie.

– Bo muszę – odpowiada ze ściągniętą twarzą.

– Za każdym razem? Nigdy nawet nie pozwolisz sobie pomyśleć o wygranej?

– Zawsze myślę o wygranej. – Oczy Ky’ a znów wypełniają się ogniem, odłamuje gałąź z drzewa, by zrobić nam miejsce. Odrzuca ją i przytrzymuje inną, czeka, bym przeszła, ale ja stoję obok niego. Spogląda na mnie, po jego twarzy przesuwają się cienie liści przetykane blaskiem słońca. Patrzy na moje usta, a ja przetykam ciężko, choć dobrze wiem, co chcę powiedzieć.

– Xander wie, że celowo przegrywasz.

– Wiem, że wie – odpowiada Ky. Na jego ustach błądzi uśmiech, taki sam jak ten, który widziałam wczoraj.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tylko jedno – mówię. – Jakiego koloru są twoje oczy?

– Chcę wiedzieć, co myśli, jak widzi samego siebie – prawdziwego Ky’ a – kiedy ośmiela się patrzeć.

– Niebieskie – odpowiada zaskoczony. – Zawsze takie były.

– Mnie się takie nie wydawały.

– A jakie ci się wydawały? – pyta z rozbawieniem. Nie patrzy już na moje usta, lecz w moje oczy.

– Różne – wyjaśniam. – Najpierw myślałam, że są brązowe. Kiedyś wydawało mi się też, że są zielone, a jeszcze kiedy indziej, że szare. Najczęściej rzeczywiście są niebieskie.

– A teraz? – pyta. Otwiera nieco szerzej oczy, pochyla się ku mnie, pozwala mi patrzeć tak długo, jak tylko zechcę.

Wpatruję się jak zahipnotyzowana. Widać w nich błękit, czerń i inne kolory, a także część tego, co oglądały dawniej. Mam też nadzieję, że tym, co widzą teraz, jestem ja, Cassia. Ze widzą to, co czuję, kim jestem.

– I co? – pyta Ky.

– Teraz są wszystkim – odpowiadam. – Wszystkim.

Oboje trwamy przez chwilę w bezruchu, zapatrzeni w swoje oczy, zamknięci w objęciach drzew i krzewów Wzgórza, na które być może nigdy nie wejdziemy. Ruszam pierwsza. Przechodzę obok niego, przeciskam się przez gęstwinę gałęzi, przestępuję nad zwalonym drzewem.

Słyszę, że Ky idzie tuż za mną.

Zakochuję się. Już jestem zakochana. I to nie w Xanderze, choć jego też kocham. Jestem tego pewna, tak jak jestem pewna, że to, co czuję do Ky'a to coś innego.

Przywiązując kolejne znaczniki, marzę o upadku naszego Społeczeństwa oraz jego systemów, łącznie z Systemem Doboru, bo dzięki temu mogłabym być z Ky'em. Uzmysławiam sobie jednak, że to egoistyczne pragnienia. Nawet gdyby upadek Społeczeństwa ułatwił życie niektórym jego członkom, to z pewnością wielu innym znacznie by je utrudnił. „Kim jestem, by próbować zmieniać świat, by ulegać chciwości, pragnąć więcej? Gdyby Społeczeństwo się zmieniło, gdyby zmienił się świat, jak wytłumaczyłabym ludziom, że ich bezpieczne, chronione życie to już przeszłość, że teraz mają wybór, ale i narażeni są na różne niebezpieczeństwa? Kim jestem, by decydować o czymś takim?”

Odpowiedź brzmi: jestem nikim. Jestem jedną z osób należących do większości. Przez całe życie los był po mojej stronie.

– Cassio – mówi Ky. Odrywa następną gałąź, pochyla się i pisze coś na ziemi. Wcześniej musi odgarnąć warstwę liści i przegonić przy tym jakiegoś pajaka. – Spójrz – prosi, pokazując mi kolejną literę. *K*.

Kucam obok niego, zadowolona, że mogę oderwać się od smutnych rozmyślań. Ta litera jest nieco trudniejsza od poprzednich, dopiero po kilku próbach udaje mi się ją odwzorować. Choć ćwiczyłam już pisanie innych liter, moje ręce nie nawykły jeszcze do takich ruchów. Gdy wreszcie kolejna próba kończy się sukcesem, podnoszę wzrok i widzę, że Ky uśmiecha się do mnie szeroko.

– Zatem się nauczyłam – mówię, również się uśmiechając. – To dziwne. Myślałam, że będziemy kierowali się alfabetem.

– Bo tak będzie – przytakuje Ky. – Ale uważam, że *K* to litera, którą warto znać.

– A jaka będzie w takim razie następna? – pytam z niewinną miną. – Może *Y*?

– Możliwe – zgadza się ze mną Ky. Nie uśmiecha się już, ale jego oczy błyszczą figlarnie.

Z dołu dobiega głośny gwizd. Słyszac ten dźwięk, zastanawiam się, jak mogłam pomylić śpiew ptaka z gwizdkiem Oficera. Jeden jest naturalny, czysty i piękny, drugi brzmi metalicznie i sztucznie.

Wzdycham i przesuwam ręką po ziemi, oddając jej litery. Potem sięgam po kamienie, z których zbuduję kopiec. Ky robi to samo. Razem tworzymy kamienną wieżę.

Gdy odkładam ostatni kamień na wierzchołek kopca, Ky kładzie dłoń na mojej dłoni. Nie cofam jej. Nie chcę, by wieża się rozpadła, sprawia mi przyjemność dotyk jego szorstkiej skóry z jednej strony i zimnej skaty z drugiej. Potem obracam powoli dłoń i splatam palce z jego palcami.

– Nigdy nie mogę być Dobrany – mówi Ky, patrząc najpierw na nasze ręce, a potem w moje oczy. – Jestem Aberracją. – Czeka na moją reakcję.

– Ale nie jesteś Anomalią – odpowiadam, próbując obrócić to w żart, natychmiast jednak zdaję sobie sprawę, że popełniłam błąd, to nie jest temat do żartów.

– Przynajmniej na razie – odpowiada z wysiłonym uśmiechem.

Co innego mieć wybór i zdecydować się na takie, a nie inne życie, a co innego nie mieć żadnego wyboru. Czuję, jak wypełnia mnie zimny, przejmujący smutek. Jak bym się czuła, gdybym była samotna? Gdybym wiedziała, że nigdy nie będę mogła tego zmienić?

Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że dane, które podają nam Funkcjonariusze, nie mają dla mnie znaczenia. Wiem, że wielu ludzi jest szczęśliwych, i cieszą się z tego. Ale tu chodzi o Ky'a. Jeśli to on jest tą jedyną osobą, która będzie musiała wieść samotne i smutne życie, podczas gdy pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć będzie żyć w szczęściu i spełnieniu, to ja się na to nie godzę. Już nie. Uświadamiam sobie, że nie obchodzi mnie Oficer czekający na nas na dole, inni uczestnicy wycieczki ukryci pośród drzew ani nic innego. Uświadamiam sobie również, jakie to niebezpieczne.

– Ale gdybyś jednak miał Wybranę – mówię cicho. – Jak myślisz, jaka by ona była?

– Byłaby tobą – odpowiada, nim jeszcze kończę zdanie. – Tobą.

Nie całujemy się. Trzymamy się tylko za ręce i oddychamy, ale ja i tak wiem. Nie mogę już iść łagodnie. Nawet ze względu na moich rodziców i brata.

Nawet ze względu na Xandera.

## ROZDZIAŁ 22

Kilka dni później siedzę na zajęciach z Języka i Literatury i wpatruję się w instruktorkę, która próbuje nam wytłumaczyć, jak ważne jest komponowanie krótkich, zwięzłych wiadomości podczas komunikowania się przez port. Nagle, jakby dla podkreślenia jej słów, na głównym porcie w sali pojawia się taka właśnie wiadomość.

– Cassia Reyes. Sprawa proceduralna. Naruszenie. Wkrótce przyjdzie po ciebie Funkcjonariusz.

Wszyscy odwracają się w moją stronę. W sali zapada cisza; uczniowie przestają stukać w swoje pisaki, ich palce nieruchomieją. Nawet instruktorka pozwala, by na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Nie próbuje uczyć nas dalej. Minęło już dużo czasu, odkąd ktoś popełnił ostatnio Naruszenie. Szczególnie takie, które zostało ogłoszone publicznie.

Wstaję.

W pewnym sensie jestem na to przygotowana. Oczekuję tego. Nikt nie może złamać tyłu reguł co ja i uniknąć kary.

Zbieram mój czytnik i pisak, wrzucam je do torby wraz z pojemnikiem na tabletki. Nagle uznaję, że to bardzo ważne, bym była gotowa na spotkanie z Funkcjonariuszką. Bo nie mam wątpliwości co do tego, który Funkcjonariusz przyjdzie do mnie tym razem. Na pewno będzie to ta kobieta, z którą rozmawiałam na ławce przed centrum gier, ta która powiedziała mi, że nic się nie zmieni w kwestii mojego Doboru.

Okłamała mnie? Czy powiedziała prawdę, a to ja uczyniłam z jej słów kłamstwo?

Gdy wychodzę z sali, nauczycielka żegna mnie skinieniem głowy. Jestem jej wdzięczna za tę prostą uprzejmość.

Korytarz jest pusty, długi, podłoga śliska po niedawnym myciu. Kolejne miejsce, w którym nie mogę biegać.

Nie czekam, aż przyjdą po mnie. Idę w głąb korytarza, uważnie stawiam stopy na płytkach, bacząc, by się nie pośliznąć, by nie upaść, by nie biec, gdy na mnie patrzą.

Jest na zielonym obszarze obok szkoły. Muszę przejść po ścieżce, by znów usiąść na ławce przy niej. Czeka. Ja idę.

Nie wstaje, by mnie przywitać. Podchodzę do niej, ale nie siadam. Jest bardzo jasno, mrużę oczy przed blaskiem słońca odbitym od jej białego uniformu i metalu ławki. Zastanawiam się, czy wówczas, gdy nie widzimy już tego, co mamy nadzieję zobaczyć, postrzegamy świat inaczej.

– Witaj, Cassio – mówi.

– Dzień dobry.

– Twoje imię pojawiło się ostatnio w kilku departamentach Społeczeństwa. – Gestem zaprasza, bym usiadła obok niej. – Jak myślisz, dlaczego?

„Powodów może być wiele – myślę. – Od czego zacząć? Chowałam artefakty, czytałam skradzione wiersze, uczyłam się pisać. Zakochałam się w kimś, kto nie jest moim Wybrankiem, i ukrywam to przed tym, którego mi wybrano”.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odpowiadam.

– Och, Cassio – śmieje się Funkcjonariuszka. – Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, byłaś ze mną taka szczerą. Powinnam się była domyślić, że to nie potrwa długo. – Ponownie wskazuje na ławkę obok siebie. – Siadaj, proszę.

Spełniam jej polecenie. Słońce świeci niemal prosto z góry, grzeje bezlitośnie. Jej skóra wydaje się cienka jak papier, powleczone cienką warstwą potu. Mam wrażenie, że jest jakby rozmazana, że jej uniform i dystynkcje nie mają już takiej mocy jak

ostatnio. Mówię sobie w duchu, że nie wolno mi panikować, że nie mogę się przed nią wydać, zdradzić Ky'a.

– Nie musisz być taka skromna – mówi. – Na pewno domyślasz się, jak dobrze poszedł ci test sortowania.

„Całe szczęście. Czy właśnie dlatego tu przyszła? A co z Naruszeniem?”.

– Nikt nie uzyskał w tym roku wyniku lepszego od ciebie. Oczywiście wszyscy starają się teraz ściągnąć cię do swojego Departamentu. W Departamencie Doboru zawsze szukamy dobrych sortowaczy. – Uśmiecha się do mnie. Podobnie jak ostatnio, stara się przynieść mi ulgę, pocieszyć mnie, upewnić, że moja pozycja w Społeczeństwie jest niezagrożona. Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo jej nienawidzę.

Po chwili już wiem.

– Oczywiście – odzywa się ponownie, tym razem tonem, w którym pobrzmiwa nuta żalu – musiałam powiedzieć Funkcjonariuszom, którzy przeprowadzali test, że jeśli niektóre z twoich spraw osobistych nie ulegną zmianie, nie zechcemy cię zatrudnić. Musiałam również wspomnieć, że w takiej sytuacji może się okazać, że nie nadajesz się na żadną inną posadę związaną z sortowaniem.

Mówiąc to, nie patrzy na mnie, lecz na fontannę pośrodku zielonego obszaru, w której właśnie zabrakło wody. W końcu podnosi na mnie wzrok, a ja czuję, jak coraz szybciej bije mi serce, czuję pulsowanie krwi nawet w czubkach palców.

Ona wie. Zna przynajmniej część prawdy, jeśli nie całość.

– Cassio – zaczyna łagodnym tonem. – Nastolatki mają gorącą krew. Są buntownicze. To część dorastania. Prawdę mówiąc, po sprawdzeniu twoich danych zrozumiałam, że należało się spodziewać tych uczuć.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Oczywiście, że wiesz, Cassio. Ale nie ma się czym martwić. Być może naprawdę żywisz teraz pewne uczucia względem Ky'a Markhama, ale nim skończysz dwadzieścia jeden lat, to minie. Prawdopodobieństwo wynosi w tym przypadku dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Ky jest moim przyjacielem. Uczestniczymy razem w pieszych wycieczkach.

– Myślisz, że to coś wyjątkowego? – Tym razem Funkcjonariuszka wydaje się rozbawiona. – Prawie siedemdziesiąt osiem procent Dobrych nastolatków przeżywa jakieś młodzieńcze fascynacje. Zwykle dzieje się tak w ciągu pierwszego roku od Doboru. To nic nadzwyczajnego.

Najbardziej nienawidzę Funkcjonariuszy, kiedy robią właśnie to: kiedy zachowują się tak, jakby już to wszystko kiedyś widzieli, jakby kiedyś widzieli mnie. A przecież tak naprawdę nigdy mnie nie poznali. Przeglądali tylko moje dane na ekranie.

– Zwykle w takich sytuacjach uśmiechamy się tylko i pozwalamy, by sprawy toczyły się swoim torem. W tym wypadku stawka jest jednak wyższa, bo Ky ma status Aberracji. Romans z członkiem Społeczeństwa o odpowiedniej pozycji to coś, na co można przymknąć oko. W waszym przypadku sytuacja jest inna. Jeśli nic się nie zmieni, sama możesz zostać uznana za Aberrację. Ky Markham może trafić z powrotem do Zewnętrznych Prowincji.

Robi mi się zimno ze strachu. Ale Funkcjonariuszka jeszcze nie skończyła. Oblizuje wargi, które są równie suche jak zepsuta fontanna przed naszą ławką.

– Rozumiesz?

– Nie mogę nagle przestać z nim rozmawiać. Jesteśmy partnerami, uczestniczymy razem w pieszych wycieczkach. Mieszkamy w tej samej gminie...

– Oczywiście, że możesz z nim rozmawiać – przerywa mi Funkcjonariuszka. – Ale nie powinnaś przekraczać innych granic.



Mówię na przykład o całowaniu. – Uśmiecha się do mnie. – Nie chciałabyś, żeby Xander się o tym dowiedział, prawda? Nie chciałabyś go stracić, co?

Jestem wściekła, z pewnością widać to na mojej twarzy. A ona ma rację. Nie chcę stracić Xandera.

– Cassio. Czy żałujesz, że postanowiłaś zostać Dobrana? Czy teraz uważasz, że byłabyś szczęśliwsza jako Singiel?

– Nie.

– Zatem o co chodzi?

– Myślę, że ludzie powinni sami decydować, z kim chcą się dobrać – mówię słabo.

– Do czego by to doprowadziło, Cassio? – pyta Funkcjonariuszka spokojnie. – Czy potem nie zaczęłabyś twierdzić, że ludzie powinni sami decydować o tym, ile mają mieć dzieci i gdzie chcą mieszkać? Albo kiedy chcą umrzeć?

Milczę, choć. nie dlatego, że się zgadzam. Myślę o dziadku. *Nie wchodź łagodnie.*

– Jakie Naruszenie popełniłam? – pytam.

– Słucham?

– W wiadomości, która nadeszła do szkoły przez port, była informacja, że popełniłam Naruszenie.

Funkcjonariuszka się śmieje. Jej śmiech wydaje się swobodny i ciepły, co przyprawia mnie o zimny dreszcz.

– Ach, to był błąd. Jeszcze jeden. Zdarzają się wyjątkowo często w twoim przypadku. – Przysuwa się nieco bliżej. – Nie popełniłaś Naruszenia, Cassio. Jeszcze nie.

Wstaje. Ja wpatruję się w nieczynną fontannę, jakbym próbowała siłą woli przywrócić ją do życia.

– To jest ostrzeżenie dla ciebie, Cassio. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiadam. Nie do końca jest to kłamstwo. Rzeczywiście rozumiem ją na pewnym poziomie. Wiem, dlaczego musi utrzymywać wszystko w równowadze i bezpieczeństwie, jakaś część mnie to rozumie. Większość tego nienawidzi.

Gdy w końcu podnoszę na nią wzrok, wydaje się zadowolona. Wie, że wygrała. Widzi w moich oczach, że nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić Ky'owi.

– Dostałaś jakąś przesyłkę – mówi podekscytowany Bram, gdy wracam do domu. – Ktoś ją przyniósł. To chyba coś ważnego, bo musiałem wprowadzić odcisk palca do jego informatora, zanim ją oddał.

Idzie za mną do kuchni, gdzie na stole leży niewielka paczka. Patrząc na szary papier, myślę o tym, ile słów i rysunków zmieściłby na nim Ky. Ale nie może już tego robić. To zbyt niebezpieczne.

Mimo to rozwijam papier ostrożnie i powoli, wygładzam go. To niemal doprowadza Brama do szaleństwa.

– Pospiesz się! – poganiam mnie. Nieczęsto dostajemy przesyłki.

Kiedy widzimy w końcu, co kryje się we wnętrzu paczki, oboje wzdychamy. W przypadku Brama jest to wyraz rozczarowania, w moim czegoś, czego sama nie potrafię do końca określić. Tęsknoty? Smutku?

To kawałek mojej sukni z Bankietu Doboru. Zgodnie z tradycją włożyli fragment materiału między dwie szklane płytki obwiedzione srebrem. Szkło i materiał odbijają światło, przypominają mi lustro w mojej utraconej pudernicze. Wpatruję się w jedwab, próbuję przypomnieć sobie wieczór Bankietu Doboru, gdy wszyscy ubrani byliśmy w róż, czerwień, złoto, zieleń, fiolet i błękit.

Z piersi Brama wydobywa się głuchy jęk.

– To wszystko? Kawałek twojej sukni?

– A co myślałeś? – pytam zjadliwym tonem, który zaskakuje nawet mnie samą. – Myślałeś, że przyślą nam z powrotem nasze artefakty? Myślałeś, że to będzie twój zegarek? Nie jest. Nie dostaniemy tego z powrotem. Ani zegarka, ani puderniczki, ani dziadka.

Na twarzy mojego brata pojawia się wyraz zdumienia i bólu. Bez słowa wychodzi z kuchni.

– Bram! – wołam za nim. – Bram... Słyszę trzask zamykanych drzwi.

Podnoszę pudełko, w którym dostarczono fragment materiału. Dopiero teraz zauważam, że rzeczywiście wygląda jak opakowanie na zegarek. Mój brat ośmielił się mieć nadzieję, a ja go za to wyszydziłam.

Chcę zabrać tę ramkę i wyjść na środek zielonego obszaru. Stanę obok wyschniętej fontanny i poczekam, aż znajdzie mnie Funkcjonariuszka. A kiedy już mnie odnajdzie i spyta, co robię, powiem jej i wszystkim pozostałym, że już wiem: dają nam kawałki prawdziwego życia zamiast całości. Powiem jej też, że nie chcę, by moje życie składało się ze skrawków i próbek. Z wielu smaków, za którymi nie ma żadnego posiłku.

Opanowali do perfekcji sztukę wydzielania nam okruchów wolności na tyle, że kiedy już jesteśmy bliscy załamania, dostajemy małą kość i przewracamy się brzuchem do góry, zadowoleni i uspokojeni jak pies, którego widziałam kiedyś podczas wizyty u dziadków na Ziemiach Uprawnych. Mieli kilkadziesiąt lat, by to udoskonalić; więc dlaczego się dziwię, że raz za razem i ja daję się na to nabrać?

Choć wstydzę się tego, przyjmuję kość. Trzymam ją w zębach. Ky musi być bezpieczny. Tylko to się liczy.

Nie biorę zielonej tabletki; jestem silniejsza od nich. Jednak nie dość silna, by spalić ostatni fragment historii Ky'a przed przeczytaniem, fragment, który wcisnął mi w dłoń, gdy szliśmy przez

las, w dół zbiega Wzgórze. „Ostatni raz – obiecuję sobie w myślach. – Jeszcze tylko ten kawałek”.

Po raz pierwszy rysunek jest kolorowy. Czerwone słońce, zawieszona nisko na niebie, dokładnie na środku serwetki, na zgięciu, dzięki czemu świeci na obu chłopców, na oba życia. Młodszy Ky wypuścił z dłoni słowa „Ojciec” i „Matka”, oba zniknęły z obrazka. Zostały zapomniane, porzucone albo wrosły w niego tak bardzo, że nie musi ich już nawet pisać. Spogląda na starszego Ky’ a, wyciąga do niego rękę.

*nie mogłem ich dłużej nieść  
więc zostawiłem ich  
dla nowego życia, w nowym miejscu  
lecz nikt nie zapomniał, kim byłem  
ja nie zapomniałem  
nie zapomnieli ci, którzy obserwują  
obserwowali przez lata  
obserwują teraz*

Ręce starszego, obecnego Ky’ a skute są z przodu kajdankami, po obu jego stronach stoją Funkcjonariusze. Jego dłonie również zabarwione są na czerwono – nie wiem, czy chce pokazać w ten sposób, jak wyglądają po pracy, czy coś innego. Być może to krew jego rodziców, która pozostaje tam po tylu latach, mimo że to nie on ich zabił.

Dłonie Funkcjonariuszy także są czerwone. Rozpoznają jedną z postaci, jej twarz oddaną kilkoma wprawnymi, ostrymi kreskami.

Moja Funkcjonariuszka. Przyszła również do niego.

## ROZDZIAŁ 23

Następnego ranka budzi mnie krzyk tak piskliwy i przeszywający, że natychmiast wyskakuję z łóżka i zrywam płytki rejestrujące sen.

– Bram! – krzyczę.

Nie ma go w jego pokoju.

Biegnę na dół, do pokoju rodziców. Mama wróciła wczoraj wieczorem; oboje powinni tam być. Ale ich pokój również jest pusty. Widzę, że opuścili go w pośpiechu, pościel jest rozrzucona, na podłodze leży kołdra. Cofam się. Dawno już nie widziałam, by ich łóżko nie było posłane. Nawet w tej wypełnionej strachem chwili uderza mnie niezwykłość tego widoku, jego intymność.

– Cassio? – rozlega się głos mamy.

– Gdzie jesteś? – wołam w panice, obracam się w miejscu. Pędzi do mnie korytarzem, wciąż w piżamie. Długie blond włosy powiewają za nią, wygląda jak zjawa. Potem jednak bierze mnie w ramiona, zamyka w silnym, całkowicie realnym uścisku.

– Co się stało? – pyta. – Dobrze się czujesz?

– Ten krzyk... – zaczynam mówić, rozglądając się dokoła i szukając źródła tego dźwięku. W tym momencie słyszę również zgrzyt metalu o drewno.

– To nie krzyk – mówi mama ze smutkiem. – To dźwięk pił. Ścinają klony.

Wychodzę szybko przed dom, gdzie stoją już Bram i tata. Inne rodziny także czekają na zewnątrz, wielu ludzi ma na sobie jeszcze nocne ubrania jak my. Ten widok również jest tak niezwykły i

szokujący, że nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Nigdy jeszcze nie widziałam swoich sąsiadów w podobnej sytuacji.

Choć może widziałam. Wtedy, gdy po śmierci swego syna Patrick Markham wyszedł na zewnątrz i błakał się po ulicy w nocnych ubraniach, a ojciec Xandera odszukał go i sprowadził do domu.

Piła wżera się w pień naszego klonu, przecina go tak szybko i gładko, że przez moment wydaje mi się, że nic się nie stało. Drzewo jeszcze przez chwilę stoi nieruchomo, jest już jednak martwe. Potem wali się na ziemię.

– Dlaczego? – pytam mamę.

Nie odpowiada od razu, a tato obejmuje mnie ramieniem i mówi:

– Klony stały się zbyt kłopotliwe. Jesienią są problemy z liśćmi. Poza tym nie wszystkie rosną jednakowo. Na przykład nasze jest już za duże, a Em za małe. Niektóre z nich cierpią też na różne choroby, więc trzeba je ścinać.

Spoglądam na nasze drzewo, na jego liście sięgające ku słońcu, wciąż przemieniające światło w pożywienie. Nie wiedzą, że są już martwe. Bez klonu nasze podwórko wygląda jak inne, obce miejsce. Wszystko wydaje się teraz mniejsze.

Spoglądam na dom Em. Jej podwórko niemal się nie zmieniło po ścięciu małego smutnego drzewa, które i tak prawie w ogóle nie rosło. Właściwie był to tylko cienki pień z garstką liści na wierzchołku.

– Em chyba tak bardzo to nie boli – mówię. – Jej drzewo to niewielka strata.

– To wielka strata dla nas wszystkich – oświadcza z mocą mama.

Poprzedniego wieczoru, gdy nie mogłam zasnąć, kucnęłam przy ścianie i podsłuchiwałam rozmowę rodziców. Mówili tak cicho, że nie

rozumiałam poszczególnych słów, głos mamy wydawał się jednak smutny i zmęczony. W końcu poddałam się i wróciłam do łóżka. Teraz mama jest rozgniewana, stoi przed domem z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Tymczasem robotnicy przeszli już do następnego domu, by ścinać kolejne drzewo. Ta część pracy jest łatwa. Znacznie trudniejsze będzie wyrwanie korzeni.

Tata przytula mamę do siebie. Nie kocha drzew tak jak ona, kocha jednak inne rzeczy, które uległy zniszczeniu, i rozumie jej uczucia. Mama kocha rośliny, tata kocha historię przedmiotów. Poza tym kochają się nawzajem.

A ja kocham ich oboje.

Jeśli dopuszczę się Naruszenia, skrzywdzę nie tylko siebie, Ky'a i Xandera, ale i wszystkich pozostałych ludzi, których kocham.

– To ostrzeżenie – mówi mama cicho, niemal do siebie.

– Ja nic nie zrobiłem – wykrzykuje Bram. – Od dawna nawet nie spóźniłem się do szkoły!

– To nie jest ostrzeżenie dla ciebie – odpowiada mama. – Lecz dla kogoś innego.

Tata kładzie dłoń na ramieniu mamy i patrzy na nią tak, jakby byli tu sami.

– Molly, przyrzekam, że ja nie...

W tym samym momencie i ja otwieram usta, by coś powiedzieć – sama nie wiem co – by przyznać, że to moja wina. Zanim jednak tata kończy mówić, a ja zaczynam, odzywa się mama.

– To ostrzeżenie dla mnie.

Odwraca się i wchodzi ponownie do domu, przesuwając dłonią po twarzy. Odprowadzam ją wzrokiem, przejęta poczuciem winy.

Nie sądzę, by to ostrzeżenie było przeznaczone dla mojej mamy.

\*

Jeśli Funkcjonariusze rzeczywiście mogą oglądać moje sny, to powinni być zadowoleni z tego, co mi się śniło zeszłej nocy. Zniszczyłam ostatnią część historii Ky'a w spalarni, ale potem myślałam ciągle o tym, co pokazywała, co próbowała mi powiedzieć: słońce było czerwone i wisiało nisko na niebie, gdy przyszli po niego Funkcjonariusze.

Potem, we śnie, widziałam Ky'a otoczonego przez Funkcjonariuszy w białych uniformach, z czerwonym niebem w tle i skrawkiem słońca nad horyzontem. Nie wiedziałam, czy słońce właśnie wschodzi, czy zachodzi, we śnie nie miałam poczucia kierunku. Ky nie okazywał choćby cienia strachu, jego dłonie nie drżały, twarz była spokojna i opanowana. Wiedziałam jednak, że się boi, a kiedy czerwone światło słońca padło na jego twarz, wyglądało jak krew.

Nie chcę, by ta scena rozegrała się w rzeczywistości. Ale muszę dowiedzieć się więcej. Jak uciekł? Co się stało?

Czuję, jak toczą we mnie walkę dwie siły, dwa pragnienia: pragnienie bezpieczeństwa i pragnienie wiedzy. Nie wiem, które wygra.

Mama prawie się nie odzywa, gdy jedziemy razem do Arboretum. Od czasu do czasu spogląda na mnie i uśmiecha się, ale widzę, że jest głęboko zamyślona. Kiedy zadaję pytania dotyczące jej podróży, odpowiada powoli i ostrożnie, w końcu więc przestaje.

Ky jedzie tą samą kolejką, idziemy potem razem w stronę Wzgórza. Staram się zachowywać przyjaźnie, ale z rezerwą – jak niegdyś – choć znów chcę dotknąć jego ręki, spojrzeć mu w oczy i spytać o historię z przeszłości. O to, co działo się dalej.

Wchodzimy do lasu, a ja już po kilku sekundach tracę kontrolę, czuję, że muszę go zapytać. Kładę mu dłoń na ramieniu, gdy idziemy po ścieżce prowadzącej do miejsca, w którym skończyliśmy



ostatnio. Kiedy go dotykam, uśmiecha się do mnie, ten uśmiech ogrzewa moje serce, sprawia, że trudno mi cofnąć rękę, zrezygnować. Nie wiem, czy mnie na to stać, choć bardziej chcę jego bezpieczeństwa, niż chcę jego.

– Ky. Wczoraj rozmawiała ze mną Funkcjonariuszka. Wie o tobie. Wiedzą o nas.

Ky kiwa głową.

– Oczywiście, że wiedzą.

– Z tobą też rozmawiali?

– Tak.

Jak na kogoś, kto przez całe życie starał się nie zwracać na siebie uwagi Funkcjonariuszy, Ky znosi to z zadziwiającym spokojem. Jego oczy są jak zawsze lśniące i przenikliwe, kryje się w nich jednak spokój, jakiego nie widziałam tam nigdy wcześniej.

– Nie martwisz się?

Ky nie odpowiada. Sięga do kieszeni spodni i wyciąga kartkę. Podaje mi ją. Tym razem nie jest to poplamiona serwetka ani kawałek szarej koperty – papier wydaje się bielszy, gładszy. Słowa widoczne na kartce nie zostały skreślone jego ręką. Pochodzą z pisaka lub portu, ale wydają się obce.

– Co to jest? – pytam.

– Spóźniony prezent urodzinowy dla ciebie. Wiersz.

Otwieram usta ze zdumienia – wiersz? Jak...?

Ky uspokaja mnie pospiesznie:

– Nie martw się. Wkrótce zniszczymy tę kartkę, więc nie będziemy mieli z tego powodu żadnych kłopotów. Nauczymy się go szybko na pamięć i już.

Jego twarz promienieje radością. Uświadamiam sobie nagle, że jest teraz podobny do Xandera. Przypominam sobie zmieniające się

twarze na ekranie portu, w dzień po Bankiecie Doboru, gdy zobaczyłam najpierw Xandera, a potem Ky'a. Teraz jednak widzę tylko Ky'a i nikogo więcej.

Wiersz.

– Sam go napisałeś?

– Nie – kręci głową. – Ale autorem jest ten sam człowiek, który napisał ten inny wiersz. „Nie wchodź łagodnie”.

– Jak? – pytam z niedowierzaniem. W szkolnym porcie nie znalazłam żadnych wierszy Dylana Thomasa.

Ky kręci głową, unika odpowiedzi.

– To nie jest cały wiersz. Stać mnie było tylko na kawałek zwrotki. – Chcę go zapytać, co dał w zamian za wiersz, ale on chrząka nerwowo, spogląda na swoje dłonie i mówi: – Spodobał mi się, bo mówi o urodzinach i przypomina mi ciebie. To, co czułem tego pierwszego dnia, w wodzie na basenie. – Wydaje się zmieszany, dostrzegam cię smutku na jego twarzy. – Nie podoba ci się?

Podnoszę białą kartkę, ale mam w oczach tyle łez, że nie potrafię odczytać ani słowa.

– Proszę – mówię, oddając mu kartkę. – Przeczytasz go dla mnie?

Odwracam się i idę między drzewami,omal się nie przewracam, oszołomiona pięknem jego niespodzianki, obezwładniona możliwością i niemożliwością.

Słyszę głos Ky'a. Zatrzymuję się i słucham.

*Dzień mych urodzin zaczął się od wodnych  
Ptaków i ptasich skrzydeł drzew, z moim imieniem  
Lecących sponad farm i koni siwych,  
I wstałem  
W deszczach jesieni,*

*By odejść w świat w przelotnej mżawce moich dni.\**

Znów zaczynam iść, nie zwracam uwagi na kopce i znaczniki, ani na moment nie zwalniam kroku. Jestem nieuważna, płoszę stado ptaków, które podrywają się z gałęzi drzewa i wzbijają w niebo. Biel na błękitcie, jak kolory Ratusza. Jak kolory aniołów.

– Lecą z twoim imieniem – mówi Ky za moimi plecami.

Odwracam się i widzę, jak stoi w lesie, z białym wierszem w dłoni.

Głosy ptaków ulatują wraz z nimi. Zapada cisza. Sama nie wiem, które z nas porusza się pierwsze, wkrótce jednak podchodzimy do siebie. Stoimy blisko, lecz się nie dotykamy, czujemy ciepło własnych oddechów, lecz się nie całujemy.

Ky pochyla się do mnie, patrzy mi w oczy, jest tak blisko, że słyszę szelest kartki, którą trzyma w dłoni.

Zamykam oczy, kiedy jego wargi dotykają mojego policzka. Myślę o białych lekkich nasionach, które ocierały się o mnie tamtego dnia w kolejce. Delikatne, lekkie, pełne nadziei.

---

\* Dylan Thomas *Poemat w październiku*, przet. S. Barańczak (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 24

Ky daje mi na urodziny trzy prezenty. Wiersz, pocałunek i beznadziejną, piękną wiarę, że wszystko może się ułożyć. Otwieram oczy, przykładam dłoń do miejsca, w którym dotknęły mnie jego usta, i mówię:

– Ja nie dałam ci niczego na urodziny. Nawet nie wiem, kiedy je obchodzisz.

– Nie przejmuj się tym – odpowiada.

– Co mogę zrobić? – pytam.

– Pozwól mi uwierzyć w to wszystko i sama w to uwierz. Zatem wierzę.

Przez cały jeden dzień pozwalam, by jego pocałunek płonął na moim policzku, nie odsuwam od siebie tego wspomnienia. Całowałam już wcześniej i byłam całowana. To coś innego. To, bardziej niż moje prawdziwe urodziny w dzień Bankietu Doboru, wydaje się punktem zwrotnym. Ten pocałunek i te słowa są niczym nowy początek.

Pozwalam sobie na chwilę słabości, wyobrażam sobie przyszłość, która nigdy nie będzie możliwa, nas dwoje razem. Po południu, gdy sortuję, staram się skupiać na zadaniu, udając, że każda liczba to kod, wiadomość dla Ky'a, która upewni go, że dochowam naszej tajemnicy. Zapewnię nam bezpieczeństwo, niczego nie ujawnię. Każde udane sortowanie odwraca od nas uwagę.

Ponieważ tej nocy nie przyklejam płytek, pozwalam, by moje sny kierowały się tam, gdzie tylko zechcą. Okazuje się jednak, że wcale nie śnię o Ky'u na Wzgórzu. We śnie widzę, jak siedzi na stopniach przed domem, obserwuje, jak wiatr porusza gałęziami klonu. Widzę, jak zabiera mnie do prywatnej stołówki, odsuwa krze-

sło od stołu, pochyła się tak nisko, że nawet płomienie sztucznych świec chwieją się w rytm jego oddechu. Śnię o tym, jak oboje okopujemy noworóże na jego podwórku, i o tym, jak Ky uczy mnie posługiwać się swoim artefaktem. Wszystko, o czym śnię, jest proste, zwykłe, codzienne.

Właśnie dlatego wiem, że to tylko sny. Bo rzeczy proste, zwykłe i codzienne to te, które nigdy nie będą nam dane.

– Jak? – pytam go następnego dnia na Wzgórzu, gdy weszliśmy już na tyle głęboko w las, że nikt nas nie usłyszy. – Jak możemy wierzyć, że to się uda? Funkcjonariuszka groziła, że odeśle cię z powrotem do Zewnętrznych Prowincji!

Ky nie odpowiada, a ja mam wrażenie, że krzyczałam na niego, choć w rzeczywistości mówiłam półgłosem. Potem mijamy kopiec, który ustawiliśmy podczas ostatniej wycieczki. Ky spogląda na mnie, a ja mogłabym przysiąc, że znów czuję ten ostatni pocałunek. Tym razem jednak czuję go na ustach.

– Słyszałaś kiedykolwiek o dylemacie więźnia? – pyta

– Oczywiście. – Droczy się ze mną? – To gra, w którą grałeś z Xanderem. Wszyscy kiedyś w nią graliśmy.

– Nie, nie chodzi mi o grę. Zresztą Społeczeństwo zmieniło trochę jej zasady. Chodzi mi o teorię, która kryje się za grą.

Nie wiem, o czym mówi.

– Chyba nie.

– Jeśli dwie osoby popełnią razem przestępstwo, zostaną schwytane, a potem rozdzielone i przesłuchane, to co się wydarzy?

Nadal go nie rozumiem.

– Nie wiem.

– To jest właśnie ten dylemat. Czy będą się nawzajem obciążać, licząc, że dzięki temu Funkcjonariusze potraktują ich ulgowo? Czy

też nie powiedzą niczego, co mogłoby zdradzić ich partnera? Najlepiej byłoby, gdyby oboje milczeli. Wtedy oboje byłiby bezpieczni.

Zatrzymaliśmy się przy grupie zwalonych drzew.

– Bezpieczni – powtarzam.

Ky kiwa głową.

– Ale w rzeczywistości nigdy tak nie jest.

– Dlaczego nie?

– Bo prawie zawsze jeden więzień zdradzi drugiego. Powie wszystko, co wie, byle tylko uniknąć kary.

Chyba już wiem, o co mnie pyta. Coraz łatwiej przychodzi mi czytać w jego oczach, odgadywać jego myśli. Może dzieje się tak dzięki temu, że znam jego historię, że znam lepiej jego samego. Podaję mu czerwony pasek; nie unikamy już wzajemnego dotyku, pozwalamy, by nasze palce przylgnęły do siebie na moment.

Ky mówi dalej:

– Ale w sytuacji idealnej obie strony zachowają milczenie.

– Myślisz, że możemy to zrobić?

– Nigdy nie będziemy bezpieczni – mówi Ky, muskając dłonią moją twarz. – W końcu to zrozumiałem. Ale ufam ci. Będziemy troszczyli się razem o swoje bezpieczeństwo tak długo, jak długo to będzie możliwe.

Co oznacza, że nasze pocałunki muszą pozostać tylko w sferze nadziei i obietnic, jak ten pierwszy, delikatny pocałunek na moim policzku. Nasze usta nie spotykają się ze sobą. Jeszcze nie. Bo kiedy do tego dojdzie, popełnimy Naruszenie. Społeczeństwo zostanie zdradzone. Zostanie zdradzony Xander. Oboje o tym wiemy. Ile czasu możemy im jeszcze wykraść? Ile czasu możemy wykraść sobie? Bo widzę w jego oczach, że pragnie tego pocałunku równie mocno jak ja.

Nasze życie składa się z innych części: z wielu godzin pracy w przypadku Ky'a, z sortowania i Drugiej Szkoły w moim przypadku. Kiedy jednak patrzę wstecz, wiem, że nie zapamiętam tych chwil tak, jak pamiętam wspólne wycieczki z Ky'em – w każdym szczególe, każdą sekundę.

Wyjątkiem są wspomnienia z jednego sobotniego wieczoru w sali pokazów, gdzie Xander trzyma mnie za rękę, a Ky zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Na sam koniec, gdy zapalają się światła, widzę Funkcjonariuszkę z zielonego obszaru, która rozgląda się po sali. Gdy dostrzeżę mnie i Xandera trzymających się za ręce, kiwa lekko głową, uśmiecha się do mnie i wychodzi. Zerkam na Xandera i nagle ogarnia mnie tęsknota, tęsknota tak głęboka i rzeczywista, że czuję ją jeszcze znacznie później, zawsze gdy myślę o tym wieczorze. Nie jest to jednak tęsknota za Xanderem, ale za tym, jak kiedyś wyglądały nasze relacje. Żadnych sekretów, żadnych komplikacji.

Lecz mimo że czuję się winna wobec Xandera, że martwię się o niego, te dni należą do Ky'a, do mnie. To czas przeznaczony na kolejne opowieści i naukę pisania.

Czasami Ky pyta mnie, czy pamiętam różne rzeczy.

– Pamiętasz pierwszy dzień Brama w szkole? – chce się dowiedzieć pewnego dnia, gdy pniemy się szybko w górę zbocza, by nadrobić czas, który wcześniej spędziliśmy na pisaniu.

– Oczywiście – odpowiadam, zmęczona szybkim marszem i myślami o dotyku jego dłoni. – Bram chciał zostać w domu. Zrobił scenę na stacji kolejki. Wszyscy to pamiętają.

Dzieci zaczynają Pierwszą Szkołę jesienią tego roku, w którym kończą sześć lat. Ma to być ważny rytuał przejścia, przygotowanie do przyszłych Bankietów. Pod koniec pierwszego udanego dnia, po kolacji, dzieci przynoszą do domu ciasto i pęk kolorowych balonów. Nie wiem, na co bardziej cieszy się Bram – na ciasto, które jadamy bardzo rzadko, czy na balony, które dostajemy tylko z okazji Pierwszego Dnia. Tego dnia Bram miał również otrzymać swój czytnik i pisak, ale to akurat wcale go nie obchodziło.

Kiedy nadszedł czas, by wsiąść do kolejki jadącej do Pierwszej Szkoły, Bram nieoczekiwanie zmienił zdanie.

– Nie chcę jechać – oświadczył. – Zostanę tutaj.

Był ranek, na stacji czekał tłum ludzi jadących do szkoły lub pracy. Wszyscy zerkali w naszą stronę, gdy Bram odmówił wejścia do kolejki z rodzicami. Tata wyglądał na zmartwionego, ale mama przyjęła to ze spokojem.

– Nie przejmuj się – wyszeptała do mnie. – Funkcjonariusze, którzy zajmują się tym ośrodkiem opieki przedszkolnej, ostrzegali mnie, że coś takiego może się wydarzyć. Przewidzieli, że Bram będzie miał drobne kłopoty z rozpoczęciem nowego etapu w życiu. – Potem uklękła przed Bramem i powiedziała: – Wejdźmy do kolejki, Bram. Pamiętaj o balonach. I o cieście.

– Nie chcę ich. – A potem, ku zdumieniu wszystkich, zaczął płakać. Bram nigdy nie płakał, nawet kiedy był bardzo mały. Moja mama straciła nagle pewność siebie, objęła go i przytuliła mocno. Bram jest dzieckiem, którego mogła nigdy nie mieć. Narodziłam się wkrótce po zawarciu przez rodziców Kontraktu, potem jednak minęło sporo czasu, zanim mamie ponownie udało się zajść w ciążę. Bram przyszedł na świat kilka tygodni przed jej trzydziestymi pierwszymi urodzinami, górną granicą wieku, w jakim można mieć dzieci. Wszyscy ogromnie się cieszyliśmy z jego narodzin, ale mama szczególnie.

Wiedziałam, że jeśli Bram nie przestanie wkrótce płakać, wszyscy będziemy mieli kłopoty. W tamtych czasach Funkcjonariusze pilnujący porządku mieszkali przy każdej ulicy.

Pochyliłam się więc do Brama i powiedziałam głośno:

– Szkoda. Nie dostaniesz czytnika ani pisaka. Nigdy nie nauczysz się pisać ani czytać.

– To nieprawda! – wrzasnął Bram. – Nauczę się.

– Jak? – spytałam.



Zmrużył gniewnie oczy, ale przynajmniej przestał płakać.

– Wcale mnie nie obchodzi, czy będę umiał pisać i czytać.

– Jak chcesz – mówię i kątem oka dostrzegam, że ktoś puka do drzwi domu Funkcjonariusza tuż przy stacji kolejki. „Nie. Bram już zbyt wiele razy był notowany w ośrodku opieki”.

Kolejka zatrzymała się na stacji, a ja zrozumiałam nagle, co powinnam zrobić. Podniosłam jego tornister i podałam mu go.

– To zależy od ciebie – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Możesz dorosnąć albo na zawsze zostać dzieckiem.

Bram zrobił urażoną minę. Wcisnęłam mu tornister w ręce i wyszeptałam do ucha:

– Wiem, jak grać w różne gry na czytniku.

– Naprawdę?

Skinęłam głową.

Bram rozpromienił się nagle, wziął ode mnie tornister i bez chwili wahania wszedł do kolejki. Rodzice i ja wsiedliśmy tuż za nim. Gdy znaleźliśmy się już w środku, mama uściskała mnie mocno.

– Dziękuję – powiedziała.

Oczywiście nie istniały żadne gry na czytnik. Musiałam jakieś wymyślić, ale nie bez powodu jestem urodzoną sortowaczką. Bram dopiero po kilku miesiącach zorientował się, że tylko on może się tak bawić. Gry polegały na jak najszybszym odnajdywaniu różnych wzorów i obrazów, które ktoś – czyli starsza siostra – ukrył na ekranach pełnych liter. Dlatego też wiedziałam wcześniej niż ktokolwiek inny, że Bram nie będzie sortowaczem. Nadal jednak tworzyłam kolejne poziomy, zapisywałam rekordy i poświęcałam niemal cały wolny czas na wymyślanie gier, które mogłyby mu się spodobać. Lecz nawet kiedy w końcu domyślił się prawdy, nie był na mnie zły. Za dobrze się przy tym bawiliśmy, a poza tym wcale nie skłamałam. Rzeczywiście, wiedziałam, jak grać na czytniku.

– To był właśnie ten dzień – mówi Ky i się zatrzymuje.

– Jaki dzień?

– Dzień, w którym cię zobaczyłem.

– Dlaczego? – pytam nieco urażona. – Bo zrozumiałeś, że stosuję się do reguł? Że skłoniłam swojego brata, żeby on także się do nich stosował?

– Nie – odpowiada, jakby to było oczywiste. – Bo zobaczyłem, że troszczysz się o brata i że jesteś na tyle bystra, żeby mu pomóc. – Uśmiecha się do mnie. – Wiedziałem już, jak wyglądasz, ale wtedy po raz pierwszy naprawdę cię zobaczyłem.

– Hm...

– A co ze mną? – pyta.

– Co masz na myśli?

– Kiedy po raz pierwszy ty mnie zobaczyłaś?

Nie mogę mu powiedzieć. Nie mogę powiedzieć, że zaczęłam myśleć o nim w ten sposób po Bankiecie Doboru, gdy przez pomyłkę zobaczyłam jego twarz na mikrokarcie. Nie mogę mu powiedzieć, że nie widziałam go aż do chwili, gdy oni mi go pokazali.

– Na szczycie pierwszego wzgórza – mówię głośno. Żałuję, że muszę go okłamywać, bo to właśnie on zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Później, tego samego wieczoru, uzmysławiam sobie, że Ky nie przekazał mi dalszej części swojej historii, a ja o nią nie poprosiłam. Może dlatego, że teraz ja sama w niej uczestniczę. Jestem częścią jego historii, a on częścią mojej. Czasami mam wrażenie, że liczy się właśnie tylko ten fragment, który piszemy razem.

Wciąż jednak prześladowuje mnie pytanie: „Co się stało, gdy zabrali go Funkcjonariusze, a czerwone słońce wisiało nisko na niebie?”.

## ROZDZIAŁ 25

Nasze wspólne chwile są niczym burza, niczym gwałtowna wichura i deszcz, coś zbyt wielkiego, by tym kierować, a zarazem zbyt silnego, by przed tym uciec. Ten żywioł mnie porywa, szarpie za włosy, zostawia krople wody na twarzy, sprawia, że czuję się wreszcie żywa. Jak w każdej burzy zdarzają się tu też chwile spokoju i wytchnienia, a także i takie, gdy nasze słowa rozszczepiają błyskawice.

Razem wchodzimy pospiesznie na wzgórze, dotykamy swoich dłoni, dotykamy drzew. Rozmawiamy. Ky ma mi różne rzeczy do powiedzenia i ja mam mu różne rzeczy do powiedzenia. Brakuje nam czasu, wciąż brakuje nam czasu.

– Istnieje grupa ludzi, którzy nazywają siebie Archiwistami – mówi Ky. – W czasie gdy Komisja Stu dokonywała wyboru, Archiwiści wiedzieli, że dzieła, które nie znalazły się w tej setce, będą kiedyś prawdziwym rarytasem. Ocalili więc niektóre z nich. Archiwiści mają nielegalne porty, które sami sobie zbudowali i w których przechowują różne rzeczy. To właśnie oni uratowali wiersz Thomasa, który ci przyniosłem.

– Nie miałam o tym pojęcia – mówię wzruszona. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś może sięgać myślą na tyle daleko, by zachować niektóre wiersze. Czy dziadek o tym wiedział? Chyba nie. Nigdy nie dał im swoich wierszy, by zachowali je dla potomności. Ky kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Cassio. Archiwiści nie są altruistami. Nie przechowują tych wierszy bezinteresownie. Może je mieć każdy, kto zapłaci, ale ceny są wysokie. – Milknie raptownie, jakby ujawnił za wiele – jakby wyznał, że ten wiersz sporo go kosztował.

– Co im za niego dałeś? – pytam, nagle ogarnięta lękiem. O ile mi wiadomo, Ky ma tylko dwie cenne rzeczy: swój artefakt i słowa wiersza „Nie wchodź łagodnie”. Nie chcę, by oddawał komuś artefakt, ostatnią rzecz, która wiąże go z rodziną. Z kolei myśl o tym, że nasz wiersz mógłby stać się zwykłym towarem, napełnia mnie odrazą. Nie chcę, by miał go ktokolwiek prócz nas. Uświadamiam sobie, że to przejaw egoizmu i że pod tym względem nie jestem lepsza od Funkcjonariuszy.

– Coś – mówi z błyskiem rozbawienia w oczach. – Nie przejmuj się tym.

– Twój artefakt...

– Nie martw się. Nie oddałem go. Nie oddałem też naszego wiersza. Ale pamiętaj, że gdybyś kiedyś musiała, możesz to wykorzystać. Oni nie znają tego wiersza. Pytałem, ile mają dzieł Dylana Thomasa, i okazało się, że bardzo mało. Wiersz o urodzinach i opowiadanie. To wszystko.

– Gdybym co musiała?

– Wymienić go – odpowiada ostrożnie. – Wymienić na coś innego. Archiwiści mają informacje, koneksje. Mogłabyś przekazać im jeden z wierszy, które dał ci dziadek. – Marszczy brwi. – Choć dowiedzenie autentyczności mogłoby być trudne, bo nie masz oryginalnej kartki... Mimo wszystko jestem pewien, że byłby coś wart.

– Bałabym się robić interesy z ludźmi takimi jak oni – mówię, a potem natychmiast tego żałuję. Nie chcę, by Ky myślał, że tak łatwo mnie wystraszyć.

– Nie są wcale tacy źli – odpowiada. – Próbuję ci pokazać, że w gruncie rzeczy nie są lepsi ani gorsi od innych. Nie są lepsi ani gorsi od Funkcjonariuszy. Musisz uważać na Archiwistów tale samo, jak uważasz na wszystkich innych.

– Gdzie mogę ich znaleźć? – pytam. Niepokoi mnie fakt, że Ky chce, bym to wiedziała. Co jego zdaniem może się wydarzyć?

Dlaczego uważa, że być może będę musiała wiedzieć, jak sprzedać nasz wiersz?

– W Muzeum – wyjaśnia. – Pójdiesz do podziemi i staniesz przed wystawą o Wspaniałej Historii Prowincji Oria. Nikt tam nie chodzi. Jeśli poczekaś dość długo, ktoś spyta cię, czy chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o tej historii. Odpowiesz, że tak. Wtedy będą wiedzieli, że chcesz się skontaktować z Archiwistami.

– Skąd o tym wiesz? – pytam, po raz kolejny zaskoczona jego wiedzą i sprytem.

– Lepiej, żebyś tego nie wiedziała – odpowiada, kręcąc głową.

– A jeśli przyjdzie tam ktoś, kto naprawdę będzie chciał się dowiedzieć czegoś o historii?

Ky parska śmiechem.

– Nikt tego nie robi, Cassio. Tutaj nikt nie chce dowiadywać się czegokolwiek o przeszłości.

Idziemy dalej, wciąż trzymamy się za ręce. Słyszę, jak Ky nuci fragment jednej ze Stu Piosenek, tej, którą słyszeliśmy razem.

– Uwielbiam ją – mówię, a Ky kiwa głową. – Kobieta, która ją śpiewa, ma piękny głos.

– Szkoda tylko, że nie jest prawdziwy.

– Co masz na myśli? – pytam, marszcząc brwi.

Patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Jej głos. To nie jest głos prawdziwego człowieka. Został wygenerowany elektronicznie. Idealny głos. Jak głosy wszystkich śpiewaków we wszystkich pieśniach. Nie wiedziałaś o tym?

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– To niemożliwe. Kiedy śpiewa, słyszę też, jak oddycha.

– To część tej imitacji – mówi Ky, spoglądając w dal, przypominając sobie coś. – Oni wiedzą, że lubimy żyć w

przekonaniu, że różne rzeczy są autentyczne. Lubimy słyszeć, jak oddychają.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak śpiewają prawdziwi ludzie.

– Ja też, w szkole. I tata mi śpiewał.

– Nie. Mam na myśli głośne śpiewanie, na cały głos. Kiedy tylko masz na to ochotę. Słyszałem ludzi, którzy tak śpiewali, ale nie tutaj. Nawet najpiękniejszy głos na świecie nie brzmiał tak idealnie jak ten, który słyszymy w sali.

Przez ułamek sekundy wyobrażam go sobie w jego rodzinnych stronach, w tym krajobrazie, który dla mnie narysował, zasłuchanego w śpiew innych ludzi. Ky spogląda na słońce, które świeci na nas przez gałęzie drzew. Sprawdza, która godzina. Bardziej ufa słońcu niż zegarkowi. Zauważyłam to już wcześniej. Kiedy tak stoi, przysłaniając oczy jedną ręką, przychodzą mi na myśl jeszcze inne wersy z wiersza Thomasa.

*Szaleni słońce chwytający w locie,  
wasz śpiew radosny był mu trenem łzawym*

Chciałabym usłyszeć, jak śpiewa Ky.

Ky sięga do kieszeni, wyciąga mój wiersz urodzinowy.

– Pamiętasz go już wystarczająco dobrze?

Wiem, co ma na myśli. Czas już zniszczyć wiersz. Przechowywanie go przez zbyt długi czas jest niebezpieczne.

– Tak – odpowiadam. – Ale chciałabym spojrzeć na niego jeszcze raz. – Czytam wiersz po raz ostatni i spoglądam na Ky'a. – Kiedy niszczyłam wiersz od dziadka, było mi bardzo smutno. Teraz nie jest tak źle. Wiem, że znają go inni ludzie. Istnieje gdzieś jeszcze.

Ky kiwa głową.

– Chcesz, żebym zabrała go do domu i spaliła? – pytam.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zostawić go tutaj – odpowiada. – Zakopać w ziemi.

Przypominam sobie sadzenie roślin z Xanderem. Jednak w odróżnieniu od kwiatów ten wiersz jest czysty, równo przycięty, nie niesie ze sobą żadnych śladów miejsca, z którego przybył. Znamy nazwisko autora. Nic o nim nie wiemy, nie wiemy, co chciał powiedzieć tym wierszem, co myślał, kiedy układał słowa, gdy je pisał. Czy w tamtych czasach istniały już pisaki? Nie pamiętam, choć zapewne uczyłam się o tym podczas Stu Lekcji Historii. A może pisał go tak jak Ky, rękami? Czy ten poeta zdawał sobie sprawę, jakie ma szczęście, że zna takie piękne słowa, że może je utrwalić i przechować?

Ky sięga po wiersz.

– Poczekaj – mówię. – Nie zakopujemy go całego. Wyglądzam kartkę na powierzchni dłoni. Jest mała, bez trudu będzie można ją zakopać. Starannie oddzieram wers, który mówi o ptakach:

*Ptaków i ptasich skrzydeł drzew, z moim imieniem lecących*

Dreń fragment papieru na coraz mniejsze kawałki. Kiedy są już naprawdę maleńkie i lekkie, rzucam je na wiatr, pozwalam, by frunęły przez chwilę. Są tak małe, że nie widzę nawet, gdzie opada większość z nich. Jeden ląduje na gałęzi obok mnie. Może prawdziwy ptak wykorzysta go do budowy gniazda, ukryje przed wszystkimi, jak ja ukrywałam drugi wiersz Thomasa.

„A jednak znamy autora” – uświadamiam sobie, gdy zakopujemy z Ky'em pozostałą część kartki. Znamy go poprzez jego słowa.

Pewnego dnia będę musiała podzielić się tymi wierszami. Wiem o tym. Pewnego dnia będę musiała powiedzieć Xanderowi, co się dzieje na Wzgórzu.

Ale jeszcze nie teraz. Przedtem paliłam poezję, by zachować bezpieczeństwo. Teraz nie mogę już tego zrobić. Trzymam się mocno poezji naszych wspólnych chwil, chronię ją, chronię nas. Nas wszystkich.

– Opowiedz mi o swoim Bankiecie Doboru – prosi Ky innym razem.

Chce, żebym opowiedziała mu o Xanderze?

– Nie o Xanderze – dodaje, czytając w moich myślach. Na jego twarzy znów pojawia się ten charakterystyczny uśmiech, który uwielbiam. Nawet teraz, gdy uśmiecha się częściej, wciąż jestem go spragniona. Czasami, gdy to robi, dotykam dłonią jego ust. Dotykam ich także teraz, czuję, jak się poruszają, gdy mówi:

– Opowiedz mi o sobie.

– Byłam zdenerwowana, podekscytowana...

– O czym myślałaś?

Chciałabym móc powiedzieć, że myślałam o nim, ale raz już go okłamałam i nie chcę robić tego ponownie. Poza tym nie myślałam też o Xanderze.

– Myślałam o aniołach – odpowiadam.

– O aniołach?

– No wiesz. Tych istotach ze starych opowieści. O tym, jak mogą polecieć ku niebu.

– Myślisz, że ktoś jeszcze w nie wierzy?

– Nie wiem. Chyba nie. A ty?

– Ja wierzę w ciebie – odpowiada przytłumionym, niemal nabożnym głosem. – Nigdy nie sądziłem, że znajdę w sobie jeszcze tyle wiary.



Przechodzimy szybko między drzewami. Bardziej czuję, niż widzę, że zbliżamy się już do szczytu Wzgórza. W końcu wykonamy tu całą pracę, a nasz wspólny czas dobiegnie końca. Bez trudu pokonujemy już dolne części wzniesienia; wszystkie przeszkody są tam oznaczone, dobrze wiemy, dokąd idziemy, przynajmniej na początku. Nadal jednak pozostają niezbadane obszary. Wciąż mamy coś do odkrycia. Jestem za to wdzięczna losowi. Żałuję, że nie wierzę w anioły, bo wtedy mogłabym wyrazić swoją wdzięczność komuś lub czemuś.

– Opowiedz coś jeszcze – prosi Ky.

– Byłam ubrana w zieloną sukienkę.

– W zieloną – powtarza, oglądając się na mnie. – Nigdy nie widziałem cię w zieleni.

– Nigdy nie widziałeś mnie w czymkolwiek prócz brązu i czerni – odpowiadam. – Brązowe ubrania powszednie. Czarny kostium kąpielowy. – Rumienie się mimowolnie.

– Cofam to, co powiedziałem – mówi chwilę później, gdy z dołu dobiega dźwięk gwizdka. – Widziałem cię w zieleni. Widzę cię w zieleni codziennie, tutaj, między drzewami.

Nazajutrz pytam go:

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego płakałeś wtedy na pokazie?

– Widziałaś mnie?

Kiwam głową.

– Nie mogłem się powstrzymać. – Jego oczy wpatrują się w dal, dziwnie zimne i obce. – Nie wiedziałem, że mają takie nagrania. To mogła być moja wioska. Na pewno była to któraś z Zewnętrznych Prowincji.

– Chwileczkę... – Myślę o tamtych ludziach, o biegnących cieniach. – Chcesz powiedzieć, że to się działo...

– Naprawdę – kończy za mnie. – Tak. To nie są aktorzy. Takie rzeczy dzieją się we wszystkich Zewnętrznych Prowincjach, Cassio. Kiedy stamtąd wyjeżdżałem, działy się coraz częściej.

O nie...

Wiem, że za chwilę rozlegnie się gwizd. On też o tym wie. Mimo to wyciągam do niego ręce i tulę go mocno w środku lasu, gdzie osłaniają nas drzewa, a ptaki zagłuszają nasze głosy. Całe Wzgórze bierze udział w tym uścisku.

Odsuwam się pierwsza, bo muszę jeszcze coś napisać, zanim nasz czas dobiegnie końca. Ćwiczyłam to już w powietrzu, ale chcę wykreślić te same słowa w ziemi.

– Zamknij oczy – mówię do Ky'a i pochylam się. Słyszę nad sobą jego oddech, gdy czeka cierpliwie, aż skończę.

– Już – mówię, a Ky spogląda na to, co napisałam.

*Kocham cię.*

Jestem speszona niczym dziecko, które wypisało te słowa na swoim czytniku i pokazało chłopcu z Pierwszej Szkoły. Moje litery są trochę niezdarne, nie tak ładne jak pismo Ky'a.

Dlaczego niektóre rzeczy łatwiej napisać, niż powiedzieć?

Mimo to czuję się niezwykle odważna i bezbronna zarazem, gdy stoję nieruchomo obok słów, których nie mogę już cofnąć. Pierwsze słowa, które sama napisałam, oprócz naszych imion. Nie jest to prawdziwy wiersz, ale dziadek by zrozumiał.

Ky patrzy na mnie. Po raz pierwszy od czasu pokazu widzę łzy w jego oczach.

– Nie musisz pisać tego samego – mówię zawstydzona. – Chciałam tylko, żebyś wiedział.

– Nie chcę tego pisać – odpowiada. A potem wymawia te słowa, pośród drzew, na zboczach Wzgórza. Spośród wszystkich słów, które ukrywałam i przechowywałam, te są najważniejsze, niezapomniane.

– Kocham cię.

Błyskawica. Kiedy już się rozszczepiła, olśniewająco biała, od nieba do ziemi, nie ma odwrotu.

Już czas. Czuję to, wiem to. Patrę na niego, a on na mnie, oboje oddychamy ciężko, przyglądamy się sobie, zmęczeni czekaniem. Ky zamyka oczy, ja nadal jednak patrę na niego. Jakie to będzie uczucie, kiedy nasze usta zetkną się ze sobą? Jak wyjawiony sekret, dotrzymana obietnica? Jak ten wers z wiersza – *przelotna mżawka moich dni* – srebrzysty deszcz obmywający moje ciało, gdy błyskawica styka się z ziemią?

Z dołu dobiega gwizd, a zakłęta chwila kończy się raptownie. Jesteśmy bezpieczni.

Na razie.

## ROZDZIAŁ 26

Schodzimy w pośpiechu ze Wzgórza. Widzę, jak między drzewami prześwituje biel, wiem, że nie są to ptaki, które widzieliśmy wcześniej. Te białe postacie nie są stworzone do latania.

– Funkcjonariusze – mówię do Ky'a, a on kiwa głową.

Meldujemy się u Oficera, który wydaje się nieco zaniepokojony obecnością czekających na nas gości. Zastanawiam się po raz kolejny, dlaczego został obarczony tym zadaniem. Nawet nadzór nad oznaczaniem dużego Wzgórza musi być stratą czasu dla kogoś o jego pozycji. Odwracam się od niego, wcześniej jednak dostrzegam wszystkie zmarszczki i bruzdy wyrzeźbione na jego twarzy i uświadamiam sobie ponownie, że nie jest już młody.

Kiedy podchodzimy bliżej, odkrywam, że znam tych Funkcjonariuszy. To ci sami, którzy testowali moje umiejętności sortownicze. Tym razem przewodzi im jasnowłosa Funkcjonariuszka; najwyraźniej to ona odpowiada za tę część procedury.

– Witaj, Cassio – mówi. – Przyszliśmy tutaj, żeby zabrać cię na kolejną część testu. Możesz pójść z nami? – Spogląda na Oficera, jakby w rzeczywistości pytanie było skierowane do niego.

– Idź. – Oficer zerka na pozostałych uczestników wycieczki, którzy wrócili ze Wzgórza. – Możecie iść wszyscy. Spotkamy się jutro.

Kilku wycieczkowiczów spogląda na mnie z zainteresowaniem, ale bez troski. Wielu z nas oczekuje na przydział ostatecznego stanowiska pracy, a Funkcjonariusze zawsze stanowią część tego procesu.

– Pojedziemy kolejką – zwraca się do mnie jasnowłosa Funkcjonariuszka. – Test potrwa tylko kilka godzin. Powinnaś zdażyć do domu na wieczorny posiłek.

Idziemy w stronę stacji kolejki, dwoje Funkcjonariuszy po mojej prawej stronie, jeden po lewej. Nie można im uciec; nie ośmielam się spojrzeć na Ky'a nawet wtedy, gdy wsiadamy do kolejki, która zawiezie nas do miasta. Gdy przechodzi obok mnie, jego „Cześć” brzmi całkiem niewinnie, przyjaźnie i spokojnie. Przechodzi na drugi koniec wagonu i siada przy oknie. Gdyby ktoś przyglądał się nam z boku, byłby przekonany, że Ky nic do mnie nie czuje. Omal sama w to nie uwierzyłam.

Nie wysiadamy z kolejki na stacji przy Ratuszu ani na żadnej innej stacji w obrębie Miasta. Jedziemy dalej. Do kolejki wsiada coraz więcej robotników w niebieskich ubraniach, roześmianych i rozgadanych. Jeden z nich trąca Ky'a w ramię, obaj się uśmiechają. Oprócz nas w całym wagonie nie ma nikogo, kto nosiłby biały uniform Funkcjonariusza lub brązowe ubrania ucznia. Nasza czwórka siedzi w milczeniu pośród morza błękitu. Kolejka wije się i sunie niczym rzeka, a ja uświadamiam sobie, że trudno jest walczyć z prądem tak silnym jak Społeczeństwo.

Wyglądam przez okno w nadziei, że to nie to miejsce, o którym myślę. Że nie jedziemy wszyscy na tę samą stację. Że nie będę sortowała Ky'a.

Czy to jakiś podstęp? Czy nas obserwują? „Głupie pytanie – ganie się w myślach. – Oczywiście, że nas obserwują”.

W tej części Miasta stoją stłoczone potężne szare budynki. Widzę jakieś napisy, kolejka jedzie jednak zbyt szybko, bym mogła je odczytać. Wiem jednak doskonale, gdzie jesteśmy: w Dzielnicy Przemysłowej.

Widzę, jak Ky wstaje ze swojego miejsca. Nie musi sięgać do uchwyków pod sufitem, bez trudu utrzymuje równowagę, gdy kolejka hamuje przed stacją. Przez moment myślę, że wszystko będzie dobrze. Funkcjonariusze pojedą ze mną dalej, za te szare budynki,

za lotnisko z pasami startowymi i czerwonymi flagami, które powiewają na wietrze niczym latawce, niczym znaczniki na Wzgórzu. Pojedziemy na Ziemię Uprawne, gdzie każą mi sortować zboża albo owce.

Funkcjonariusze podnoszą się jednak ze swoich miejsc, a ja nie mam innego wyjścia, jak tylko pójść za nimi. „Nie panikuj – upominam się w duchu. – Spójrz na wszystkie te budynki. Na wszystkich tych robotników. Możesz sortować mnóstwo innych rzeczy. Nie wyciągaj pochopnie wniosków”.

Ky nie patrzy na mnie, by się przekonać, czy ja również wysiadłam. Obserwuję jego plecy i ręce, zastanawiam się, czy i on czuje takie samo napięcie jak ja. Jednak jego mięśnie są rozluźnione, a krok równy, gdy idzie do drzwi budynku, w którym znikają robotnicy. Wielu innych pracowników w niebieskich ubraniach przechodzi przez te same drzwi. Dłonie Ky’a wiszą luźno. Puste.

Gdy Ky znika z boku budynku, jasnowłosa Funkcjonariuszka prowadzi mnie do frontowego wejścia, do czegoś w rodzaju przedpokoju. Inna Funkcjonariuszka podaje jej płytki rejestrujące, a blondynka mocuje je za moim uchem, na nadgarstkach i pod szyją. Robi to szybko i sprawnie. Teraz, gdy jestem już pod ich ścisłą obserwacją, jeszcze bardziej staram się rozluźnić. Nie chcę, by uznali, że jestem wyjątkowo zdenerwowana. Oddycham głęboko i zmieniam w myślach słowa wiersza. Mówię sobie, by wejść w to łagodnie, przynajmniej teraz.

– Te budynki to centrum dystrybucji pożywienia dla Miasta – informuje mnie Funkcjonariuszka. – Jak już wspominaliśmy, rzeczywiste sortowanie ma na celu selekcję ludzi i sytuacji według określonych parametrów. Chcemy się przekonać, czy potrafisz pomóc Rządowi poprawić funkcjonalność i wydajność jego działania.

– Rozumiem – odpowiadam, choć wcale nie jestem tego pewna.

– Zatem zaczynamy.

Otwiera drzwi, a na spotkanie wychodzi nam inny Funkcjonariusz. Prawdopodobnie nadzoruje cały ten budynek, a pomarańczowe i żółte paski na jego koszuli oznaczają, że pracuje w jednym z najważniejszych departamentów, Departamencie Żywności.

– Ilu macie dzisiaj? – pyta, a ja uświadamiam sobie, że nie ja jedna wykonuję tutaj test rzeczywistego sortowania. Ta myśl sprawia, że nieco się uspokajam.

– Tylko jedną osobę – odpowiada blondynka. – Ale za to wyjątkowo uzdolnioną.

– Świetnie – kiwa głową Funkcjonariusz. – Dajcie mi znać, kiedy skończycie.

Odchodzi, a ja stoję nieruchomo, przytłoczona otaczającymi mnie widokami i zapachami. I gorącem.

Stoimy w wielkiej hali, większej niż sala gimnastyczna w Drugiej Szkole. Pomieszczenie to przypomina ogromną stalową skrzynię; podłoga wykonana jest z metalu upstrzonego wylotami kanałów ściekowych, betonowe ściany pokrywa szara farba, wzdłuż boków i przez środek sali ciągną się jakieś rury i urządzenia z nierdzewnej stali. Wszędzie unoszą się kłęby pary. W ścianach i suficie znajdują się otwory wentylacyjne prowadzące na zewnątrz, ale nie ma tu żadnych okien. Urządzenia, pojemniki na jedzenie, gorąca woda wypływająca z kranów – wszystko jest szare.

Oprócz ubranych na niebiesko pracowników i ich poparzonych, czerwonych dłoni.

Rozlega się gwizdek, od lewej strony do hali wchodzi nowa grupa pracowników, podczas gdy inna wychodzi przez drzwi po prawej. Są przygarbieni, wyczerpani. Ocierają wilgotne od potu czoła i opuszczają salę, nie oglądając się za siebie.

– Nowi pracownicy byli w komorze sterylizacyjnej, gdzie pozbyli się wszelkich zanieczyszczeń z zewnątrz – tłumaczy mi swobodnym tonem Funkcjonariuszka. – Dlatego właśnie pobierają numery i

przypinają je do uniformów. Ty będziesz się zajmowała tą nową zmianą.

Podnosi rękę i wskazuje na kilka punktów obserwacyjnych rozmieszczonych w sali. Są to małe metalowe wieże, na których stoją Funkcjonariusze. Dostrzegam trzy takie miejsca; wieża pośrodku hali jest pusta.

– Pójdziemy właśnie tam.

Wchodzę za nią po metalowych stopniach, podobnych do tych, które można znaleźć na stacjach kolejki powietrznej. Jednak te schody prowadzą na niewielkie podwyższenie, na którym z trudem mieści się nasza czwórka. Siwowłosy Funkcjonariusz dyszy ciężko i poci się obficie, jego twarz jest czerwona z wysiłku. Włosy lepią mi się do karku. A przecież my tylko stoimy i obserwujemy. Nie musimy nawet pracować.

Wiedziałam, że praca Ky'a jest ciężka, ale nie miałam pojęcia, że aż tak.

Obok stanowisk ze zlewami i rurami recyklingowymi stoją pojemniki z brudnymi naczyniami. Przez wielki otwór z boku budynku wypływa niekończący się strumień brudnych pojemników na jedzenie, które są tu transportowane z koszy recyklingowych w naszych domach i stołówkach. Pracownicy noszą rękawice ochronne, wydaje mi się jednak, że plastik tylko wtapia się w ich dłonie, gdy polewają je gorącą wodą. Potem wkładają czyste pojemniki do rur recyklingowych.

Ten proces ciągnie się bez końca, pojemniki i parująca woda płyną nieprzerwanym strumieniem. Obawiam się, że mój umysł za moment stężeje i przestanie działać, jak robi to czasem, gdy na ekranie pojawia się wyjątkowo trudne sortowanie, które mnie przerasta i przytłacza. Ale to nie są cyfry na ekranie. To są ludzie.

To jest Ky.

Staram się więc za wszelką cenę zachować jasność umysłu, nie stracić koncentracji. Choć wcale nie mam na to ochoty, patrzę na



zgarbione plecy, czerwone ręce i nieustający strumień brudnych naczyń.

Jeden z robotników podnosi rękę. Funkcjonariusz z pobliskiej wieżyczki schodzi do niego. Pracownik podaje mu plastikowy pojemnik, a Funkcjonariusz skanuje kod paskowy umieszczony z boku naczynia. Po chwili zabiera je ze sobą i znika w biurze położonym na końcu wielkiej sali. Robotnik wraca do pracy.

Funkcjonariuszka spogląda na mnie wyczekująco.

– Co o tym myślisz? – pyta.

Nie wiem, czego ode mnie oczekuje, odpowiadam więc wymijająco:

– Oczywiście najprościej byłoby użyć do tego maszyn.

– To nie wchodzi w grę – zauważa Funkcjonariuszka spokojnym tonem. – Przygotowaniem i dystrybucją pożywienia muszą zajmować się ludzie. Taka jest zasada. Chcielibyśmy jednak zwolnić niektórych pracowników i przenieść ich na inne posady, do innych zadań.

– Nie wydaje mi się, żeby można to było jeszcze jakoś usprawnić – mówię. – Istnieje jedno oczywiste rozwiązanie... mogliby dłużej pracować... ale i tak wyglądają na wyczerpanych... – Milknę, świadoma, że moja opinia nie ma tu żadnego znaczenia.

– Nie prosimy cię o znalezienie rozwiązania. – Funkcjonariuszka wydaje się rozbawiona. – Ci, którzy stoją znacznie wyżej od ciebie, już je znaleźli. Robotnicy będą pracować dłużej. Zrezygnują z godzin rekreacji. Dzięki temu część z nich będzie mogła zająć się inną pracą.

Zaczynam to rozumieć, choć wolałabym chyba pozostawać nadal w nieświadomości.

– Więc jeśli nie chcecie, bym sortowała zmienne dotyczące samego procesu, to zapewne mam...

– Sortować ludzi – kończy za mnie. Robi mi się słabo. Funkcjonariuszka podaje mi informator.

– Masz trzy godziny na obserwację. Wprowadź tu numery pracowników, którzy twoim zdaniem są najwydajniej si. To właśnie oni zostaną odesłani do innych zajęć.

Patrzę na numery umieszczone na plecach robotników. To rzeczywiście przypomina sortowanie liczb na ekranie; mam wyszukać pośród nich tych najwydajniej szych. Funkcjonariusze chcą się przekonać, czy mój umysł automatycznie zarejestruje pracowników, którzy poruszają się najszybciej. Komputery również mogłyby wykonać to zadanie i zapewne już to zrobiły. Teraz jednak Funkcjonariusze chcą sprawdzić, czy i mnie się to uda.

– Cassio – mówi jasnowłosa kobieta, przystając na metalowych schodach. – Twoje decyzje będą wiążące. To część tego testu. Chcemy wiedzieć, czy potrafisz podejmować decyzje ze świadomością, że znajdą odbicie w rzeczywistości.

Widzi zapewne wyraz zdumienia na mojej twarzy i mówi dalej. Stara się być mila.

– To tylko jedna zmiana jednej grupy zwykłych robotników, Cassio. Nie martw się. Rób swoje, to wystarczy.

– Do jakiej pracy ich przeniesiecie? Będą musieli wyjechać z Miasta?

Tym razem to Funkcjonariuszka wydaje się zszokowana.

– Nie mogę odpowiedzieć ci na to pytanie. Nie ma to istotnego związku z sortowaniem.

Siwowłosy Funkcjonariusz, wciąż nieco zdyszany, odwraca się do kobiety. Ta kiwa głową, dając mu znać, że już idzie na dół, a potem mówi do mnie łagodnym tonem:

– Lepsi robotnicy dostają lepszą pracę, Cassio. Tylko tyle musisz wiedzieć.

Nie chcę tego robić. Przez moment zastanawiam się, czy nie wrzucić informatora do najbliższego zlewu, utopić go tam.

„Co zrobiłby Ky, gdyby to on stał na moim miejscu?”

Nie wyrzucam informatora. Biorę kilka głębokich oddechów. Pot cieknie mi strumykiem po plecach, włosy wpadają mi do oczu. Odgarniam je jedną ręką, prostuję ramiona i patrzę na robotników. Wodzę spojrzeniem od jednego do drugiego. Staram się nie widzieć ich twarzy, lecz jedynie numery. Szukam wolnych i szybkich. Zaczynam sortować.

Najbardziej niepokojąca część tego doświadczenia to fakt, że jestem w tym naprawdę dobra. Kiedy już raz każę sobie robić to, co zrobiłby Ky, oddaję się całkowicie temu zajęciu. Przez cały czas zwracam uwagę na tempo, prędkość i wytrzymałość. Widzę tych wolniejszych i spokojniejszych, którzy wykonują więcej pracy, niż można by przypuszczać. Widzę szybkich i zręcznych, którzy są najlepsi. Widzę też tych, którzy nie wytrzymują tempa. Widzę, jak ich czerwone dłonie poruszają się w gorącej parze, widzę sterty pojemników płynących srebrnym strumieniem, obmywanych z brudu.

Ale nie widzę ludzi. Nie widzę twarzy.

Kiedy trzy godziny dobiegają końca, sortowanie jest już gotowe. Wiem, że jest naprawdę dobre. Wiem, że wybrałam grupę najlepszych pracowników.

Nie mogę się jednak oprzeć. Patrzę na numer pracownika w samym środku, dokładnie pomiędzy grupą najlepszych i najgorszych.

Podnoszę wzrok. To numer Ky'a.

Chce mi się śmiać i płakać jednocześnie. Zupełnie jakby wysłał mi w ten sposób wiadomość. Nikt nie potrafi dostosować się tak dobrze jak on; nikt inny nie opanował tak doskonale sztuki zachowania pozorów przeciętności. Przez kilka sekund obserwuję ciemnowłosego chłopca w niebieskim ubraniu. Instynkt każe mi dołączyć go do grupy wydajniejszych pracowników; wiem, że tam właśnie jest jego miejsce. Ci ludzie dostaną nową pracę. Być może będą musieli opuścić Miasto, ale przynajmniej nie zostaną tu

uwięzieni na zawsze. Wydaje mi się jednak, że nie potrafię się na to zdobyć. Jak wyglądałoby bez niego moje życie?

Wyobrażam sobie, że schodzę z tej wieży i przyciągam go do siebie pośród tego gorąca i hałasu. Potem widzę coś jeszcze lepszego: podchodzę do niego, biorę go za rękę i wyprowadzam go z tego miejsca, do światła i świeżego powietrza. Mogłabym to zrobić. Jeśli dołączę go do wyższej grupy, nie będzie już musiał tu pracować. Jego życie będzie lepsze. Mogłabym zrobić to dla niego. Nagle to pragnienie staje się silniejsze niż egoistyczna chęć zatrzymania go dla siebie.

Myślę jednak o chłopcu z historii, którą mi dał. O chłopcu, który robił wszystko, co w jego mocy, by przetrwać. Co podpowiedziałby mu instynkt w tej sytuacji?

Ky chciałby, żebym umieściła go w niższej grupie.

– Prawie gotowa? – pyta Funkcjonariuszka. Czeka na metalowych stopniach. Kiwam głową. Rusza w moją stronę, a ja zapisuję numer innego pracownika znajdującego się pośrodku skali, by nie domyśliła się, że patrzyłam na Ky'a.

Staje obok mnie, patrzy na numer, a potem na pracownika stojącego na dole.

– Zawsze najtrudniej sortuje się tych przeciętnych -mówi ze zrozumieniem. – Trudno podjąć właściwą decyzję.

Kiwam głową, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Zwykli robotnicy, jak ci, zwykle nie dożywają osiemdziesięciu lat – mówi przyciszonym głosem. – Wielu z nich ma status Aberracji. Społeczeństwo nie przejmuje się nimi tak bardzo jak innymi obywatelami. Wielu z nich umiera dość młodo. Nie bardzo młodo, oczywiście. Nie tak młodo jak w czasach przed Społeczeństwem albo jak w Zewnętrznych Prowincjach. Zwykle mają około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu lat. Praca w centrum żywieniowym jest szczególnie niebezpieczna, pomimo wszystkich środków ostrożności, jakie tu stosujemy.

– Ale...

Na pewno widzi, że jestem wstrząśnięta, ale chyba wcale jej to nie dziwi. Uświadamiam sobie, że to zapewne także jest częścią testu. Odkrycie nieznanego czynnika w sortowaniu, które wydawało się do tej pory całkiem proste i niemal gotowe. Zastanawiam się, co się tu właściwie dzieje i dlaczego stawka sortowania testowego jest aż tak wysoka?

Dzieje się tu coś, co przerasta mnie i Ky'a.

– Oczywiście są to informacje poufne – dodaje Funkcjonariuszka. Potem zerka na swój informator.

– Masz jeszcze dwie minuty.

Muszę się skoncentrować, ale mój umysł zajęty jest innym, własnym sortowaniem, zadaje pytania i szuka odpowiedzi.

Dlaczego robotnicy umierają wcześniej?

Dlaczego dziadek nie mógł dzielić się swoim jedzeniem podczas Ostatniego Bankietu?

Dlaczego przy myciu pojemników pracuje tyle Aberracji?

Zatruwają jedzenie starszych ludzi.

Wszystko staje się jasne. Nasze Społeczeństwo szczyli się tym, że nigdy nikogo nie zabija, że zniosło karę śmierci, jednak z tego, co widzę tutaj, i z tego, co słyszałam o Zewnętrznych Prowincjach, wynika, że znaleziono inne rozwiązanie. Najsilniejsi przetrwają. Selekcja naturalna. Oczywiście z pomocą naszych bogów

– Funkcjonariuszy.

Skoro mam odgrywać rolę Boga albo anioła, to powinnam jak najlepiej przysłużyć się Ky'owi. Nie mogę pozwolić, by umarł młodo, by spędził całe życie w tej sali. Tam, na zewnątrz, na pewno czeka go coś lepszego. Mam w sobie jeszcze dość wiary w Społeczeństwo, by tak myśleć; widziałam wielu ludzi, którzy żyli szczęśliwie, i chcę, by

Ky miał szansę na podobne życie. Bez względu na to, czy będę częścią tego życia, czy nie.

Wpisuję Ky'a do wyższej grupy i zamykam informator, jakby ta decyzja nic mnie nie kosztowała.

W duchu krzyczę przeraźliwie.

Mam nadzieję, że dokonałam właściwego wyboru.

– Opowiedz mi jeszcze o miejscu, z którego pochodzisz – mówię do Ky'a następnego dnia na Wzgórzu. Mam nadzieję, że nie usłyszy desperacji w moim głosie, że nie spyta mnie o sortowanie. Muszę poznać lepiej jego historię. Muszę wiedzieć, że postąpiłam właściwie. Sortowanie zmieniło naszą sytuację, czujemy się obserwowani nawet tutaj, pośród drzew. Mówimy cicho, nie patrzymy na siebie zbyt długo.

– Jest tam czerwono i pomarańczowo. Tutaj rzadko widuje się te kolory.

– To prawda – mówię i próbuję przypomnieć sobie czerwone rzeczy. Niektóre suknie na Bankiecie Doboru. Ogień w spalarkach. Krew.

– Dlaczego tutaj jest tak dużo zieleni, błękitu i brązu? – pyta.

– Może dlatego, że to kolory roślinności i wzrostu, a znaczna część naszej Prowincji to tereny rolnicze – wyjaśniam. – Rozumiesz: niebieski to kolor wody, brązowy to kolor jesieni i zbiorów, a zieleń to kolor wiosny.

– Ludzie zawsze tak mówią, ale pierwszym kolorem wiosny jest czerwień. To prawdziwy kolor odrodzenia. Początku.

Uzmysławiam sobie, że ma rację. Myślę o czerwonym kolorze młodych pęków na drzewach. O jego czerwonych dłoniach, pracy w centrum żywieniowym i o nowym początku, który mu dałam.

## ROZDZIAŁ 27

*Uwaga. Uwaga.* Światelko na bieżni miga ostrzegawczo, a na wyświetlaczu pojawia się napis. *Osiągnęłaś maksymalną prędkość szybciej, niż się zaleca w tym ćwiczeniu.*

Wciskam odpowiednie cyfry, by biec jeszcze szybciej.

*Uwaga. Uwaga. Przekroczyłaś optymalne tętno.*

Zwykle gdy narzucę sobie zbyt szybkie tempo na bieżni, później zwalniam i przestaję w dozwolonym czasie. Docieram niemal do samej krawędzi, ale nigdy nie skaczę. Jeśli jednak będę zbliżać się do niej zbyt często, zostaną zepchnięta albo sama z niej spadnę.

Może czas już skoczyć. Jednak nie mogę tego zrobić, nie pociągając za sobą wszystkich, których kocham.

*Uwaga. Uwaga.*

Biegnę zbyt szybko. Jestem zbyt zmęczona. Wiem o tym. Mimo to upadek jest dla mnie zaskoczeniem.

Źle stawiam stopę i nagle leżę na bieżni, która nadal się przesuwa, pali moją skórę. Leżę przez moment, przerażona i obolała, a potem jak najszybciej staczam się na podłogę. Bieżnia przesuwa się nadal, ale za moment zauważy moją nieobecność. Zatrzyma się, a oni będą wiedzieć, że nie wytrzymałam tempa. Jeśli jednak wrócę dość szybko, nikt się nie dowie, co tu zaszło. Patrzą na moją skórę, otartą przez pas bieżni. Czerwona.

Podrywam się z podłogi. Napinam mięśnie i wskakuję w odpowiednim momencie na bieżnię. Przebieram ciężko nogami, stawiam krok za krokiem.

Z moich kolan i łokci spływa krew, mam łzy w oczach, ale nadal biegnę. Ubranie skryje jutro moje rany, nikt się nie dowie, że upadłam.

Kiedy wracam na górę po biegu, tata pokazuje na port.

– W sam czas – mówi. – Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Na ekranie pojawiają się Funkcjonariusze, którzy przeprowadzali ze mną test.

– Poradziłaś sobie naprawdę doskonale – mówi jasnowłosa Funkcjonariuszka. – Gratuluję zdania testu. Jestem pewna, że wkrótce otrzymasz wiadomość dotyczącą twojej stałej posady.

Kiwam głową. Pot kapie ze mnie grubymi kroplami, strużki krwi spływają po rękach i nogach. Myślę, że na szczęście kobieta widzi tylko pot. Obciążam rękawy, by nikt nie zauważył, że krwawię.

– Dziękuję. Nie mogę się już doczekać. – Cofam się o krok, przekonana, że rozmowa dobiegła końca, ale Funkcjonariuszka ma do mnie jeszcze jedno pytanie.

– Jesteś pewna, że nie chcesz dokonać żadnych zmian w swoim sortowaniu, zanim zostanie wprowadzone w życie?

Mam ostatnią szansę, by cofnąć to, co zrobiłam. Omal tego nie mówię. Pamiętam jego numer, to byłoby naprawdę łatwe. Potem przypominam sobie, co Funkcjonariuszka mówiła mi o długości życia robotników. Słowa zamieniają się w kamienie w moich ustach, nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– Cassio?

– Jestem pewna.

Odwracam się od portu i omal nie wpadam na tatę.

– Gratulacje – mówi. – Przepraszam, że słuchałem, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Nie wspomnieli, że to rozmowa prywatna.



– Nic się nie stało – zapewniam go. Potem pytam: – Czy zastanawiałeś się kiedyś... – Milknę, nie wiem, jak to ubrać w słowa. Jak spytać go, czy kiedykolwiek wątpił, czy zostali dobrze Dobrani z mamą. Czy kiedykolwiek chciał kogoś innego.

– Czy zastanawiałem się nad czym? – pyta.

– Nieważne – mówię, bo chyba już znam odpowiedź. Oczywiście, że nigdy nie wątpił. Natychmiast się w sobie zakochali i nigdy nie mieli takich problemów.

Wchodzę do pokoju i otwieram szafę. Kiedyś była w niej puderniczka i wiersz. Teraz zostały tylko ubrania, buty i mały kawałek mojej sukni w szklanej ramce. Nie wiem, gdzie jest moje srebrne pudełko. Wpadam w panikę. Czyżby wzięli je przez przypadek, gdy zabierali artefakty? Nie, oczywiście, że nie. Wiedzą, do czego służą srebrne pudełka. Na pewno nie pomylili by ich z przedmiotem z przeszłości. Pudełka z Bankietu Doboru należą do przyszłości.

Przeglądam mój nędzny dobytek, gdy do pokoju wchodzi mama. Poprzedniego wieczoru wróciła z trzeciej wyprawy do Prowincji Grandia.

– Szukasz czegoś? – pyta.

Prostuję się.

– Już znalazłam – odpowiadam, pokazując jej ramkę z kawałkiem sukni. Nie chcę jej mówić, że nie mogę znaleźć pudełka z Bankietu Doboru.

Bierze ode mnie szklany kwadracik i podnosi go do światła.

– Wiedziałaś, że kiedyś istniały okna z kolorowym szkłem? – pyta. – Ludzie wstawiali je w miejscach, w których się modlili. Albo we własnych domach.

– Witraże – kiwam głową. – Tata mówił mi o tym. Podoba mi się taki pomysł: światło przenikające przez barwy, okno jako dzieło sztuki albo hołd.

– No jasne – mówi mama, śmiejąc się z siebie. – Oddałam dziś w końcu ten raport i jestem taka zmęczona, że nie mogę nawet myśleć.

– Wszystko w porządku? – pytam. Chciałabym ją spytać, co miała na myśli, gdy mówiła, że ścięcie klonów to ostrzeżenie dla niej, dochodzę jednak do wniosku, że chyba wolę tego nie wiedzieć. Po prawdziwym, rzeczywistym sortowaniu nie mam już chyba ochoty na rozwiązywanie trudnych spraw; wydaje mi się, że i tak wiem już za wiele. Poza tym mama już od dawna nie była w takim dobrym humorze i nie chciałabym tego zepsuć.

– Myślę, że będzie – odpowiada na moje pytanie.

– To dobrze – kiwam głową. Przez chwilę milczymy obie, patrząc na fragment materiału za szkłem.

– Będziesz musiała jeszcze wyjeżdżać?

– Chyba nie – odpowiada. – Myślę, że ta sprawa jest już zakończona. Mam nadzieję.

Wciąż wydaje się zmęczona, widzę jednak, że oddanie tego raportu przyniosło jej ogromną ulgę.

Biorę od niej z powrotem ramkę z kawałkiem tkaniny. Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Mogę zobaczyć fragment twojej sukni? – pytam. Ostatni raz oglądałam go w przeddzień mojego Bankietu Doboru. Byłam trochę zdenerwowana, a mama przyniosła mi ten kawałek i raz jeszcze opowiedziała historię swojego Doboru. Jednak od tamtego czasu wiele się zmieniło.

– Oczywiście – mówi, po czym obie przechodzimy do jej sypialni. Oprawny w szkło materiał leży na półce w szafie, którą mama dzieli z tatą, obok dwóch srebrnych pudełek – jej i taty – w których znajdowały się ich mikrokarty, a potem obrączki potrzebne do zawarcia Kontraktu. Nałożenie obrączek ma jedynie symboliczny wymiar – Dobrane pary nie zatrzymują ich na stałe – a mikrokarty

zwraca się Funkcjonariuszom podczas uroczystości zawarcia Kontraktu. Srebrne pudełka moich rodziców są więc puste.

Biorę do ręki fragment sukni mamy i podnoszę go. Suknia mamy była niebieska, a dzięki odpowiednim technikom konserwacji atlas nadal lśni i mieni się błękitem.

Kładę obie ramki na parapecie, obok siebie. Wyglądają jak mały witraż. Blask słońca rozjaśnia je? mogłabym niemal uwierzyć, że jeśli spojrzę przez te kolorowe szkiełka, zobaczę inny, piękniejszy świat.

Mama rozumie moje intencje.

– Tak – mówi. – Myślę, że witraże wyglądały podobnie.

Chcę powiedzieć jej wszystko, ale nie mogę. Nie teraz. Nie mam dość sił. Jestem uwięziona w szkle, chcę wyrwać się na zewnątrz i odetchnąć pełną piersią, ale za bardzo się boję, że to będzie bolało.

Mama obejmuje mnie ramieniem.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? – pyta łagodnym tonem.

– Czy to ma coś wspólnego z twoim Doborem?

Sięgam po kawałek mojej sukni i zdejmuję go z parapetu. Nie wiem sama, co mam powiedzieć, więc kręcę tylko głową. Jak wytłumaczyć mojej idealnie Dobranej matce wszystko, co się ostatnio wydarzyło? Wszystko, czym ryzykuję? Jak mogę jej wyjaśnić, że zrobiłabym to ponownie? Jak powiedzieć, że nienawidzę systemu, który stworzył jej życie, jej miłość, jej rodzinę? Który stworzył mnie.

Pytam więc tylko:

– Skąd wiedziałaś, że coś się dzieje?

Mama sięga po swój fragment sukni i również zabiera go z parapetu.

– Najpierw widziałam, że jesteś coraz bardziej zakochana, ale nie martwiłam się tym, bo uważałam, że masz idealnego Wybranka.

Xander jest cudowny. Być może będziecie też mogli zamieszkać w Oria, w pobliżu, bo tu mieszkają wasze rodziny. Jako matka nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej sytuacji. – Robi krótką pauzę i spogląda na mnie. – A potem byłam bardzo zajęta pracą. Dopiero dziś zdałam sobie sprawę, że się myliłam. Nie myślałaś wcale o Xanderze.

„Nie mów tego – błagam ją spojrzeniem. – Nie mów, że wiesz, że jestem zakochana w kimś innym. Proszę”.

– Cassio – zaczyna ponownie, a miłość widoczna w jej oczach jest czysta i prawdziwa. Dlatego właśnie jej kolejne słowa tak bardzo mnie dotyczą – wiem, że wypowiada je ze szczerą troski o moje dobro. – Mam cudownego partnera. Mam dwoje wspaniałych dzieci i pracę, którą uwielbiam. To dobre życie. – Podnosi kawałek atłasu, który trzyma w dłoni. – Wiesz, co by się stało, gdybym rozbiła tę szybę?

Kiwam głową.

– Materiał by się rozpadł. Uległby zniszczeniu.

– Tak – potwierdza. Potem dodaje cicho, jakby do siebie. – Uległby zniszczeniu. Wszystko uległoby zniszczeniu.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Pamiętasz, co powiedziałam w dniu, w którym ścinali drzewa?

Oczywiście, że pamiętam.

– Ze to ostrzeżenie dla ciebie?

– Tak. – Mama się czerwieni. – To nie była prawda. Tak bardzo się martwiłam, że nie myślałam racjonalnie. Oczywiście, że to nie było ostrzeżenie dla mnie. To nie było ostrzeżenie dla nikogo. Te drzewa po prostu trzeba było ściąć.

Słyszę, jak bardzo chce wierzyć, że to, co mówi, jest prawdą, jak niemal naprawdę w to wierzy. Chciałabym usłyszeć więcej, ale też nie chcę jej do niczego zmuszać, pytam więc:

– Dlaczego ten raport był taki ważny? Czym się różni od raportów, które robiłaś do tej pory?

Mama wzdycha. Nie odpowiada mi wprost, lecz mówi:

– Nie wiem, jak pracownicy centrum medycznego radzą sobie z chorymi ludźmi albo z rodzącymi kobietami. Decydowanie o czymś życiu jest takie trudne.

W powietrzu zawisa pytanie, którego nie wypowiedziałam jeszcze głośno: „Co masz na myśli?”. Mama milczy przez chwilę. Zastanawia się być może, czy powiedzieć mi o wszystkim, czy nie, a ja cierpliwie czekam. W roztargnieniu podnosi ramkę ze swoim kawałkiem sukni i zaczyna czyścić szkło.

– Ktoś w Grandii, a potem także w innej Prowincji, poinformował o pojawieniu się dziwnych roślin. W Grandii rośliny te wyrosły w Arboretum, na eksperymentalnym polu, które przez długi czas leżało odłogiem. Drugie pole znajdowało się na Ziemiach Uprawnych tej innej Prowincji. Rząd poprosił mnie i dwoje innych specjalistów, byśmy pojechali na te pola i złożyli raporty na temat roślin. Chcieli wiedzieć dwie rzeczy: czy te rośliny nadawały się do jedzenia i czy ich hodowcy planowani rebelię.

Wstrzymuję oddech. Nie wolno hodować jadalnych roślin, jeśli Rząd sam o to nie poprosi. Kontrolują żywność, kontrolują nas. Niektórzy ludzie wiedzą, jak hodować jadalne rośliny, niektórzy wiedzą, jak je zbierać, inni jak je przetwarzać, a jeszcze inni jak gotować. Ale nikt nie wie, jak robić wszystkie te rzeczy. Nie poradzilibyśmy sobie sami.

– Wszyscy troje stwierdziliśmy, że bez wątpienia te rośliny nadają się do jedzenia. Hodowca w Arboretum miał całe pole marchwi. – Twarz mojej mamy zmienia się nagle, rozjaśnia. – Och, Cassio, to było takie piękne. Dotąd widziałam tylko pojedyncze rośliny, a tam było całe pole kwiatów, które kołysały się na wietrze.

– Marchew – powtarzam, przypominając sobie.

– Marchew – przytakuje mama, ponownie smutniejąc. – Drugi hodowca miał rośliny, których nie widziałam nigdy wcześniej, białe kwiaty jeszcze piękniejsze niż marchew. Nazywali to trojednikiem, *Calochortus nuttallii*. Jeden z nas wiedział, co to za roślina. Ma jadalne bulwy. Obaj hodowcy twierdzili, że nie znali tych roślin wcześniej, że hodowali je tylko dla kwiatów, w celach badawczych.

Jej głos, do tej pory smutny i przyciszony, nabiera nagle mocy.

– Po drugiej podróży przez całą drogę powrotną spieraliśmy się ze sobą. Jeden ekspert był przekonany, że hodowcy mówią prawdę. Drugi uważał, że kłamią. Przedstawili sprzeczne raporty. Wszyscy czekali na mój raport. Poprosiłam o jeszcze jedną podróż, by się ostatecznie upewnić. W końcu od naszych raportów zależało, czy ci hodowcy zostaną Relokowani albo Reklasyfikowani. Mój miał ostatecznie zaważyć na tej decyzji.

Przestaje polerować szkło i patrzy na kawałek niebieskiej tkaniny, jakby coś było tam napisane. Uświadamiam sobie, że w pewnym sensie rzeczywiście jest. Ten niebieski materiał symbolizuje wieczór Doboru jej i taty. Mama odczytuje z tego kawałka swoje życie oraz życie tych, których kocha.

– Wiedziałam od samego początku – szepcze. – Wiedziałam, gdy tylko zobaczyłam strach w ich oczach. Dobrze wiedzieli, co robią. Hodowca marchwi powiedział też coś, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział tej rośliny w naturze, a tylko na ekranie portu. W rzeczywistości dorastał w miasteczku położonym w pobliżu mojego miasta i na pewno nieraz widział dziką marchew.

Ale nadal się wahałam. A potem, kiedy znów wróciłam do domu i zobaczyłam was wszystkich, uświadomiłam sobie, że muszę napisać prawdę. Muszę wypełnić swój obowiązek względem Społeczeństwa, zagwarantować nam szczęście. I bezpieczeństwo.

Ostatnie słowo, „bezpieczeństwo”, brzmi równie cicho i delikatnie jak szelest jedwabiu.

– Rozumiem – mówię i rzeczywiście tak jest. Jej słowa mają dla mnie o wiele większe znaczenie niż nakazy Funkcjonariuszy, bo ją kocham i podziwiam.

Po powrocie do swojego pokoju odnajduję srebrne pudełko tam, gdzie spadło, w jednym z moich butów zimowych. Otwieram je i wyjmuję mikro kartę z informacjami o Xanderze. Gdyby nie było żadnego błędu, gdybym zobaczyła tylko jego twarz i wszystko toczyło się normalnym torem, nie wydarzyłaby się żadna z tych rzeczy. Nie zakochałabym się w Ky’u i wybór, którego musiałam dokonać podczas sortowania, nie byłby taki trudny. Wszystko byłoby dobrze.

Nadal wszystko może być dobrze. Jeśli cel sortowania był rzeczywiście taki, jak przypuszczam, jeśli Ky wyjedzie w poszukiwaniu lepszego życia, to czy uda mi się ponownie złożyć wszystkie kawałki w jedną całość? Powrót do tego największego kawałka, mojego związku z Xanderem, nie byłby trudny. Mogłabym go kochać. Kocham go. I właśnie dlatego muszę powiedzieć mu o Ky’u. Nie mam nic przeciwko oszukiwaniu Społeczeństwa. Ale nie będę dłużej oszukiwać Xandera. Muszę mu powiedzieć, nawet jeśli sprawię mu w ten sposób ból. Bo tak czy inaczej, bez względu na to, jakie życie sobie zbuduję, muszę budować je na prawdzie.

Myśl o wyjawieniu Xanderowi prawdy boli niemal równie mocno, jak myśl o stracie Ky’a. Zaciskam mocno dłoń na pojemniku z tabletkami. „Pomyśl o czymś innym”.

Przypominam sobie, jak zobaczyłam Ky’a na szczycie tego małego wzgórza, odchylonego do tyłu, z twarzą wystawioną do słońca, i uświadamiam sobie, że właśnie wtedy się w nim zakochałam. Zatem właściwie wcale go nie okłamałam. Nie zaczęłam postrzegać go inaczej tylko dlatego, że zobaczyłam jego twarz na ekranie portu w dzień po Bankiecie Doboru. Zaczęłam postrzegać go inaczej, bo zobaczyłam go na zewnątrz, kiedy na moment się odsłonił, kiedy jego oczy przybrały kolor wieczornego nieba, nim okryje je ciemność. Zobaczyłam, jak widzi mnie.

Leżąc w łóżku, zmęczona i obolała, uzmysławiam sobie, że Funkcjonariusze mają rację. Kiedy już zaczynasz czegoś chcieć, wszystko się zmienia. Teraz chcę wszystkiego. Coraz więcej i więcej. Chcę sama wybrać sobie pracę. Związać się z kimś, kogo sama wybiorę. Jeść na śniadanie ciasto i biegać po prawdziwej ulicy, a nie po bieżni. Iść szybko, kiedy chcę, i wolno, kiedy chcę. Decydować o tym, które wiersze chcę czytać i jakie słowa chcę pisać. Chcę tak wiele. Czuję, że zamieniam się w rzekę pragnienia, w morze w kształcie dziewczyny o imieniu Cassia.

Przede wszystkim chcę Ky'a.

– Kończy nam się czas – mówi Ky.

– Wiem. – Ja też liczę dni. Nawet jeśli nowa posada Ky'a będzie tutaj, w Mieście, letnie zajęcia rekreacyjne wkrótce dobiegną końca. Nie będę już tak często go widywała. Pozwalam sobie pomarzyć przez chwilę – a jeśli dzięki tej zmianie będzie miał więcej wolnego czasu? Mógłby wtedy przychodzić na wszystkie sobotnie godziny rekreacyjne. – Zostały nam tylko dwa tygodnie wycieczek.

– Nie to miałem na myśli – mówi, przysuwając się bliżej. – Nie czujesz tego? Coś się zmienia. Coś się dzieje.

Oczywiście, że to czuję. Dla mnie wszystko się zmienia. Jest czujny, jakby nadal czuł się obserwowany.

– Coś poważnego, Cassio – oświadcza, a potem dodaje szeptem:  
– Przypuszczam, że Społeczeństwo ma kłopoty z wojną na granicach.

– Dlaczego tak myślisz?

– Mam przeczucie – odpowiada. – Poza tym są różne znaki i wydarzenia. To, co mówiłaś o swojej mamie. Coraz mniej Funkcjonariuszy podczas godzin rekreacyjnych. W pracy też jest coraz więcej zmian. Widzę to. – Zerka na mnie, a ja pochylam głowę.

– Chcesz mi powiedzieć, dlaczego tam byłaś? – pyta łagodnie.

Przełykam ciężko. Zastanawiałam się, kiedy mnie o to zapyta.



– To było prawdziwe sortowanie. Musiałam podzielić pracowników na dwie grupy.

– Rozumiem – kiwa głową i czeka na to, co powiem. Chciałabym, ale nie mogę wydobyć z siebie właściwych słów. Mówię więc co innego,

– Nie dałeś mi dalszej części opowieści. Co się stało, kiedy przyszli po ciebie Funkcjonariusze? Kiedy to było? Wiem, że niedawno, bo... – Milknę.

Ky zawiązuje czerwoną szmatkę na drzewie powoli, metodycznie, a potem podnosi wzrok. Nowe, silniejsze emocje, które okazuje przy mnie dopiero od niedawna, czasami mnie niepokoją. Nigdy jeszcze nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy.

– Co się stało? – pytam.

– Boję się – odpowiada krótko. – Boję się tego, co pomyślisz.

– O czym? Co się stało? – Po tym wszystkim, przez co przeszedł, Ky boi się mojej opinii?

– To było na wiosnę. Przyszli do mnie do pracy, zabrali mnie do oddzielnego pokoju. Pytali, czy kiedykolwiek myślałem o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie był Aberracją. – Ky zaciska w tym momencie zęby, a mnie robi się go żal. Podnosi wzrok, widzi to na mojej twarzy i zaciska zęby jeszcze mocniej. Nie chce mojej litości, odwracam więc głowę.

– Powiedziałem, że nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiałem. Ze nie martwię się rzeczami, których nie mogę zmienić. Potem poinformowali mnie, że nastąpił błąd. Ze moje dane trafiły do puli Doboru.

– Twoje dane? – powtarzam zaskoczona, „Ale Funkcjonariuszka powiedziała mi, że to był błąd na mikrokarcie, że zdjęcie Ky’ a pojawiło się w nieodpowiednim miejscu. Powiedziała, że nie wprowadzano jego danych do puli.

Skłamała. Ten błąd był znacznie poważniejszy, niż przyznała”.

Ky mówi dalej:

– Nie jestem nawet pełnoprawnym obywatelem. Mówili, że to wyjątkowo dziwna i niespotykana sytuacja. – Na jego ustach pojawia się gorzki uśmiech. – Potem pokazali mi zdjęcie. Dziewczynę, która byłaby moją Wybranką, gdybym nie został sklasyfikowany jako Aberracja. – Ky ciężko przetyka.

– Kto to był? – pytam. Mój głos wydaje mi się chrapliwy, nieprzyjemny.

„Nie mów, że to byłam ja. Nie mów, że to byłam ja, bo wtedy będę wiedziała, że zobaczyłeś mnie, bo kazali ci patrzeć”.

– Ty – odpowiada.

Teraz już rozumiem. Miłość Ky'a, którą uważałam za czystą, niesplamioną przez żadnego Funkcjonariusza, żadne dane czy pułę Doboru, wcale taka nie jest. Dotknęli nawet tego.

Czuję się tak, jakby coś umarło, jakby zostało nieodwracalnie zniszczone. „Jeśli Funkcjonariusze zaaranżowali nasz romans, jedyną rzecz w moim życiu, która, jak mi się wydawało, zdarzyła się wbrew ich woli...”. Nie mogę nawet dokończyć tego zdania.

Las wokół mnie zamienia się w zieloną plamę, bez czerwonych znaczników na drzewach nie znalazłabym drogi powrotnej. Chwytam je, zdzieram z gałęzi.

– Cassio – mówi Ky za moimi plecami. – Cassio. Dlaczego to jest takie ważne?

Kręcę tylko głową.

– Cassio – woła za mną. – Ty też coś przede mną ukrywasz.

W dole rozlega się gwizd, głośny i ostry. Doszliśmy tak daleko, ale nigdy nie dotarliśmy na szczyt.

– Myślałem, że zjesz lunch w Arboretum – mówi Xander. Siedzimy razem w stołówce w Drugiej Szkole.

– Zmieniłam zdanie – odpowiadam. – Chciałam dzisiaj zjeść tu.

Członkowie personelu żywieniowego nie byli zadowoleni, gdy poprosiłam o jeden z dodatkowych posiłków, które zawsze mają do dyspozycji, ale po sprawdzeniu moich danych podali mi go bez dalszych komentarzy. Musieli zobaczyć, że prawie nigdy tego nie robię. A może przy moim nazwisku są jakieś inne informacje, o których nawet nie mogę teraz myśleć. Nie po tym, co powiedział mi Ky.

Uświadamiam sobie, jak dużo jedzenia znajduje się tym razem w moim pojemniku; to porcja standardowa, a nie przeznaczona specjalnie dla mnie. Moje porcje naprawdę są od jakiegoś czasu coraz mniejsze. „Czemu to służy? Jestem za gruba?”. Spoglądam na swoje ręce i nogi, silne i szczupłe. Nie, na pewno nie jestem za gruba. Uświadamiam sobie również, jak bardzo zaabsorbowani muszą być moi rodzice; w normalnych okolicznościach na pewno by to zauważyli i poważnie porozmawiali z obsługą żywieniową.

Wszędzie dzieje się coś niedobrego.

Odsuwam krzesło.

– Wyjdiesz ze mną na chwilę? Xander zerka na zegarek.

– Dokąd? Wkrótce zaczynają się zajęcia.

– Wiem. Nie pójdziemy daleko. Proszę.

– Dobrze – odpowiada Xander, przyglądając mi się z konsternacją.

Prowadzę go w głąb korytarza, przy którym znajdują się sale lekcyjne, otwieram drzwi na samym końcu. Tutaj, na niewielkim obszarze przypominającym dziedziniec, znajduje się sadzawka botaniczna Nauk Stosowanych. Xander i ja jesteśmy sami.

Muszę mu powiedzieć. To jest Xander. Zasługuje na to, by wiedzieć o Ky’u, i zasługuje na to, by dowiedzieć się o tym ode mnie. Nie od Funkcjonariusza na ławce przed szkołą, dziś czy któregoś innego dnia.

Biorę głęboki oddech i spoglądam na sadzawkę. Nie jest niebieska jak basen, w którym pływamy. Ta woda jest brązowawo-zielona, pełna życia.

– Xander – mówię cicho, jakbyśmy kryli się pośród drzew na Wzgórzu. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham – odpowiada, patrząc na mnie. Czeka. Zawsze spokojny. Zawsze ten sam Xander.

Lepiej powiedzieć to szybko, nim zrozumie, że nie potrafię tego zrobić.

– Myślę, że zakochuję się w kimś innym. – Mówię tak cicho, że sama ledwie słyszę swój głos. Ale Xander rozumie.

Ledwie kończę, Xander kręci głową i mówi:

– Nie.

Podnosi rękę, by mnie powstrzymać, bym nie mówiła już nic więcej. Jednak to nie te gesty ani nie to słowo sprawiają, że milknę. To ból widoczny w jego oczach. Jego oczy nie mówią wcale „Nie”. Pytają: „Dlaczego?”.

– Nie – powtarza Xander, odwracając się ode mnie.

Nie mogę tego znieść, przesuвам się więc przed niego, próbuję spojrzeć mu w oczy. Nie patrzy na mnie przez długi czas. Nie wiem, co powiedzieć. Nie śmiem go dotykać. Mogę jedynie stać i liczyć na to, że w końcu jednak zwróci wzrok na mnie.

Kiedy to robi, jego oczy nadal są pełne bólu.

Jest w nich coś jeszcze. Coś, co nie wygląda jak zaskoczenie. Raczej jak zrozumienie. Czy jakaś część jego umysłu podejrzewała, że dzieje się coś takiego? Czy dlatego zaproponował Ky'owi grę?

– Przepraszam – mówię szybko. – Jesteś moim przyjacielem. Ciebie też kocham.

Po raz pierwszy powiedziałam do niego te słowa, ale nie brzmiały wcale takie, jak powinny. Wydają się pospieszne, wymuszone, pozbawione znaczenia, które powinny wyrażać.

– Mnie też kochasz? – powtarza Xander zimnym głosem. – Jaka grę ty prowadzisz?

– Nie prowadzę żadnej gry – szepczę. – Naprawdę cię Kocham. Ale to coś innego.

Xander milczy. Nagle wzbiera we mnie histeryczny chichot. Czuję się dokładnie tak, jak ostatnim razem, gdy się pokłóciliśmy, a on nie chciał ze mną rozmawiać. To było parę lat temu, gdy uznałam, że nie lubię już grać w gry tak bardzo jak kiedyś. Xander był wściekły.

– Ale nikt nie gra tak jak ty – mówił. A potem, gdy nie ustępowałam, po prostu nie odzywał się do mnie. Ja także nie zmieniałam zdania.

Zawarliśmy pokój dopiero po dwóch tygodniach, w dniu, w którym zobaczył, jak skacze z trampoliny, tuż po skoku dziadka. Wypląnąłam na powierzchnię, wystraszona i podekscytowana zarazem, a Xander podpłynął do mnie i pogratulował mi. W tamtej niezwyklej chwili zapomnieliśmy o wszystkim.

Co pomyślałby dziadek o tym skoku, który właśnie wykonuję? Czy tym razem kazałby mi z całych sił trzymać się brzegu? Czy kazałby trzymać się kurczowo deski? A może powiedziałby jednak, że powinnam skoczyć?

– Xander. To Funkcjonariusze prowadzą grę ze mną. Następnego dnia po naszym Bankiecie Doboru, rano, włożyłam mikrokartę do portu. Twoja twarz pojawiła się na ekranie, a potem zniknęła. – Przelykam ślinę.

– A potem pojawiła się twarz Ky'a.

– Ky'a Markhama? – pyta Xander z niedowierzaniem.

– Tak.

– Ale Ky nie jest twoim Wybrankiem – mówi Xander.

– Nie może nim być, bo...

– Bo co? – pytam. Czyżby jednak Xander wiedział o statusie Ky'a? Skąd?

– Bo ja nim jestem – kończy.

Przez długi czas oboje milczymy. Xander nie odwraca wzroku, a ja myślę, że dłużej tego nie zniosę. Gdybym miała teraz w ustach zieloną tabletkę, rozgryzłabym ją. Wracam myślą do tego dnia w stołówce, gdy Xander powiedział, że Ky'owi można ufać. Xander w to wierzył. Wierzył też, że może ufać mnie.

Co myśli teraz o nas obojgu?

Xander pochyla się do mnie. Jego niebieskie oczy wpatrują się we mnie, jego dłoń niemal dotyka mojej. Zamykam oczy, by nie widzieć bólu w jego spojrzeniu i by nie podnieść ręki, nie spleść palców z jego palcami, by nie pochylić się do przodu, ku jego ustom. Kiedy otwieram oczy, mówi cicho:

– Ja też się pojawiłem na ekranie, Cassio. Ale ty postanowiłaś zobaczyć jego.

To powiedziawszy, odwraca się szybko, niczym gracz wykonujący ostatni ruch, i wychodzi z sali. Zostawia mnie samą.

„Nie od razu! – chcę mu powiedzieć. – I nadal widzę ciebie!”.

Ludzie, z którymi mogę rozmawiać, odchodzą jeden po drugim. Dziadek. Mama. A teraz Xander.

„Jesteś dość silna, by poradzić sobie bez tego” – powiedział dziadek o zielonej tabletkce.

„Dziadku, ale czy jestem dość silna, żeby poradzić sobie bez ciebie? Bez Xandera?”.

Słońce świeci na mnie z góry tam, gdzie postanowiłam stanąć. Nie ma tu żadnych drzew, żadnego cienia, żadnego wierzchołka, z

którego mogłabym popatrzeć na to, co zrobiłam. Nawet gdyby był, nie zobaczyłabym niczego przez łyzy.

## ROZDZIAŁ 28

Wieczorem, w domu, wydaję zieloną tabletkę. Wiem, czego mogę się spodziewać, widziałam, jak się zmieniała Em. Uspokoi mnie. Słowo „spokój” wydaje mi się nieprawdopodobnie piękne, cudownie nieskomplikowane. To słowo gładkie jak powierzchnia wody, słowo, które może zastąpić strach, pozbawić go mocy. Spokój. Łagodność.

Odkładam tabletkę do pojemnika i zamykam go. Spoglądam na inną zieloność. Mój kawałek sukni zamknięty w szkle. Owijam dłoń skarpetką i naciskam mocno. Cichy trzask. Podnoszę rękę.

Trudniej coś złamać, niżby się wydawało. Zastanawiam się, czy Społeczeństwo myśli tak samo o mnie. Opuszczam rękę, naciskam jeszcze mocniej.

Byłoby znacznie łatwiej, gdyby nikt mnie nie obserwował, gdyby nikt mnie nie słyszał. Gdyby te ściany nie były takie cienkie, a moje życie nie było takie przezroczyste, rzuciłabym tym szkłem o ścianę, rozbiłabym je kamieniem, zniszczyła z hukiem i zapamiętaniem. Myślę, że szkło wydałoby wtedy brzęczący dźwięk. Chciałabym zobaczyć, jak rozpada się na miliony lśniących drobin. Ale nie mogę tego zrobić. Muszę uważać.

Na powierzchni ramki pojawia się kolejne podłużne pęknięcie. Ukryta poniżej tkanina pozostaje nienaruszona. Ostrożnie rozsuwam oba kawałki szkła, podnoszę większy i wyciągam materiał.

Zdejmuję skarpetę z dłoni i podnoszę rękę. Nawet się nie skaleczyłam, nie krwawię.

W porównaniu z szorstką wełną skarpety jedwab wydaje się cudownie gładki i chłodny, jak woda. *Dzień mych urodzin zaczął się od wody*, myślę, składając materiał, i uśmiecham się do siebie.



Chowam tkaninę i pojemnik z tabletkami do kieszeni spodni, które włożę następnego dnia, a potem kładę się do łóżka. Wciąż mam w głowie ten obraz. Woda. Dziś w nocy odpłynę w snach. Płytki rejestrujące nie dostrzegą w nich niczego prócz mnie, Cassii, która unosi się na ich falach, pozwala, by podtrzymywały przez jakiś czas jej ciężar.

Dziś na Wzgórzu nie ma Oficera.

Jego miejsce zajął młody Funkcjonariusz, który szybko i głośno wyrzuca z siebie słowa, jakby przypuszczał, że tak właśnie mówią Oficerowie. Omiata nas spojrzeniem, zadowolony, że ma nad nami władzę, że może nas nadzorować.

– Podjęto decyzję o skróceniu letnich zajęć rekreacyjnych w tym roku. Dziś ostatni raz bierzecie udział w pieszej wycieczce. Zdejmijcie tyle czerwonych znaczników, ile tylko zdołacie, zburzcie też kopce.

Spoglądam na Ky'a, który wcale nie wydaje się zaskoczony. Staram się nie patrzeć na niego zbyt długo, nie szukać odpowiedzi w jego oczach. Oboje zachowywaliśmy się uprzejmie i normalnie w kolejce, która przywiozła nas rano do Arboretum. Oboje wiemy, jak powinniśmy postępować, gdy jesteśmy obserwowani. Przez cały czas zastanawiałam się, co myśli o tym, że wczoraj uciekłam od niego na Wzgórzu. Co pomyśli o mnie, kiedy dowie się o sortowaniu i czy przyjmie prezent, który chcę mu dzisiaj dać.

Czy też zrobi to, co ja zrobiłam Xanderowi, odrzuci mnie?

– Dlaczego? – jęczy Lon. – Oznaczaliśmy te ścieżki przez pół lata!

Dostrzegam cień uśmiechu na ustach Ky'a i domyślam się, że lubi Łona, bo ten zadaje pytania, których nie zada nikt inny, choć nigdy nie otrzymuje odpowiedzi. Nagle uświadamiam sobie, że jest to pewien rodzaj męstwa. Dość męczącego męstwa, ale jednak.

– Nie zadawać pytań – odpowiada Funkcjonariusz ostrym tonem. – Brać się do pracy.

I tak po raz ostatni Ky i ja wchodzimy na Wzgórze.

Kiedy jesteśmy już na tyle daleko, że nikt nas nie widzi, Ky chwyta mnie za rękę, którą wyciągam właśnie, by odwiązać skrawek czerwonego materiału z gałęzi.

– Zostaw to – mówi. – Idziemy na szczyt.

Patrzę mu w oczy. Nigdy nie widziałam, by zachowywał się równie zuchwale. Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale on odzywa się pierwszy:

– Chyba że nie chcesz spróbować?

W jego głosie pojawia się wyzywający ton, jakiego nie słyszałam u niego nigdy wcześniej. Nie jest okrutny, ale nie jest też tylko ciekawy. Musi znać tę odpowiedź: dzięki niej dowie się czegoś o mnie. Nie mówi nic o moim wczorajszym zachowaniu. Ma determinację wypisaną na twarzy, oczy lśniące, ciało napięte, każdy jego mięsień mówi: już czas. Teraz.

– Chcę spróbować – odpowiadam. By mu to udowodnić, prowadzę nas ścieżką, którą wyznaczyliśmy wcześniej. Wkrótce jego dłoń dotyka mojej, a kiedy nasze palce splatają się ze sobą, czuję to samo pragnienie co on. Musimy wejść na szczyt.

Nie oglądam się za siebie, lecz trzymam go mocno za rękę.

Kiedy wchodzimy w ostatnią część lasu, tę, której jeszcze nie oznaczyliśmy, zatrzymuję się.

– Poczekaj – mówię. Jeśli naprawdę mamy zdobyć to Wzgórze, chcę rozwiązać wcześniej wszystkie wątpliwości, pozbyć się niedomówień, byśmy mogli stanąć na szczycie wolni i otwarci.

Oprócz cierpliwości widzę na twarzy Ky'a troskę. Martwi się, że nie zdążymy. Być może właśnie w tym momencie na dole dźwięczy głos gwizdka, zagłuszają go jednak bicie naszych serc i głośne oddechy, szum tego samego powietrza, które wdychamy i wydychamy.

– Wystraszyłam się wczoraj.

– Czego?

– Że zakochaliśmy się, bo chcieli tego Funkcjonariusze – odpowiadam. – Powiedzieli ci o mnie. Powiedzieli też mnie o tobie, następnego ranka po Bankiecie Doboru, kiedy przez pomyłkę na mojej mikrokarcie pojawiła się twoja twarz. Oboje znaleźliśmy się od dawna, ale nic z tym nie robiliśmy, dopóki...

– Nie kończę zdania, ale Ky wie, co mam na myśli.

– Nie musisz odrzucać czegoś tylko dlatego, że oni to przewidzieli – protestuje.

– Ale nie chcę, żeby to ich wybory mnie definiowały – odpowiadam.

– Wcale nie musi tak być. Zawsze możesz pozostać wolna.

– Syzyf i skała – mówię, przypominając sobie. Dziadek zrozumiałby tę historię. Syzyf toczył skałę, żył tak, jak nakazywało mu Społeczeństwo, ale jego myśli zawsze należały tylko do niego.

– Otóż to – uśmiecha się Ky. Pociąga mnie delikatnie za rękę. – Ale my wejdziemy na szczyt. I może nawet zatrzymamy się tam na minutę. Chodźmy.

– Muszę powiedzieć ci coś jeszcze.

– Masz na myśli sortowanie? – pyta.

– Tak...

Ky nie daje mi dojść do słowa.

– Mówili nam już o tym. Należę do grupy, która ma dostać nową pracę. Już to wiem.

Czy naprawdę wie? Czy wie, że będzie żył krócej, jeśli nie przerwie pracy w centrum odpadów żywieniowych? Czy wie, że znajdował się dokładnie pomiędzy tymi, którzy mieli zostać, i tymi, którzy się przeniosą? Czy wie, co zrobiłam?

Widzi te pytania w moich oczach.

– Wiem, że musiałaś podzielić nas na dwie grupy. Wiem, że prawdopodobnie byłem dokładnie pośrodku.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiłam?

– Domyślałam się. Powiedzieli ci o krótszym życiu i o truciznach, prawda? Dlatego właśnie wpisałaś mnie tam, gdzie wpisałaś.

– Tak – kiwam głową. – Zatem również wiesz o truciznach?

– Oczywiście. Większość z nas się tego domyśla, ale żaden z nas nie może się skarżyć. I tak żyjemy znacznie dłużej, niż żylibyśmy w Zewnętrznych Prowincjach.

– Ky... – Trudno mi zadać to pytanie, ale muszę wiedzieć. – Wyjedziesz?

Patrzy w górę. Rozpalone, złote słońce wspina się po niebie.

– Nie wiem. Nie powiedzieli nam jeszcze. Ale wiem, że mamy mało czasu.

Kiedy docieramy na szczyt Wzgórza, pod pewnymi względami czujemy się całkiem inaczej, pod innymi nic się nie zmienia. On nadal jest Ky'em. Ja nadal jestem Cassią. Stoimy jednak razem w miejscu, w którym żadne z nas jeszcze nigdy nie było.

To ten sam świat – szary, niebieski, zielony i złoty – który oglądałam przez całe życie. Ten sam świat, który widziałam z okna pokoju dziadka i ze szczytu małego wzgórza. Ale teraz jestem wyżej.

Gdybym miała skrzydła, mogłabym je rozłożyć. Mogłabym poszybować.

– Chcę, żebyś to wzięła – mówi Ky, dając mi artefakt.

– Nie wiem, jak go używać – odpowiadam, nie chcąc okazywać, jak bardzo pragnę przyjąć ten prezent. Jak bardzo zależy mi na tym, by mieć coś, co jest częścią jego historii, częścią samego.

– Myślę, że Xander cię nauczy – mówi łagodnie, a ja wstrzymuję oddech. Czy w ten sposób chce się ze mną pożegnać? Powiedzieć mi, że powinnam zaufać Xanderowi? Być z Xanderem?

Nim mogę go o to zapytać, przyciąga mnie do siebie i szepcze prosto do ucha:

– To pomoże ci mnie odnaleźć – mówi. – Jeśli rzeczywiście dokądś pojedę.

Wtulam twarz w jego ramię, obok szyi, gdzie słyszę bicie jego serca i czuję zapach skóry. Tutaj jestem bezpieczna. Jakaś ważna część mnie jest bezpieczniejsza przy Ky’u niż gdziekolwiek indziej.

Ky wciska mi w dłoń kawałek papieru.

– Ostatnia część mojej opowieści – mówi. – Zachowasz ją? Nie oglądaj jej jeszcze.

– Dlaczego?

– Poczekaj – prosi cicho, lecz stanowczo. – Poczekaj jeszcze trochę.

– Ja też mam coś dla ciebie – mówię. Odsuwam się na tyle, by sięgnąć do kieszeni. Daję mu fragment materiału, zielony jedwab z mojej sukni.

Podnosi go do mojej twarzy, by się przekonać, jak wyglądałam tamtego wieczoru, podczas Bankietu Doboru.

– Pięknie – mówi z uśmiechem.

Obejmuje mnie ramieniem. Ze szczytu Wzgórza widać chmury, drzewa, kopułę Ratusza i małe domy Gmin w oddali. Przez jedną krótką chwilę ogarniam spojrzeniem cały mój świat, a potem ponownie spoglądam na Ky'a.

– Cassia – mówi Ky i zamyka oczy. Ja także opuszczam powieki, by spotkać się z nim w ciemności. Czuję, jak obejmuje mnie mocno, czuję dotyk zielonego jedwabiu, gdy przykładą dłoń do mojego karku i przyciąga mnie jeszcze bliżej. – Cassia – powtarza cicho, tak blisko, że jego wargi spotykają się wreszcie z moimi. Wreszcie.

Myślę, że może chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz gdy nasze wargi się dotykają, choć raz nie ma potrzeby mówić nic więcej.

## ROZDZIAŁ 29

W gminie znów rozległ się przejmujący krzyk. Tym razem jest to głos człowieka.

Otwieram oczy. Jest jeszcze ciemno, na horyzoncie widać dopiero wąski skrawek słonecznego blasku, zapowiedź świtu.

Drzwi mojego pokoju otwierają się raptownie, w prostokacie światła ukazują się mama.

– Cassia – mówi z ulgą, a potem odwraca się i woła do taty. – U Cassii wszystko w porządku!

– U Brama też – odpowiada tata, a potem wszyscy schodzimy do holu, idziemy w stronę wyjścia, bo ktoś na naszej ulicy krzyczy, a ten niespotykany dźwięk porusza nas do głębi. Nieczęsto słyszymy w Klonowej Gminie okrzyk bólu, ale jeszcze nie zostaliśmy całkiem pozbawieni instynktu, który każe nieść pomoc w potrzebie.

Tata otwiera drzwi, wszyscy wyglądamy na zewnątrz.

Blask latarni wydaje się słabszy niż zwykle, płaszcze Funkcjonariuszy są szare i niewyraźne. Idą szybko, prowadzą kogoś między sobą. Za nimi idzie jeszcze kilka osób. Oficerowie.

I ktoś jeszcze. Ktoś, kto krzyczy. Rozpoznaję ją nawet w przytłumionym blasku latarni. Aida Markham. Ktoś, kto musiał już kiedyś znosić straszliwy ból i kto doznaje go ponownie, usiłując dogonić postać otoczoną przez Funkcjonariuszy i Oficerów.

Ky'a.

-Ky!

Po raz pierwszy życiu biegnę co sił w nogach na otwartej przestrzeni. Nie muszę dostosowywać się do bieżni, nie muszę

odgarniać gałązek. Frunę nad trawą i betonem. Pędzę przez trawniki moich sąsiadów, próbuję dogonić grupę zmierzającą na stację kolejki. Jeden z Oficerów odłącza się od pozostałych i idzie w stronę Aidy. Przybrana matka Ky'a robi za dużo zamieszania, w kolejnych domach otwierają się drzwi, ludzie wychodzą na schody i patrzą.

Biegnę jeszcze szybciej, moje stopy uderzają o ostrą chłodną trawę przed domem Em.

Jeszcze kilka domów.

– Cassia? – woła Em od drzwi. – Dokąd biegniesz?

Ky nie słyszał mojego wołania, zagłuszyły je krzyki Aidy. Jest już niemal przy schodach prowadzących na stację. Kiedy przechodzą obok latarni, widzę, że Ky ma skute ręce.

Tak samo jak na rysunku.

– Ky! – krzyczę ponownie, a on podnosi głowę, odwraca się w moją stronę. Jestem zbyt daleko, by zobaczyć jego oczy. Muszę zobaczyć jego oczy.

Od grupy odłącza się inny Oficer, który zmierza w moją stronę. Powinnam była podbiec bliżej i dopiero wtedy zawołać, ale i tak jestem już blisko, tuż obok.

Część mojego umysłu próbuje zrozumieć, co się tu dzieje. „Zabierają go do nowego miejsca pracy? Dlaczego o tej porze? Dlaczego Aida tak rozpacza? Czy nie powinna być zadowolona, że dostał nową szansę, coś lepszego niż zmywanie pojemników? Dlaczego ma kajdanki? Czy próbował z nimi walczyć?

Czy widzieli nasz pocałunek? Dlatego właśnie to robią?”.

Widzę, jak do stacji zbliża się kolejka, nie jest to jednak srebrzysto-biały pojazd, którym zwykle jeździmy do miasta. To czarny jak węgiel pociąg dalekobieżny, podobny do tych, które odjeżdżają tylko z Centrum Miasta. Po chwili nie tylko go widzę, ale i słyszę, jest cięższy, głośniejszy od białego.

Dzieje się tutaj coś bardzo niedobrego.



Słowo, które wykrzykuje w moją stronę Ky, gdy pchają go w górę schodów, potwierdza to, co wiedziałam już wcześniej. Bo nagle, w obecności wszystkich tych ludzi, Ky zapomina o potrzebie przetrwania i poddaje się całkiem innemu instynktowi.

Wykrzykuje moje imię:

– Cassia!

W tym jednym słowie słyszę wszystko: słyszę, że mnie kocha. Ze się boi. I żegna się ze mną, choć chciał zrobić to jeszcze wczoraj, na Wzgórzu. Już wtedy wiedział. Tu nie chodzi o zwykłą zmianę posady. Ky dokądś wyjeżdża i przypuszcza, że już stamtąd nie wróci.

Słyszę kroki za plecami, ciche stapanie po trawie, i kroki przede mną, głośny stukot butów o metal. Oglądam się za siebie i widzę Oficera idącego w moją stronę. Z góry, ze schodów, spieszy do mnie jeden z Funkcjonariuszy. Aida już nie krzyczy. Chcą uciszyć mnie tak samo jak ja.

Nie dostanę się do niego. Nie w ten sposób. Nie teraz. Nie mogę przepchać się obok Funkcjonariusza na schodach. Nie jestem dość silna, by z nimi walczyć, ani na tyle szybka, by ich przegonić...

*Nie wchodzi łagodnie.*

Nie wiem, czy to Ky przekazał mi jakoś te słowa, czy pomyślałam je sama, czy też może gdzieś w ciemnościach kryje się dziadek, który podał je wiatrowi, pozwolił, by sfrunęły ku mnie jak anioły.

Zmieniam raptownie kierunek, biegnę na bok peronu. Ky widzi, co robię, wyrywa się na moment z rąk Funkcjonariuszy, zyskuje sekundę wolności, nim ponownie go uwiężą.

To wystarczy.

Pochyla się nad krawędzią oświetlonego peronu, a ja widzę to, co chcę koniecznie zobaczyć. Widzę jego oczy, wypełnione życiem i ogniem, wiem, że nie przestanie walczyć, nawet jeśli będzie to tylko

cicha, wewnętrzna walka, którą nie zawsze widać. Jak także nie przestanę walczyć.

Nawoływania Funkcjonariuszy i zgrzyt hamującego pociągu zagłuszą moje słowa. Ky nie usłyszy, co do niego mówię.

Nie zważając na wszystko, co się dzieje dokoła, wskazuję na niebo. Mam nadzieję, że Ky zrozumie, co mam na myśli, bo ten gest oznacza wiele różnych rzeczy: moje serce zawsze będzie lecieć z jego imieniem. Nie pójdę łagodnie. Znajdę jakiś sposób, by pofrunąć niczym anioły ze starych opowieści, i odnajdę go.

Wiem, że to rozumie, gdy patrzy prosto na mnie, spogląda mi głęboko w oczy. Jego usta poruszają się cicho, domyślam się, co mówi – słowa wiersza, który zna tylko dwoje ludzi na całym świecie.

Łzy cisną mi się do oczu, nie pozwalam im jednak wypłynąć. Bo jeśli miałabym wybrać jeden moment w życiu, w którym chcę widzieć wszystko wyraźnie, to byłaby to zapewne właśnie ta chwila.

Oficer dopada mnie pierwszy, łapie za ramię i odciąga do tyłu.

– Zostaw ją w spokoju – mówi mój ojciec. Nie miałam pojęcia, że potrafi tak szybko biegać. – Niczego nie zrobiła.

Mama i Bram idą w naszą stronę przez trawnik. Tuż za nimi kroczą Xander i jego rodzina.

– Zakłóca spokój – oświadcza posepnie Oficer.

– Oczywiście, że zakłóca – odpowiada tata. – Ktoś zabiera o świecie jej przyjaciela z dzieciństwa, a jego matka krzyczy. Co tu się dzieje?

Uświadamiam sobie, jak głośno mówi mój ojciec, kiedy ośmiela się zadawać to pytanie. Zerkam na mamę, by zobaczyć jej reakcję. Na jej twarzy nie widać niczego prócz dumy, gdy patrzy na swego męża.

Ku memu zdumieniu odzywa się również tata Xandera:

– Dokąd zabierają tego chłopca?

Inicjatywę przejmuje Funkcjonariusz w białym uniformie. Mówi dość głośno, by usłyszeli go wszyscy zgromadzeni. Jego słowa brzmią oficjalnie i sucho:

– Przykro mi, że zakłóciliśmy wam spokój o tak wczesnej porze. Ten młody człowiek otrzymał nową posadę, a my przyszedliśmy tu tylko po to, by go tam przewieźć. Ponieważ posada ta znajduje się poza Prowincją Oria, jego matka zdenerwowała się i wpadła w histerię.

„Ale po co ci wszyscy Oficerowie? Ci wszyscy Funkcjonariusze? Po co te kajdanki?”. Wyjaśnienia Funkcjonariusza wydają się bezsensowne, lecz po chwili wahania wszyscy kiwają głowami ze zrozumieniem. Wszyscy prócz Xandera. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem jednak zerka na mnie i zamyka je z powrotem.

Poziom adrenaliny, która się wydzieliła do mojej krwi podczas pościgu za Ky'em, zaczyna powoli opadać, a ja uświadamiam sobie straszną prawdę. „Zabierają Ky'a przeze mnie. To wszystko przez moje sortowanie albo przez pocałunek. Tak czy inaczej to moja wina”.

– Kłamstwa – mówi Patrick Markham. Wszyscy odwracają się w jego stronę. Choć nadal jest w piżamie, choć jego twarz naznaczona jest cierpieniem, wypełnia go cicha i nieugięta godność, coś, czego nikt nie może mu odebrać. Widziałam coś podobnego tylko u jednej ze znanych mi osób. Choć Patrick i Ky nie są spokrewnieni, obaj mają w sobie tę samą siłę.

– Funkcjonariusze powiedzieli Ky'owi i innym robotnikom, że przenoszą ich do innej pracy – mówi, patrząc na mnie. – Do lepszej. Ale w rzeczywistości wysyłają ich do Zewnętrznych Prowincji, na wojnę.

Cofam się o krok i chwieję, jakby ktoś wymierzył mi potężny cios. Mama wyciąga do mnie rękę i podtrzymuje mnie.

Patrick mówi dalej:

– Sytuacja na wojnie z Wrogiem nie wygląda dobrze. Potrzebujemy więcej żołnierzy. Wszyscy mieszkańcy tamtych Prowincji zginęli. Wszyscy. – Milknie na moment, a potem przemawia ponownie, jakby do siebie. – Powinienem był się domyślić, że najpierw wezmą Aberracje. Że Ky będzie na liście... Myślałem, że skoro już tyle przeszliśmy... – Jego głos zaczyna drżeć.

Odwraca się do niego Aida, przepelniona bólem i rozpaczą.

– Czasami zapominaliśmy. Ale on nigdy nie zapomniał. Wiedział, co się z nim stanie. Widziałeś, jak walczył? Widziałeś jego oczy, kiedy go zabrali? – Zarzuca Patrickowi ręce na szyję, a on tuli ją do siebie. Chłodny poranek znów wypełnia się szlochem Aidy. – On umrze. To wyrok śmierci. – Odsuwa się nagle od Patricka i wrzeszczy na Funkcjonariuszy: – On umrze!

Dwaj Funkcjonariusze podbiegają do nich, wykręcają im do tyłu ręce, odciągają na bok. Głowa Patricka odchyła się do tyłu, gdy go kneblują, zamykają mu usta. To samo robią z Aidą, by stłumić jej krzyk. Nigdy nie widziałam, by Funkcjonariusze zachowywali się tak brutalnie. Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że w ten sposób potwierdzają tylko prawdziwość słów Patricka i Aidy?

Obok ląduje auto powietrzne, wysiadają z niego kolejni Funkcjonariusze. Oficerowie pchają Markhamów w stronę auta, Aida wyciąga rękę, by dotknąć dłoni swego męża. Ich palce mijają się o centymetry, Funkcjonariusze nie pozwalają jej na ten dotyk, na jedyną rzecz, która mogłaby ją teraz pocieszyć.

Zamykam oczy. Chciałabym wymazać z pamięci jej krzyk, słowa, które już na zawsze pozostaną w mojej głowie. On umrze. Chciałabym, żeby mama zabrała mnie do domu, ułożyła do snu jak przed laty, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Kiedy z dziecięcą ufnością patrzyłam na zmierzch zapadający za oknem, wolna od trosk i smutku, gdy nie wiedziałam jeszcze, co znaczy pragnienie wolności.

– Proszę o uwagę.

Znam ten głos. To moja Funkcjonariuszka, ta z ławki przed centrum gier. Obok niej stoi Funkcjonariusz z insygniami najwyższego szczebla Rządu; trzema gwiazdkami, które lśnią jasno w blasku latarni. Wszyscy posłusznie milkniemy.

– Proszę wyjąć pojemniki z tabletkami – mówi Funkcjonariusz uprzejmym tonem. – Proszę wyjąć czerwoną pigułkę.

Wszyscy wypełniamy jego polecenia. Zaciskam dłoń na małym pojemniku ukrytym w mojej kieszeni. Niebieski, czerwony i zielony. Życie, śmierć i zapomnienie na wyciągnięcie ręki.

– Proszę zatrzymać czerwoną tabletkę i oddać pojemniki Funkcjonariuszce Standler. – Wskazuje ręką na moją Funkcjonariuszkę, która trzyma w dłoniach kwadratowy plastikowy pojemnik. – Wkrótce otrzymacie nowe pojemniki i nowe tabletki.

I znów wszyscy stosujemy się do tych rozkazów. Oddaję mały metalowy pojemnik jak wszyscy pozostali, ale nie patrzę mojej Funkcjonariuszce w oczy.

– Będziecie musieli zażyć czerwone pigułki. Dopilnujemy tego wraz z Funkcjonariuszką Standler. Nie ma się czym niepokoić.

Dokoła pojawia się jeszcze więcej Oficerów. Chodzą wzdłuż ulicy, zapędzają do domów tych, którzy nie wyszli dalej niż na schody, oddzielają kilkanaście osób, które stoją w pobliżu stacji – tę garstkę z nas, którzy wiedzą, co się stało w Klonowej Gminie i co się dzieje w całym kraju. Przypuszczam, że w przypadku innych robotników wszystko przebiegało znacznie spokojniej, prawdopodobnie żadna inna Aberracja nie miała rodziców postawionych na tyle wysoko, by wiedzieli, co naprawdę z nimi się stanie. Nawet Patrick Markham nie mógł uratować swojego syna.

A wszystko to z mojej winy. Nie odgrywałam roli Boga ani anioła, odgrywałam rolę Funkcjonariusza. Pozwoliłam sobie wierzyć, że wiem, co jest najlepsze, i mogę zmienić według tego życie kogoś innego. Nieważne, czy dane podsuwały mi takie czy inne rozwiązanie, przecież sama podjęłam tę decyzję. A pocałunek...

Nie mogę myśleć o pocałunku.

Spoglądam na czerwoną tabletkę, maleńką plamkę na mojej dłoni. Myślę, że nawet jeśli oznacza śmierć, to chętnie ją teraz przyjmę.

Ale czekam. Obiecałam Ky'owi. Wskazałam na niebo i obiecałam. A teraz, zaledwie kilka chwil później, zamierzam się poddać?

Dyskretnie upuszczam pigułkę na ziemię. Przez sekundę widzę plamkę czerwieni w trawie, przypominam sobie, co mówił o tym kolorze Ky, o odrodzeniu i odnowie. „Za nowy początek” – mówię w myślach i przesuwam lekko nogę, by rozgnieść tabletkę; kruszy się pod moją stopą. Przychodzi mi na myśl ta chwila w zatłoczonym centrum gier, gdy zobaczyłam twarz Ky'a i ruszyłam w jego stronę, rozgniatając zagubiony pojemnik z pigułkami.

Jednak teraz, gdy podnoszę wzrok, nie widzę go.

Nikt jeszcze nie wypełnił ostatniego polecenia. Choć padło z ust najwyższego rangą Funkcjonariusza, jakiego kiedykolwiek widzieliśmy, wszyscy pamiętają, co plotki mówią o czerwonych tabletkach.

– Czy ktoś chciałby zrobić to jako pierwszy?

– Ja – mówi mama, postępując krok do przodu.

– Nie – protestuję, milknę jednak, gdy tata spogląda na mnie wymownie. Wiem, co próbuje mi powiedzieć. „Ona robi to dla nas. Dla ciebie”. Tata wie, że niczym nam to nie grozi.

– I ja – mówi, dołączając do mamy. Oboje przelękają pigułki. Funkcjonariusz zagląda im do ust i kiwa głową. – Rozpuszczą się w ciągu kilku sekund – mówi do nas. – Na tyle szybko, że nie zdążycie ich zwrócić, choć to niepotrzebne. Nie zrobią wam krzywdy. Oczyszczą jedynie umysł.

Oczyszczą umysł. Oczywiście. Teraz już wiem, dla-czego mamy je zażyć. Zęby zapomnieć o tym, co się stało z Ky'em, o tym, że Wróg

wygrywa wojnę w Zewnętrznych Prowincjach, że wszyscy ich mieszkańcy zginęli. Uświadamiam sobie też, dlaczego nie kazali nam zażyć tabletek, kiedy coś się stało z pierwszym synem Markhamów – chcieli, byśmy pamiętali, jak niebezpieczne mogą być Anomalie. Jak bezbronni byłibyśmy bez Społeczeństwa, które nas ochrania.

Czy wypuścili tę Anomalię celowo? Żeby nam przypomnieć?

Jak wyjaśnią nam później nieobecność Ky'a? Jaka opowieść usłyszymy zamiast prawdy? Czy po zażyciu czerwonej pigułki sięgniemy po zieloną, by się uspokoić?

„Nie chcę już dłużej być spokojna. Nie chcę zapomnieć”,

Choć prawda boli, chcę pamiętać całą historię Ky'a, nawet te najboleśniejse fragmenty.

Mama odwraca się do mnie. Boję się, że zobaczę nieprzytomne oczy albo pozbawioną wyrazu twarz. Ale wygląda całkiem dobrze. Tata również.

Po chwili wszyscy ustawiamy się w szeregu, z tabletkami w dłoniach, by mieć to za sobą i wrócić do normalnego życia. Co zrobię, kiedy zobaczą, że wyrzuciłam swoją pigułkę? Spoglądam w dół, na trawę pod moimi stopami, jakbym się spodziewała, że ujrzę tam gołą ziemię. Wszystko wygląda jednak całkiem normalnie, nie widzę nawet czerwonych resztek tabletki. Musiałam rozetrzeć ją na proch.

Bram wydaje się wystraszony i podekscytowany zarazem. Jest jeszcze za mały, by nosić czerwoną pigułkę, więc tata daje mu swoją zapasową.

Moja Funkcjonariuszka zaczyna sprawdzać, czy każdy zażył swoją tabletkę. Z każdą chwilą jest coraz bliżej, ja nie mogę jednak oderwać wzroku od Brama, a potem od Em. Przypominam sobie swój sen i obserwuję ze zgrozą, jak Em przełyka pigułkę. Nic się jednak nie dzieje – a przynajmniej nic, co byłoby widoczne na zewnątrz.

Potem przychodzi kolej na Xandera. Zerka w moją stronę, widzi, że mu się przyglądam, a na jego twarzy pojawia się grymas bólu. Chcę odwrócić wzrok, lecz nie mogę. Widzę, jak kiwa na mnie głową i podnosi czerwoną tabletkę, niemal jakby spełniał toast.

Nie widzę jednak, jak ją połyka, bo ktoś staje przede mną i zasłania go. Moja Funkcjonariuszka.

– Pokaż mi swoją pigułkę – prosi.

– Mam ją tutaj – mówię, wyciągając przed siebie zaciśniętą pięść.

Wydaje mi się, że dostrzegam cień uśmiechu na jej twarzy. Wiem, że nosi zapasowe tabletki – widziałam je – ale chyba nie zamierza mi niczego podawać.

Jej spojrzenie wędruje na moment w dół, ku trawie pod moimi stopami, a potem ponownie w górę, ku mojej twarzy. Podnoszę rękę, udaję, że wkładam coś do ust, a potem przełykam. Funkcjonariuszka przechodzi do następnej osoby.

Choć tego właśnie pragnęłam, nienawidzę jej. Ona chce, bym pamiętała, co się tutaj stało. Co zrobiłam.



## ROZDZIAŁ 30

Gdy ciemności w końcu ustępują, nastaje nijaki, gorący, szary poranek, pozbawiony wymiarów i głębi. Otaczające mnie domy mogłyby być scenografią pokazu, obrazem widocznym na ekranie. Mam wrażenie, że jeśli pójdę za daleko, wejdę prosto w płótno albo w papierową ścianę, a potem znajdę się w czarnej nicości, dotrę do końca wszystkiego.

Pozbyłam się już strachu, teraz czuję tylko senność i apatię, co wydaje mi się jeszcze gorsze. Dlaczego miałabym się przejmować jakąś planetą zamieszkaną przez nijakich ludzi? Kogo obchodzi miejsce, gdzie nie ma Ky'a?

Uświadamiam sobie, że to jeden z powodów, dla których potrzebuję Ky'a. Bo kiedy jestem z nim, czuję.

Ale on wyjechał. Widziałam to na własne oczy.

Sama do tego doprowadziłam.

„Czy Syzyf też musiał to robić? – zastanawiam się. – Zatrzymać się na minutę, skupić na utrzymaniu głazu, pilnować, by ten nie stoczył się na niego i nie zmiążdżył go. Czy musiał robić to wszystko, nim mógł choćby pomyśleć o kolejnej próbie?”

Czerwone tabletki zaczęły działać niemal natychmiast po odprowadzeniu nas do domu przez Oficerów i Funkcjonariuszy. Wydarzenia ostatnich dwunastu godzin zostały wymazane z pamięci mojej rodziny. W ciągu godziny dostarczono nowe pojemniki i pigułki wraz z wyjaśnieniem, że nasze okazały się wadliwe i zostały usunięte wczesnym rankiem. Wszyscy członkowie mojej rodziny bezkrytycznie przyjęli to wyjaśnienie. Mają inne zmartwienia.

Mama nie może sobie przypomnieć, gdzie odłożyła swój informator poprzedniego wieczoru. Bram nie pamięta, czy przygotował zadanie na czytniku.

– Włącz go i sprawdź, kochanie – mówi podenerwowana mama. Tata również wydaje się nieco skonsternowany, ale mimo wszystko zachowuje spokój. Przypuszczam, że doświadczył tego już wcześniej, w jego zawodzie zdarza się to chyba dość często. Dopóki tabletki wciąż działa, nie przejmuję się tym zbytnio.

I dobrze, bo Funkcjonariusze nie skończyli jeszcze z naszą rodziną.

– Wiadomość prywatna dla Molly Reyes – mówi głos z portu.

Zaskoczona mama podnosi wzrok.

– Spóźnię się do pracy – protestuje cicho, choć ktoś, kto przesłał tę wiadomość, i tak jej nie usłyszy. Nie zobaczy też, jak prostuje ramiona, nim podchodzi do portu i zakłada słuchawki. Obraz na ekranie ciemnieje, jest widoczny tylko z tego miejsca, w którym stoi mama.

– Co teraz? – pyta Bram. – Mam czekać?

– Nie, idź do szkoły – mówi mu tata. – Nie chcemy, żebyś się spóźnił.

W drodze do drzwi Bram narzeka:

– Zawsze omija mnie to, co najciekawsze.

Mogłabym mu powiedzieć, że to nieprawda, ale czy rzeczywiście chciałabym, żeby pamiętał, co wydarzyło się dziś rano?

Coś dzieje się ze mną, gdy patrzę na Bramę wychodzącego do szkoły. Świat nagle znów nabiera rzeczywistych wymiarów. Bram należy do rzeczywistości. Ja należę do rzeczywistości. Ky również, a ja muszę zacząć go szukać. Natychmiast.

– Jadę dziś rano do Miasta – mówię tacie.

– Nie masz pieszej wycieczki? – pyta, a potem potrząsa głową, jakby chciał ją oczyścić. – Przepraszam. Już sobie przypomniałem. Letnie zajęcia rekreacyjne kończą się w tym roku wcześniej, prawda? Dlatego Bram jedźcie już do szkoły, a nie na pływalnię. Jestem dziś jakiś zamroczony.

Nie wygląda na szczególnie zdziwionego tym faktem, a ja znów dochodzę do wniosku, że kiedyś już mu się to przydarzyło. Przypominam sobie też, jak pozwolił mamie zażyć tabletkę – wiedział, że nie stanie się jej żadna krzywda.

– Na razie nie przydzielili nam żadnych innych zajęć zamiast wycieczki – wyjaśniam. – Dzięki temu mam czas, żeby przed szkołą pojechać do Miasta.

To także spore przeoczenie, kolejny zgrzyt w dobrze naoliwionej maszynie naszego Społeczeństwa, kolejny dowód na to, że dzieje się z nim coś niedobrego.

Tata nie odpowiada. Wpatruje się w mamę, której twarz jest blada jak ściana.

– Molly? – mówi. Nie wolno nam przerywać prywatnych wiadomości, ale tata robi krok w jej stronę. A potem jeszcze jeden.

W końcu, gdy kładzie dłoń na jej ramieniu, mama odwraca się od ekranu.

– To moja wina – oznajmia. Po raz pierwszy w życiu widzę, jak patrzy nie na tatę, lecz przez niego, w jakiś odległy punkt. – Zostaliśmy Relokowani na Ziemię Uprawne w trybie natychmiastowym.

– Co!?! – pyta z niedowierzaniem tata. Kręci głową, spogląda na port. – To niemożliwe. Oddałaś raport. Napisałaś prawdę.

– Przypuszczam, że nie chcą, by ci, którzy widzieli te nielegalne uprawy, pracowali nadal na wysokich stanowiskach – mówi mama. – Za dużo wiemy. Możemy spróbować tego samego. Przeniosą nas na Ziemię Uprawne, gdzie nie będziemy mieli żadnej władzy. Gdzie będą

mogli nas obserwować i sprawdzać, czy hodujemy tylko to, co nam każą.

– Ale przynajmniej będziemy bliżej babci i dziadka – próbuję ją pocieszyć.

– Nie. Wysyłają nas do Ziemi Uprawnych w innej Prowincji. Wyjeżdżamy jutro. – Przenosi zdumione, otepiąle spojrzenie na tatę i powoli zaczyna wracać do siebie. Widzę, jak na jej twarzy pojawiają się w końcu emocje. Sama odczuwam w tym momencie potrzebę tak palącą, że nie wiem, czy jestem w stanie ją znieść. „Muszę się dowiedzieć, dokąd wysłali Ky’a, zanim stąd wyjedziemy”.

– Zawsze chciałem mieszkać na Ziemiach Uprawnych – mówi tata, a mama opiera głowę na jego ramieniu, zbyt zmęczona, by płakać, i zbyt wstrząśnięta, by udawać, że nic się nie stało.

– Ale zrobiłam to, co miałam zrobić – szepcze. – Zrobiłam dokładnie to, co kazali.

– Wszystko będzie dobrze – zwraca się tata do niej i do mnie. Może gdybym wzięła czerwoną tabletkę, nawet bym mu uwierzyła.

Przed domem Markhamów stoi auto Funkcjonariuszy. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nasza Gmina zdecydowanie zbyt często była obiektem ich zainteresowania.

Em wypada ze swojego domu, podchodzi szybko do mnie.

– Słyszałaś? – pyta podekscytowana. – Funkcjonariusze zabierają rzeczy Markhamów. Patrick dostał posadę w Rządzie Centralnym! To prawdziwy zaszczyt dla naszej Gminy! – Marszczy brwi. – Szkoda, że nie mogliśmy się pożegnać z Ky'em. Będzie mi go brakowało.

– Wiem – odpowiadam, przejęta bólem, przygnieciona brzemieniem świadomości, że tylko ja wiem, co się wydarzyło tego ranka.

Ja i kilku Funkcjonariuszy. Lecz nawet oni nie wiedzą wszystkiego. Tylko dwie osoby znają całą prawdę. Ja i moja Funkcjonariuszka.

– Muszę iść – mówię Em i ruszam w stronę stacji kolejki. Nie patrzę na dom Markhamów. Patrick i Aida również wyjechali stąd na dobre. Czy otrzymali status Aberracji, czy też przyznano im emeryturę i odesłano w jakieś odległe miejsce? Czy oni też zażyli czerwoną tabletkę? Czy rozglądają się ze zdumieniem po swoim nowym domu i zastanawiają, gdzie podział się ich drugi syn? Będę musiała spróbować odnaleźć także ich, dla Ky'a, najpierw jednak muszę odszukać jego. Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, w którym mogę się dowiedzieć, dokąd go wysłano.

W drodze do Ratusza siedzę z nisko opuszczoną głową. Dokoła jest zbyt wiele miejsc, na które nie mogę patrzeć: fotele, na których siadał Ky, podłoga, na której stał, bez trudu utrzymując równowagę. Nie mogę też patrzeć za okna, bo mogłabym dostrzec Wzgórze, gdzie staliśmy z Ky'em jeszcze wczoraj. Razem. Kiedy kolejka zatrzymuje się na kolejnej stacji, a do środka wpływa strumień świeżego powietrza, zastanawiam się, czy paski czerwonego materiału, które tam zostawiliśmy, powiewają na wietrze. Znaki nowego początku, choć nie takiego, jakiego chciał.

W końcu słyszę zapowiedź następnego przystanku.

Ratusz.

To się nie uda. Wiem o tym, gdy tylko po raz drugi w życiu wchodzę na stopnie prowadzące do Ratusza. Nie widzę otwartych drzwi i migoczących świateł, nie jest to miejsce, które kiedyś zapraszało mnie do swego wnętrza, miejsce, gdzie miałam zobaczyć fragment swojej przyszłości. W blasku dnia staje się gmachem strzeżonym przez uzbrojonych wartowników, miejscem ważnych interesów, w którym przeszłość i przyszłość zamknięte są dla postronnych osób. Nie wpuszczą mnie do środka, a nawet gdyby to zrobili, niczego mi nie powiedzą.

Może w ogóle nie wiedzą, że mają mi coś do powiedzenia. Nawet Funkcjonariusze noszą czerwone tabletki.

Odwracam się i po drugiej stronie ulicy widzę inne rozwiązanie. Serce bije mi mocniej w piersiach. „Oczywiście. Dlaczego od razu o tym nie pomyślałam? Muzeum”.

Muzeum mieści się w długim, niskim białym budynku. Nawet okna wykonane są z matowego, nieprzejrystego szkła, które chroni ukryte w środku artefakty przed światłem. Ratusz ma wysokie przezroczyste okna. Ratusz widzi wszystko. Może się jednak okazać, że za ciasno zamkniętymi oczami Muzeum znajdę to, czego szukam. Nadzieja dodaje mi siłę, gdy przechodzę przez ulicę i otwieram ogromne białe drzwi.

– Witaj – mówi kustosz, siedzący za okrągłym białym biurkiem.  
– Może ci w czymś pomóc?

– Dziękuję, chciałam się tylko przejść – odpowiadam swobodnym tonem. – Mam dzisiaj trochę wolnego czasu.

– I przyszedłaś tutaj – stwierdza kustosz z zadowoleniem, ale i zdziwieniem. – Cudownie. Proponuję, żebyś wybrała się na piętro. Tam mieszczą się nasze najpopularniejsze wystawy.

Nie chcę wzbudzać podejrzeń, kiwam więc głową i wchodzę na stopnie. Metaliczny odgłos znów przypomina mi Ky’ą wchodzącego na schody przy stacji. „Nie myśl o tym teraz. Zachowaj spokój. Pamiętasz, jak przyszedłaś tutaj w Pierwszej Szkole, zanim jeszcze Ky pojawił się w Gminie? Kiedy mieliśmy jeszcze czas na myślenie o przeszłości, nim poszłaś do Drugiej Szkoły, gdzie liczy się tylko przyszłość? Pamiętasz, jak weszłaś do stołówki w podziemiach Muzeum z wszystkimi innymi dziećmi, tak podnieconymi faktem, że będą jeść w innym, nowym miejscu? Pamiętasz jasnowłosą głowę Xandera pośród innych, jak udawał, że słucha kustosa, ale tak naprawdę przez cały czas opowiadał żarty na stronie.

Xander. Czy jeśli go tutaj zostawię, oderwie się kolejny kawałek mojego serca?

Oczywiście, że tak.

Strzałka pokazuje drogę do Sali Artefaktów, a ja skręcam w tamtą stronę, by obejrzeć wystawę. Chcę zobaczyć, gdzie położyli wszystkie te rzeczy, które nam odebrali. Może zobaczę swoją puderniczkę, spinki Xandera, zegarek Brama. Mogłabym przyprowadzić go tutaj, zanim wyjedziemy na Ziemię Uprawne.

Zatrzymuję się pośrodku sali, uświadomiwszy sobie, że nie ma tu żadnej z tych rzeczy.

Pozostałe gabloty wypełnione są artefaktami, ale nowa przeszklona szafka jest całkiem pusta. Napis złożony z liter, które tak bardzo różnią się od kursywy Ky'a, głosi: WKRÓTCE POJAWIĄ SIĘ TU NOWE ARTEFAKTY. Umieszczona powyżej lampka podświetla ogromną pustą przestrzeń. Ten napis mógłby tkwić tutaj bez końca w zamkniętej, sterylnie czystej przestrzeni. Jak fragment mojej sukni z Bankietu Doboru.

Lecz ja rozbiłam już szkło; pozbyłam się zieleni, dokonałam wyboru. Umieram tu już bez Ky'a, ale muszę utrzymać się przy życiu, by go odnaleźć.

Uzmysławiam sobie, że nasze artefakty prawdopodobnie nigdy nie trafią do gabloty. Napis to jedyny eksponat, który kiedykolwiek się w niej znajdzie. Nie wiem, co z nimi zrobili.

Wiem już tylko, że nic nie zostało.

Idę na dół, do podziemi. Tam, gdzie znajduje się wystawa o Wspaniałej Historii Prowincji Oria, tam, gdzie zamierzałam udać się od początku, nim odwiodła mnie od tego nadzieja na ujrzanie czegoś, co niedawno utraciłam.

Stoję przed szklaną gablotą i patrzę na mapę naszej Prowincji, jej miast, ziem uprawnych i rzek. Słyszę kroki na marmurowej podłodze. Podchodzi do mnie drobny mężczyzna w uniformie, staje obok..

– Chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o historii Orii? – pyta.

Nasze spojrzenia spotykają się ze sobą: moje badawcze, jego jasne i wyraziste.

Patrzę na niego i już wiem: nie sprzedam naszego wiersza. Jestem egoistką. Oprócz kawałka materiału to wszystko, co mogłam dać Ky'owi. Jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy znają te słowa. Jestem w sytuacji bez wyjścia. Mogłabym sprzedać wiersz, ale nic bym nie zyskała. Tego, na czym mi zależy, nie można kupić; to coś, co muszę zdobyć.

– Nie, dziękuję – odpowiadam, choć właściwie chciałabym poznać prawdziwą historię miejsca, w którym mieszkam. Obawiam się jednak, że nikt jej już nie zna.

Przed wyjściem spoglądam raz jeszcze na mapę naszego Społeczeństwa. Na samym jej środku widnieją duże radosne plamy Prowincji. Otaczają je Zewnętrzne Prowincje, podzielone prostymi liniami na części pozbawione jakichkolwiek nazw.

– Chwileczkę – wołam do mężczyzny. Odwraca się i spogląda na mnie wyczekująco.

– Tak?

– Czy ktoś zna nazwy Zewnętrznych Prowincji?

Macha lekceważąco ręką. Teraz, gdy wie już, że niczego ode mnie nie dostanie, traci zainteresowanie moją osobą.

– Tak się właśnie nazywają – odpowiada. – Zewnętrzne Prowincje.

Te ciemne, podzielone Prowincje wciąż przyciągają mój wzrok. Na mapie aż roi się od napisów i informacji, trudno wyszukać wśród nich poszczególne nazwy. Przesuwam po nich spojrzeniem, nawet nie czytając, nie wiedząc właściwie, czego szukam.

Nagle coś rzuca mi się w oczy, mój mózg sortowaczki wychwytuje jedną nazwę: Rzeka Syzyfa. Ciągnie się przez kilka



Zachodnich Prowincji, a potem jeszcze przez dwie Zewnętrzne Prowincje, by w końcu zniknąć w otchłani Innych Krajów.

Ky musi pochodzić z którejś z tych dwóch Prowincji Zewnętrznych. Ponieważ właśnie w tym rejonie Wróg przypuścił atak przed kilku laty, gdy Ky był młodszy, teraz zapewne mamy tam największe problemy. Pochyliam się nad mapą, by zapamiętać położenie owych Prowincji.

Znów słyszę kroki, odwracam się.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz pomocy? – pyta ponownie drobny mężczyzna.

„Nie chcę niczym handlować!” – krzyczę do niego w myślach, potem jednak uświadamiam sobie, że tym razem pytanie brzmiało całkiem szczerze.

Wskazuję na Rzekę Syzyfa, maleńką nić nadziei wyrysowaną na papierze.

– Wie pan coś o tej rzece?

Mężczyzna zniża głos i mówi:

– Kiedy byłem młodszy, słyszałem o niej pewną historię. Podobno dawno temu jej wody w górnym biegu stały się toksyczne i nikt nie mógł mieszkać nad jej brzegami. Ale to wszystko, co mi o niej wiadomo.

– Dziękuję – odpowiadam, bo dzięki temu, czego dowiedziałam się wcześniej o przyczynach śmierci starszych ludzi, zaczynam wszystko rozumieć. Czy nasze Społeczeństwo mogło zatruć rzeki spływające do kraju Wroga? Ale Ky i jego rodzina nie zostali zatruci. Może mieszkali wyżej, w Prowincji bardziej oddalonej od granicy.

– To tylko opowieść – ostrzega mnie mężczyzna. Musiał dostrzec wyraz nadziei na mojej twarzy.

– Czyż wszystko nie jest tylko opowieścią? – zauważam.

Wychodzę z Muzeum i nie oglądam się za siebie.

\*

Moja Funkcjonariuszka czeka na mnie na trawniku przed Muzeum. Ubrana na biało, siedzi na białej ławce, podświetlona biało-żółtym blaskiem słońca. Za dużo tej bieli; mrużę oczy.

Jeśli przymknę je jeszcze trochę, mogę sobie wyobrazić, że to zielony obszar przy centrum gier, gdzie spotkałam się z Funkcjonariuszką po raz pierwszy. Mogę udawać, że za chwilę powie mi o błędzie na mikrokarcie mojego Wybranka. Jednak tym razem sprawy przyjmą inny obrót, ułożą się tak, że Ky i ja będziemy mogli zostać razem, szczęśliwi.

Ale takie rzeczy się nie zdarzają, nie tutaj, w Orii.

Gestem zaprasza, bym usiadła obok niej. Zaskakuje mnie fakt, że wybrała na spotkanie taki dziwny punkt, tuż przy wejściu do Muzeum. Potem uświadamiam sobie, że to idealne miejsce, puste i spokojne. Ky miał rację. Nikt tutaj nie interesuje się przeszłością.

Ławka jest solidna, wykuta z kamienia. Wydaje mi się chłodna po długich godzinach przebywania w zacienionych wnętrzach Muzeum. Siadam i przykładam dłoń do kamienia, zastanawiając się, gdzie był wydobywany i kto musiał go przetranszportować.

Tym razem ja odzywam się pierwsza.

– Popelniałam błąd. Musicie ściągnąć go z powrotem.

– Ky Markham został już raz potraktowany w wyjątkowy sposób. Większość Aberracji nie dostaje nawet tyle – odpowiada. – To ty go stąd odesłałaś. Ty dowiodłaś naszej racji. Ludzie, którzy manipulują danymi, którzy dają się ponieść emocjom, tylko komplikują sobie życie.

– Ty to zrobiłaś – mówię śmiało. – Ty przydzieliłaś mnie do tego sortowania.

– A ty świetnie sobie z nim poradziłaś. Doskonale. Jesteś tym teraz poruszona, jego rodzina wpadła w histerię, ale to była

prawidłowa decyzja, adekwatna do jego zdolności. Wiedziałaś, że potrafi znacznie więcej, niż udawał.

– To on powinien decydować o tym, czy stąd wyjechać, czy zostać. Nie ja. I nie ty. Pozwólcie mu wybrać.

– Gdybyśmy to zrobili, wszystko by się rozpadło – tłumaczy cierpliwie. – Jak myślisz, dlaczego możemy zagwarantować ludziom takie długie życie? Jak udało nam się wyeliminować raka? Dobieramy wszystko. Łącznie z genami.

– Gwarantujecie długie życie, ale na końcu nas zabijacie. Wiem, że dodajecie truciznę do jedzenia starszych ludzi.

– Możemy też zagwarantować wysoką jakość życia, aż do ostatniego oddechu. Wiesz, ilu nieszczęśliwych ludzi żyjących w podłych społeczeństwach na przestrzeni wieków oddałoby niemal wszystko za coś takiego? A metoda podawania...

– Trucizny.

– Trucizny – powtarza bez mrugnięcia okiem – jest nieprawdopodobnie humanitarna. Małe dawki w ulubionych potrawach pacjenta.

– Więc jemy, żeby umrzeć.

Macha lekceważąco ręką.

– Wszyscy jemy, żeby umrzeć, bez względu na to, co robimy. Twój problem polega na tym, że nie szanujesz systemu ani tego, co system ci oferuje, nawet teraz.

Omam nie parskam śmiechem, słysząc te słowa. Funkcjonariuszka widzi drgnienie mych ust i zaczyna wyliczać wszystkie przykłady mojej niesubordynacji z ostatnich dwóch miesięcy, wszystkie przypadki złamania przeze mnie reguł – a nie wie o najgorszych – nie wymienia jednak żadnej sytuacji sprzed tego okresu. Gdyby mogła jakoś zajrzeć do moich wspomnień, przekonałaby się, że są czyste i niewinne. Że naprawdę chciałam się

dopasować, być Dobrana i robić wszystko jak należy. Że naprawdę wierzyłam.

Że jakaś częśćka mnie nadal wierzy.

– Tak czy inaczej czas już było skończyć ten mały eksperyment – stwierdza z żalem Funkcjonariuszka. – Nie mamy dość ludzi, by się tym zajmować. Poza tym w takiej sytuacji...

– Jaki eksperyment?

– Z tobą i Ky'em.

– Wiem o tym – mówię. – Wiem, że mu powiedzieliście. I wiem, że była to poważniejsza pomyłka niż ta, o której mówiłaś podczas naszej pierwszej rozmowy. Tak naprawdę Ky był w puli Doboru.

– To nie była żadna pomyłka.

Znów spadam, choć myślałam, że już dosięgnęłam dna.

– Sami zdecydowaliśmy o tym, by umieścić Ky'a w puli Doboru – kontynuuje Funkcjonariuszka. – Od czasu do czasu postępujemy tak z Aberracjami, by zgromadzić dodatkowe dane i obserwować różne rozwiązania. Oczywiście większość ludzi o tym nie wie, bo nie ma takiej potrzeby. Ważne jednak, byś ty wiedziała, że przez cały czas kontrolowaliśmy ten eksperyment.

– Ale prawdopodobieństwo, że byłby moim Wybrankiem...

– Jest praktycznie zerowe – zgadza się ze mną. – Sama więc rozumiesz, dlaczego nas to zaintrygowało. Dlaczego pokazaliśmy ci zdjęcie Ky'a, byś i ty się nim zainteresowała. Dlaczego przydzieliliśmy was do tej samej grupy podczas pieszych wycieczek, a potem do tej samej pary. Dlaczego pozwalaliśmy wam na to wszystko, przynajmniej do czasu.

Uśmiecha się.

– To było naprawdę bardzo ciekawe: mogliśmy manipulować tyłoma zmiennymi. Zmniejszyliśmy nawet twoje porcje żywieniowe, żeby sprawdzić, czy staniesz się wtedy bardziej podatna na stres,

łatwiej pogodzisz się z przegraną. Ale ty się nie poddałaś. Oczywiście, nigdy nie byliśmy okrutni. Zawsze dostawałaś wystarczająco dużo kalorii. Jesteś też bardzo silna. Nigdy nie skorzystałaś z zielonej tabletki.

– Dlaczego to ma jakieś znaczenie?

– Bo czyni z ciebie bardzo interesujący obiekt obserwacji. W zasadzie przewidywalny, ale na tyle niezwykły, że godzien uwagi. Warto byłoby zobaczyć, jak twoja sytuacja się rozwija i kończy zgodnie z przewidywaniami.

– Wzdycha ciężko, szczerze zasmucona. – Zamierzałam napisać o tym artykuł, oczywiście dostępny tylko dla wybranych Funkcjonariuszy. Byłby to niezrównany dowód trafności Doboru. Dlatego właśnie nie chciałam, byś zapomniała o tym, co się stało tamtego ranka na stacji. Cała moja praca straciłaby sens. Teraz przynajmniej przekonam się, jakiego dokonasz wyboru, zachowując pełną świadomość tego, co się wydarzyło.

Gniew wypełnia mnie bez reszty, nie zostawia miejsca na myślenie. Warto byłoby zobaczyć, jak twoja sytuacja się rozwija i kończy zgodnie z przewidywaniami.

To wszystko zostało zaplanowane od samego początku. Wszystko.

– Niestety, moje umiejętności potrzebne są teraz gdzie indziej. – Przesuwa dłonią po informatorze, który trzyma przed sobą. – Po prostu nie mamy już czasu, żeby dłużej monitorować tę sytuację, więc nie możemy jej przeciągać.

– Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim? – pytam.

– Dlaczego chcesz, żebym znała wszystkie szczegóły?

Wygląda na zaskoczoną.

– Bo zależy nam na tobie, Cassio. Nie bardziej ani nie mniej niż zależy nam na wszystkich naszych obywatelach. Jako obiekt tego eksperymentu masz prawo wiedzieć, co się z tobą działo. Masz

prawo dokonać wyboru, którego z pewnością dokonasz, zamiast czekać dłużej.

Słowo „wybór” brzmi w jej ustach tak zabawnie, tak absurdalnie, że parsknęłabym śmiechem, gdybym nie obawiała się, że zabrzmiałoby jak krzyk.

– Mówiliście o tym Xanderowi?

Wydaje się urażona.

– Oczywiście że nie. Nadal jest twoim Wybrankiem. Aby eksperyment się udał, Xander musiał pozostać w nieświadomości. Nic o tym nie wie.

„Oprócz tego, co sama mu powiedziałam” – myślę i uświadamiam sobie, że ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

„Są rzeczy, o których nie wie”. Ta myśl sprawia, że czuję się tak, jakby coś mi oddano. Ta świadomość opada na wzburzone wody mojego gniewu, zamienia je w coś czystego i jasnego. „Jedną z rzeczy, o których nic nie wie, jest miłość”.

– Ky to co innego – mówi dalej Funkcjonariuszka. – Jemu powiedzieliśmy. Udawaliśmy, że go ostrzegamy, choć w rzeczywistości dawaliśmy mu motywację do tego, by próbował być z tobą. – Uśmiecha się, zadowolona z siebie, bo myśli, że nie znam także i tej części historii. Ale ja oczywiście o tym wszystkim wiem.

– Zatem przez cały czas nas obserwowaliście – stwierdzam.

– Nie przez cały czas – odpowiada. – Przyglądaliśmy się wam na tyle długo i często, by uzyskać reprezentatywną próbkę waszych interakcji. Nie mogliśmy obserwować tego, jak zachowywaliście się na Wzgórzu ani nawet na mniejszym wzgórzu. Ten obszar nadal podlegał jurysdykcji Oficera Cartera, który nie chciał nas tam wpuszczać.

Czekam, aż mnie zapyta. Wiem, że to zrobi. Choć myśli, że ma już reprezentatywną próbkę, jakaś jej część chce wiedzieć więcej.

– Więc co działo się między tobą a Ky'em? – pyta.

Nie wie o pocałunku. To nie dlatego został odesłany. Ta chwila na Wzgórzu wciąż należy tylko do nas. Do Ky'a i do mnie.

Właśnie tego będę się trzymać. Pocałunku, wiersza i wyznań, które napisaliśmy i wypowiedzieliśmy.

– Jeśli mi powiesz, pomogę ci. Znajdę ci posadę w Mieście. Zostaniesz tutaj, nie będziesz musiała wyjeżdżać z rodziną na Ziemię Uprawne. – Pochyliła się niżej. – Powiedz mi, co się tam stało.

Odwracam wzrok. Mimo wszystko ta oferta jest kusząca. Obawiam się trochę wyjazdu z Orii, nie chcę zostawiać Xandera i Em. Nie chcę opuszczać wszystkich miejsc, które kojarzą mi się z dziadkiem. A przede wszystkim nie chcę wyjeżdżać z tego Miasta i tej Gminy, bo tu znalazłam i pokochałam Ky'a.

Ale jego już tutaj nie ma. Muszę znaleźć go gdzie indziej.

Dylemat więźnia. Ky wierzy we mnie, a ja nie zamierzam go zawieść. Nie poddam się.

– Nie – odpowiadam krótko i stanowczo.

– Przypuszczałam, że to właśnie powiesz – mówi, słyszę jednak nutę rozczarowania w jej głosie i nagle chce mi się śmiać. Mam ochotę zapytać, czy nie męczy jej to, że zawsze ma rację. Myślę jednak, że wiem, co by mi odpowiedziała.

– Zatem jak to się skończy zgodnie z przewidywaniami? – pytam.

– A czy to ma znaczenie? – Uśmiecha się. – To się wydarzy. Ty to zrobisz. Ale powiem ci, jeśli chcesz.

Uświadamiam sobie, że wcale nie muszę tego słuchać, że nie muszę słuchać żadnych jej przewidywań. Nie wiedzą, że Xander ukrył artefakt, że Ky umie pisać, że dziadek dał mi poezję.

Czego jeszcze nie wiedzą?

– Mówisz, że planowaliście to od samego początku – mówię nagle, wiedzioną instynktem, zachowując się tak, jakbym chciała się

upewnić. – Mówisz, że to wy sami wprowadziliście Ky'a do puli Doboru.

– Tak – potwierdza. – Zrobiliśmy to.

Tym razem patrzę prosto na nią i dostrzegam to. Delikatne drgnienie ust, lekkie przesunięcie wzroku, ledwie słyszalną nutę niepewności w głosie. Rzadko musi kłamać, nigdy nie była Aberracją, więc nie przychodzi jej to łatwo, nie ma wprawy. Nie potrafi zachować kamiennej twarzy jak Ky, kiedy gra i wie, co musi zrobić, w zależności od tego, czy lepiej jest wygrać, czy przegrać.

I choć powiedziano jej, jak ma grać, nie wie do końca, jakie karty trzyma w ręce.

Nie wie, kto wprowadził Ky'a do puli Doboru.

Jeśli nie Funkcjonariusze, to kto?

Spoglądam na nią ponownie. Nie wie i nie słucha własnych słów. Jeśli to, co prawie niemożliwe, już raz się wydarzyło – zostałam Dobrana do dwóch chłopców, których już znałam – to może wydarzyć się ponownie.

Mogę go odnaleźć.

Wstaję z ławki. Wydaje mi się, że czuję w powietrzu deszcz, choć na niebie nie ma ani jednej chmury, i przypominam sobie. Został mi jeszcze ostatni fragment historii Ky'a.



## ROZDZIAŁ 31

Xander siedzi na schodach przed moim domem.

Często bywa tu latem, siedzi w takiej właśnie pozie. Nogi wyprostowane, łokcie wsparte na stopniu za jego plecami. Cień, który rzuca w lecie, jest mniejszy od niego samego, jest ciemniejszą, mniejszą wersją prawdziwego Xandera.

Obserwuje mnie, gdy idę w jego stronę, a gdy jestem bliżej, widzę, że w jego oczach nadal kryje się ból, ciemność za błękitem.

Niemal żałuję, że czerwona tabletką nie wymazała z pamięci Xandera okresu dłuższego niż ostatnich dwanaście godzin. Że nadal pamięta to, co mu powiedziałam, że cierpi. Niemal. Ale nie do końca. Choć prawda sprawiła ból nam obojgu, nie wyobrażam sobie, bym mogła potraktować Xandera inaczej. To jedyne, co mogłam mu dać, a on na to zasługiwał.

– Czekałem na ciebie – mówi Xander. – Słyszałem o twojej rodzinie.

– Byłam w Mieście – odpowiadam.

– Usiądź przy mnie – prosi. Waham się – naprawdę tego chce? Chce, żebym usiadła obok niego, czy też pomaga mi odgrywać spektakl przeznaczony dla kogoś, kto nas obserwuje? Xander patrzy na mnie wyczekująco. – Proszę.

– Jesteś pewien? – pytam.

– Tak – odpowiada, a ja wiem już, że mówi prawdę. Cierpi. Ja także. Myślę, że to być może jest częścią wolności, o którą walczymy. Sami chcemy wybierać ból, jaki nas dręczy.

Od czasu Bankietu Doboru nie minęło wcale wiele czasu, ale oboje jesteśmy teraz inni, pozbawieni eleganckich ubrań,

artefaktów, wiary w System Doboru. Stoję obok niego i rozmyślam o tym, jak wiele się zmieniło, jak mało wiedzieliśmy.

– Zawsze zmusisz mnie, żebym odezwał się pierwszy, co? – przemawia ponownie Xander z uśmiechem w głosie. – Zawsze wygrywasz nasze spory.

– Xander – mówię i siadam obok niego. Obejmuje mnie ręką, opieram głowę na jego ramieniu, a on pochyla się ku mnie. Wzdycham głęboko, ogarnięta ogromną ulgą. Jak dobrze znów znaleźć się w jego objęciach. To wcale nie jest na pokaz, dla Społeczeństwa, które nieustannie nas obserwuje. Dla mnie to wszystko jest rzeczywiste, prawdziwe. Będę za nim ogromnie tęskniła.

Przez chwilę milczymy oboje, patrząc po raz ostatni razem na naszą ulicę. Może wrócę, ale nigdy już nie będę tu mieszkać. Kiedy zostaniesz Relokowany, nie możesz już nigdy zamieszkać ponownie w tym samym miejscu. Jeśli już zrywać z przeszłością, to całkowicie. A ja zerwę z nią do końca, kiedy pojedę szukać Ky'a. Takiego Naruszenia nikt nie może już przeoczyć.

– Słyszałem, że jutro wyjeżdżacie – mówi Xander, a ja kiwam głową, pocieram nią o jego policzek. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – pytam. Patrę przed siebie, czuję, jak jego ramiona przesuwają się pod koszulą, gdy zmieniła lekko pozycję. Co chce mi powiedzieć? Że nie może uwierzyć, że go zdradziłam? Że wolałyby zostać Dobrany z każdą inną dziewczyną, tylko nie ze mną? Zasluguje na takie słowa, ale nie sądzę, by je wypowiedział. Nie Xander.

– Pamiętam, co stało się dziś rano – szepcze Xander.

– Co naprawdę stało się z Ky'em.

– Jak to? – Siadam i patrę na niego.

– Czerwone tabletki na mnie nie działają – szepcze mi prosto do ucha, by nikt inny nie usłyszał. Spogląda na ulicę, w stronę domu Markhamów. – Nie działały też na Ky'a.

– Co!? – Jak to możliwe, by ci dwaj chłopcy, tak od siebie różni, byli jednocześnie tak mocno ze sobą związani? Może wszystkich nas łączy jakaś głęboka więź, ale nie umiemy jej dostrzec. – Opowiedz mi o tym.

Xander wciąż patrzy na mały dom z żółtymi okiennicami, gdzie jeszcze kilka godzin temu mieszkał Ky. Stamtąd obserwował świat i tam uczył się sztuki przetrwania. W pewnym sensie jego nauczycielem był Xander, choć sam o tym nie wiedział. Być może Xander uczył się też od Ky'a.

– Zażył kiedyś jedną w mojej obecności, dawno temu – mówi cicho Xander. – To było tuż po jego przyjeździe. Traktowałem go jak przyjaciela, ale tak naprawdę byłem zazdrosny. Widziałem, jak na niego patrzyłaś.

– Naprawdę? – W ogóle tego nie pamiętam. Mam nadzieję, że Xander ma rację, że jakaś cząstka mnie zakochała się w Ky'u, nim ktokolwiek mnie do tego skłonił.

– Nie jestem z tego dumny – kontynuuje Xander.

– Któregoś dnia poprosiłem go, żeby poszedł ze mną popływać, a po drodze powiedziałem mu, że wiem o jego artefakcie. Wiedziałem o nim, bo kiedyś, gdy wracałem z sąsiedniej Gminy, zobaczyłem, jak Ky tego używa, próbuje znaleźć drogę do domu. Był bardzo ostrożny. Wtedy chyba jeden jedyny raz wyniósł ten przedmiot poza dom, ale miał pecha. Zobaczyłem go.

Ten obraz napełnia mnie bólem. To kolejna twarz Ky'a, której do tej pory nie znałam. Zagubiony. Podejmujący ryzyko. Choć tak bardzo go kocham, wciąż nie znam go do końca. To samo dotyczy innych, nawet Xandera – nigdy nie wyobrażałam sobie, że potrafi być taki okrutny.

– Kazałem mu znaleźć i ukraść dwie czerwone tabletki. Myślałem, że to niemożliwe. Powiedziałem, że jeśli następnego dnia nie przyniesie ich na basen i nie udowodni, że potrafi to zrobić, powiem wszystkim o kompasie – tak nazywa się ten artefakt – i narobię Patrickowi kłopotów.

– Co zrobił?

– Znasz Ky'a. Za nic w świecie nie naraziłby swojego wuja. – Xander zaczyna się nagle śmiać. Zaskoczona i rozgniewana, zaciskam dłonie w pięści. Czy naprawdę uważa, że to jest zabawne? Co śmiesznego może być w tej historii?

– Ky zdobył te pigułki. Zgadnij, komu je ukradł – mówi Xander, wciąż się śmiejąc. – Spróbuj tylko odgadnąć.

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Moim rodzicom. – Xander przestaje się w końcu śmiać. – Oczywiście wtedy wcale nie wydawało mi się to zabawne. Tego samego wieczoru moi rodzice wpadli w panikę, bo nie mogli znaleźć swoich czerwonych tabletek. Od razu domyśliłem się prawdy, ale nie mogłem im niczego powiedzieć. Nie mogłem wspomnieć o tym szantażu. – Xander opuszcza wzrok, a ja dopiero teraz dostrzegam, że trzyma w dłoni dużą szarą kopertę.

To znów przywodzi mi na myśl opowieść Ky'a. Właśnie poznaje kolejną jej część, – Zrobiła się z tego wielka afera. Przyjechali Funkcjonariusze. Nie wiem, czy to pamiętasz.

Kręcę głową. Nie pamiętam.

– Przeszukali wszystko dokładnie, sprawdzili, czy nie ukryliśmy tych pigulek. Nie znaleźli niczego, a moi rodzice byli naprawdę przekonujący, kiedy mówili, że nie mają pojęcia, co się z nimi stało. Byli naprawdę przerażeni. W końcu Funkcjonariusze doszli do wniosku, że mama i tata musieli zgubić je wcześniej, kiedy byli na pływalni, i że dopiero teraz to zauważyli. Nigdy przedtem nie sprawiali żadnych kłopotów, więc nie oskarżono ich o Naruszenie. Zostali tylko odnotowani.

– Ky to zrobił? Ukradł tabletki twoim rodzicom?

– Owszem. – Xander bierze głęboki oddech. – Następnego dnia poszedłem do jego domu, żeby rozerwać go na kawałki. Stał na schodach, czekał na mnie. Kiedy podszedłem, wyciągnął do mnie otwartą dłoń, na której leżały dwie czerwone pigułki, jakby chciał,

żeby wszyscy to zobaczyli. Oczywiście, byłem tak wystraszony, że natychmiast je zabrałem i spytałem, co wyprawia. Wtedy powiedział mi, że nie wolno igrać z czyimś życiem.

– Xander wydaje się zawstydzony tym wspomnieniem.

– Potem dodał, że możemy zacząć od nowa, jeśli chcę. Wystarczy tylko, że obaj zażyjemy po czerwonej tabletki. Obiecał, że to nie będzie bolało.

– To też było okrutne – mówię wstrząśnięta, ale ku memu zaskoczeniu, Xander nie zgadza się ze mną.

– Wiedział, że pigułki na niego nie działają. Nie wiem skąd, ale wiedział. Myślał, że podziałają na mnie, że nie będę pamiętał, jak okropnie się zachowałem, i że dzięki temu będziemy mogli zacząć wszystko od nowa.

– Jak myślisz, ilu innych ludzi chodzi po ulicach i udaje, że tabletki na nich działają, choć wcale tak nie jest? – zastanawiam się głośno.

– Tylu, ilu nie chce narobić sobie kłopotów – odpowiada i spogląda na mnie. – Wygląda na to, że i na ciebie nie działają.

– To coś innego – tłumaczę, ale nie chcę opowiadać mu całej historii. Zna już wystarczająco dużo moich sekretów.

Xander przygląda mi się przez chwilę, ale gdy uparcie milczę, odzywa się ponownie:

– Skoro już mowa o pigułkach: mam dla ciebie prezent. Pożegnalny. – Wręcza mi kopertę i szepcze: – Nie otwieraj tego teraz. Włożyłem tam kilka rzeczy, które będą przypominały ci Gminę, ale prawdziwy prezent to garść niebieskich tabletek. Na wypadek, gdybyś musiała wybrać się w długą podróż albo coś w tym rodzaju.

Wie, że zamierzam szukać Ky'a, i pomaga mi. Pomimo wszystkiego, co się między nami wydarzyło, Xander mnie nie zdradził. Uświadamiam sobie także, że gdy biegłam rano za Ky'em, nawet nie przyszło mi do głowy, że to Xander mógł zapoczątkować

wszystkie te wydarzenia. Wiem, że tego nie zrobił. Wierzył we mnie. To dylemat więźnia. To niebezpieczna gra, którą muszę prowadzić zarówno z Ky'em, jak i z Xanderem. Wiem jednak coś, czego nie wie Funkcjonariuszka – że wszyscy troje zrobimy wszystko, by nawzajem się chronić.

– Och, Xander, jak je zdobyłeś?

– Mają dodatkowe zapasy w aptece w centrum medycznym – wyjaśnia. – Te zostały przeznaczone do zniszczenia. Wkrótce minie ich data ważności, ale myślę, że jeszcze przez kilka miesięcy będą normalnie działały.

– Funkcjonariusze i tak zauważą, że ich brakuje.

Xander wzrusza ramionami.

– Być może. Będę ostrożny. Ty też powinnaś być. Szkoda, że nie mogłem przynieść ci prawdziwego jedzenia.

– Nie mogę uwierzyć, że robisz to wszystko dla mnie – mówię do niego.

Przełyka ciężko.

– Nie tylko dla ciebie. Dla nas wszystkich.

Teraz wydaje mi się to sensowne. Gdyby udało nam się zmienić pewne rzeczy, za jakiś czas, może... wszyscy moglibyśmy wybierać.

– Dziękuję ci – mówię. Myślę o tym, że być może mam szansę na odszukanie Ky'a dzięki jego kompasowi i dzięki tabletkom Xandera. Uświadamiam sobie również, że pod wieloma względami to właśnie dzięki Xanderowi mogłam pokochać Ky'a.

– Ky mówił, że być może będziesz wiedział, jak posługiwać się jego artefaktem, i nauczysz mnie tego. Teraz już wiem dlaczego. Rozpoznałeś go tamtego dnia, kiedy ci go dałam?

– Tak. Ale minęło już wiele czasu, a ja dotrzymałem obietnicy. Nie otworzyłem go.

– Ale wiesz, jak się nim posługiwać.

– Domyśliłem się, do czego służy, kiedy go zobaczyłem. Kiedyś wypytywałem też o to Ky'a.

– Dzięki temu artefaktowi może uda mi się go odnaleźć.

– Nawet jeśli mógłbym ci w tym pomóc, to dlaczego właściwie miałbym to robić? – Xander nie może już dłużej tego skrywać, rozgoryczenie i gniew w jego głosie mieszają się z bólem. – Żebyś mogła wyjechać i być z nim szczęśliwa? A co ze mną? Co ja będę z tego miał?

– Nie mów tak – proszę go. – Dałeś mi niebieskie tabletki, żebym mogła go odnaleźć, prawda? Jeśli wyjadę, jeśli uda nam się coś zmienić, może i ty będziesz mógł kogoś wybrać.

– Już wybrałem – odpowiada, patrząc na mnie.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc muszę prosić los o koniec znanego mi świata? – pyta Xander z nutą dawnego szelmowskiego uśmiechu w głosie.

– Nie o koniec świata. O początek lepszego – odpowiadam, a ta myśl napęła mnie strachem. Czy naprawdę tego chcemy? – Takiego, w którym możemy odzyskać Ky'a.

– Ky – powtarza ze smutkiem Xander. – Czasami mam wrażenie, że wszystko, co robiłem, miało pomóc ci przygotować się na spotkanie kogoś innego.

Nie wiem, co powiedzieć, jak mu wytłumaczyć, że się myli, że ja sama się myliłam, gdy pomyślałam przed chwilą coś podobnego. Bo to prawda, Xander pomagał Ky'owi i mnie wiele razy. Jak jednak mogę mu wyjaśnić, że pragnę tego nowego świata także ze względu na niego? Ze jest dla mnie ważny? Że go kocham?

– Nauczę cię – mówi w końcu Xander. – Wyślę ci instrukcje przez port.

– Ale wtedy każdy będzie mógł to przeczytać.

– Postaram się, żeby wyglądało to jak list miłosny. W końcu nadal jesteśmy Dobrani. I świetnie nam wychodzi udawanie zakochanych. – Milknie na moment, a potem pyta szeptem: – Cassio... Gdybyśmy rzeczywiście mogli wybierać, czy wybrałabyś kiedykolwiek mnie?

Jestem zaskoczona, że o to pyta. A potem coś sobie uzmysławiam. On nie wie, że w pewnym momencie naprawdę go wybrałam. Kiedy najpierw zobaczyłam na ekranie jego twarz, a potem twarz Ky'a, chciałam tego, co bezpieczne, znane i oczekiwane. Chciałam Wybranka dobrego, przystojnego i miłego. Chciałam Xandera.

– Oczywiście – odpowiadam.

Oboje patrzymy na siebie, a potem zaczynamy się śmiać. Nie możemy przestać. Śmiejemy się tak bardzo, że łzy płyną nam strumieniami po policzkach. Xander odsuwa się ode mnie i łapczywie chwyta powietrze.

– Moglibyśmy znów się zejść – mówi. – Po tym wszystkim.

– Moglibyśmy – przyznaję.

– Zatem po co to w ogóle robić?

Poważnieję. Potrzebowałam aż tyle czasu, by zrozumieć, co miał na myśli dziadek. Dlaczego nie chciał, by zachowano jego próbkę, dlaczego nie chciał skorzystać z szansy i żyć bez końca na czyichś warunkach.

– Chodzi o to, żebyśmy sami mogli wybierać – odpowiadam. – To jest sedno. Coś większego niż ty i ja, niż my wszyscy.

Podnosi wzrok.

– Wiem. – Może dla Xandera, który podobnie jak Ky przez wszystkie te lata widział i wiedział więcej, to zawsze było coś większego od nas.

– Ile razy? – pytam szeptem. Kręci głową skonsternowany.



– Ile razy zażywaliśmy tabletki i nie pamiętaliśmy, co się stało – wyjaśniam.

– Wiem tylko o jednym takim przypadku – odpowiada. – Nie używają tego zbyt często. Byłem pewien, że każą nam je zażyć po śmierci syna Markhamów, ale nie zrobili tego. Jestem jednak pewien, że pewnego dnia zażywali je wszyscy mieszkańcy Gminy.

– Ja też?

– Nie wiem. Nie widziałem, byś to robiła. Nie mam pewności.

– Co się wtedy stało?

Xander kręci głową.

– Nie powiem ci – szepcze.

Nie nalegam. Nie powiedziałam mu o wszystkim – o pocałunku na Wzgórzu, o wierszu – nie mogę więc prosić o coś, czego sama nie daję. Trudno zachować równowagę w takiej sytuacji, zdecydować, ile prawdy zdradzić, a ile zatrzymać dla siebie, co może zranić, lecz nie zniszczyć, a co zada ranę, której nie da się już zaleczyć.

Wskazuję na kopertę.

– Co tutaj włożyłeś oprócz tabletek?

Wzrusza ramionami.

– Niewiele. Staralem się przede wszystkim ukryć pigułki. Kilka płatków noworóż, takich samych jak te, które sadziliśmy razem. Nie utrzymają się długo. Wydrukowałem też kopię jednego ze Stu Obrazów, tego, o którym robiłaś kiedyś prezentację. To też długo nie wytrzyma.

Ma rację, papier z portów szybko się niszczy. Patrzy na mnie ze smutkiem.

– Będziesz musiała wykorzystać to wszystko w ciągu kilku miesięcy.

– Dziękuję – mówię. – Nie mam niczego dla ciebie. Wszystko działo się tak szybko... – Milknę ponownie, bo poświęciłam cały wolny czas Ky'owi. Znów wybrałam jego, a nie Xandera.

– W porządku – odpowiada. – Ale może... mogłabyś...

Patrzy mi głęboko w oczy, a ja domyślam się, czego chce. Pocałunku, choć wie o Ky'u. Wciąż wiele nas łączy. Wiem, że ten pocałunek byłby słodki. Byłby czymś, co mógłby zachować w pamięci, tak jak ja przechowuję w pamięci pocałunek Ky'a.

Ale tego właśnie nie mogę mu dać.

– Xander...

– Rozumiem. – Kiwa głową, a potem wstaje. Ja również. Przyciąga mnie do siebie. Jego objęcia są ciepłe i bezpieczne jak zawsze.

Oboje tulimy się mocno do siebie.

Potem odsuwa się i idzie ścieżką, nie oglądając się do tyłu. Ja jednak odprowadzam go wzrokiem do samych drzwi.

Podróż do nowego domu jest dość prosta. Jedziemy zwykłą kolejką do Centrum Miasta, przesiadamy się do pociągu dalekobieżnego, który wiezie nas na Ziemię Uprawne Prowincji Keya. Prawie cały nasz dobytek mieści się w kilku małych walizeczkach, kilka pozostałych przedmiotów zostanie dostanych później.

Gdy idziemy całą rodziną na stację kolejki, sąsiedzi i przyjaciele wychodzą, by się z nami pożegnać i życzyć nam wszystkiego dobrego. Wiedzą, że zostaliśmy Relokowani, ale nie mają pojęcia dlaczego – grzeczność nakazuje, by nie pytać o takie rzeczy. Kiedy dochodzimy do końca ulicy, widzimy, że postanowiono tam nowy znak: Kwiecista Gmina. Po usunięciu drzew i nazwy Klonowa Gmina odeszła w przeszłość. Zupełnie jakby nigdy nie istniała. Markhamowie odeszli. My odchodzimy. Wszyscy pozostali będą teraz

mieszkać w Kwiecistej Gminie. Dodali już kilka nowych róż do wszystkich klombów.

Robi mi się zimno na myśl o tym, jak szybko zniknął Ky, jak szybko zniknęli Markhamowie, jak szybko znikamy my. Jakby nigdy nas nie było. Nagle przypominam sobie czasy dzieciństwa. Gdy byłam jeszcze mała, na naszej stacji kolejki widniała nazwa Kamienna Gmina, a ścieżki prowadzące do naszych domów wyłożone były kamieniami.

„To już się kiedyś wydarzyło”. Ta Gmina wciąż zmienia nazwę. Jakie mroczne tajemnice kryją się jeszcze pod jej powierzchnią? Co zakopaliśmy pod naszymi kamieniami, drzewami, kwiatami i domami? Co to za sytuacja, o której nie chce mówić Xander, gdy wszyscy zażyliśmy czerwoną tabletkę – co się wtedy stało? Dokąd tak naprawdę pojechali inni ludzie, którzy musieli opuścić to miejsce?

Nie umieli zapisać swoich imion, ale ja potrafię i zrobię to ponownie gdzieś, gdzie przetrwa przez długi, długi czas. Znajdę Ky’ą, a potem znajdę to miejsce.

Kiedy już siedzimy w pociągu dalekobieżnym, mama i Bram zasypiają, zmęczeni podróżą i nadmiarem emocji.

Aż trudno mi uwierzyć, że po tym wszystkim, co wydarzyło się w naszym życiu, to właśnie posłuszeństwo mamy spowodowało naszą Relokację. Wiedziała za dużo i przyznała się do tego w raporcie. Nie miała innego wyjścia.

Podróż jest długa, mamy jednak sporo towarzyszy. Nie są to żołnierze jak Ky. Tych przewożą oddzielnymi pociągami. Obok nas jadą zmęczone rodziny, podobne do naszej, kilku Singli, którzy śmieją się głośno i rozmawiają z ożywieniem o swojej pracy, a w ostatnim wagonie siedzi grupa młodych kobiet mniej więcej w moim wieku, które jadą do pracy sezonowej na kilka miesięcy. Przyglądam im się zainteresowaniem. To młode dziewczęta, które nie otrzymały stałej posady i dlatego będą jeździły tam, gdzie są potrzebne.

Niektóre z nich wydają się smutne i zrezygnowane, rozczarowane. Inne patrzą z zainteresowaniem przez okno. Łapię się na tym, że zerkam na nie częściej, niż powinnam. Należy zajmować się tylko swoimi sprawami. A ja muszę się skoncentrować na odnalezieniu Ky'a. Mam już potrzebne narzędzia: zapas niebieskich tabletek, artefakt zwany kompasem, wiedzę o Rzece Syzyfa, wspomnienia dziadka, który nie szedł łagodnie.

Tata zauważa, że przyglądam się dziewczętom. Mama i Bram śpią, mówi więc cicho:

– Nie pamiętam, co się wydarzyło wczoraj. Ale wiem, że Markhamowie wyjechali z Gminy, i wydaje mi się, że to cię boli.

Próbuję zmienić temat. Zerkam na śpiącą mamę.

– Dlaczego nie kazali jej zażyć czerwonej tabletki? Wtedy nie musielibyśmy wyjeżdżać.

– Czerwonej tabletki? – dziwi się tata. – Używa się ich tylko w ekstremalnych sytuacjach. Ta do nich nie należy. – Potem ku memu zaskoczeniu mówi więcej. Traktuje mnie jak dorosłą, więcej – jak równą sobie. – Jestem urodzonym sortowaczem, Cassio. Wszystkie te informacje wskazują na to, że dzieje się coś niedobrego. Konfiskata artefaktów. Podróże twojej matki do innych Arboretów. Wczorajsza dziura w pamięci. Przegrywają wojnę, ale nie wiem, z kim ją toczą, z ludźmi z zewnątrz czy z wewnątrz. Wiem tylko, że ich sytuacja jest coraz gorsza.

Kiwam głową. Ky powiedział mi niemal to samo.

Tata mówi jednak dalej.

– Zauważyłem też inne rzeczy. Myślę, że jesteś zakochana w Ky'u Markhamie. Myślę, że chcesz go odnaleźć, dokądkolwiek pojechał.

Spoglądam na mamę. Jej oczy są teraz otwarte. Patrzy na mnie z miłością i zrozumieniem, a ja uświadamiam sobie wiele rzeczy naraz: mama wie, co zrobił tata. Wie, czego chcę. Wie o tym, i choć nie zniszczyłaby próbki ani nie pokochała kogoś, kto nie byłby jej

Wybrankiem, nadal kocha nas, mimo że zrobiliśmy te właśnie rzeczy.

Mój tata zawsze łamie zasady dla tych, których kocha, mama z tej samej przyczyny zawsze się ich trzyma. Być może to kolejny powód, dla którego stanowią tak idealnie Dobraną parę. Mogę polegać na miłości swoich rodziców. Uderza mnie myśl, że to ogromne szczęście móc zaufać czemuś takiemu, doświadczyć czegoś takiego, bez względu na to, co jeszcze się wydarzy.

– Nie możemy dać ci życia, którego pragniesz – mówi ojciec. W jego oczach pojawiają się łzy, spogląda na mamę, a ta daje mu głową znak, by mówił dalej. – Nie jesteśmy w stanie, choć bardzo byśmy chcieli. Ale możemy ci pomóc, postarać się, byś miała szansę sama zdecydować, jakiego życia chcesz.

Zamykam oczy, proszę anioły, Ky'a i dziadka o siłę. Potem otwieram je i patrzę prosto na tatę.

– Jak możecie mi pomóc?

## ROZDZIAŁ 32

Moje dłonie oblepione są ziemią, ciało pada ze zmęczenia, ale nie pozwolę, by ta praca odebrała mi chęć i zdolność myślenia. Bo tego właśnie chcą tutejsi Funkcjonariusze: robotników, którzy pracują, lecz nie myślą.

*Nie wchodź łagodnie.*

Zatem walczę. Walczę w jedyny dostępny mi sposób, myśląc o Ky'u, choć budzi to tęsknotę tak bolesną, że trudną do zniesienia. Wkładam nasiona do dołków i przykrywam je ziemią. Czy zamienią się w rośliny, czy wyrosną ku słońcu? Czy też wydarzy się coś złego i nigdy nie będzie im to dane, po prostu zgniją w ziemi? Myślę o nim, myślę o nim, myślę o nim.

Myślę o swojej rodzinie. O Bramie. O rodzicach. Dzięki temu wszystkiemu nauczyłam się czegoś o miłości – o miłości, którą czuję do Ky'a, miłości, którą czuję do Xandera, i miłości, którą moi rodzice, Bram i ja czujemy do siebie nawzajem. Kiedy dotarliśmy już do naszego nowego domu, moi rodzice poprosili, by odesłano mnie na trzy miesiące do pracy sezonowej, bo przejawiam skłonności do buntu. Funkcjonariusze w naszym nowym miasteczku sprawdzili moje dane, które potwierdzały oświadczenie rodziców. Tata poinformował ich również, że chętnie widziałby mnie w konkretnej pracy, polegającej na uprawie roślin w eksperymentalnych, trudnych warunkach Zachodniej Prowincji, przez którą płynie Rzeka Syzyfa. Rodzice i Xander informują mnie na bieżąco o wszystkim, czego udaje im się dowiedzieć o Ky'u. Tutaj jestem bliżej niego, czuję to.

Myślę o Xanderze. Mogliśmy być szczęśliwi, wiem o tym, i być może ta świadomość jest najtrudniejsza. Mogłam trzymać go za rękę, ciepłą i silną, mogliśmy mieć to samo co nasi rodzice. To byłoby piękne. Naprawdę piękne.

Na plantacji nie nosimy żadnych łańcuchów. Nie mamy dokąd uciec. Zniewalają nas pracą: nie biją nas, nie robią nam krzywdy. Po prostu chcą nas zmęczyć.

I jestem zmęczona.

Kiedy nachodzi mnie myśl, że mogłabym się poddać, rzucić to wszystko, przypominam sobie ostatnią część historii, którą dał mi Ky, którą przeczytałam, nim na dobre opuściliśmy nasz stary dom.

„Cassia”, napisał na samej górze kartki wysokimi, wyraźnymi, pełnymi kragłości literami, które zamieniały moje imię w coś pięknego, czyniły je czymś więcej niż zwykłym słowem. W deklarację, fragment pieśni, dzieło sztuki stworzone jego rękami.

Na serwetce narysowany był tylko jeden Ky. Uśmiechnięty. W tym uśmiechu widziałam zarówno Ky’a, którym niegdyś był, jak i tego, którym się stał. Jego dłonie znów są puste, otwarte, wyciągnięte do przodu. Do mnie.

„Cassia.

Teraz już wiem, które życie jest prawdziwe, bez względu na to, co się wydarzy. To życie z tobą.

Świadomość, że chociaż jeden człowiek zna moją historię, wszystko zmienia. Może jest tak jak w wierszu. Może to mój sposób, by nie wchodzić łagodnie.

Kocham cię”.

Musiałam spalić i tę część jego opowieści, ale syciłam się żarem płonącego „Kocham cię” jak czerwienią, jak nowym początkiem.

Gdybym nie znała historii Ky’a i słów moich wierszy, mogłabym się poddać. Myślę jednak o tej poezji, o zapasie tabletek i kompasie, o swojej rodzinie i Xanderze, którzy za pomocą obozowego portu przesyłają mi wiadomości, że wciąż szukają, wciąż mi pomagają.

Czasami, kiedy patrzę na jasne nasiona, które wrzucam w ciemną ziemię, przypominam sobie wieczór swojego Bankietu, gdy wyobrażałam sobie, że potrafię latać. Nie lękam się czerni nocy za

moimi plecami ani gwiazd, które świecą przede mną. Myślę, że być może najlepiej byłoby fruwać z dłońmi pełnymi ziemi, by zawsze pamiętać, skąd się pochodzi i jak trudne może być czasami chodzenie.

Spoglądam na swoje ręce, które kreślą wymyślone przeze mnie kształty, moje własne słowa. Nie jest to łatwe, a ja nie mam jeszcze wprawy. Piszę je w ziemi, w której sadzę rośliny, a potem je zdeptuję, kopię w nich dołki, wrzucam w nie ziarna, by przekonać się, czy wyrosną. Podkradam odrobinę spalonego drewna z ogniska i piszę na serwetce. Potem wrzucam ją do innego ogniska; moja dłoń przesuwa się nad płomieniami, a słowa umierają. Popiół i nicość.

Moje słowa nigdy nie trwają długo. Muszę je zniszczyć, nim ktokolwiek je zobaczy.

Ale pamiętam je wszystkie. Nie wiem dlaczego, ale zapamiętuję każde słowo, które wcześniej zapiszę. I każde z nich przybliża mnie do tych właściwych. Gdy znów zobaczę Ky'a, a wiem, że to się stanie, wyszepczę mu te słowa do ucha, dotknę nimi jego usŁ A wtedy popiół i nicość zamienią się w ciało i krew.